


# DIANE CHAMBERLAIN

## *Milcząca siostra*



Co sprawiło, że się załamala?  
Jakże chciałabym ją przytulić!  
Mocno uściskać. Chciałam [...]  
powiedzieć temu delikatnemu  
młodzieńcowi aniołowi, żeby  
trzymał się dzielnie. Pewnego  
dnia, obiecałabym jej, wszystko  
będzie dobrze.

Prószyński i S-ka

DIANE  
CHAMBERLAIN

*Milcząca siostra*

PRZEŁOŻYŁ  
TOMASZ WILUSZ

Prószyński i S-ka



Tytuł oryginału  
THE SILENT SISTER

Copyright © 2014 by Diane Chamberlain  
All rights reserved

Projekt serii  
Olga Reszelska

Opracowanie graficzne okładki  
[www.studio-kreacji.pl](http://www.studio-kreacji.pl)  
Zdjęcie na okładce  
© Lena Okuneva/Trevillion Images

Redaktor prowadzący  
Katarzyna Rudzka

Redakcja  
Joanna Habiera

Korekta  
Katarzyna Kusojeć  
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8069-514-6

Warszawa 2015

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

STYCZEŃ 1990

PROLOG

## *Alexandria, Wirginia*

*Od samego rana ludzie schodzili się na ścieżkę przecinającą las nad rzeką Potomac. Opatuleni puchowymi kurtkami i wełnianymi szalikami, stali zbici w gromadę, bo tak było cieplej, ściskając okryte rękawiczkami dłonie dzieci albo smycze psów, wpatrywali się w jedyną plamę koloru pośród zimowej szarości. Żółty kajak na środku rzeki, skuty lodem. Ostatniej nocy woda była wzburzona; wzbite zawieruchą, spienione fale zamarzyły w poszarpane grzebienie, które uwięziły samotną łódkę daleko od brzegu.*

*Spacerowicze widzieli ten kajak w porannych wiadomościach, czuli jednak potrzebę, żeby zobaczyć go na własne oczy. Oznaczał on koniec sagi, którą pasjonowali się od miesięcy. Proces, na który niecierpliwie czekali, nigdy się nie odbędzie, bo siedemnastoletnia morderczyni spoczywała teraz pod twardą połacią lodu.*

*„Wybrała najłatwiejsze wyjście”, szeptali niektórzy między sobą.*

*„Ale jakże straszliwą śmierć”, odpowiadali inni.*

*Patrzyli na kamienisty brzeg rzeki i zastanawiali się, czy wypchała sobie kieszenie kamieniami, żeby pójść na dno. Byli ciekawi, czy płakała, kiedy wypływała kajakiem na rzekę, świadoma, że koniec jest bliski. W telewizji płakała, to na pewno. „Tylko na pokaz”, kwitowali dziś niektórzy i ruszali w dalszą drogę. Było za zimno, żeby długo stać w miejscu.*

*Mimo to jedna kobieta, ciepło opatulona, z dłońmi schowanymi w kieszeniach, stała tam przez wiele godzin. Patrzyła, jak helikopter stacji telewizyjnej filmuje miejsce zdarzenia z lotu ptaka, jak śmigła, młóćące z ogłuszającym terkotem powietrze, zlewają się w ciemną plamę na tle szarego nieba. Obserwowała policjantów, którzy*

*kręcili się na brzegu rzeki i pokazywali palcami to w jedną, to w drugą stronę, debatując, jak wydobyć kajak z lodu... i jak szukać ukrytego pod lodem ciała dziewczyny.*

*Kobieta raz jeszcze spojrzała na policjantów. Stali z rękami na biodrach, jakby dali za wygraną. Zamknięta sprawa. Otuliła się ciasniej kurtką. „A niech sobie rezygnują”, pomyślała z zadowoleniem, patrząc, jak jeden z policjantów wzrusza ramionami z rezygnacją. „Niech wyciągną kajak z rzeki i ogłoszą fajrant”.*

*Choć żółty kajak uwięziony w lodzie niczego nie dowodził.*

*Tylko głupcy mogli tak myśleć.*

# CZĘŚĆ I

## CZERWIEC 2013

### 1.

## Riley

Nigdy nie przypuszczałam, że jeszcze przed moimi dwudziestymi piątymi urodzinami stracę prawie wszystkich, których kocham.

Kiedy zajechałam przed mały, nijaki budynek poczty w Pollocksville, znów wezbrała we mnie rozpacz. Ze swojego mieszkania w Durham wyruszyłam przed trzema godzinami, przysięgłabym jednak, że podróż trwała dwa razy dłużej; wszystko przez to, że w drodze układałam listę spraw do załatwienia w New Bern, co skłoniło mnie do rozmyślań o mojej samotności. Nie miałam jednak czasu nurzać się w smutku.

Najpierw musiałam zajrzeć na pobliską pocztę, piętnaście kilometrów od New Bern. Załatwię to i przynajmniej jedna sprawa z głowy. Wygrzebując z torebki białą kartkę pocztową, weszłam do budynku. Skrzypiąc tenisówkami po posadzce, skierowałam się do urzędniczki. Ciemnoskóra, z pięknie zaplecionymi warkoczykami, przypominała mi moją przyjaciółkę Sherise, więc polubiłam ją od pierwszego wejrzenia.

– Czym mogę służyć? – spytała.

Podziałam jej kartkę.

– Nie wiem, czemu ją dostałam – wyjaśniłam. – Mój ojciec umarł miesiąc temu. Jego poczta przychodzi na mój adres w Durham i znalazłam tę kartkę w skrzynce...

– Wysyłamy powiadomienia, kiedy ktoś nie ureguluje opłaty za skrytkę pocztową – poinformowała mnie urzędniczka, patrząc na kartkę. – Jeśli adresat nie zapłaci w ciągu dwóch miesięcy, zamykamy skrytkę i zmieniamy zamek.

– Cóż, rozumiem, ale widzi pani... – obróciłam kartkę na drugą stronę. – Nie znam



żadnego Freda Marcusa. Mój ojciec nazywał się Frank McPherson, więc musiała zająć pomyłkę. Nawet nie sądzę, żeby tata miał skrytkę pocztową. Zwłaszcza w Pollocksville, skoro mieszka... mieszkał... w New Bern. – Nieprędko nauczę się mówić o tacie w czasie przeszłym.

– Sprawdzę. – Zniknęła na zapleczu i po chwili wróciła z cienką, fioletową kopertą i białą kartą katalogową. – Tylko to było w skrytce – powiedziała, podając mi kopertę.

– Adresowana do Freda Marcusa. Sprawdziłam w dokumentach, skrytka jest zarejestrowana na to nazwisko, adres też się zgadza. – Podała mi kartę. Parafka rzeczywiście wyglądała na złożoną ręką mojego ojca, ale tata nie miał jakiegoś wybitnie niepowtarzalnego charakteru pisma. Poza tym to nie było jego nazwisko.

– Adres się zgadza, ale widocznie ten człowiek wpisał go przez pomyłkę – oznajmiłam, chowając fioletową kopertę do torebki.

– Mam zlikwidować skrytkę czy będzie ją pani opłacać? – dopytywała urzędniczka.

– Nie ja powinnam decydować o likwidacji, ale płacić za nią nie zamierzam, więc...

– Wzruszyłam ramionami.

– Wobec tego ją zlikwiduję – postanowiła.

– Dobrze. – Byłam zadowolona, że podjęła decyzję za mnie. Uśmiechnęłam się. – Mam nadzieję, że Fred Marcus się nie obrazi, kimkolwiek jest. – Odwróciłam się w stronę drzwi.

– Przykro mi z powodu pani straty – powiedziała.

– Dzięki – rzuciłam przez ramię. Kiedy wsiadałam do samochodu, oczy mnie piekły.

Wjechałam do zabytkowej dzielnicy New Bern. Stare domy tłoczyły się na wysadzanych drzewami ulicach, tu i ówdzie między sklepami stały ogromne, pomalowane niedźwiedzie, symbol miasta. Przede mną pedałowali dwaj policjanci na rowerach, obrazek, który lekko poprawił mi nastrój. Choć od dawna nie mieszkałam w New Bern, wciąż ciągnęło mnie w rodzinne strony. Do tego niezwykłego miasteczka.

Skreśliłam na Craven Street i zatrzymałam się na naszym podjeździe. Przez szyby w bramie garażu – jedna była pęknięta – widziałam dach samochodu taty. Nie pomyślałam, co z tym autem zrobić. Lepiej sprzedać czy oddać na cele charytatywne? Nazajutrz rano miałam się spotkać z adwokatką taty, postanowiłam więc dołączyć to pytanie do mojej stale wydłużającej się listy. Najlepiej, żeby Danny wziął ten samochód na miejsce swojego gruchota, ale coś czułam, że mój brat nie zgodziłby się go przyjąć.

Mój rodzinny dom był piętrowy, pastelowożółty, w wiktoriańskim stylu i wymagał odmalowania. Szeroki ganek ozdobiły delikatne, białe poręcze i filary. Kochałam ten dom. Mieszkałam tu, odkąd sięgałam pamięcią. Kiedy go sprzedam, nie będę miała

po co wracać do New Bern. Regularnie odwiedzałam tatę i sądziłam, że to nigdy się nie zmieni. Po jego nagłej śmierci przyjechałam na dwa dni, żeby załatwić kremację i dopilnować innych spraw, nie pamiętałam już jakich. Czy tata w ogóle chciał, żeby go skremować? Nigdy o takich rzeczach nie rozmawialiśmy, a w tamtych dniach byłam zbyt wstrząśnięta, zbyt oszołomiona, żeby trzeźwo myśleć. Na szczęście miałam wtedy u boku Bryana, uspokajającego mnie samą swoją obecnością. Przekonywał, że skoro moja matka została skremowana, ojciec najprawdopodobniej także życzył sobie tego dla siebie. Oby się nie mylił.

Zaczęłam się zastanawiać, czy nie nazbyt pochopnie zerwałam z Bryanem. Przydałoby mi się teraz jego wsparcie. Zdecydowałam się na rozstanie w najgorszej możliwej chwili – kiedy odszedł tata, a Sherise wyjechała na całe lato do Haiti, by poświęcić się działalności misyjnej. Z drugiej strony nie ma dobrego momentu na to, żeby zakończyć dwuletni związek.

Czułam ciężar samotności na barkach, kiedy wysiadłam z samochodu i spojrzałam na dom. Planowałam go opróżnić w dwa tygodnie, a potem wystawić na sprzedaż wraz z pobliskim kempingiem należącym do ojca. Nagle, kiedy obrzuciłam wzrokiem okna i przypomniałam sobie, ile rzeczy wymaga naprawy i jak bardzo mój ojciec nie lubił niczego wyrzucać, zorientowałam się, że to nierealny termin. To nie tak, że tata znosił do domu niepotrzebne rupiecie; on był kolekcjonerem. Miał gabloty pełne zabytkowych zapalniczek, fajek i instrumentów muzycznych, a oprócz tego mnóstwo innych przedmiotów, których teraz muszę się pozbyć. Bryan stwierdził, że nasz dom przypomina stare, zakurzone muzeum, i trudno było się z nim nie zgodzić. Wyciągnęłam torbę sportową z tylnego siedzenia, usiłując przezwyciężyć panikę. W Durham nikt na mnie nie czekał, całe lato miałam wolne. Spędzę tutaj tyle czasu, ile trzeba, aby przygotować dom na sprzedaż. Ciekawe, czy istnieje choć cień szansy, by Danny zgodził się mi pomóc.

Wspięłam się po szerokich schodach na ganek i wsunęłam klucz do zamka. Drzwi otworzyły się z głośnym skrzypieniem, które znałam tak dobrze jak głos mojego ojca. Przed wyjazdem w maju zasłoniłam okna, więc teraz ledwo widziałam w mroku wejście do kuchni na drugim końcu salonu. Wciągnęłam w nozdrza zatechły zapach domu, który długo stał zamknięty na cztery spusty, i podniosłam rolety, żeby wpuścić światło dzienne. Ustawiłam termostat na dwadzieścia dwa stopnie i usłyszałam miły dla ucha szmer starego klimatyzatora budzącego się do życia. Potem stanęłam na środku pokoju z rękami na biodrach i obejrzałam wewnątrz krytycznym okiem.

Tata urządził sobie w przestronnym salonie swego rodzaju gabinet, choć jeden, całkiem spory, miał już na górze. Uwielbiał biurka, skrytki i gabloty. Tutaj wstawił piękny, stary sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem. Na wprost wejścia, na regałach, wykonanych na zamówienie i otaczających drzwi kuchni, umieścił kolekcję muzyki klasycznej, prawie same winyle, a w specjalnej, wbudowanej w ścianę szafce

przechowywał gramofon. Po północnej stronie pokoju stała szeroka, przeszklona gablota z fajkami. Zawsze wyczuwałam tu lekki zapach tytoniu, tata jednak zapewniał, że to tylko złudzenie. Pod ścianą stały kanapa, co najmniej równa mi wiekiem, i tapicerowany fotel. Resztę miejsca zajmował fortepian gabinetowy, na którym nigdy nie nauczyłam się grać. Oboje z Dannym mieliśmy lekcje, ale zupełnie nas nie interesowały, więc rodzice zgodzili się, żebyśmy zrezygnowali. Ludzie mówili: „To rodzeństwo Lisy. Na pewno mają talent. Dlaczego nie weźmiecie ich do galopu?”. Nigdy jednak tych rad nie usłuchali i byłam im za to wdzięczna.

Przeszłam do pokoju stołowego, zadziwiająco schludnego i uporządkowanego w porównaniu z resztą domu. Tata rzadko tu zaglądał. W stołowym niepodzielną władzę sprawowała moja matka. Szeroką serwantkę wypełniała porcelana, wazony i misy z rżniętego szkła, które w jej rodzinie przechodziły z pokolenia na pokolenie. Rzeczy, które dla niej przedstawiały wielką wartość, a których ja zamierzałam się pozbyć. Przesunęłam palcami po zakurzonej kredensie. W każdym kącie czyhały na mnie wspomnienia, które trzeba będzie rozebrać na kawałki.

Poszłam z torbą na górę, gdzie szeroki korytarz otwierał się na cztery pokoje. W pierwszym mieściła się sypialnia mojego ojca, z dużym łóżkiem przykrytym narzutą. Drugi pokój dawniej zajmował Danny i choć nie nocował w naszym domu, odkąd w wieku osiemnastu lat go opuścił – „wyrwał się”, jak sam by to określił – dla mnie ten pokój na zawsze miał pozostać „pokojem Danny’ego”. Trzeci był mój, w porównaniu z czasami, kiedy tu mieszkałam, wyglądał spartańsko. Po studiach stopniowo zabrałam stąd moje rzeczy. Pamiątki ze szkoły średniej i uczelni – zdjęcia byłych chłopaków, szkolne książki pamiątkowe, płyty i tak dalej – dziś trzymałam u siebie w Durham, w pudle, w którym czekały dnia, kiedy wreszcie je przejrzę i zdecyduję, co warto zachować.

Rzuciłam torbę na łóżko i poszłam do czwartego pokoju – gabinetu mojego ojca. Na małym biurku przy oknie stał stary, masywny monitor komputerowy, a wzdłuż dwóch ścian ciągnęły się serwantki wypełnione zapalniczkami Zippo i zabytkowymi kompasami. Większość zbiorów tata odziedziczył po moim dziadku, też kolekcjonerze, po czym wzbogacił je o przedmioty wyszperane na Craigslist, eBayu i pchlich targach. Te kolekcje były jego obsesją. Wiedziałam, że zamki szklanych, przesuwanych drzwi serwantek są pozamykane. Ciekawa byłam, gdzie tata trzymał klucze. Obym zdołała je znaleźć.

O czwartą ścianę opierało się pięć futerałów na skrzypce. Tata, choć sam na nich nie grał, zbierał instrumenty strunowe, odkąd pamiętałam. Z uchwytu jednego z futerałów zwisała przywieszka z nazwiskiem. Ukłękłam i wzięłam ją do ręki. Wiedziałam, co na niej jest: z jednej strony narysowany fiołek, a z drugiej napis *Lisa MacPherson* i nasz stary adres w Alexandrii w stanie Wirginia. Tutaj, w tym domu, Lisa nigdy nie mieszkała.

Moja matka umarła wkrótce po tym, jak skończyłam szkołę średnią, więc choć nigdy nie przestałam mi jej brakować, przyzwyczaiałam się do jej nieobecności. Bez taty dziwnie się jednak czułam w tym domu. Chowając moje ubrania do komody, spodziewałam się, że lada chwila wejdzie do pokoju, i z bólem pomyślałam, że to niemożliwe. Brakowało mi naszych cotygodniowych rozmów telefonicznych i świadomości, że dzieli mnie od niego tylko kilka godzin jazdy. Dobrze się z nim rozmawiało i zawsze czułam jego bezwarunkową miłość. Przytłaczało mnie poczucie, że nie ma już na tym świecie nikogo, kto kochałby mnie równie mocno.

Był cichym człowiekiem. Może jednym z najcichszych, jacy stąpali po tej ziemi. Pytał, zamiast mówić. Chciał znać każdy szczegół mojego życia, o własnym jednak nie opowiadał prawie wcale. Jako szkolny psycholog to ja byłam od zadawania pytań, więc z chęcią zamieniałam się rolami, tym bardziej kiedy miałam pewność, że rozmówca szczerze interesuje się moimi odpowiedziami. Mój tata umarł na podłodze sklepu Food Lion wskutek rozległego ataku serca. Był wtedy sam i to tkwiło mi zadrą w sercu.

Bryan sugerował, żebym zamówiła nabożeństwo żałobne za duszę taty, ale nie wiedziałabym, kogo zaprosić. Jeśli miał jakichś przyjaciół, ja ich nie znałam. W odróżnieniu od większości mieszkańców New Bern nie należał do żadnego kościoła ani lokalnej organizacji, a mój brat by nie przyszedł na mszę w jego intencji. Ich relacje były zupełnie inne. Kiedy przyjechałam do New Bern, Danny zniknął. Znajomy policjant, Harry Washington, zawiadomił go o śmierci ojca, a potem Danny przepadł jak kamień w wodę. Zostawił swój samochód zaparkowany obok przyczepy, w której mieszkał, więc szukaliśmy go z Bryanem po lesie, ale Danny znał te chaszczki jak własną kieszeń. Miał swoje kryjówki. Teraz nie wiedział, że jestem w mieście, więc zjawię się u niego bez uprzedzenia. I spróbuję go ubłagać, żeby pomógł mi zająć się domem. Nawet jeśli byłam pewna, że się nie zgodzi.

## 2.

Danny nie miał telefonu, więc musiałam się do niego pofatygować osobiście. Mieszkał w przyczepie w głębi lasu, na obrzeżach kempingu ojca, kilkanaście kilometrów od New Bern. Kiedy skręcałam na wąską drogę prowadzącą na kemping Mac's RV Park, drzewa zamknęły mój wóz w tak ciasnym uścisku, że dziwiłam się, jakim cudem mieszczą się tu samochody turystyczne. Dotarłam na brzeg strumienia. Na teren kempingu wjeżdżało się żwirówką odchodzącą w prawo, ja jednak skręcałam w lewo, na wyboisty, nieutwardzony dukt, który miał mnie doprowadzić do przyczepy Danny'ego. Mocno zwolniłam i zęby mi dzwoniły o siebie, kiedy samochód podskakiwał na licznych wybojach.

Dotarłam do odgałęzienia prowadzącego w głąb lasu i znów odbiłam w lewo. Tu droga stawała się niewiele szersza od ścieżki. Trzeba było mocno wyteżać wzrok, żeby ją dostrzec, i Danny'emu ten stan rzeczy odpowiadał. Gałęzie chłostały moją przednią szybę, kiedy toczyłam się po kamieniach i korzeniach drzew. Te kilkaset metrów do przyczepy Danny'ego zawsze wydawało się wiecznością.

Wreszcie z przodu dostrzegłam metaliczny błysk wśród drzew i zmobilizowałam się psychicznie. Którego Danny'ego zastanę dzisiaj? Czułego, starszego brata, który uśmiechem maskował smutek, czy gniewnego, zgorzkniałego człowieka, który czasem przerażał mnie swoją furią? Dręczyła mnie bezsilność, że jestem psychologiem, a nie potrafię pomóc rodzonemu bratu.

Przejechałam jeszcze kawałek i skręcałam na polanę. Drzewa tworzyły szmaragdowozieloną jaskinię wokół usłanej sosnowym igliwem ziemi. Mały, przedpotopowy airstream Danny'ego, jego stare subaru i hamak rozwieszony między dwiema strzelistymi sosnami zajmowały tyle miejsca, że mój samochód ledwo się zmieścił. Wysiadając, nałożyłam na nadgarstek dwie torby z zakupami dla brata.

Kiedy podeszłam do przyczepy, Danny otworzył drzwi.

– Cześć, Danny. – Uśmiechnęłam się promiennie.

– Cześć – powiedział. – Byłem ciekaw, kiedy się zjawisz. – Nie bardzo mogłam cokolwiek wyczytać z jego beznamiętnej twarzy, ale w oczach miał błysk, który podniósł mnie na duchu. Danny zawsze był przystojnym facetem i taki pozostał; jego niesforne, jasnobrązowe włosy do ramion przybrały ciemniejszy odcień niż w latach naszego dzieciństwa, niebieskie oczy jaskrawo odcinały się na tle opalanej skóry.

Strasznie schudł, jego twarz stała się kompozycją z ostrych kantów i płaskich powierzchni. Zauważyłam jednak z zadowoleniem, że starannie przystrzygł swoją krótką brodę. W najgorszych okresach zapuszczał ją i zaniedbywał, aż robiła się długa i postrzępiona. Ostatnio po brodzie poznawałam, w jakiej jest formie.

– Wpadłam do ciebie po śmierci taty – powiedziałam – ale nie mogłam cię znaleźć.

– I to cię zaskoczyło?

*No dobrze. Czyli dzisiaj przywitał mnie ten gniewny Danny.*

Uniosłam torby.

– Przywiozłam trochę jedzenia i papierosy. – Kupiłam mu owoce – brzoskwinie, melona i pół kilograma truskawek – ale jedną torbę wypełniały opakowania jego ulubionego makaronu z serem i karton marlboro. Dawno przestałam go przekonywać, żeby się zdrowo odżywiał. Bardziej zależało mi na tym, żeby był szczęśliwy. Nie posunęłam się jednak do kupowania mu alkoholu. Na pewno miał go w bród.

Wziął ode mnie torby i cofnął się o krok, żeby wpuścić mnie do środka. Jak zawsze pragnęłam wziąć go w ramiona i wyściskać, ale od jakiegoś czasu nie pozwalaliśmy już sobie na takie serdeczności. Był o cztery lata starszy i do moich dziesiątych czy jedenastych urodzin nazwałabym go najlepszym przyjacielem. Wtedy wpadł w szpony dojrzewania i już się z nich nie wyrwał.

– Musimy porozmawiać – oznajmiłam.

– Doprawdy? – spytał zaczepnie.

– Tak. – Ostatnio byłam u niego przed wieloma miesiącami i zdążyłam zapomnieć, że przyczepa przechylała się na bok, dlatego po przestąpieniu progu tej ciasnej klitki zawsze dostawałam zawrotów głowy. Na jednym końcu było wąskie łóżko, na drugim, oddalonym o kilka kroków, wbudowane stół i ławy. Wiedziałam, że Danny lubi tę ciasnotę. Kiedyś wyznał mi, że zamknięty w tych czterech ścianach czuje się bezpieczny. Nie był jednak pustelnikiem. Parę razy znalazłam u niego ślady obecności kobiet – plamę od szminki na kubku do kawy, romansidło na blacie. Mężczyzna o urodzie mojego brata musiał przyciągać spojrzenia. Moje szkolne koleżanki szalały za nim. Fajnie, że czasem ma tu towarzystwo.

Chowając zakupy, czułam słaby strumień chłodnego powietrza płynący z klimatyzatora okiennego. Nigdy nie rozumiałam, skąd Danny w ogóle brał tutaj prąd; w każdym razie jakoś zmontował generator, który latem chłodził, a zimą grzał. Zasiliał nim też swój komputer. Laptop na stole był jedynym niepasującym elementem w tej starej przyczepie, która poza tym wyglądała jak żywcem przeniesiona z lat pięćdziesiątych. Danny zawsze był maniakiem technologii. Nic go nie mogło oderwać od tego komputera i to mnie w gruncie rzeczy cieszyło. Utrzymywał kontakty mejlowe z kilkoma byłymi towarzyszami broni i sądziłam, że te koleżeńskie więzi są mu potrzebne. Żałowałam tylko, że równie regularnie nie pisywał do mnie. Miałam wrażenie, że moje mejle do niego trafiają w próżnię.

Wstawiłam mleko do lodówki, a on obserwował mnie, oparty o blat.

– Przyjechałaś z Bryanem? – spytał.

– Zerwaliśmy ze sobą. – Zamknęłam lodówkę. – To była moja decyzja.

– Przecież nazywałaś go „tym jedynym”.

Byłam zaskoczona, że to pamiętał.

– Cóż, tak sądziłam – powiedziałam. – Ale po trzech latach separacji z żoną ciągle nic nie robił w sprawie rozwodu, więc znudziło mi się czekanie.

Myślę, że Bryan mnie kochał, ale jako para zmierzaliśmy donikąd. Miał dwoje wspaniałych dzieci i wiedziałam, że żona wciąż była mu bliska. Czułam się w tym układzie jak piąte koło u wozu.

– To wisiało w powietrzu – stwierdziłam. – Tylko ja późno się zorientowałam.

– Dobrze zrobiłaś. – Mówił szczerze. Chyba.

– Odniosłam wrażenie, że go lubiłeś.

– Wkurzało mnie, jak cię wodził za nos. – Założył ręce, odchylił się i wbił wzrok w moją twarz. – Wiesz co? – spytał. – Świetnie wyglądasz. Jakbyś zrzuciła z siebie wielki ciężar.

– Akurat. – Zaśmiałam się. Jak mogłam świetnie wyglądać, skoro czułam się taka nieszczęśliwa? Mimo to wzruszył mnie. Choć z pozoru gburowaty, czasem nawet zjadliwy, mój brat wciąż potrafił być kochany.

Wyjął paczkę papierosów z kartonu, który mu kupiłam, otworzył ją i zapalił jednego. Poczęstował mnie, na wypadek gdybym od naszego ostatniego spotkania zaczęła palić. Pokręciłam głową i wsunęłam się za jedną z ław przy stole.

Jego strzelba była dokładnie na linii mojego wzroku, oparta o ścianę obok blatu. Danny polował na drobną zwierzynę w lesie i o ile wiedziałam, innej broni nie miał. Oby. Harry Washington zdradził mi, że cała załoga lokalnego komisariatu uważała mojego brata za „tykającą bombę”. On sam, przez wzgląd na wspólną służbę w Iraku, troskliwie miał go na oku. Przed kilkoma tygodniami napisał mi w mejlu, że Danny dostał zakaz wstępu do swojego ulubionego baru sportowego, ponieważ pobił się z barmanem. Teraz przesiadywał w Slick Alley, poinformował mnie Harry, obskurnej sali bilardowej, której widok zawsze przyprawiał mnie o ciarki, kiedy przejeżdżałam obok.

Mój wzrok uporczywie wracał do strzelby. Widziałam nagłe wybuchy gniewu mojego brata na własne oczy, ale znacznie bardziej bałam się, że skieruje tę broń przeciwko sobie niż przeciw komukolwiek innemu. Choć rozwalona w Iraku noga mocno dała mu się we znaki, rany psychiczne były o wiele gorsze. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że już przed wyjazdem bywało z nim kiepsko.

– Jak się miewasz? – Podniosłam na niego oczy.

Zaciągnął się papierosem i kiwnął głową.

– Dobrze – powiedział przez smugę dymu. Usiadł naprzeciwko mnie przy stole,

odsunął laptopa i strzepnął popiół do pokrywki słoika.

– Bierzesz lekarstwa? – spytałam.

– Odwal się, siostra – burknął i zrozumiałam, że odpowiedź brzmi „nie”. Nie cierpiał zestawu leków przepisanego przez psychiatrę z Departamentu Spraw Weteranów.

– Mniejsza z tym. – Splotłam dłonie na stole, jakbym ogłaszała początek zebrania. – A zatem, jak pewnie wiesz, jestem wykonawczynią testamentu taty i zostanę w New Bern przez parę tygodni, żeby zająć się jego... majątkiem. – Głupio brzmiało to słowo w odniesieniu do taty i z gardła Danny’ego dobyło się szydercze prychnięcie. – Możesz wziąć jego samochód – zaproponowałam. – Ma tylko kilka lat i...

– Nie chcę jego zasanego samochodu.

– W porządku. – Odpuściłam. Wrócę do tego kiedy indziej. – A co z domem? Myślę, że powinniśmy go sprzedać, ale mógłbyś tam zamieszkać, gdybyś...

– Nie, dzięki. – Powoli, głęboko zaciągnął się papierosem, patrząc na mnie zmrużonymi oczami, jakbym obraziła go samą sugestią, żeby wprowadził się do domu naszego dzieciństwa. – Zrób, co chcesz, z domem i całą resztą. Mnie interesuje tylko ten kawałek ziemi – tu wskazał na podłogę przyczepy – na którym siedzimy. Żeby na zawsze był mój.

– Musimy sprzedać kemping – powiedziałam. – Ale ta działka chyba nie jest jego częścią.

– To prawda – potwierdził. – Jest całkowicie odrębna.

– Dobrze. W takim razie każę adwokatce dopilnować, żeby ta ziemia przypadła tobie. Pójdiesz ze mną jutro do niej? – spytałam. – To znaczy do adwokatki? Chciałabym, żebyś wiedział, co...

– Nie – uciął.

Skinęłam głową, przekonana, że tak zapewne będzie najlepiej. Danny tylko by wszystko skomplikował. Albo z nerwów nie mógłby wysiedzieć na miejscu, albo wściekłby się i wypadł z gabinetu. Wiele można było o nim powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest obliczalny.

– Dobra. – Dym mnie drażnił, ale zamierzałam wytrwać. – Muszę opróżnić dom, zanim wystawię go na sprzedaż. Pomożesz mi? Nie chodzi o pracę fizyczną, trzeba tylko wszystko przejrzeć i...

– Czemu po prostu nie wynajmiesz kogoś, żeby wywiózł cały ten majdan? – Postukał papierosem o krawędź zakrętki.

– Bo... tak się nie robi. – Rozgarnęłam dym dłonią. – Słuchaj, Danny, potrzebuję twojej pomocy. Zrób to dla mnie, dobra? Nie dla taty. Dla mnie. Roboty jest tyle, że sama nie dam rady.

Wstał, zgniótł papierosa w zlewie i na chwilę puścił wodę. Wiedziałam, że trafiłam do niego prośbą, żeby zrobił to przez wzgląd na mnie, nie naszego ojca.



– To takie popieprzone – powiedział.

– Co?

– Wszystko.

Próbowałam sobie wyobrazić, co siedzi Danny’emu w głowie. W chwili słabości wyznał mi kiedyś, że żyje w ciągłym strachu. Na każdy głośny dźwięk reagował, jakby znalazł się pod ostrzałem. W koszmarnych snach wracał do Iraku, gdzie robił rzeczy, o których nie chciał mówić. *Gdybym ci powiedział, patrzyłabyś na mnie zupełnie inaczej.* Ojciec próbował go wspierać, ale Danny odnosił się do niego z wrogością, której nie potrafiłam zrozumieć. Nie zdziwiłam się, gdy tata ostatecznie dał za wygraną. Ja nie zrezygnuję nigdy. To właśnie tego kruchego, bezbronno Danny’ego starałam się pamiętać w chwilach, kiedy robił się agresywny.

– Kochasz mnie? – spytałam teraz.

Gwałtownie poderwał głowę.

– Oczywiście. – Nagle zwiesił ramiona, jakby to wyznanie oznaczało jego klęskę. Westchnął. – Co miałbym zrobić? – W tej chwili brzmiał jak mały chłopczyk, który chce zadowolić młodszą siostrę, a jednocześnie boi się usłyszeć odpowiedzi.

– Najpierw porozmawiam z adwokatką, potem ustalimy szczegóły. – My. Dopilnuję, żeby to była nasza wspólna sprawa. – Kupię ci telefon na kartę, żebyśmy byli w kontakcie, dopóki tu jestem.

Potrząsnął głową.

– Nie – powiedział i nie byłam pewna, czy miał na myśli „nie kupuj mi telefonu”, czy „nie proponuj już niczego więcej, bo zwariuję”. Tak czy owak, uznałam, że dość się nagadaliśmy jak na jeden dzień, i wstałam.

– Dobrze wyglądasz, Danny – powiedziałam. – Bardzo cię kocham. – Mówiłam prawdę. Z całej rodziny on jeden mi pozostał.

Wieczorem pościeliłam podwójne łóżko w moim starym pokoju. Mogłabym spać w wielkim łożu w dużo przestronniejszej sypialni rodziców, ale nie potrafiłam się na to zdobyć. Wciąż czułam, że to ich prywatna przestrzeń. Nie byłam gotowa jej naruszyć.

Przez pierwsze dwa tygodnie po zerwaniu z Bryanem najtrudniejsze były dla mnie chwile przed zaśnięciem. To wtedy zawsze mówiliśmy sobie przez telefon „dobranoc” i „kocham cię”. Brakowało mi tego. W pierwszym tygodniu po rozstaniu co wieczór dzwoniłam do Sherise zamiast do Bryana i pojęcia nie mam, jakim cudem znosiła moje lamente i żale. Teraz była nieosiągalna w dalekim Haiti, a ja zostałam sierotą.

O północy wciąż leżałam z otwartymi oczami, wpatrzona w sufit. Za nic w świecie nie zasnę. Wstałam, zeszałam na dół i zaparzyłam w mikrofalówce herbatę Sleepytime. Zauważyłam na sekretarzyku ojca moją torebkę i przypomniałam sobie o fioletowej kopercie ze skrytki pocztowej. Zabrałam ją do swojego pokoju. Sącząc herbatę

w łóżku, obejrzałam pełne zawijasów pismo na fioletowym papierze. *Fred Marcus*. Brak adresu zwrotnego. Po krótkim wahaniu rozdarłam kopertę palcem. W środku była tylko pocztówka. Na awersie widniało kolorowe zdjęcie jakiegoś zespołu. Chyba bluegrassowego, może country. Dwie kobiety i dwaj mężczyźni, wszyscy z instrumentami strunowymi. I podpis u dołu: *Jasha Trace*. Pewnie nazwa zespołu. Na odwrocie znalazłam plan trasy koncertowej, a zamiast danych adresata ktoś napisał takimi samymi zawijasami, co na kopercie: *Nie mogę się doczekać, kiedy Cię zobaczę! Gdzie się spotkamy? xoxo*

Cholera. Teraz to już czułam się naprawdę podle. Kimkolwiek był Fred Marcus, nie dostanie tej kartki, bo zabrałam ją z jego skrytki pocztowej. Trzeba było jej nie ruszać. A może nawet przez jakiś czas opłacać skrytkę, żeby miał do niej dostęp.

Z westchnieniem przechyliłam się w bok i wyrzuciłam pocztówkę z kopertą do kosza stojącego obok stolika nocnego. Zbyt wiele miałam własnych zmartwień, żeby jeszcze przejmować się sprawami obcego człowieka. Fred Marcus będzie musiał sam sobie poradzić.

### 3.

– A zatem twój ojciec spisał testament trzy lata temu. – Suzanne Compton, jego adwokatka, wychyliła się nad biurkiem i podała mi kopię. Wcześniej telefonicznie pomagała mi uzyskać zgodę na dostęp do kont taty, ale z testamentem zwlekałam do dziś, żeby z nią porozmawiać twarzą w twarz.

– Jak już wspomniałam – ciągnęła Suzanne – podzielił wszystko po równo między ciebie a fundusz powierniczy twojego brata. Dom. Kemping. Konta bankowe. Jedyne wyjątek to ta pięcioakrowa działka, która w całości przypadnie Danielowi. Ty zarządzasz jego funduszem powierniczym, więc musimy pomówić o twoich obowiązkach w tym zakresie.

Skinęłam głową. Oczywiście wiedziałam o funduszu powierniczym, ale nie zdawałam sobie sprawy, że będę rozporządzać pieniędzmi Danny'ego. Mógł je wydawać tylko na określone cele, jeśli nie chciał stracić renty inwalidzkiej. Ulżyło mi, że tata zapisał mu ziemię.

– Twój ojciec miał skromną polisę ubezpieczeniową, wykupioną, zdaje się, w czasie, kiedy pracował na państwowej posiadzie – powiedziała Suzanne. – Wygląda na to, że regularnie opłacał składki, więc to kolejne pięćdziesiąt tysięcy dla was dwojga.

– Nigdy nie pracował na państwowej posiadzie – zaproponowałam. – Zawsze prowadził kemping, nic więcej nie robił.

– Cóż, to stara polisa. – Suzanne potarła się po karku osłoniętym blond włosami do brody. Z lekko senną miną przejrzała jakieś notatki w teczce zawierającej zapewne dokumenty dotyczące mojego ojca. Nie mogła być nawet w połowie tak zmęczona jak ja po prawie nieprzespanej nocy. – Wykupił ją w 1980 roku, kiedy był szeryfem federalnym – powiedziała.

– Szeryfem federalnym? Mój ojciec? Nie sądzę... – Urwałam, bo przed oczami stanął mi zamazany obrazek z dzieciństwa. Byliśmy z Dannym na plaży i budowaliśmy zamek z piasku, gdy na naszych oczach policjant aresztował dwóch hałaśliwych pijaków. *Tata też kiedyś aresztował ludzi, powiedział wtedy Danny. Był szeryfem.* Pamiętałam dumę w jego głosie, ale miałam wówczas nie więcej niż pięć lat i nie wiedziałam, o czym mówi.

Uśmiechnęłam się.

– Kiedy byłam mała, Danny powiedział mi, że nasz ojciec dawniej był szeryfem. To właśnie o to musiało mu chodzić. W 1980 roku... kiedy, jak mówisz, tata wykupił tę polisę... moja rodzina mieszkała w północnej Wirginii, pod Waszyngtonem, więc to by się w sumie zgadzało. Ale pojęcia nie miałam, że pracował na państwowej posiadzie. Słowem o tym nie wspomniał.

– Cóż, to szmat czasu. – Suzanne spojrzała w dół, na testament. Wyraźnie chciała wrócić do konkretów. – Z twojego ojca był prawdziwy kolekcjoner, co? Mówił mi, że najcenniejsze są skrzypce, ale kolekcja fajek jest także sporo warta i postanowił ją zostawić Thomasowi Kyle'owi.

– Poważnie? – Odchyliłam się na oparcie, zaskoczona. Tomowi Kyle'owi? On i jego żona Verniece byli wieloletnimi mieszkańcami kempingu mojego ojca, ale słabo ich znałam. Tom wydawał mi się zrędlwym staruchem, Verniece przeciwnie, była do rany przyłoż. Po śmierci taty poprosiłam Suzanne, żeby tymczasowo powierzyła Tomowi przyjmowanie rezerwacji i opłat za kemping. O ile wiedziałam, sprawił się całkiem nieźle.

– Chcesz to podważyć? – spytała Suzanne.

Powoli pokręciłam głową.

– Nie – powiedziałam. – Zaskoczyłaś mnie, to wszystko. Widocznie Tom Kyle był bliższy mojemu ojcu, niż sądziłam. Miło, że tata coś mu zostawił. – To fajnie, że miał przyjaciela, którego tak wysoko cenił. Fajki musiały być warte kilka tysięcy dolarów. – Już wie o spadku?

– Nie. Ty jako wykonawczynie testamentu powinnaś go zawiadomić. Gdyby miał pytania, przekaz mu, by zadzwonił do mnie. Przygotuję też dokument, który oboje musicie podpisać. – Znow zerknęła na testament. – Poza tym twój tata zapisał fortepian i dziesięć tysięcy dolarów Jeannie Lyons.

Nie od razu skojarzyłam nazwisko. Nie słyszałam go od lat.

– Naprawdę? – zdziwiłam się.

– Znasz Jeannie? Jest agentką nieruchomości.

– To przyjaciółka mojej matki z dzieciństwa, ale mama od siedmiu lat nie żyje. – Pamiętałam, że kiedy dorastałam, co parę lat urządzały sobie we dwie wspólne wyjazdy. Babskie wypady, jak nazywała je mama. Jeździły na plażę albo do Asheville, gdzie – o ile dobrze pamiętałam – w tamtych czasach mieszkała Jeannie. – Nie wiedziałam, że mój ojciec pozostał z nią w kontakcie.

– Może twoja matka poprosiła go, żeby coś zostawił Jeannie – podpowiedziała Suzanne. – Czy ty... albo twój brat... macie coś przeciwko temu, aby dostała fortepian i pieniądze?

Pokręciłam głową.

– Nie, jeśli taka była wola ojca – powiedziałam. – Poza tym Danny mieszka w przyczepie, a ja w małej klitce. – Po chwili dodałam z uśmiechem: – No i żadne

z nas nie umie grać.

– Wobec tego powinnaś się spotkać z Jeannie – uznała Suzanne. – Przy okazji mogłaby pomóc ci zająć się domem i kempingiem, jeśli planujesz je sprzedać.

– Taki mam zamiar – potwierdziłam.

Suzanne zajrzała do notatek.

– W momencie sporządzania testamentu twój ojciec miał około dwustu tysięcy oszczędności. Czyli cała kwota, plus ubezpieczenie, plus wartość domu i kempingu, którą Jeannie może pomóc ci ustalić, zostanie podzielona między ciebie a fundusz powierniczy Daniela.

O kurde, przemknęło mi przez myśl. Miałam na koncie sześć tysięcy dolarów. Jako szkolny psycholog zarabiałam grosze i byłam dumna, że udało mi się aż tyle odłożyć.

– Radzę ci nie wydawać wszystkiego od razu – powiedziała Suzanne. – Załóż lokatę. Znajdź dobrego doradcę finansowego. Mogę polecić ci człowieka stąd, ale pewnie wolałabyś kogoś z Durham. Nie szalej z pieniędzmi, niech pracują na siebie. Może kup dom. Wynieś się z tej swojej klitki. Twojemu bratu spadek też pomoże, miejmy nadzieję. Swoją drogą, jak on się miewa?

– Znasz go? – spytałam, niezbyt zaskoczona. Prawie całe New Bern znało Danny'ego. Wzbudzał w ludziach złożoną mieszankę uczuć: wdzięczność za jego służbę w wojsku, współczucie z powodu ran, które odniósł na wojnie, i lęk przed jego nieobliczalnością.

– Nie osobiście – wyjaśniła. – Zakładałam jego fundusz powierniczy. Słyszałam, że wiele przeszedł. – Obdarzyła mnie życzliwym uśmiechem i zamknęła leżącą na biurku teczkę. Byłam jej wdzięczna za to, że mówiła o Danny'm ze współczuciem, a nie z pogardą.

– To prawda – odparłam.

– Jeszcze jedna sprawa – dodała, gdy obie wstałyśmy. – Kiedy ktoś umiera tak niespodziewanie jak twój ojciec, nie ma okazji po sobie posprzątać. No wiesz, wykasować historii wyszukiwarki w komputerze i tak dalej. Dlatego nie wnikaj w jego prywatne sprawy. Po co masz się denerwować?

Spojrzałam na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Jest coś, o czym mi nie powiedziałaś? – spytałam.

– Nie. Słabo znałam twojego ojca. – Odprowadziła mnie do drzwi. – Ale kiedy umarł mój tata, znalazłam w jego komputerze... no wiesz, pornografię i różne takie i żałowałam, że w ogóle tam zajrzałam. – Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Mówię ku przestrodze.

– Nie wyobrażam sobie, żeby mojego ojca kręciła pornografia – powiedziałam z ręką na klawiszu.

– Nigdy nic nie wiadomo – stwierdziła. – Wygląda na to, że był pełen niespodzianek.



## 4.

Chciałam mieć zwyczajnego brata. Takiego, z którym mogłabym rzeczowo porozmawiać o moim spotkaniu z Suzanne. Brata, z którym mogłabym opłakiwać ojca. Wiedziałam jednak, że to pragnienie nigdy się nie spełni, i choć szantażem emocjonalnym zdołałam wymóc na nim, żeby tego wieczoru pojawił się w naszym rodzinnym domu, to kiedy wiozłam go z kempingu, jego lęk był niczym trzecia osoba w moim samochodzie. Powiedział, że ma prawie pusty bak w subaru, a nie ma za co zatankować, więc po niego przyjechałam. Zaproponowałam mu sto dolarów, które pobrałam z jego funduszu powierniczego. Odwrócił się z poirytowaną miną. Wcale mu się nie dziwiłam. To, że od tej pory w sprawach finansowych zdany był na młodszą siostrę, na pewno ubodło jego dumę.

Zatrzymałam się w MJ's i kupiłam pół kilograma nieobronionych krewetek z frytkami. Z bijącym sercem czekałam na realizację zamówienia; bałam się, że kiedy wrócę do samochodu, nie zastanę w nim Danny'ego. A jednak siedział tam i w najlepsze zasmradzał wnętrze dymem z papierosa. Nic nie powiedziałam. Jeśli musiał zapalić, żeby przez to przebrnąć, proszę bardzo. Jeśli musiał się napić, w porządku. Po południu zaopatrzyłam się w sześciopak piwa. Cel uświęca środki.

Zanim uruchomiłam samochód, wyjęłam z torebki nowy telefon.

– Żebyśmy mogli być ze sobą w kontakcie – oznajmiłam, podając komórkę Danny'emu.

– Nie chcę telefonu – opierał się.

– Tylko na czas mojego pobytu. – Wcisnęłam mu komórkę do ręki. – Wpisałam mój numer na listę kontaktów, twój już mam. – Po chwili objął telefon palcami i wsunął do kieszeni dzinsów.

Usatysfakcjonowana, włączyłam silnik i ruszyliśmy do domu, wdychając zapach przyprawy do owoców morza zmieszany z dymem papierosowym. Zaparkowałam na podjeździe i pomału przeszliśmy przez trawnik, a potem wdrapaliśmy się po schodach do drzwi frontowych. Miałam wrażenie, że Danny kuleje mniej niż kiedyś, choć stąpał powoli, sztywno, jakby każdy krok sprawiał mu ból. A może tylko chciał odwlec wejście do domu najdłużej, jak się da. Od lat nie był w środku.

– Tata ma około dwustu tysięcy oszczędności – powiedziałam, kiedy szliśmy przez salon do kuchni, ja z torbą z krewetkami i frytkami w rękach, Danny rozglądając się

na boki. Wątpiłam, czy cokolwiek się tu zmieniło od jego ostatniej wizyty. – Połowa z tego zasili twój fundusz powierniczy.

– I co ja zrobię z takimi pieniędzmi? – Wiedziałam, że to pytanie retoryczne.

– Cóż... – postawiłam torbę na blacie – ...będą pod ręką, w razie gdybyś kiedyś ich potrzebował. – Poinformowałam go już, że może zatrzymać ziemię, na której mieszkał.

W kuchni od razu podszedł do lodówki, otworzył drzwi i wyciągnął piwo.

– Skąd on w ogóle wytrzasnął tyle forsy? – spytał, zamykając lodówkę.

Sięgnęłam do kredensu po dwa talerze.

– Pewnie był oszczędny – odparłam. – Nie miał wielu wydatków. I kiedyś był szeryfem federalnym, ale o tym pewnie słyszałeś?

– Hm... – Wysunął dwie szuflady, zanim znalazł otwieracz. – Pocięło go, nie sądzisz? Kto to widział, rzucić państwową posadę po to, żeby przyjechać tutaj i prowadzić kemping?

Zerknęłam na niego, wyjmując z kredensu dwa stare talerze Franciscan Ware mojej matki.

– Ty powinienes go rozumieć – powiedziałam. – Wolał spokojne życie od wyścigu szczurów w Waszyngtonie.

Pociągnął łyk piwa.

– Tyle tylko, że ja raczej nie miałem wyboru – stwierdził.

Kiwnęłam głową w stronę tylnych drzwi i wyszliśmy na zadaszoną werandę. Postawiłam talerze na przykrytym ceratą stole. Przy wtórce wieczornego koncertu cykad i świerszczy otworzyłam torbę z MJ's. Kochałam tę werandę. Przypominała mi dzieciństwo. Wakacje, które spędzałam, czytając na jednym ze stojących tu foteli bujanych. Wciąż pamiętałam kilka książek, które pochłonęłam wtedy, w czasach, gdy życie wydawało się znacznie prostsze.

– Pamiętasz, jak przesiadywaliśmy na werandzie, kiedy byliśmy mali? – spytałam, rozpakowując krewetki.

– Kurczę, te talerze! – zawołał Danny, jakby mnie nie usłyszał. Wpatrywał się w ręcznie malowane jabłka na krawędziach. – Musimy jeść z tych staroci?

– Co ci się w nich nie podoba?

– Po prostu... czuję się, jakbym znowu miał piętnaście lat.

Korciło mnie, żeby drążyć temat. Zapytać, dlaczego w wieku piętnastu lat było mu tak źle, ale nie raz już próbowałam coś z niego wyciągnąć i wiedziałam, że próżne moje starania.

– Ja uwielbiam te talerze – powiedziałam. – Przypominają mi mamę.

– I w tym sęk – burknął.

Nie miałam zamiaru iść po inny talerz dla niego. Wzięłam garść krewetek i podsunęłam mu resztę.



– Zasłoń sobie wzór krewetkami – zaproponowałam i ku mojemu zadowoleniu sięgnął do tekturowego pojemnika.

– A zatem... – Obrłam krewetkę i uznałam, że lepiej na jakiś czas porzucić rodzinne tematy. – Opowiedziałam ci o moim żalnym życiu uczuciowym. A jak wygląda twoje? Spotykasz się z kimś?

Wzruszył ramionami wymijająco.

– Przychodzą i odchodzą – podsumował. – A mnie to pasuje. – Zjadł krewetkę, dopił piwo i wstał. – Przyniosę następne – stwierdził. – Chcesz?

– Nie, dzięki. – Czekając na jego powrót, zjadłam kilka frytek. Drażniło mnie to napięcie między nami. Danny tego wieczoru wydawał się kruchy. Jakby lada chwila coś miało w nim pęknąć.

Wrócił do stołu z butelką opróżnioną już w połowie. Obrął krewetkę drżącymi rękami. Byłam ciekawa, czy jest na jakichś prochach. Po powrocie z Iraku palił dużo trawy, ale z tego, co wiedziałam, ostatnio odurzał się wyłącznie alkoholem.

– Musimy porozmawiać o domu – zaczęłam i zrelacjonowałam mu spotkanie z Suzanne. – Dziwi mnie, że Jeannie Lyons ojciec zapisał fortepian i dziesięć tysięcy. Przyjaźniła się, co prawda, z mamą, ale...

– Wiem, która to. – Wziął następny łyk piwa. – Zawsze kiedy się widzimy w mieście, próbuje mnie zagadać, ale odstawiam weterana z zespołem stresu pourazowego i daje mi spokój.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu. Mówił z kamienną twarzą i pojęcia nie miałam, czy to był zamierzony żart, ale spodobała mi się jego szczerość.

– Toma Kyle'a na pewno też znasz – zauważyłam. – Wiesz, tego, co mieszka na końcu kempingu.

– Skończony palant. Zawsze nosi spodnie moro, jakby chciał uchodzić za kogoś, kim nie jest.

Skubnęłam zębami frytkę.

– Cóż – powiedziała – słabo go znam, ale po śmierci taty pomagał prowadzić kemping i jestem mu za to wdzięczna. Musieli być w dobrych stosunkach, bo ojciec zostawił mu swoją kolekcję fajek.

– Na co komu stare fajki?

– Kto wie? – stwierdziłam. – Ale przynajmniej mamy je z głowy – i bardzo dobrze. Najwięcej pomocy będę potrzebowała przy pakowaniu rzeczy do oddania. Trzeba zabrać wszystko z domu, zanim go sprzedamy. – Marzyło mi się, że przez parę tygodni będziemy pracować razem, ramię w ramię. Może w tym czasie zdołałabym go przekonać, żeby szczerze ze mną rozmawiał. Wreszcie się otworzył.

Przerwał obieranie krewetki i wyjrzał na pogrążające się w mroku podwórko.

– Szczerze ci radzę, wynajmij kogoś. Ja nie dam rady.

Jego głos był cichy, ale pewny, jakby wreszcie podjął długo ważoną decyzję.

– Dlaczego, Danny? – spytałam delikatnie.

– Uświadomiłem sobie tutaj... – Spojrzał na mnie, ale tylko przez sekundę, po czym opuścił wzrok na resztę krawietek na swoim talerzu. – Po prostu nie chcę grzebać w ich starych gratach. Takich jak te talerze. – Postukał palcem w krawędź. – Nie chcę ich oglądać.

– No dobrze... – zgodziłam się z żalem, że nie potrafię rozgryźć enigmy, jaką był mój brat.

– Mam tyle samo koszmarów o naszej rodzinie, co o Iraku – dodał.

– Nie rozumiem – zdziwiłam się. – To znaczy przecież nie byłeś maltretowany ani nic takiego.

Podniósł piwo do ust i odchylił głowę do tyłu, żeby wysączyć ostatnią kroplę.

– Są różne rodzaje maltretowania – rzucił, odstawiając butelkę.

– O czym ty mówisz?

– Wynajmij kogoś, kto pomoże ci opróżnić ten dom. To wszystko, co mam do powiedzenia. – W jego głosie zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. – Ja umyłam ręce. – Wstał i poszedł do kuchni. Kiedy zebrałam naczynia ze stołu, usłyszałam dźwięk otwieranej lodówki.

Nie zastałam Danny'ego w kuchni, ale zobaczyłam go w salonie. Zostawiłam brudne naczynia na blacie koło zlewu i poszłam tam. Stał przed ścianą płyt winylowych z jedną ręką w kieszeni dżinsów i świeżo otwartym piwem w drugiej.

– I po co aż tyle tego? – Wskazał butelką płyty. Gniew w jego głosie zatrzymał mnie na progu. – Życia by nie starczyło, żeby to wszystko przesłuchać – stwierdził. – Idiotyczna strata czasu. Miał obsesję.

– To była jego pasja – powiedziałam ostrożnie. Przypomniałam sobie, jak nasza matka tłumaczyła, że tacie potrzebne są jego pasje, i choć nigdy nic ponadto nie dodała, wiedziałam, że chodziło jej o to, że musiał mieć coś, co odrywałoby jego myśli od córki, którą utracił. – Pamiętasz, że mama i tata zawsze mówili o naszej rodzinie tak, jakby mieli tylko dwoje dzieci? – spytałam. – Jakby Lisa nie istniała?

Danny wciąż patrzył na płyty, ale zobaczyłam, że jego nozdrza się rozszerzyły. W dzieciństwie oboje nauczyliśmy się to samo odpowiadać każdemu, kto pytał, ile dzieci jest w naszej rodzinie. *Tylko dwoje.*

– Zupełnie jakby Lisa była tematem tabu – ciągnęłam. – Nawet teraz, kiedy o niej wspominam, zamykasz się w sobie i...

– To takie popieprzone! – krzyknął nagle. Odwrócił się i wziął zamach jak do rzutu piłką baseballową. Ciśnięta z ogromną siłą butelka pomknęła niczym rakietą w stronę ściany z kolekcją fajek. Cofnęłam się o krok, kiedy przesuwne, szklane drzwi gabloty roztrzaskały się na miliony kawałków.

Obrócił się na pięcie i gniewnie wymaszerował z domu.

– Danny! – krzyknęłam, zbyt oszołomiona, żeby się ruszyć. Zbiegł po schodach

z ganku, zanim do mnie dotarło, co się stało.

Wbiłam wzrok w gablotę pozbawioną teraz szklanej osłony. Część fajek pospadała z wąskich, drewnianych półek. Kilka leżało na podłodze. Z krawędzi gabloty niczym kra na jeziorze sterczały ostre krawędzie szyby; w całym pokoju – dosłownie wszędzie – połyskiwało szkło. Powierzchnia wokół skrzyła się tysiącami kryształowych odłamków.

Stałam odrętwiała przez kilka sekund, aż w końcu przypomniałam sobie, że Danny nie przyjechał swoim samochodem. Piętnaście kilometrów do przyczepy pokonać mógł tylko piechotą. Złapałam torebkę i kluczyki i wybiegłam za nim.

Powoli jechałam przez ciemne, ciche New Bern w kierunku, w którym, jak sądziłam, poszedł. Wypatrzyłam go w świetle latarni. Mocno utykając, zmierzał ku peryferiom miasta. Zatrzymałam się obok i opuściłam szybę po stronie pasażera.

– Wsiadaj – nakazałam. Staął, ale nie spojrzał na mnie. – Chodź, Danny. Proszę.

Wychwyciłam moment, kiedy się poddał – to charakterystyczne zwieszenie ramion w geście rezygnacji. Podszedł do mojego samochodu i otworzył drzwi.

– Nie wrócę tam – oznajmił, wsiadając. – Zabierz mnie do mojej przyczepy, dobrze?

– Oczywiście – przytaknęłam i w tej chwili straciłam nadzieję, że pomoże mi zająć się domem.

Przez parę kilometrów jechaliśmy w ciszy. Nie miałam pomysłu, co powiedzieć, żeby go nie wypłoszyć. Po pewnym czasie włączył radio i zmieniał stacje, aż znalazł coś satysfakcjonującego. Hip-hop. Leciąca znana piosenka, której pulsujący rytm sprawił, że oboje zaczęliśmy kiwać głowami do taktu niezależnie od naszego nastroju.

– Dzieciaki, z którymi pracuję, uwielbiają ten kawałek – powiedziałam, wdzięczna za neutralny temat. Potem przypomniałam sobie o strzelbie czekającej w jego przyczepie i ten obraz przysłonił wszystko. Dzień w dzień wypytywałam uczniów, czy mają myśli samobójcze, teraz jednak pytanie uwięzło mi w gardle.

– Pojadę z tobą do szpitala wojskowego – zaproponowałam zamiast tego.

– Po co?

– Nie udawaj głupiego, Danny. Jeśli bierzesz leki, trzeba zmodyfikować dawkę, nie sądzisz?

– Nie, nie sądzę.

– Zgódź się – nie ustępowałam. – Nie możesz tak dalej żyć. Kiedy ostatnio byłeś u psychiatry?

– Odpierdol się – burknął.

Ciemna droga rozmyła mi się przed oczami i przełknęłam ślinę, tłumiąc w sobie ból. Kurczowo zacisnęłam palce na kierownicy.

Po chwili wyciągnął rękę i dotknął mojej dłoni.

– Przepraszam. Wiem, że chcesz pomóc, ale nie jesteś w stanie. Po prostu się z tym

pogódź, dobrze? Taki jestem i już.

Skinęłam głową, choć to mi się nie podobało. Wcale a wcale.

– Nie martw się o dom – powiedziałam, skręcając na drogę prowadzącą na kemping.

– Zajmę się wszystkim. – Odbiłam w lewo, na zryty koleinami dukt, i powoli toczyliśmy się naprzód w ciemności, podskakując na wertepach.

– To tutaj. – Wskazał na prawie niewidoczny prześwit między drzewami, który prowadził na polanę z jego przyczepą mieszkalną. Ostrożnie skręciłam w las i przednie światła wkrótce wydobyły z mroku samochód Danny’ego i starego airstreama. Zatrzymałam się i zgasiłam silnik.

– Wejść z tobą do środka – zaproponowałam.

– Nie. – Wyciągnął rękę do klamki.

Wyobraźnia uparcie podsuwała mi obraz tej strzelby.

– Myślisz czasem o samobójstwie? – wykrztusiłam. Zobaczyłam z zaskoczeniem, że oczy błyszczą mu od łez.

Dłuższą chwilę milczał. Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos był łagodny.

– Wszystko ze mną w porządku, Riles – zapewnił. Moje serce ścisnęło się miłością na dźwięk imienia, jakim nazywał mnie w dzieciństwie. – Poważnie – dodał. – Słowo. Po prostu nie wytrzymałbym w tamtym domu ani chwili dłużej.

Wyjęłam z torebki złożone dwudziestki.

– To twoje – powiedziałam. – Weź.

Po chwili wahania przyjął banknoty.

– Kocham cię, Danny.

– Dzięki, że dopilnowałaś, żebym mógł zatrzymać ziemię. – Otworzył drzwi i wysiadł. Te słowa dodały mi otuchy. Skoro wciąż mu na tej ziemi zależało, myślał o przyszłości. Nie zamierzał palnąć sobie w łeb. Przynajmniej nie dziś.

Zostawiłam zapalone światła, dopóki nie zniknął w przyczepie, po czym wykonałam kilka skomplikowanych manewrów, żeby zawrócić. Powoli ruszyłam w drogę powrotną, zaprzątnięta myślami o tym, co mnie czekało. Nie tylko dom i moje serce trzeba doprowadzić do porządku, stwierdziłam. Musiałam też jakoś uzdrowić mojego brata.

## 5.

Nie pamiętałam, kiedy ostatnio byłam na kempingu Mac's RV Park. Próbowałam to sobie przypomnieć, skręcając w prawo na długą, wąską drogę biegnącą w kierunku przeciwnym do akrów lasu otaczających przyczepę mieszkalną Danny'ego. Musiało to być albo zeszłego lata, albo w wakacje przed dwoma laty. Wpadłam bez zapowiedzi do New Bern i nie zastawszy taty w domu, przyjechałam tutaj; znalazłam go na pochylni dla łodzi, zajętego pracą. Kiedy podniósł wzrok i mnie zobaczył, jego twarz rozjaśniał uśmiech. Dziwnie się czułam, wjeżdżając na kemping ze świadomością, że już go tu nie znajdę.

Mój ojciec trzymał swój mały, podstarzały samochód turystyczny na pierwszym z dwunastu dostępnych miejsc postojowych i pomyślałam, że się w nim rozejrzę, zanim pojedę do Kyle'ów. Zaparkowałam obok kampera, po czym się zorientowałam, że nie mam klucza. Na wszelki wypadek sprawdziłam, czy drzwi są otwarte, ale nie były, więc wróciłam do samochodu i pojechałam żwirową drogą w głąb kempingu.

Mac's RV Park nie przyciągał wielu turystów. Rozciągał się na niewielkim, dzikim skrawku ziemi między szerokim, spławnym strumieniem a lasem Croatan i nie zapewniał żadnych wygód oprócz przyłączy prądu i wody oraz pochylni dla łodzi. Nie wiedziałam, jak wypadął w porównaniu z innymi kempingami, ale zawsze podobało mi się w nim to, że o tej porze roku, kiedy drzewa były gęsto porośnięte liśćmi, każde z dwunastu miejsc postojowych zmieniało się w otoczone lasem ustronie. Przez zarośla widziałam kilka innych kamperów i słyszałam odległy śmiech dzieci pluskających się w strumieniu.

Samochód turystyczny Kyle'ów stał na betonowych pustakach na ostatnim miejscu postojowym, blisko strumienia, w cieniu drzew. Za nim parkował wyblakły, zielony sedan marki Ford. Ich kamper był prawie tak stary jak ten mojego ojca, ale znacznie większy. Wejście osłaniała obwisła markiza w paski, a tuż za szoferką wgniótł się dach, zapewne pod ciężarem przewróconego drzewa. Żałośnie wyglądał ten ich domek na kółkach; domyślałam się, że właścicielom niełatwo jest go utrzymać w przyzwoitym stanie. Nie widziałam Toma Kyle'a od lat, ale musiał być w wieku mojego ojca – pod siedemdziesiątkę. Ciekawiło mnie, co zrobi z odziedziczoną kolekcją fajek.

Zaparkowałam za fordem i wypatrzyłam Toma po drugiej stronie kampera, przy

stole do oprawiania ryb. Miał na sobie podkoszulek i spodnie moro; wyglądało na to, że oporządzał poranny połów. Był masywniejszy, niż zapamiętałam. Wysoki, szeroki w barach, za młodu pewnie imponował muskulaturą, ale upływ czasu zrobił swoje. Kiedy zamknęłam drzwi samochodu i ruszyłam ku niemu, podniósł głowę. Przyglądał mi się zmrużonymi oczami przez okulary w srebrnej oprawie. Zorientowałam się, że mnie nie poznał.

– To ja, Riley MacPherson, panie Kyle – przedstawiłam się. – Córka Franka MacPhersona...

Odłożył nóż i mina mu się zmieniła. Nie uśmiechnął się, raczej spochmurniał.

– Riley – powiedział. – Dawno cię nie widziałem. Co u ciebie?

– Wszystko w porządku – odparłam. – Przyjechałam zająć się domem i całą resztą. Dziękuję, że przez ostatni miesiąc pilnował pan kempingu.

Pokręcił głową.

– Przykra sprawa z twoim ojcem. – Spojrzał na swoje dłonie o palcach lśniących od rybich łusek. – Bez Franka nie będzie tu już tak samo.

– Zapisał panu jedną ze swoich kolekcji – poinformowałam. – Fajki.

– Przyjmowaliśmy z Verniece rezerwacje i tak dalej – ciągnął, jakby mnie nie usłyszał. – Chcesz przejrzeć rachunki? Od tej pory ty będziesz się tym zajmować?

Nie wiedziałam, czy niedosłyszał, czy był mało rozgarnięty.

Pokręciłam głową.

– Przyjechałam z wiadomością, że mój ojciec zostawił panu swoją kolekcję fajek. Nie znam jeszcze ich rzeczywistej wartości. – Tym razem nieco podniosłam głos. – Chciał, żeby to pan je dostał. Jego adwokatka załatwi wszystkie formalności.

Moje słowa wreszcie do niego dotarły. Powoli skinął głową, patrząc nie na mnie, tylko na stół i leżące na nim trzy ryby. Nie mogłam nic wyczytać z jego twarzy.

– Cóż – odparł po chwili – to miło z jego strony. – Spojrzał na strumień. – Jest w testamencie coś jeszcze, o czym powinniśmy wiedzieć? – spytał, ku mojemu zaskoczeniu. Czyżby spodziewał się dostać więcej?

– Nie. Wspomniał o panu tylko w związku z kolekcją fajek. – Całe rano wygrzebywałam spomiędzy nich odłamki szkła. Wydawało się, że bez szwanku przetrwały wybuch gniewu Danny'ego.

Po drugiej stronie kampera skrzypnęły drzwi.

– Kto przyjechał? – Zza rogu wyszła Verniece Kyle.

– Verniece – powiedział Tom – pamiętasz córkę Franka? Tę młodszą? – dodał pospiesznie, jakby chciał zawczasu wybić jej z głowy wszelkie myśli o mojej siostrze. Czyżby znali Lisę? Nie, to chyba niemożliwe.

– Ależ oczywiście! – Uśmiechnęła się do mnie ciepło i chwyciła moją dłoń obiema rękami. Skóra Verniece była w dotyku wiotka i atlasowo gładka. Jej siwe włosy, choć starannie uczesane, wyglądały tak, jakby sama je strzygła. Miała wyraźną nadwagę.

Może nie była otyła, ale dziergana bluzka z krótkim rękawem ciasno opinała jej piersi i brzuch. – Tak mi przykro z powodu twojego taty, Riley kochana – powiedziała. – Drugiego takiego ze świecą szukać, co?

Skinęłam głową.

– Dziękuję. – Byłam zaskoczona, że pamiętała moje imię. Może tata rozmawiał z nimi o mnie.

– W ogóle nie widujemy twojego brata, prawda, Tom? – spytała. – Chociaż mieszka nie dalej niż półtora kilometra stąd. – Puściła moją dłoń. – Kiedy dowiedzieliśmy się o twoim tacie, zaniósłam mu kilka babeczek, ale go nie było, a bałam się je zostawić, bo a nuż dobrałyby się do nich wiewiórki albo...

– Riley ma dla nas wiadomość, Verniece – wtrącił Tom. – Wpuść ją do środka, ja tu posprzątam, potem przyjdę i spokojnie porozmawiamy.

– Wejdz, skarbie. – Verniece delikatnie zaciągnęła mnie za róg kampera, a potem po schodkach do ciemnego wnętrza. W środku było tylko kilka stopni chłodniej niż na powietrzu. Opuszczone rolety zasłaniały słońce i minęła chwila, zanim moje oczy oswoiły się z półmrokiem. Jak oni mogli tak żyć – niczym krety w gorącym, dusznym tunelu?

– Zrobić ci mrożonej herbaty? – zaproponowała Verniece, kiedy usiadłam przy wbudowanym stole. Był większy od stołu w małej przyczepie Danny’ego, co najmniej trzy razy krótszej od kampera Kyle’ów.

– Nie, dziękuję – powiedziałam. – Nie trzeba.

Zdjęła fotografię z drzwi wąskiej lodówki, położyła ją przede mną na stole i zapaliła górne światło.

– Pamiętasz naszego syna, Luke’a? – spytała.

– Tak – potwierdziłam przez grzeczność. Słabo go znałam. Jako że mieszkał tu, na kempingu, chodził do innych szkół niż ja. Mgliście pamiętałam, że był towarzyskim, niesamowicie bystrym chłopakiem. – Gdzie się teraz podziewa?

– W Kolorado. Píše doktorat z czegoś związanego z komputerami.

– Macie państwo oprócz niego inne dzieci? – spytałam dla podtrzymania rozmowy. – Przepraszam, ale nie pamiętam.

– Nie, tylko Luke’a, a pokazuję ci jego zdjęcie dlatego, że... – wskazała fotografię gestem ręki – ...kiedy cię widzę, przypomina mi się on.

Szukałam w pamięci, czy coś mnie łączyło z Lukiem, ale w końcu dałam za wygraną.

– Dlaczego go pani przypominam?

Usiadła naprzeciwko i obdarzyła mnie promiennym, serdecznym uśmiechem.

– Nie mogliśmy mieć własnych dzieci – zaczęła – i pewnego dnia zwierzyłam się z tego twojej mamie, a ona wtedy opowiedziała, jak to ciebie adoptowała, więc pomyślałam sobie, że przecież też mogę tak zrobić. Zasugerowałam Tomowi,

żebyśmy i my adoptowali dziecko, no i tak trafił do nas Luke. – Wydawała się zachwycona tym powiązaniem między naszymi rodzinami, więc wahałam się, czy wyprowadzić ją z błędu. Ale nie miałam wyjścia.

– Nie jestem adoptowana, pani Kyle – wyjaśniłam łagodnym tonem. – Chyba pomyliła pani moją rodzinę z jakimiś innymi znajomymi.

Otworzyła szeroko oczy i odchyliła się do tyłu na wąskiej ławie.

– Och! – powiedziała i krew napłynęła jej do twarzy. – Myślałam, że... Rzeczywiście. Musiałam się pomylić. – Nagle wstała i otworzyła drzwi lodówki, ale zaraz ją zamknęła. – Tom mówi, że głupieję na stare lata, i czasem myślę, że ma rację. – Zabrała zdjęcie Luke'a ze stołu i drżącymi palcami przyczepiła je z powrotem do lodówki. Było mi przykro, że wprowadziłam ją w zakłopotanie, ale po chwili znów uśmiechała się do mnie, już opanowana. – Cóż, o kogokolwiek chodzi, byli mniej więcej w naszym wieku, kiedy adoptowali dziecko – ciągnęła swoją opowieść. – Po czterdziestce. Pomyśleliśmy więc sobie, że skoro oni w tym wieku mogli się na to zdecydować, to my też, i Luke trafił do nas, kiedy miał roczek. To najlepsze, co nas w życiu spotkało.

Uśmiechnęłam się.

– Cieszę się, że dostali państwo swojego upragnionego syna. Na pewno jesteście z niego dumni – powiedziałam.

– Bardzo. I tęsknimy za nim. Nie widzieliśmy go od Bożego Narodzenia.

– Opowiada ci o Lucasie? – domyślił się Tom, wchodząc do środka.

– Tak – potwierdziłam.

– Wspaniały chłopak. – Poszedł umyć ręce w zlewie. Przy swoich gabarytach ledwo się mieścił w ciasnym pomieszczeniu i wypełnił je fetorem ryb i potu... połączonym z nutą alkoholu, miałam wrażenie. – Jediną jego wadą jest to, że mieszka na drugim końcu kraju. Szkoda, że nie mamy kampera, którym moglibyśmy pojechać do niego w odwiedziny. Domu na kółkach, który rzeczywiście miałby kółka. – Wziął się pod boki i rozejrzał po swoim przyprawiającym o klaustrofobię lokum. – Ten stoi na pustakach tak długo, że już zapomniał, jak ruszyć z miejsca.

– Byłoby cudownie. – W głosie jego żony brzmiał smutek.

– Przekazałaś jej nowinę? – Kiwnął na mnie głową i powiedziałam Verniece o kolekcji fajek.

– Na pewno jest warta co najmniej kilka tysięcy dolarów – dodałam.

Verniece zerknęła na męża nieodgadnionym wzrokiem, po chwili jednak dostrzegłam w jej oczach błysk radości.

– Cóż, niech Bóg błogosławi twojego tatusia, tyle powiem – stwierdziła. – Nie będzie ci przykro, jeśli je sprzedamy? Wiem, jak bardzo kochał wszystkie rzeczy, które zbierał, ale nam się raczej nie przydadzą.

– W żadnym razie. – Uśmiechnęłam się. – Fajki są wasze i możecie z nimi zrobić,



co chcecie.

Jeszcze chwilę pogawędziliśmy, po czym wróciłam do samochodu. Czułam się jak Święty Mikołaj. Całkiem przyjemne uczucie.

Odjeżdżając, miałam jednak w pamięci nie uśmiechnięte twarze gospodarzy czy ich żal z powodu śmierci taty, lecz pewność bijącą z oczu Verniece w chwili, kiedy opowiadała o rozmowie z moją matką, i jej opowieści o adopcji, która natchnęła Kyle'ów do adoptowania Lucasa.

Po południu, kiedy zrobiło się chłodniej, włożyłam buty do biegania i zeszłam na dół. Wcześniej, po powrocie z kempingu, uciełam sobie drzemkę. *Niechybna oznaka depresji*, pomyślałam. Prawda jednak była taka, że opowieść Verniece Kyle w niewytłumaczalny sposób wytrąciła mnie z równowagi. Oczywiście kobieta nie miała pojęcia, o czym mówi, ale w czasie, kiedy i bez tego czułam się zagubiona i samotna, sugestia, że moja jedna jedyna ukochana i opłakiwana rodzina nie jest moją rodziną biologiczną, wystarczyła, by powstała we mnie pustka.

Wchodząc do salonu, zauważyłam rosnącą stertę rachunków na stoliku przy drzwiach frontowych. Nawet nie zdążyłam zerknąć na te, które przywiozłam ze sobą, przesłane na mój adres w Durham, a już doszła garść następnych. Wyobraziłam sobie, że zakład energetyczny bez uprzedzenia odcina prąd, że światła gasną nagle w całym domu.

Szczerze zaniepokojona, wzięłam te koperty i zaniósłam je na sekretarzyk ojca. Żaluzjowa zasłona była podniesiona i z jednej z przegródek wystawała jego książeczka czekowa. Pootwierałam wszystkie koperty i położyłam rachunki jeden na drugim, po czym zajrzałam do rejestru czeków z nadzieją, że tata zapisywał wydatki bardziej sumiennie niż ja i będę mogła sprawdzić, ile pieniędzy zostało mu na koncie. Ostatniego wpisu dokonał tydzień przed śmiercią. Kłopot w tym, że mógł mieć jakieś zlecenia stałe nieuwzględnione w rejestrze. Jutro pójdę do banku i poproszę, żeby ktoś przejrzał ze mną konta taty, zanim zacznę wypisywać чеки.

Już miałam odłożyć rejestr, kiedy w jednej z rubryk zobaczyłam nazwisko Toma Kyle'a. Tata wystawił mu czek na pięćset dolarów. Zastanawiałam się, za co. Przejrzałam resztę wydatków. Same opłaty za media, z jednym wyjątkiem: co miesiąc pięćset dolarów czekiem dla Toma. Czy mój ojciec miał wobec niego dług? Rozliczał się z nim za... za co? Nie potrafiłam znaleźć powodu, dla którego miałby dawać pieniądze Kyle'owi. Mogłam to ustalić tylko w jeden sposób, ale doszłam do wniosku, że nie ma pośpiechu. Zapytam Toma, o co chodzi, kiedy pojedę na kemping zajrzeć do kampera taty.

Znów spojrzałam na stertę rachunków, tym razem z westchnieniem. Jedno zadanie z tysiąca. Naciągnęłam zasłonę na sekretarzyk. Rachunki i książeczka czekowa zniknęły mi z oczu. *Mogą poczekać jeszcze jeden dzień*, postanowiłam. Zeszłam po

schodach z ganku i ruszyłam truchtem przed siebie. Czas na przebieżkę.

## 6.

Agencja nieruchomości, w której pracowała Jeannie Lyons, znajdowała się raptem kilka przecznic od mojego domu, więc zajrzałam tam nazajutrz po porannym joggingu. Mieściła się w małym, ciasnym budynku, którego wąskie okna od ulicy oblepione były zdjęciami domów na sprzedaż. W środku, za jednym z dwóch biur, siedziała młoda kobieta o prostych jak druty blond włosach. Powitała mnie szerokim uśmiechem sprzedawcy zachwalającego swój towar.

– Dzień dobry! – Zerwała się na równe nogi i wyciągnęła do mnie rękę.

– Dzień dobry. – Ucisnęłam jej dłoń. – Zastałam Jeannie Lyons?

– Jest pani umówiona?

Pokręciłam głową.

– Muszę z nią tylko chwilę porozmawiać – palnęłam głupawo. Chwila raczej nie wystarczy, żeby powiadomić tę kobietę, że mój ojciec zostawił jej, osobie, którą ledwo znałam i o której od śmierci mamy nie wspomniał przy mnie ani razu, fortepian i dziesięć tysięcy dolarów. – Jestem córką jej starej znajomej – dodałam.

– Momencik – powiedziała blondynka i zniknęła za drzwiami w głębi biura.

Po chwili tymi samymi drzwiami wyszła Jeannie. Znałam ją słabo. Miałam osiemnaście lat, kiedy się ostatnio widziałyśmy, na pogrzebie mamy. Tamten dzień pamiętam jak przez mgłę i nie bardzo wiem, kto tam w ogóle był. Oczywiście Jeannie zapamiętałam jednak doskonale. Wielkie, soczyście niebieskie, patrzyły na mnie spod ciemnobrązowej grzywki. Fryzurę miała dość niekonwencjonalną – włosy do brody, równo obcięte, z jednej strony założone za ucho – i choć wiedziałam, że była rówieśniczką mojej matki, to tak młodo jak mama nigdy nie wyglądała. Trudno było uwierzyć, że mam przed sobą kobietę sześćdziesięcioletnią. Od razu mnie poznała, ale jej uśmiech wydawał się niepewny.

– Riley – wyciągnęła do mnie rękę.

– Pani Lyons. – Kiwnęłam głową i chwyciłam jej dłoń.

– Och, mów mi Jeannie – zaproponowała, ściskając moją rękę z serdecznością, która nie sięgała jej twarzy. – Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca.

– Dziękuję. – Po chwili niezręcznej ciszy, kiedy Jeannie patrzyła na mnie wyczekująco, wyjaśniłam: – Muszę z tobą porozmawiać. Masz teraz trochę czasu... a może przyjdę jutro?

Zerknęła na zegar ścienny. Była jedenasta piętnaście.

– Akurat w tej chwili muszę zadzwonić do paru osób – powiedziała. – Może zjemy razem lunch? Zarezerwuję stolik w Morgan’s Tavern na dwunastą. Pasuje ci?

– Tak, doskonale. – Zdążę skoczyć do domu i się przebrać. – To na razie.

Przyszłam do restauracji pierwsza i podałam hostessie nazwisko Jeannie. Zaprowadziła mnie do bocznej sali, gdzie nie było żywej duszy. Może Jeannie uprzedziła ją, że chcemy porozmawiać na osobności.

Właśnie przeglądałam kartę dań, kiedy Jeannie wpadła z takim impetem, że siadając, zrobiła wiatr wokół stolika.

– Przepraszam, przepraszam – powiedziała, odwijając sztucę z serwetki. – Od rana milion pożarów do ugaszenia.

Siedząc naprzeciwko niej, zauważyłam, że wyglądała bardziej na swój wiek, niż mi się wcześniej wydawało. Miała rozlany podbródek i szyję jak z lekko marszczonej krepy, a mimo to była młodą duchem, pełną wigoru kobietą.

Przy naszym stoliku natychmiast stanęła kelnerka.

– Dla pani to, co zwykle? – spytała, patrząc na Jeannie.

– Tak, ale proszę dać nam minutkę, dobrze? – Jeannie wskazała mnie ruchem głowy i uniosła brwi.

– Rybne tacos poproszę – zdecydowałam szybko. – I woda.

Jeannie się uśmiechnęła, a kiedy kelnerka odeszła i znów miałyśmy całą salę dla siebie, wychyliła się i dotknęła moich dłoni.

– Ależ się cieszę, że nareszcie mogę cię lepiej poznać! – zawołała. – Twój ojciec nie kłamał, wyrosłaś na śliczną, młodą kobietę, Riley.

– Dziękuję – odparłam, ciekawa, czy tata naprawdę użył słowa „śliczna”. Często mi mówił, że jestem ładna. Przez całe moje dzieciństwo umacniał we mnie poczucie własnej wartości, choć na pewno sprawiłam mu zawód brakiem talentu muzycznego. Nie miałam pojęcia, czym zraził do siebie Danny’ego, ale dla mnie był dobrym ojcem.

– Przypominasz mi twoją matkę. – Przechyliła głowę na bok, żeby mi się uważnie przyjrzeć.

– Naprawdę? – Czyli mogłam zapomnieć o tej historii z adopcją.

– Oczywiście, że tak. Zdaje się, że ostatnio widziałyśmy się na jej pogrzebie. Siedem długich lat temu. Miałaś wtedy osiemnaście lat, prawda?

– Tak – potwierdziłam. – Przyjechałaś aż z Asheville. Prawdę mówiąc, zapomniałam, że się tu przeprowadziłaś.

– Niedługo po śmierci twojej mamy.

– I domyślałam się, że pozostałaś w kontakcie z moim ojcem.

– Ach, oczywiście. – Pokręciła głową. – Był wspaniałym człowiekiem, Riley. Twoja

matka była szczęściarą, że go miała. – Napila się wody ze szklanki. Odstawiła ją. – Ja też – dodała i wpiła we mnie swoje niebieskie oczy, wyczekując mojej reakcji.

Nie udało mi się ukryć zaskoczenia.

– Ty też... jak to? – Doskonale wiedziałam, o co jej chodziło, ale nie potrafiłam w to uwierzyć.

Nie odpowiedziała. Patrzyła tylko z lekkim uśmiechem, czekając, aż stwierdzę oczywisty fakt.

– Czyli byliście... byliście więcej niż przyjaciółmi? – Zaczęłam się wiercić. Nie mieściło mi się w głowie, że mój ojciec miał romans.

Skinęła lekko głową.

– Chyba nie jesteś zbulwersowana – powiedziała. – Myślę, nie wiem, czy słusznie, że twoja matka pochwalałaby nasz związek. Kiedy odeszła, i ja, i twój tata ciężko to przeżyliśmy, a żałoba zbliża ludzi. Bardzo brakuje mi ich obojga.

– O rany. – Wyglądziłam zmarszczkę na obrusie, niezdolna spojrzeć na Jeannie. – Dlaczego nic mi nie powiedział? – Chciałam ją zapytać, jak długo to trwało. Ile czasu upłynęło od śmierci mojej matki, zanim zaczęli się... spotykać? – Słowem nie wspomniał, że się z kimś widuje.

– A pytałaś?

– Nie. To znaczy w ogóle o tym nie pomyślałam. – Sumienie mnie gryzło, że nie zainteresowałam się tym, czy tata kogoś ma. Że nigdy mi to nie przyszło do głowy.

– Cóż, twój ojciec wiedział, jak mocno byłaś zżyta z mamą, i pewnie nie chciał cię denerwować.

W rzeczywistości wcale nie byliśmy ze sobą aż tak zżyte. Kochałam mamę i wiedziałam, że ona kocha mnie, ale nigdy nie była typem kobiety, która dzieli się z córką swoimi najgłębszymi myślami.

– Zmarła wiele lat temu – powiedziałam. – To smutne, że chciał zachowywać swój... związek w tajemnicy przede mną.

Kelnerka przyniosła lunch. Przed Jeannie postawiła supę z homara i szklankę mrożonej herbaty, przede mną rybne tacos. Wyglądały smakowicie, ale mój apetyt teraz znacznie osłabł.

– Miał ciężkie życie – stwierdziła Jeannie, kiedy kelnerka poszła. – Utrata twojej siostry, potem wojenne przejścia twojego brata i na dokładkę śmierć Deb... twojej matki. Nie było mu łatwo.

– Wiem.

– Ludzie w twoim wieku... do głowy im nie przyjdzie, żeby zapytać rodziców o ich życie osobiste – podsumowała, podnosząc łyżkę zupy do ust. – Nic, tylko „ja, ja, ja”.

Jej krzywdzące słowa wprawiły mnie w osłupienie. Musiała to zauważyć, bo pospiesznie mówiła dalej, nakrywając wolną ręką moją dłoń.

– To nie miało zabrzmieć jak wyrzut – tłumaczyła się. – Jesteś na takim etapie życia

i tyle. To normalne. Po dwudziestce byłam identyczna. Traktowałam rodziców jak powietrze. Nie docierało do mnie, że mają własne bogate życie.

– Nie traktowałam go jak powietrze – zaprotestowałam, wysuwając dłoń spod jej ręki. – Kochałam go.

– Oczywiście. Przepraszam.

*Chociaż ona ma trochę racji*, pomyślałam, biorąc kęs taco. Uwielbiałam tatę, ale czyż nie widziałam w nim zawsze tylko starego, ekscentrycznego odludka?

– On ciebie też kochał. – Jeannie otarła usta serwetką. – Był z ciebie bardzo dumny.

– Szkoda, że nie mówił mi więcej o sobie – powiedziałam.

– Cóż, był powściągliwym człowiekiem. Uwielbiał ciągnąć innych za język, ale nie bardzo umiał się dzielić własnymi przemyśleniami, zgodzisz się? Mimo to ubóstwiał swoją rodzinę. Chętnie pokazywał mi zdjęcia... wiesz, z tego dużego pudła, w którym trzymał rodzinne fotografie. Często brało go na wspominki. Myślę, że między innymi to zbliżyło nas do siebie, bo znałam waszą rodzinę, więc...

– Jakiego pudła? – przerwałam jej, odkładając taco.

– Stoi w garderobie w jego sypialni. Nie wiesz, o które chodzi? Są w nim twoje zdjęcia z dzieciństwa. I zdjęcia twojego brata, siostry i mamy.

– No tak. – Nie pamiętałam żadnego takiego pudła, ale nie chciałam zdradzić, że to też ojciec przede mną zataił.

– A ja pokazywałam mu zdjęcia twojej matki z lat naszej młodości. Poznałyśmy się, kiedy chodziłyśmy do ósmej klasy w Arlington w Wirginii, i stałyśmy się nierozłączne.

– Jaka ona była? – spytałam. Nagle zrobiło mi się strasznie smutno, że nigdy nie rozmawiałam z mamą o jej dzieciństwie. Przez myśl mi nie przeszło, żeby pytać rodziców o takie sprawy. Jeannie miała rację. Nic, tylko „ja, ja, ja”. I teraz już nigdy tych braków nie nadrobię.

– Była duszą towarzystwa. – Jeannie uśmiechnęła się szeroko.

– Moja mama?

– O tak! Ciągle pakowała nas w tarapaty. Przemycałyśmy znajomych w bagażniku do kina samochodowego. W ogóle nie wolno nam było tam jeździć z chłopakami, bo sama wiesz, co się w tych autach działo. – Zaśmiała się. – Nikt nie oglądał filmu, to na pewno. I wyciągała mnie na wagary.

Szczęka mi opadła.

– To do mojej mamy niepodobne – bąknęłam.

– Nie? A jak ty ją pamiętasz?

– Jako zagorzałą katoliczkę i osobę bardzo... sama nie wiem. Praworządną. I wiecznie przygnębiającą. – A do tego odległą duchem. Nawet będąc z nią w jednym pokoju, ledwo czuło się jej obecność. – Brała środki przeciwdepresyjne, praktycznie nie pomagały – dodałam.

Jeannie skinęła głową.

– Zmieniła się po śmierci Lisy – przyznała. – To prawda. – Spojrzała na zegarek. – A zatem, Riley – powiedziała raptownie – w jakiej sprawie chciałaś się ze mną spotkać?

Chętnie posłuchałabym więcej opowieści o mojej matce, ale domyśliłam się, że Jeannie zostało mało czasu.

– Parę dni temu spotkałam się z adwokatką taty – poinformowałam ją. – Zapisał ci dziesięć tysięcy dolarów i swój fortepian.

Odsunęła się nieco od stolika.

– Och... – Nie umiałam odczytać, co się za tym słowem kryje. – Cóż, to bardzo miło. – Jej głos był dziwnie matowy. – Rzeczywiście, uwielbiam ten fortepian. Mam już pianino, ale mogę je sprzedać i upchnąć fortepian w salonie.

– Nie musisz go przyjąć – powiedziałam, usiłując zinterpretować jej reakcję. Wyraźnie nie była zachwycona i to mnie niepokoiło. Przecież tata nie musiał niczego jej zostawiać. – Będę sprzedawać jego rzeczy, fortepian też mogę. Potem dałabym ci pieniądze.

– Nie, nie – powiedziała pospiesznie. – Chętnie go wezmę. Nie myśl, broń Boże, że jestem niewdzięczna. – Uśmiechnęła się smutno, bardzo smutno. – Po prostu tak trudno się pożegnać, wiesz? Forte pian będzie mi o nim przypominał. Mam znajomych w firmie przewozowej, umówię się z nimi, kiedy tobie będzie pasowało.

– Doskonale. – Wyjęłam z torebki wizytówkę, przekreśliłam numer telefonu szkoły, w której pracowałam, i na jego miejsce wpisałam numer komórki. Podałam kartonik Jeannie.

– Czyli zamierzasz sprzedać dom, kemping i wszystkie kolekcje ojca? – spytała, zerkając na wizytówkę.

Skinęłam głową.

– To znaczy dom i kemping sprzedam na pewno, ale jedną z kolekcji zostawił komuś innemu. Fajki mają trafić do Toma Kyle'a. Znasz go?

– Serio? – Zmarszczyła brwi. – Dziwne.

– Też tak w pierwszej chwili pomyślałam – przyznałam. – Ale zdaje się, że byli sobie bliżsi, niż sądziłam. Kyle'owie mieszkają na kempingu, odkąd sięgam pamięcią, i tata pewnie uznał, że coś im się od niego należy. Myślę, że przyda im się zastrzyk gotówki.

Patrzyła na moją wizytówkę, jakby to była najciekawsza rzecz w tej restauracji.

– To bardzo szlachetnie z jego strony – rzekła.

Każde słowo wychodzące z jej ust brzmiało dwuznacznie. Odłożyłam taco, zniecierpliwiona.

– Coś nie tak? – spytałam.

– Nie, nie. – Uśmiechnęła się. – Skądże znowu. Kiedy twój ojciec spisał testament?

– Trzy lata temu.

Skinęła głową w zamyśleniu. Wzięła łyk zupy.

– Szkoda, że nie można z nim porozmawiać, nie sądzisz? A teraz musimy zgadywać, czemu postąpił tak, a nie inaczej. Fajki Kyle’om? Dlaczego? Ta kolekcja musi być warta z dziesięć tysięcy.

– Poważnie?

– Jasne. Twój ojciec wiedział, co robi, zbierając te wszystkie przedmioty. Nie jestem tylko pewna, czy wiedział, co robi, kiedy spisywał testament. – Wydeła usta. – Nie był szczególnie zaprzyjaźniony z Kyle’ami. Szczerze mówiąc, zawsze mi się wydawało, że nie znosił Toma.

A ja podczas rozmowy z Tomem Kyle’em odniosłam wrażenie, że ta niechęć była odwzajemniona.

– Przejrzałam jego książeczkę czekową. Co miesiąc wypisywał mu czek na pięćset dolarów. Wiesz może, za co?

Teraz to jej opadła szczeka.

– Żartujesz – powiedziała.

Potrząsnęłam głową.

– Pewnie chodziło o jakieś roboty na kempingu. Może zlecił Tomowi prace stolarskie albo coś w tym stylu.

– Płacił mu co najmniej od kilku lat.

– Dziwne. – Znów podniosła łyżkę. – Cóż, musisz zapytać Kyle’a.

– Wiem. Taki mam zamiar. – Spojrzałam w dół, na swoje prawie nietknięte tacos. – I odpowiadając na twoje pytanie, tak, bardzo chciałabym porozmawiać z tatą. Nagle odniosłam wrażenie, że nie znałam go tak dobrze, jak sądziłam.

– Przejrzałaś jego rzeczy? – Głowę miała pochyloną nad talerzem, ale jej uniesione oczy obserwowały mnie spod rzęs pociągniętych grubą warstwą tuszu. Nie byłam pewna, co kryje się za jej pytaniem, ale przypawiło mnie o wyrzuty sumienia. Znowu.

– Właściwie nie – powiedziałam. – Nie wiem, od czego zacząć.

– Potrzebujesz wsparcia? – Nagle się ożywiła, jakby tylko czekała na okazję, by o to zapytać. – Pomogę z miłą chęcią. – Odłożyła łyżkę i zaczęła energicznie gestykulować. – Mogę skontaktować cię z właściwymi ludźmi – zaproponowała. –

Rzeczoznawcami, którzy wycenią kolekcje. Potem ewentualnymi kupcami. Koniecznie musisz urządzić wyprzedaż majątku i tak się składa, że moja córka Christine od niedawna zajmuje się takimi sprawami, więc może ci pomóc wszystko zorganizować. Jest świetnym fachowcem.

– Byłoby fantastycznie – podziękowałam szczerze, choć odruchowo odchyliłam się od stolika, jakby odrzucona jej nagłym wybuchem energii. – Zapomniałam, że masz córkę. – O ile w ogóle to kiedykolwiek wiedziałam.



– Jest dużo starsza od ciebie. Ma czterdzieści dwa lata, parę więcej, niż Lisa miałyby dziś. W dzieciństwie czasem bawiły się ze sobą, zanim ja i Christine przeprowadziłyśmy się do Asheville. – Przewróciła oczami. – To znaczy wtedy, kiedy Lisa akurat nie ćwiczyła gry na skrzypcach. Twoja siostra była ambitnym i wybitnie uzdolnionym dzieckiem.

– Wiem.

– Pozwól, że wpadnę i rozejrzę się po domu – powiedziała Jeannie. – Kiedy by ci pasowało? Długo zostaniesz w New Bern?

– Liczyłam, że uwinę się w parę tygodni, ale widzę, że nic z tego. Całe lato mam wolne, więc...

– Twój brat może pomóc?

Pokręciłam głową i było oczywiste, że wyjaśnienia są zbędne.

– Roboty zawsze jest więcej, niż człowiek się spodziewa – stwierdziła. – A w przypadku tego konkretnego domu... Jeśli się zgodzisz, mogę przygotować go do sprzedaży, ale broń Boże nie czuj się w obowiązku skorzystać z moich usług tylko dlatego, że...

– Proszę cię. Jestem pewna, że mój ojciec chciałby, żebyś to ty sprzedała ten dom, a ja nie mam bladego pojęcia, jak takie rzeczy załatwić.

– Wszystkim się zajmę! – Z emocji aż dostała wypieków na policzkach. – Christine i ja ułatwimy ci życie. – Odsunęła talerz na brzeg stolika, teraz już bardziej zainteresowana mówieniem niż jedzeniem. – Ze względu na to, jak twój ojciec urządził wnętrze... na te wszystkie wbudowane szafki, salon przerobiony na gabinet i tak dalej... myślę, że trzeba przeprowadzić drobny remont, żeby zmienić całość w wygodną, rodzinną rezydencję. Nic wielkiego. Żadnego wyburzania ścian, ale szafki muszą zniknąć, poza tym meble są dość stare, a kuchnia i łazienki to już zupełnie przedpotopowe. Najpierw wypadaloby urządzić wyprzedaż majątku, żeby pozbyć się rzeczy, a potem zastanowić się nad remontem kuchni i łazienek, bo to spory wydatek, choć raczej na dłuższą metę opłacalny. – Rozkręciła się na dobre, a ja zsunęłam się niżej na krześle, zasypana gradem jej pomysłów. – Ten dom ma mocny szkielet – ciągnęła – ale twój ojciec trochę zaniedbał jego otoczenie, a takie stare domostwa czasem wyglądają, jakby w nich straszyciło, nie sądzisz?

– Cóż, zawsze miał mnóstwo roboty na kempingu. – Czułam, że muszę go bronić, choć prawdę mówiąc, kemping chyba nie wymagał szczególnej troski. Drzewa. Strumień. Wylane betonem miejsca postojowe. Co tam mogło być do roboty?

– Może podeślę ci kogoś, kto przystrzyże trawnik i żywopłot? – spytała Jeannie. – I ewentualnie posadzi coś barwnego od frontu, żeby dom ładnie wyglądał z zewnątrz?

– Byłoby fantastycznie – zgodziłam się znowu. Nie polubiłam jej; była natarczywa, trudna do rozgryzienia i nie podobało mi się, że tyle wie o mnie i mojej rodzinie. Ale

cieszyłam się, że mam kogoś do pomocy.

Uregulowałyśmy rachunek – Jeannie zapłaciła za moje prawie nietknięte tacos – i wyszłyśmy. Za drzwiami stanęłam i odwróciłam się do niej.

– Odezwę się do ciebie jutro albo pojutrze, wtedy się umówimy – obiecałam.

– Nie zwlekaj za długo – przestrzegła.

– Nie zamierzam – zapewniłam.

Uniosła moją dłoń i mocno ją ścisnęła, patrząc mi głęboko w oczy. Poczułam gęsią skórę na karku.

– Bardzo się cieszę, że się spotkałyśmy, Riley – powiedziała i wreszcie mnie puściła.

Odpowiedziałam słabym uśmiechem.

– Zadzwoń. – Odwróciłam się i poszłam do domu, przez całą drogę myśląc: *Co tę kobietę, do licha, napadło?*

## 7.

Rzeczywiście, na górnej półce garderoby w sypialni ojca znalazłam duże pudło ze zdjęciami. Zniosłam je na łóżko. Pościeli nie było; podczas ostatniej wizyty zdjęłam ją i wyprałam, a na jej miejsce rozłożyłam narzutę. Zauważyłam wtedy, że w rogu miała wyhaftowany napis „Od JL dla FM”. Pogrążona w rozpacz po utracie taty, nie zastanawiałam się nad tym zbytnio. Teraz uświadomiłam sobie, że najpewniej to Jeannie uszyła mu tę niebiesko-żółtą, patchworkową narzutę. Prezent bardzo osobisty. Coś na jego łóżko.

Czułam się przy tej kobiecie nieswojo. Może pod wpływem wrażenia, że była bliżej związana z moim ojcem niż ja. A może z powodu podejrzania, że skwapliwie wykorzystwała śmierć mamy, żeby zająć jej miejsce? Nie, to niesprawiedliwe. Znały się od lat – wiedziałam to na pewno – i Jeannie niewątpliwie mówiła prawdę, twierdząc, że wspólnie przeżywana żałoba zbliżyła ją do mojego ojca. Chodziło raczej o to, jakim tonem się do mnie zwracała. Jak na mnie patrzyła, zwłaszcza kiedy po lunchu wyszliśmy na ulicę. W moim zawodzie jednak większą wagę niż do zachowania przywiązuje się do motywów. Może po prostu czuła się niezręcznie w moim towarzystwie. Nie wiedziała, jak się odnosić do córki swojego kochanka.

*Wszystko jedno.*

Siedziałam po turecku na łóżku przed pudłem i garściami wyciągałam fotografie. Jak na człowieka, który pedantycznie dbał o swoje kolekcje, tata niechlujnie obszedł się z rodzinnymi zdjęciami. Rozłożyłam je na łóżku. Wiele pochodziło z czasów, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie. Zdjęcia małej Lisy, ale niewiele Danny'ego w podobnym wieku i dużo mniej moich. Wiedziałam, że młodsze dzieci są pod tym względem zaniedbywane; fotografuje się je znacznie rzadziej niż kiedyś starsze i nie przywiązuje takiej wagi do wszelkich kamieni milowych w ich rozwoju. Domyślałam się, że moi rodzice byli już zmęczeni, kiedy Danny i ja przyszliśmy na świat. Lisa miała jedenaście lat, gdy urodził się mój brat, i na pewno ani on, ani ja nie byliśmy planowani. Wątpiłam, by mama, głęboko wierząca katoliczka, stosowała antykoncepcję.

Jako małe dzieci Lisa i Danny byli bardzo do siebie podobni. Jasne włosy, niebieskie oczy, pociągłe twarze. Ja się wyróżniałam krótką, ciemną czupryną, ciemnymi oczami, pucołowatą buzią i małym, zaokrąglonym noskiem, z którego

na szczęście wyrosłam.

Kilka zdjęć przedstawiało pięcio-, sześcioletnią Lisę w różowej, falbaniastej sukience, z małymi skrzypcami w ręku. Uśmiechała się szeroko, ukazując idealnie równe mleczaiki, wszystkie w komplecie. Co się potem stało? Zastanawiałam się, jak to możliwe, że ta wesoła dziewczynka wyrosła na nastolatkę, którą smutek popchnął do samobójstwa.

Wśród fotografii w pudle leżały dwie stare kasety wideo z tytułami: „Lisa, kwiecień 1980” i „Festiwal w Rzymie, czerwiec 1987”. Serce zabiło mi szybciej. Mogłam zobaczyć i usłyszeć moją siostrę! Jedyne kłopot polegał na tym, że nigdzie w domu nie zauważyłam magnetowidu. Ba, od lat nie widziałam takich urządzeń.

Położyłam kasety na stoliku nocnym i dalej grzebałam w pudle. Znalazłam zdjęcie nastoletniej Lisy stojącej obok chłopca mniej więcej równego jej wiekiem; ze skrzypcami wsuniętymi pod brody uśmiechali się do obiektywu. Na odwrocie ktoś napisał: „Lisa i Matty '85”. Czyli miała wtedy trzynaście lat. O Mattym nie wiedziałam nic poza tym, co widziałam na zdjęciu: że był przystojnym chłopakiem z burzą ciemnych loków na głowie i czekoladowobrązowymi oczami. Znalazłam ich zdjęcie, na którym mniej więcej szesnastoletni stali oparci plecami o siebie i kosmyk jasnych włosów Lisy splatał się z ciemnymi kędziorami Matty'ego. Moja siostra miała na szyi owalny, biały wisiorek. Uśmiech Matty'ego wydawał się szczery, za to jej – chyba trochę wymuszony. A może wyciągałam zbyt daleko idące wnioski z jednej fotografii, ułamek sekundy zatrzymanego w czasie.

Na jednym ze zdjęć rozpoznałam Jeannie. Jej ciemne włosy były długie i obejmowała ramieniem moją matkę. Lisa, mniej więcej ośmioletnia, opierała się o bok mamy, a parę lat starsza i kilka centymetrów wyższa czarnowłosa dziewczynka przytulała się do Jeannie. To musiała być jej córka Christine, która miała mi pomóc przy wyprzedaży majątku. Na tym zdjęciu wszyscy wydawali się szczęśliwi, z moją mamą włącznie. Uśmiechała się szeroko, filuternie przekrzywiała głowę. To był szok widzieć ją tak odprężoną, tak beztroską. Na tej radosnej fotografii jeszcze nie straciła córki.

Wpatrzona w zdjęcie mojej matki, wróciłam pamięcią do tygodni poprzedzających jej śmierć. Chciała być w domu i pielęgniarki z hospicjum poinstruowały tatę i mnie, jak się nią opiekować tutaj, w tej sypialni. W tych ostatnich tygodniach dniem i nocą praktycznie nie odstępowałam jej łóżka. Chyba to właśnie tamtego lata wydorosłałam. Myślałam o mamę, podawałam jej leki, trzymałam za rękę. Co dzień mówiłam, że ją kocham, i czasem, kiedy tata chciał mnie zastąpić, nie zgadzałam się. Pragnęłam spędzić z nią każdą minutę podarowaną przez los. Moja matka, zazwyczaj skryta, stała się wówczas łagodniejsza, bardziej otwarta i choć nasze rozmowy nie były szczególnie głębokie czy odkrywczyste, to chyba nigdy wcześniej nie rozmawiałam z nią tyle, co wtedy. Skupiała się głównie na naszej przyszłości – mojej, taty i Danny'ego,

który w tamtym czasie leżał jeszcze w szpitalu w Maryland i nie mógł przyjechać. „Musicie trzymać się razem”, powiedziała raz mama. „Musicie troszczyć się o siebie nawzajem”. Z Dannym nie wychodziło mi to najlepiej. Inna sprawa, że tego nie ułatwiał. Co do taty... dotąd sądziłam, że miałam z nim dobry kontakt, teraz jednak, skoro już wiedziałam, że nie potrafił szczerze porozmawiać ze mną o swoim życiu, niepokoiłam się, że zawiodłam nie tylko Danny’ego, ale w ogóle wszystkich.

Odłożyłam fotografię na bok i postanowiłam zachować. Przeszło mi wprawdzie przez myśl, żeby podarować ją Jeannie, ale uznałam, że nie będę się pozbywać jednego z nielicznych zdjęć matki i siostry, jakie miałam – tym bardziej że Jeannie przez lata na pewno setki razy sfotografowała się z córką. Taką mamę chciałam pamiętać: szczęśliwą i zadowoloną z życia.

Następne zdjęcie przedstawiało Danny’ego w mundurze. W oczach miał pustkę, jakby bezwolnie poddał się losowi. A może znowu, powodowana wiedzą o późniejszych wydarzeniach, doszukiwałam się na fotografii czegoś, czego na niej nie było.

Znalazłam jeszcze jedno zdjęcie Matty’ego, chłopaka o kędzierzawych, ciemnych włosach. Siedział na ławie przy fortepianie gabinetowym – naszym? – między Dannym a mną. Nie mogłam mieć wtedy więcej niż dwa lata. Matty trzymał rękę na mojej dłoni zawieszanej nad klawiszami fortepianu, jakby uczył mnie grać. *Powodzenia*, pomyślałam. Dziwnie było widzieć siebie w towarzystwie chłopaka, którego zupełnie nie pamiętałam.

Na widok dużej, oprawionej fotografii wydałam stłumiony okrzyk. Znałam to zdjęcie. To był nasz wspólny profesjonalny portret. Lisa i Danny siedzieli obok siebie na białej, tapicerowanej, dwuosobowej kanapie, Lisa trzymała mnie na kolanach. Nie mogłam mieć wtedy więcej niż półtora roku. To znaczyłoby, że Danny miał jakieś pięć lat, a Lisa szesnaście. Cała trójka ubrana na białą, jedynym ciemnym elementem na zdjęciu były moje włosy; *ciekawe, czy to irytowało fotografa*, pomyślałam. Czy zakłóciłam poza tym doskonale eteryczną kompozycję? Danny uśmiechał się szeroko do obiektywu, ukazując szczerbę po jednym z przednich zębów. Ja, z głową odwróconą w bok, wyciągałam rękę w górę, do jego podbródka. Serce mi się ścisnęło, kiedy patrzyłam na to zdjęcie. Bardzo kochałam mojego starszego brata. Troszczył się o mnie. Zawsze się dziwiłam, kiedy inne dzieci mówiły, że nie znoszą swoich braci czy sióstr, lub starały się narobić im kłopotów. Między mną a Dannym do takich spięć nie dochodziło. Ta fotografia była mi bardzo droga. Jak dobrze, że rodzice wybrali właśnie to spośród wielu ujęć – choć przecież na pewno znalazłoby się takie, na którym patrzyłam prosto w obiektyw. Jednak ten obraz mojej ręki wyciągniętej do brata mówił tyle, co żaden inny. Czy jest możliwe, zastanawiałam się, aby tę więź jakoś odtworzyć?

A co zdjęcie mówiło o Lisie? Miała przed sobą jeszcze rok życia i przysięgłabym,

że widzę ból w jej twarzy. Uśmiechała się do obiektywu, oczywiście jak na posłuszną córkę przystało, ale jest takie wyrażenie „uśmiech nie dosięgał oczu”... i patrząc na to zdjęcie, doskonale je rozumiałam. Czy w momencie, kiedy trzasnęła migawka, myślała o złożonym przez siebie podaniu na Juilliard? Czy sam fakt, że miała talent pozwalający ubiegać się o przyjęcie na tak renomowaną uczelnię, nie wystarczył, by naprawdę uwierzyła w siebie? Przez całe swoje krótkie życie poddana była niewyobrażalnej presji. *Cudowne dziecko*. Nie mogło być jej z tym lekko.

Wpatrywałam się w to zdjęcie z żalem, że nie mogę w żaden sposób odmienić losu siostry, której nigdy nie poznałam.

– Odmieniam los innych dzieci – szepnęłam. Miałam nadzieję, że gdzieś, jakoś, Lisa mnie słyszy.

Nagle przypomniałam sobie, kiedy zobaczyłam to zdjęcie po raz pierwszy. Znalazłam je w szufladzie komody, w której mama trzymała szale. Miałam wtedy siedem lat. Danny’ego i siebie rozpoznałam, oczywiście, ale nie wiedziałam, kim była towarzysząca nam starsza dziewczyna, choć wyglądała jakby znajomo. Zniosłam zdjęcie do salonu, gdzie tata grał na fortepianie, a mama siedziała na kanapie i pomagała Danny’emu odrabiać lekcje.

– Kto to? – spytałam, pokazując im fotografię w rzeźbionej, drewnianej ramce.

Wszyscy troje spojrzeli na mnie, a potem moi rodzice popatrzyli po sobie.

– To Lisa – powiedział Danny. – Nie pamiętasz jej? – Słyszałam to imię już wcześniej, przewijające się w rozmowach, z których niewiele rozumiałam.

– Chodź tu, Riley. – Mama poklepała kanapę obok siebie. Tata obrócił się na ławie twarzą do nas, a ja usiadłam przy mamie. Trzymałam oprawioną fotografię na kolanach.

– Lisa była twoją siostrą – wyjaśniła. – Umarła w wieku siedemnastu lat. Miałaś wtedy dwa latka.

Znów spojrzałam na zdjęcie. Ta dziewczyna nagle zaczęła wyglądać bardziej znajomo, a mimo to nie potrafiłam jej sobie przypomnieć. Nie całkiem. Nie pamiętałam, żebym z nią kiedykolwiek rozmawiała albo jej dotykała. W tym wieku niewiele wiedziałam o śmierci. Moi dziadkowie i babcie już nie żyli; jedyny dziadek, którego poznałam osobiście, rok wcześniej umarł na atak serca.

Podniosłam oczy na mamę.

– Miała atak serca? – spytałam.

– Nie – zaprzeczył Danny. – Sama to sobie zrobiła.

– Danny! – warknął tata, a mama lekko trzepnęła syna w kolano, ale mleko już się rozlało.

Spojrzałam nad podołkiem mamy na brata.

– Co to znaczy? – pytałam dalej.

– Utopiła się – odezwał się tata. – Nic więcej nie musisz wiedzieć.

– Danny powiedział, że sama to sobie zrobiła.

– Utopiła się naumyślnie – dorzucił mój brat.

Jak można się naumyślnie utopić? Potrafiłam wstrzymać oddech na czterdzieści sekund, potem musiałam nabrać powietrza. Nie wyobrażałam sobie, żeby ktoś mógł z własnej woli się utopić.

– Dlaczego to zrobiła? – dopytywałam.

Mama zerknęła na zdjęcie na moich kolanach, ale tylko przelotnie.

– Kiedy człowiek jest bardzo, bardzo nieszczęśliwy – powiedziała – czasem zapomina, że pewnego dnia poczuje się lepiej, i pragnie tylko, żeby jego zgryzota się skończyła. To właśnie przydarzyło się Lisie. Była tak nieszczęśliwa, że myślała, że już nigdy nie zazna szczęścia, i odebrała sobie życie. To rzecz straszna, coś, czego pod żadnym pozorem nie wolno robić. Niech ci nic podobnego nigdy nie przyjdzie do głowy, Riley – dodała.

– Jeśli kiedykolwiek będzie ci tak smutno jak jej, zwróć się z tym do nas – poprosił tata.

– Nigdy nie mogłabym być aż taka smutna – zapewniłam, wpatrzona w dziewczynę ze zdjęcia. Ciągle nie mieściło mi się w głowie, że ona w ogóle istniała.

Na zawsze zapamiętałam słowa mojej mamy: że Lisa była nieszczęśliwa i myślała, że już nigdy nie zazna szczęścia. Wspominałam je za każdym razem, kiedy udzielałam porad dzieciom w depresji. Wracałam do nich myślą, ilekroć sama czułam się nieszczęśliwa i potrzebowałam przypomnienia, że pewnego dnia los się odmieni na lepsze. Takie przypomnienie przydałoby mi się w tej chwili.

Zaniosłam fotografię do mojej sypialni i postawiłam ją na stoliku nocnym. Wkrótce przejrzę wszystkie pozostałe i zdecyduję, które zatrzymać, a które wyrzucić. Ale to jedno zdjęcie zachowam. Uśmiechnęłam się do portretu ustawionego na stoliku nocnym. Nas troje razem. Moja rodzina.

## 8.

Upał prażył niemiłosiernie, kiedy następnego ranka jechałam zrytą koleinami drogą na polanę Danny'ego, i mimo owiewającego twarz chłodnego powietrza z klimatyzacji byłam zlana potem. Na siedzeniu obok mnie leżał pęk kluczy, który znalazłam w szufladzie biurka. Większość otwierała rozmaite serwantki, ale jeden nie pasował do żadnego zamka w domu i miałam nadzieję, że za jego pomocą dostanę się do kampera taty. Wzięłam ze sobą też kilka starych fotografii w nadziei, że Danny będzie je chciał zobaczyć. Wątpliwe, ale spróbować nie zaszkodzi. W gruncie rzeczy był to tylko pretekst, żeby sprawdzić, co u niego. Nie rozmawialiśmy od czasu, kiedy przed paroma dniami odwiozłam go do przyczepy, a wiedziałam, że nie jest w najlepszej formie. W dodatku nie odbierał telefonu, który mu kupiłam. Coś czułam, że nawet nie raczył go włączyć.

Skręciłam na wąską dróżkę przecinającą las i omal nie zderzyłam się czołowo z radiowozem jadącym od strony polany. *O Boże*. Co u Danny'ego robił glina? Spanikowana, wyskoczyłam z samochodu i dopiero wtedy zobaczyłam policjanta za kierownicą radiowozu. Ciemna skóra. Siwizna na skroniach. Harry?

Wysiadł i uśmiechnął się do mnie szeroko. Nogi mi się ugięły z ulgi.

– Cześć, Riley – przywitał się. – Jedno z nas będzie się musiało cofnąć.

– Wszystko w porządku? – spytałam. Był w mundurze, jego granatowa koszula mimo upału wyglądała jak świeżo uprasowana. – Co tu robisz?

– Podrzuciłem twojemu bratu kilka książek. – Znów ten szeroki uśmiech. – Założyliśmy we dwóch małe kółko czytelnicze.

– Nic mu się nie stało?

– A czemu miałoby mu się coś stać?

– Och, po prostu przeraził mnie widok radiowozu. Kiedy widziałam się z Dannym parę dni temu, był mocno zdołowany.

– Jest cały i zdrowy. – Snop światła słonecznego przebił się przez drzewa i Harry osłonił dłonią swoje ciemnobrązowe oczy. – Rzadko go widzisz, więc nie przywykłaś do jego huśtawki nastrojów – zauważył. – Danny'ego nic nie zmoże. To inni muszą na niego uważać.

– Wiem, że masz na niego oko, Harry – powiedziałam. – Dziękuję.

Wzruszył ramionami, jakby to był drobiazg.



– To mój brat – stwierdził. – Wszyscy mamy oko na siebie nawzajem.

Wiedziałam, co ma na myśli, nazywając go bratem – służyli razem w wojsku i tej więzi między nimi nic nie zerwie – a mimo to zazdrościłam mu, że w swoich relacjach z Dannym stoi na pewniejszym gruncie niż ja.

– Chciałabym, żeby się do mnie zbliżył – wyznałam.

Uśmiechnął się.

– Ileż to razy o tym rozmawialiśmy, Riley? – spytał.

Zaśmiałam się.

– Wiem – przyznałam. – Po prostu to dla mnie ważne.

– Muszę ruszać. – Wskazał na mój samochód. – Mogłabyś cofnąć? Stąd jest dużo bliżej do drogi niż na polanę.

– Jasne. – Niezbyt mi się uśmiechała jazda tyłem przez las. Pomachałam mu i wróciłam za kierownicę. Wrzuciłam wsteczny i powoli wycofałam się przez tunel drzew. Kiedy wyjechaliśmy na drogę, Harry pomachał mi na pożegnanie, a ja ruszyłam w stronę polany.

Wjeżdżając na polanę, zobaczyłam, że Danny wyleguje się w hamaku. Jedną ręką trzymał na brzuchu otwartą książkę, w drugiej ścisnął butelkę piwa. Tknęło mnie, że może jednak to on ma lepszy pomysł na życie. Podczas gdy ja miotałam się w panice, usiłując ogarnąć milion spraw do załatwienia, mój brat – przynajmniej z daleka – wyglądał jak człowiek wolny od wszelkich trosk.

Wysiadłam z samochodu, niosąc na ramieniu torbę ze starymi zdjęciami i pękiem kluczy. Na mój widok Danny zwiesił nogi z hamaka i usiadł prosto. Jego stopy w sandałach ledwo dosięgały ziemi.

– Nie odbierasz telefonu! – zawołałam i ruszyłam ku niemu przez polanę usłaną sosnowym igliwem.

– Zapomniałem go włączyć – przyznał.

– Dlaczego ci nie wierzę? – Chciałam, żeby to zabrzmiało żartobliwie, ale chyba mi nie wyszło. – Co czytasz? – Zatrzymałam się parę metrów od hamaka.

Zerknął na okładkę sfatygowanej książki w miękkiej oprawie i wzruszył ramionami.

– Powieść o drugiej wojnie światowej – powiedział. – Biorę, co Harry przynosi.

– Przed chwilą go spotkałam. Mało się nie zderzyliśmy. – Wsunęłam rękę do torby i wyjęłam pęk kluczy. – Myślę, że jeden z nich otwiera kamper taty. Zajrzysz tam ze mną? Może nawet chciałbyś go sobie wziąć? – spytałam z nadzieją. – Jest niewiele większy od twojego, więc mógłbyś przestawić go tu, na polanę. Miałbyś dwa. Więcej przestrzeni.

– Wystarczy mi to, co mam. – Opuścił nogi na ziemię i hamak lekko się zakołysał.

– To co, mam go sprzedać? Jego kamper? A może spytam Kyle'ów, czy go wezmą.

– Cokolwiek zdecydujesz, będzie dobrze. – Uniósł butelkę. – Chcesz piwo? –

zapropował.

– Nie, dzięki. – Zadzwoił mój telefon. Rzuciłam okiem na wyświetlacz, choć i bez tego wiedziałam, kto to. Od wczorajszego wspólnego lunchu Jeannie Lyons zwracała mi głowę, że chce jak najszybciej ruszyć z robotą w moim domu. Była zdecydowanie zbyt upierdliwa. Odrzuciłam połączenie i wsunęłam komórkę z powrotem do kieszeni.

– Jeannie Lyons – wyjaśniłam Danny’emu. – Pomoże mi zająć się domem. Wiedziałaś, że była kochanką taty?

Przestał kołysać hamakiem i po jego oszołomionej minie poznałam, że pierwszy raz o tym słyszy.

– Cóż, wolałbym nie wiedzieć – stwierdził. – Teraz wyobraźnia podsuwa mi obrzydliwe obrazy. – Pomachał dłonią przed oczami, jakby chciał te wizje przepędzić.

Zaśmiałam się.

– To po prostu... dziwne, nie sądzisz? – zauważyłam. – Ona sama jest dziwna. Spotykali się od lat.

– O kurde – powiedział. – Kto by przypuszczał, że stary był do tego zdolny.

Wyciągnęłam z torby oprawioną fotografię Danny’ego ze mną i Lisą.

– Znalazłam mnóstwo zdjęć. To moje ulubione. – Pokazałam mu portret. – Podoba mi się, jak wyciągam do ciebie rękę. Pamiętasz, jacy bliscy sobie byliśmy w dzieciństwie?

Ledwo zerknął na zdjęcie, po czym znów podniósł oczy na mnie.

– Byliśmy wtedy małymi dziećmi – burknął. – Pieprzonymi niewiniątkami.

Opuściłam ramkę, zawiedziona. Jego odpowiedź obudziła we mnie wręcz nieznośne poczucie samotności. Miałam pudło pełne skarbów, ale nikogo, z kim mogłabym się nimi podzielić. Nie pokażę mu reszty zdjęć, które przywiozłam.

– Znalazłam kasety wideo z Lisą i chcę je zobaczyć – oznajmiłam. – Tyle że muszę z tym poczekać, aż przywiozą magnetowid, który zamówiłam. Domyślam się, że nie masz ochoty oglądać ich ze...

– Za skarby świata – powiedział. – W dzieciństwie musiałem oglądać tysiące jej występów. To mi wystarczy.

Czułam, że poniosłam klęskę.

– Dlaczego mówisz o niej z taką... pogardą?

– Byłaś wtedy mała, więc nie pamiętasz, jak to było – wyznał. – Lisa była ich księżniczką. Ich małą boginią skrzypiec. Ich całym światem. Ty i ja nie mieliśmy szans jej dorównać.

– Ja tak tego nie odczuwałam – próbowałam bronić rodziców.

– Cóż, twoje szczęście, że miałaś ledwie dwa lata, kiedy umarła. – Mówił z goryczą. – Cały świat obracał się wokół niej. Kiedy się zabiła, zabrała naszych rodziców ze sobą. Zmieniła ich w zombi, a ty i ja byliśmy zdani tylko na siebie. – Pokręcił

głową, wpatrzony w książkę leżącą obok na hamaku. – To nie ma sensu. Gadanie o przeszłości. Żadnego sensu. – Wskazał ruchem ręki fotografię, którą wciąż ścisnęłam w dłoni. – Dlaczego chcesz żyć przeszłością?

– Nie chcę.

– Przeglądasz stare zdjęcia. Po co?

Odwróciłam się i spojrzałam w las. Pod palcami czułam rzeźbione drewno ramki.

– To dlatego, że czuję się samotna, Danny – przyznałam wreszcie, odwracając się z powrotem do niego. – Brakuje mi rodziny i naprawdę chciałabym się do ciebie zbliżyć, ale nawet nie odbierasz telefonów ode mnie. Obiecuję, że nigdy nie zadzwonię z prośbą o pomoc w domu, dobrze? Rozumiem, że sobie tego nie życzysz. Ale czy moglibyśmy chociaż trochę ze sobą pobycć, dopóki tu jestem?

– Co mielibyśmy razem robić?

– Wszystko jedno – odpowiedziałam ze zniecierpliwieniem. – Pójść do kina, na kolację, albo... mógłbyś mnie zabrać do swojego ulubionego baru. – Przypomniało mi się, że ma do niego zakaz wstępu, i pożałowałam, że to dodałam. – Może któregoś wieczoru spotkalibyśmy się z Harrym i jego żoną. Mógłbyś przedstawić mnie swoim znajomym.

– Znajomych mam głównie w sieci.

– No to możesz mi o nich opowiedzieć.

Uśmiechnął się. To był pobłażliwy uśmiech starszego brata do młodszej siostry.

– Chcesz, żebym był kimś, kim nie jestem, Riles.

– Może i tak – przyznałam. – Popracuję nad tym, ale czy moglibyśmy się choć widywać? Na twoich warunkach. Będziemy robić, co zechcesz. Tylko dopuszczaj mnie do siebie, dopóki tu jestem, dobrze? Nie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Od czasu do czasu. Co lubisz?

– Czytać. Chodzić po lesie. Łowić ryby. I upijać się w trzy dupy.

– Mogę ci w tym towarzyszyć. – Uśmiechnęłam się, gotowa na wszystko. – Albo chociaż robić za twojego kierowcę.

– Może – powiedział. – Ale trzymamy się teraźniejszości, dobra? Żadnych starych fotografii... – machnął ręką w stronę ramki w mojej dłoni – ...starych taśm wideo ani opowieści o życiu erotycznym taty. Tylko tu i teraz. Umowa stoi?

– Stoi – zgodziłam się. I przypieczętowaliśmy to uściskiem dłoni.

## 9.

Wyjechałam z polany Danny'ego i skręciłam w prawo, w stronę kempingu. *No dobra*, pomyślałam, *czyli żeby dobrze żyć z Dannym, muszę po prostu skupiać się na teraźniejszości*. Zrobiło mi się trochę lżej na sercu; chyba nareszcie znalazłam klucz do jego poranionej psychiki. Więcej nie wspomnę przy nim o naszej rodzinie. Chociaż mogłam się założyć, że ze znajomymi weteranami, z którymi spotykał się w sieci, bez skrępowania rozmawiał o przeszłości. Nie takie zwyczaje panowały w tych środowiskach? Żeby rozpamiętywać wszystko, co ich spotkało na wojnie? Mniejsza z tym. Niech przeszłość pozostanie w przeszłości. Poszukam w okolicznych kinach filmu, który mógłby go zainteresować. Zabiorę go na kolację. Porozmawiamy o książkach. Znajdę jakiś dobry, bezpieczny temat. Może go przekonam, żeby przeprowadził się do Durham, bliżej mnie. Tam weteranom zapewniano lepszą opiekę.

Ale wybiegałam za daleko w przyszłość.

Mały kamper ojca stał tam, gdzie zawsze, na pierwszym z dwunastu miejsc postojowych. Dawniej był biały z zielonym pasem z boku, ale choć zieleń wciąż się nieźle trzymała, to biel z upływem lat przeszła w brudną żółć. Zatrzymałam się obok, na wylanym betonem placu, i już miałam wysiąść, kiedy znów zadzwoniła moja komórka. Wyjmując ją z torby, zobaczyłam na wyświetlaczu *Jean Lyons*. Z westchnieniem podniosłam telefon do ucha. Równie dobrze mogłam już mieć to z głowy.

– Cześć, Jeannie – przywitałam się i szeroko otworzyłam drzwi samochodu, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

– Słuchaj, skarbie, jutro rano będę zawałona robotą – powiedziała – ale mogłabym wpaść po południu. Christine bardzo chce cię poznać, ale do następnego tygodnia jest zajęta, więc sama zacznę inwentaryzację domu. Potem możemy się zabrać do...

– Och, bardzo mi przykro – przerwałam jej. – Mam na jutro plany. – Kłamałam, ale potrzebowałam jeszcze jednego dnia dla siebie, bez Jeannie. – Może pojutrze?

– Wtedy czekają mnie dwie prezentacje. – Wydawała się sfrustrowana. – A ty musisz się sprężyć, inaczej dom trafi na rynek zbyt blisko początku roku szkolnego. I tak już mamy duże opóźnienie.

– We wtorek? – zasugerowałam.

– Wiesz co? W sumie twoja obecność nie jest konieczna. Załatwiał swoje sprawy, ja wpadnę po południu i wezmę się do pracy. Mam własny klucz, więc bez kłopotu dostanę się do środka – zaproponowała.

Miała klucz od naszego domu? No cóż, oczywiście, ale z jakiegoś powodu na myśl o tym przeszły mnie ciarki.

– Wolałabym jednak przy tym być, Jeannie – oznajmiłam. – Ja też chcę wszystko przejrzeć. Będziemy musiały po prostu parę dni poczekać.

Usłyszałam jej westchnienie.

– No dobrze – powiedziała. – Daj znać, gdybyś zmieniła zdanie.

Rozłączyłam się i wcisnęłam telefon do kieszeni szortów. Już chyba bardziej upierdliwa być nie mogła. Wzięłam pęk kluczy z miejsca pasażera i wysiadłam z samochodu.

Dopiero po kilku próbach zardzewiały zamek kampera ustąpił i drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Omal mnie nie odrzuciło, kiedy ze środka buchnął żar i odór pleśni i stęchlizny. Włączyłam klimatyzację; na szczęście działała. Mimo duchoty i smrodu ciasne wnętrze wyglądało całkiem schludnie. Wąskie łóżko przykryte było wytartą, granatową narzutą, na wbudowanym stole stał mały odtwarzacz CD.

Przeszukałam komodę, szuflady w kącie kuchennym i jedyną szafę, ale znalazłam tylko kilka ręczników i garść zużytych szmat oraz dwie wędki oparte o ścianę przy toalecie. Minilodówka świeciła pustkami, nie licząc trzech puszek pepsi i prawie opróżnionej butelki chardonnay. W kuchennych kredensach też nie było nic do jedzenia, choć znalazłam ślady świadczące o niedawnej bytności myszy.

Na drugim końcu blatu kuchennego stał nieduży telewizor, a obok małego zlewu, między kamieniami wielkości pięści, ciągnął się rząd płyt kompaktowych. *Wynylów tutaj nie trzymał*, pomyślałam. Na ścianie wisiała przyklepiona taśmą ulotka reklamująca koncert; na zdjęciu rozpoznałam czwórkę muzyków z pocztówki w fioletowej kopercie, którą zabrałam ze skrytki pocztowej w Pollocksville. *Przedziwny zbieg okoliczności*, pomyślałam. Obok ulotki wisiał prosty, dziecięcy rysunek przedstawiający dwoje uśmiechniętych dorosłych i dwójkę uśmiechniętych dzieci. A dalej zdjęcie dwojga dzieci na karuzeli. Odczepiłam je od ściany i przyjrzałam im się z bliska. Dziewczynka miała ze dwa latka, chłopiec był trochę starszy. Oboje rudowłosi. Na pewno rodzeństwo. Ale kim byli? Jeśli tata naprawdę był blisko związany z Jeannie, może to jej wnuczeta?

Kiedy przyczepiłam zdjęcie z powrotem do ściany, zobaczyłam okładkę pierwszej płyty z brzegu. Alison Krauss. Tata lubił bluegrass? Wysunęłam parę innych kompaktów. Ricky Skaggs? Béla Fleck?

Zaczynałam się czuć jak intruz. Niemożliwe, żeby to był kamper mojego taty. Wyjrzałam przez brudne okna, spodziewając się, że lada chwila wróci prawdziwy właściciel – albo najemca – wściekły, że wtargnęłam na jego teren. Kiedy odstawiłam

kompakty na miejsce i wyłączyłam klimatyzację, zauważyłam pod telewizorem magnetowid. Przez chwilę patrzyłam na niego z niedowierzaniem, po czym odłączyłam kable, wzięłam go pod pachę i wyszłam z kampera, zamykając drzwi na klucz.

Zapakowałam magnetowid do samochodu i postanowiłam przejść się piechotą do Kyle'ów na drugi koniec kempingu. Moje podeszwy chrzęściły na żwirze, kiedy szłam na wschód uroczą, krętą drogą wśród drzew. Choć kemping wyposażony był skromnie, jego naturalne piękno – to ono, jak się domyślałam, przyciągnęło tu mojego ojca – z powodzeniem wynagradzało brak luksusów. Dostrzegłam więcej samochodów turystycznych niż ostatnio. Ludzie zjeżdżali się na weekend. Gdy przechodziłam obok paru miejsc postojowych, słyszałam gwar rozmów, a w pewnej chwili poczułam upajający, smakowity zapach smażonego bekonu.

Obliczyłam, że tata miał czterdzieści parę lat, kiedy przenieśliśmy się do New Bern, był więc za młody, żeby przejść na emeryturę. Może czuł się wypalony, może po prostu chciał uciec od presji i wyścigu szczurów w Waszyngtonie. Oboje z mamą odziedziczyli trochę pieniędzy po rodzicach. Niedużo, ale pewnie dość, żeby po śmierci Lisy mógł odejść z pracy i zacząć z rodziną od nowa gdzie indziej. Nigdy się nie dowiem, jak było. Za późno, żeby zadać mu te wszystkie pytania, które mnie dziś nurtowały.

Dotarłam do poobijanego, starego kampera Kyle'ów. Ich ford zniknął i zaniepokoiłam się, że dokądś pojechali, ale kiedy podeszłam bliżej, drzwi się otworzyły i Verniece Kyle stanęła pod zieloną markizą.

– Cześć, Riley! – zawołała. – Jak się masz, złociutka?

– Dobrze. – Uśmiechnęłam się. Verniece była taka słodka. – Ma pani chwilkę?

– Oczywiście. Tom jest na rybach, przyda mi się towarzystwo. Ależ ślicznie twoje włosy wyglądają w słońcu.

– Dzięki – powiedziałam, wchodząc do kampera.

– Może zrobię kawę i posiedzimy na zewnątrz?

Od rana wypiałam już dwie filiżanki, ale uznałam, że chętnie z nią pogawędzę. Verniece była niewiele starsza od Jeannie, ale budziła we mnie zupełnie inne uczucia. Szczerze mówiąc, podobało mi się, że ktoś nazywa mnie „złociutką”, nawet jeśli podobnymi czułościąmi zapewne obsypywała wszystkich, poczynając od męża, a na kasjerkach w spożywczym kończąc.

Wyniosłyśmy kubki na zewnątrz i usiadłyśmy na dwóch krzesłach ogrodowych z siedziskami z plecionych, niebieskich pasów parcianych.

– Nie czuje się pani tu samotnie? – spytałam, stawiając sobie kubek na kolanach.

– Och, nie – powiedziała. – Nie bardziej niż każda inna gospodyni domowa. Lubię poznawać nowych gości kempingu, no i oczywiście są jeszcze ci, którzy wracają co

roku. Zawsze jest wesoło. Poza tym aktywnie działałam w kościele. Tom od tego stroni. Nie ciągnie go do ludzi tak jak mnie.

Sączyłyśmy kawę i rozmawiałyśmy o kilku gościach, którzy przyjechali zeszłego wieczoru. Wreszcie odstawiałam kubek na plastikowy stolik i sięgnęłam do torebki po pęk kluczy.

– Po drodze zajrzałam do kampera mojego taty i pomyślałam sobie, że może chcielibyście go sobie wziąć – zaproponowałam. Odczepiałam klucz od kampera i położyłam na stoliku. – Wiem, że nie jest w najlepszym stanie, ale moglibyście go sprzedać, wynająć albo... – Wzruszyłam ramionami.

– Nie chcesz go? – zdziwiła się. – A twój brat?

– Też nie – wyjaśniłam. – Sprawdziłam już, czy w środku nie ma czegoś, co chciałabym zatrzymać. Wydaje się, że mój ojciec rzadko tam ostatnio bywał. Nie wie pani, czy korzystał z tego kampera ktoś inny?

Pokręciła głową.

– O ile wiem, nie. Twój tata zaglądał tam może parę razy w miesiącu. Lubił być blisko wody, jak Tom.

– À propos pana Kyle'a – powiedziałam, zadowolona z pretekstu, żeby poruszyć ten temat – kiedy przeglądałam książeczkę czekową taty, zauważyłam, że płacił Tomowi pięćset dolarów miesięcznie, i nie wiem za co. Czy mój ojciec miał u pani męża jakiś dług?

Patrzyła na mnie pustym wzrokiem, zupełnie zbita z tropu.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała. – Jesteś pewna? Może to za... – Zawiesiła głos i potrząsnęła głową. – Cóż, nie wiem, o co mogło chodzić. Co miesiąc, powiadasz?

Skinęłam głową, ale żałowałam, że nie trzymałam języka za zębami i nie zczekałam z tą sprawą do powrotu jej męża. Obawiałam się, że wyjawiałam coś, co miało pozostać przed nią ukryte.

– W kamperze znalazłam sprzęt wędkarski taty. Może przydałby się Tomowi – zmieniłam temat.

– Na pewno. – Nie wróciła do moich poprzednich słów, ale w oczach wciąż miała zamęt. – Powiem mu, żeby go obejrzał i zobaczył, czy chce coś wziąć.

W milczeniu upiłyśmy kilka łyków kawy.

– Przypomniało się pani, z kim mnie pomyliła? – spytałam po pewnym czasie. – Wtedy, kiedy powiedziała pani, że jestem adoptowana?

– Oj, chyba już o tym nie myślisz, co? – przejęła się. – Powinnam była trzymać tę swoją durną gębę na kłódkę. Zresztą to i tak bez znaczenia, prawda, Riley? Adoptowana czy nie, miałaś wspaniałych rodziców i wyszłaś na ludzi.

– Czyli nadal pani uważa, że mnie adoptowali?

Spojrzała w stronę strumienia. Słyszałam jej głośny oddech.

– Coś ci powiem, Riley. – Mówiła bardzo powoli, jakby jej głowa chciała

powiedzieć coś innego niż usta. – Nie wiem, czy twoi rodzice byliby z tego zadowoleni, ale wyznaję zasadę, że każdy powinien znać prawdę o swoim pochodzeniu. Myślę, może niesłusznie, że tata w końcu powiedziałaby ci wszystko, tylko za długo z tym zwlekał.

– O czym pani mówi? – zaczęłam się denerwować.

– Od razu powiedzieliśmy Luke’owi, że go adoptowaliśmy – odparła. – Kiedy skończył dziewiętnaście lat, zaczął szukać swoich rodziców biologicznych, z naszym błogosławieństwem. Uważaliśmy, że musimy być z nim całkowicie szczerzy w tej sprawie. Żadnych tajemnic. Wiem, że twoi rodzice inaczej się na to zapatrywali, ale...

– Verniece! – wybuchnęłam z irytacją. Tom Kyle chyba miał rację i jego żona głupieje na stare lata.

Spojrzała na niebo przez sklepienie drzew i westchnęła przeciągle.

– Chcesz poznać prawdę? – spytała.

Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach.

– Tak – powiedziałam – choć myślę, że już ją znam. Nadal uważam, że pomyliła pani moją rodzinę z jakąś inną.

Powoli, w zamyśleniu podrapała się po policzku. Znów spojrzała w stronę strumienia.

– Poznałam Toma w 1980 roku. Miałam wtedy trzydzieści dwa lata. Byłam dyspozytorką w komendzie policji w Maryland. Lubiłam tę pracę. – Uśmiechnęła się do mnie smutno. – Po roku wzięliśmy ślub i od razu zaczęliśmy się starać o dziecko. Po wielu próbach w końcu zaszłam w ciążę. Bardzo się cieszyliśmy, ale w dwunastym tygodniu poroniłam.

– Przykro mi. – Nie miałam pojęcia, do czego zmierza.

– Znów zaszłam w ciążę i znów poroniłam. I tak jeszcze pięć razy, Riley. – Spojrzała na mnie oczami, w których wciąż znać było ból po tych poronieniach. – Koszmar. W końcu donosiłam jedną ciążę, ale dziecko urodziło się martwe.

– Och, nie. – Usiłowałam to sobie wyobrazić. – To musiał być straszliwy cios.

– „Straszliwy” to za mało powiedziane – stwierdziła. – Zaraz potem poznałam twoją mamę. Na jakiejś uroczystości... Tom pracował z twoim tatą, wiedziałas o tym?

– Nie – odparłam. – Tom był szeryfem federalnym?

– Uhm.

– O tym, że mój tata był szeryfem, dowiedziałam się dopiero od jego adwokatkę.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Twoja rodzina... – Pokręciła głową. – Nie byli zbyt otwarci, co?

Chciałam zaprotestować, ale w sumie miała rację.

– W każdym razie – ciągnęła – Tom pracował z twoim tatą i pewnego dnia było... nie pamiętam, co właściwie, jakiś duży piknik albo spotkanie pod chmurką, w którym koniecznie musieliśmy uczestniczyć. Tom mocno się natrudził, żeby mnie wyciągnąć



z domu. Byłam w głębokiej depresji po stracie dziecka, ledwo mogłam funkcjonować. W końcu jednak pojechałam z nim. Twój ojciec był szefem Toma i chyba od wszystkich oczekiwano, że będą na tym... – machnęła ręką ze zniecierpliwieniem – ...pikniku czy coś w tym rodzaju. Już wiem! To było pożegnanie szeryfa, który przechodził na emeryturę. Musiało to być w '88. Może '89. W każdym razie dla gości rozstawiono krzesła ogrodowe i jakoś tak wyszło, że usiadłam koło twojej matki, którą wtedy słabo znałam, po czym od razu zalałam się łzami. Ona, złota kobieta, widząc, że kiepsko ze mną, wzięła mnie za rękę i odprowadziła na stronę. Usiadłyśmy pod drzewem, opowiedziałam jej wszystko i płakałam, oj, strasznie płakałam. Myślałam, że oczy wypłaczę. Twoja mama bardzo mi współczuła. Nie, „współczuła” to źle powiedziane, ona przeżywała razem ze mną. Naprawdę. Przez całą rozmowę trzymała mnie za rękę. Byłyśmy sobie zupełnie obce, ale wiesz, że kobiety czasem potrafią błyskawicznie nawiązać nić porozumienia.

Ze ściśniętym nagle gardłem skinęłam głową. Brakowało mi mamy.

– Spytała, czy bierzemy pod uwagę adopcję. Stwierdziłam, że jesteśmy za starzy, ale ona pokręciła głową. I wtedy mi powiedziała.

– Co?

– Że z twoim ojcem starali się o jeszcze jedno dziecko, bo była taka duża różnica wieku między twoim starszym bratem a siostrą. Zależało im, żeby Danny miał młodsze rodzeństwo. Ale nie mogła zajść w ciążę. W końcu zainteresowali się możliwością adopcji ze wskazaniem i znaleźli dziewczynkę tutaj, w Karolinie Północnej. To byłaś ty.

Czy ona oszalała? A może jednak mówiła prawdę?

– Nonsens. – Próbowałam zachować spokojny ton, ale czułam, że wzbiera we mnie krzyk.

– Dała mi nadzieję. Postanowili, że powiedzą ci prawdę, kiedy będziesz na tyle dojrzała, by ją zrozumieć, ale widać nigdy nie mieli po temu okazji. Do głowy mi nie przyszło, że o niczym nie wiesz.

– To obłąd – powiedziałam, ale myślałam tylko o moich ciemnych włosach i brązowych oczach. Nigdy nie byłam ich tak świadoma jak w tej chwili.

– Strasznie mi przykro, jeśli cię zdenerwowałam, Riley. Ostatnie, czego chciałam, to wyrzucić twój świat do góry nogami. Ale jak już mówiłam, to naprawdę bez znaczenia, skoro...

– Może rozmawiała pani tamtego dnia z kimś innym? To na pewno była moja matka?

– Kochanieńka, nigdy nie zapomnę twojej mamy. Niecały rok później straciła twoją siostrę i wasza rodzina przeniosła się tutaj. To miała być dla nich ucieczka od przeszłości, ale od pewnych spraw uciec się nie da. – Pokręciła głową. – Nie zapomina się kobiety, która przeżyła podobną tragedię.

– Ciągłe trudno mi w to uwierzyć – wyznałam. Nie to, że było mi trudno, nie wierzyłam i tyle. Moi rodzice nie byli najbardziej otwartymi ludźmi na świecie, ale nie wyobrażałam sobie, żeby mogli zataić przede mną coś takiego.

– Żałujesz, że ci powiedziałam? – Verniece wyraźnie się zaniepokoiła. – Tom ostrzegął, bym się do tego nie mieszała.

– Nie, dobrze, że pani to zrobiła. Tylko... – Potrząsnęłam głową, usiłując rozpędzić targające mną wątpliwości. – Nadal nie jestem pewna, czy rzeczywiście rozmawiała pani wtedy z moją mamą.

Uśmiechnęła się.

– Rozumiem – powiedziała. – Na twoim miejscu zareagowałabym tak samo. Ale to była ona, Riley. Mogę przysiąc.

Kiedy wracałam do samochodu, chwyciły mnie mdłości. Zapach bekonu wciąż wisiał nad tym samym odcinkiem zwirowej drogi i przyspieszyłam kroku, żeby jak najszybciej zostawić go za sobą. Dochodziłam już do kampera taty, gdy zobaczyłam Toma. Niósł wędkę i koszyk.

– Dzień dobry, panie Kyle – przywitałam się. – Chcę pana o coś zapytać.

– O co chodzi? – burknął. Na brodzie miał siwy zarost, którego nie zauważyłam przy naszym poprzednim spotkaniu, i nie bardziej niż wtedy ucieszył się na mój widok.

– Mój ojciec płacił panu pięćset dolarów miesięcznie – powiedziałam. – Za co?

– Teraz to już nieważne – odparł. Ominął mnie i znowu, jak przed kilkoma dniami, poczułam od niego piwo. Ciekawe, jak dużo pije.

– Tom? – nie dawałam za wygraną. Odwrócił się i spojrzał na mnie bez słowa. – Myślisz, że zostałam adoptowana?

Zasepił się.

– Nie przychodź tu więcej – zażądał. – Trzymaj się z dala od Verniece. Ma coś z głową i denerwuje się, kiedy cię widzi.

– Co ty wygadujesz?! – prawie krzyknęłam. – To ja powinnam się denerwować.

– Po prostu tu nie przychodź, jasne? Dla własnego dobra.

Otworzyłam usta, żeby powiedzieć mu do słuchu, ale on już się odwrócił, pozostawiając mnie z dużo większą liczbą pytań niż odpowiedzi.

## 10.

Wsiadając do mojego samochodu czekającego obok kampera taty, zapragnęłam znowu porozmawiać z bratem. Miał cztery lata, kiedy się urodziłam. Jeśli rodzice mnie adoptowali, czy mógł o tym wiedzieć? Sęk w tym, że obiecałam mu żyć chwilą obecną i nie rozgrzebywać przeszłości – przynajmniej przy nim – zmusiłam się więc, żeby po wyjeździe z kempingu skręcić w lewo, oddalając się od Danny’ego i jego polany.

Jadąc do domu, czułam się obco we własnym ciele, jakby nagle zmieniał się w nim układ genów. Verniece Kyle mówiła z takim przekonaniem! Nie było w niej krzty szaleństwa. Robiła na mnie wrażenie kobiety, która uważa szczerłość za cnotę. Jako psycholog szkolny byłam podobnego zdania: że prawda zawsze jest lepsza od kłamstwa. Jako Riley MacPherson, której równowaga psychiczna ostatnio chwiała się w posadach, niekoniecznie.

Po powrocie do domu miałam zagwozdkę, jak podłączyć zakurzony, stary magnetowid do względnie nowego, płaskoekranowego telewizora taty w salonie. Musiałam sprawdzić to w Internecie, usiadłam więc z laptopem przy sekretarzyku i niemal bez namysłu wpisałam w Google: „jak sprawdzić, czy jesteś adoptowany”. „Porozmawiaj ze starszymi krewnymi”, sugerowała jedna strona. Chętnie, gdybym tylko jakichś miała. Danny był moją jedyną nadzieją. „Zajrzyj do rejestru urodzeń”. Szybko się przekonałam, że to nie takie łatwe, jak się wydaje. Rejestry urodzeń nie są dostępne w Internecie dla każdego, kto chciałby w nich poszperać. „Sprawdź w akcie urodzenia, gdzie się urodziłeś”. Mój akt urodzenia był gdzieś w mieszkaniu w Durham. Nie miałam pojęcia gdzie. Ostatnio widziałam go chyba jako nastolatka. Nie przypominałam sobie, żebym wyczytała tam coś ciekawego.

Siedziałam przed laptopem z dłońmi splecionymi na podołku. Bałam się obejrzeć te taśmy wideo. Nie pamiętałam siostry z czasów, kiedy żyła. W moich wspomnieniach zawsze była zatrzymanym w czasie obrazem na fotografii. Nie wiedziałam, jak zareaguję, kiedy ją zobaczę. Lękałam się rozpaczy. Poczucia straty. Danny żalił się, że za często musiał jej słuchać. Ja oddałabym rok życia za możliwość posłuchania jej choć raz.

W internetowej instrukcji wyczytałam, że magnetowid podłączało się do telewizora za pomocą specjalnego przewodu. Wiedziałam, że w kuchni jest szuflada pełna

przeróżnych kabli. Usiadłam przed nią po turecku i rozdzielalam splątane przewody, aż znalazłam właściwy. Po powrocie do salonu bez trudu podłączyłam magnetowid do telewizora. Włożyłam starszą z dwóch taśm – z 1980 roku – do odtwarzacza, usiadłam na kanapie i wcisnęłam „play”.

Kaseta ruszyła, a ja wysunęłam się na krawędź kanapy, ściskając pilota w dłoni. Obraz był ziarnisty, ale dość wyraźny, żebym zobaczyła małą dziewczynkę na ogromnej scenie. W rękę miała skrzypce, które po chwili wsunęła pod brodę. Nie byłam nawet pewna, czy to Lisa, ale kiedy zaczęła grać, kamera zrobiła najazd na nią i dostrzegłam jej jasne włosy. *Rok 1980, czyli miała siedem lat*, pomyślałam. Była drobną, chudą, kruchą siedmiolatką i choć nie mogłam rozróżnić rysów jej twarzy, to wyobrażałam sobie malujące się na niej skupienie. Nie znałam wykonywanego przez nią utworu, ale wydawał się skomplikowany. Łzy nabiegły mi do oczu.

Zsunęłam się na podłogę przed telewizorem, pragnąc bardziej zbliżyć się do siostry, z gardłem ściśniętym aż do bólu. Ależ to wymagało niewiarygodnej odwagi, żeby stanąć na tej scenie przed... nie widziałam publiczności, ale na widowni pewnie siedziały setki osób. Danny’ego wtedy nie było jeszcze na świecie i pomyślałam, że może jego zawiść wobec Lisy złagodniałaby nieco, gdyby zobaczył tę małą dziewczynkę i zrozumiał, pod jak wielką musiała być presją przez całe swoje krótkie życie.

Nagranie trwało nieco ponad godzinę. Obejrzałam je od początku do końca jak zahipnotyzowana. Zawierało krótsze i dłuższe urywki różnych recitali i koncertów. Dwa lub trzy utwory Lisa grała z innymi dziećmi, choć bez wątplenia była wśród nich najmłodsza i najdrobniejsza. Jeden wykonywała jako jedyne dziecko w morzu dorosłych skrzypków. Ten fragment oglądałam z największym bólem. Choć grała pewnie, z wprawą, wydawała się taka delikatna, bezbronna. Miała w sobie tę kruchą niewinność, jaką mają wszystkie siedmiolatki. Do jak ciężkiego wysiłku była zmuszana? Na zawsze pozbawiona prawdziwego dzieciństwa.

– Tak mi przykro – szepnęłam i wyciągnęłam ręce, żeby musnąć ekran czubkami palców.

Kiedy taśma się skończyła, chwilę siedziałam nieruchomo, po czym wyjęłam ją z magnetowidu i włożyłam drugą. „Festiwal w Rzymie, czerwiec 1987”, głosiła naklejka. W 1987 roku Lisa miała czternaście lat. To wideo było o wiele lepszej jakości, bardziej profesjonalne. Zaczynało się chyba na lotnisku. Grupa energicznych nastolatków przejęła we władanie poczekalnię, niektórzy stali, inni siedzieli, wszyscy śmiali się i rozmawiali. Szukałam wśród nich mojej siostry. Na pobliskich krzesłach siedziało kilku zasępionych dorosłych, wyraźnie niezadowolonych z towarzystwa rozdokazywanych nastolatków, zapewne młodych muzyków. Wszyscy byli mniej więcej rówieśnikami uczniów, którym udzielałam porad, trzydziestka hałaśliwych, wygłupiających się dzieciaków stłoczonych w ciasnej poczekalni. Ta scena, pełna

buzujących, młodzieńczych hormonów i kiełkujących ego, wyglądałaby komicznie, gdybym nie była tak skupiona na wypatrywaniu Lisy.

W kadr wszedł ciemnowłosy mężczyzna. Podniósł prawą rękę i jakby rzucił na nie czar, wszystkie dzieciaki ucichły i spojrzały na niego. Był wysoki i smukły, o chudej, kościstej twarzy, niebrzydkiej, ale i nieszczególnie ładnej. Kiwnął głową i nastolatki wyjęły instrumenty z futerałów, na które do tej pory nie zwróciłam uwagi. Zaczęli grać. Skrzypce. Altówki. Wiolonczele. Utworu oczywiście nie poznałam, ale była to radosna, skoczna melodia, która w mig sprawiła, że skwaszeni widzowie nie tylko się uśmiechnęli, ale i zaczęli klaskać.

Wreszcie wypatrzyłam Lisę. Stała z boku, prawie poza kadrem, a obok niej chłopak ze zdjęć z pudła mojego ojca. Matty, ten kędzierzawy brunet. Kiedy utwór się skończył, dyrygent, nauczyciel, czy kimkolwiek był, skinął na Lisę i wystąpiła naprzód. Uniósł batutę i Lisa zagrała solo. Wyglądała zupełnie jak dziewczęca wersja Danny'ego. Śliczna dziewczyna. Jej rysy miały w sobie pewną kruchość, ale gdy grała na skrzypcach, ta kruchość zniknęła, zastąpiona przez pełne opanowanie. Wiedziałam, że była dobra – ba, że była cudownym dzieckiem – ale serce mi pękało, kiedy widziałam jej nadzwyczajny talent na własne oczy. Z jakiegoś powodu zapłaciła za niego wysoką cenę. Straciła wszystko.

Przewinęłam taśmę i zobaczyłam tę samą grupę nastolatków wygłupiającą się przy Fontannie di Trevi, Schodach Hiszpańskich i przed Koloseum. Moja siostra i Matty jak zawsze stali nieco na uboczu, pogrążeni w rozmowie. Czasem się śmiali. Jakby nie do końca czuli się częścią tej paczki. Dalej nagrany był koncert tej wesołej gromadki z setkami innych młodych muzyków w ogromnym, wiekowym gmachu o sufitach tak wysokich, że nie mieściły się w kadrze, podpartych filarami szerokości pokoju, w którym siedziałam. W pewnym momencie Lisa wystąpiła naprzód, tak jak na lotnisku. Cała w bieli wyglądała niczym eteryczny anioł, kiedy podniosła skrzypce i zaczęła grać. W prawym krańcu ekranu znów zobaczyłam tego wysokiego dyrygenta i choć od Lisy dzieliła go spora odległość, miało się wrażenie, że jego białą batutę łączy z jej skrzypcami cienka nić wydobywająca nutę po nucie z instrumentu. Tę melodię znałam: koncert skrzypcowy e-moll Mendelssohna. Mój ojciec słuchał go na okrągło. Ten utwór tak często niósł się przez cały dom, że zupełnie mi zobojętniał, teraz jednak, kiedy usłyszałam go w wykonaniu Lisy, tamto zobojętnienie ulotniło się bez śladu. Przełknęłam ślinę, po trosze pragnąc zatrzymać taśmę, a po trosze raz po raz puszczając ją od nowa.

Kiedy twarz Lisy ukazała się w zbliżeniu, wychyliłam się do przodu i zobaczyłam długie, jasne rzęsy nad jej zamkniętymi oczami i delikatną zmarszczkę między brwiami, jakby muzyka sprawiała jej ból. Tak bardzo żałowałam, że Danny nie ogląda tej taśmy ze mną. Że nie mam nikogo, z kim mogłabym dzielić emocje.

Wysłuchałam pierwszej części koncertu, po czym nie wytrzymałam, musiałam

wyłączyć nagranie. Siedziałam przed telewizorem i płakałam, aż łez zabrakło, owładnięta rozpaczą po nieznannej mi siostrze. Minęło raptem parę godzin od czasu, kiedy zaczęłam oglądać taśmy, ale czułam się tak odmieniona, jakby upłynął cały miesiąc. Choć nie dane mi było poznać Lisy, wywarła wielki wpływ na moje życie i mocno ją kochałam. A mimo to uświadomiłam sobie, że od początku do końca ją sobie wymyśliłam. Nic o niej nie wiedziałam, więc musiałam sobie wyobrazić, jaka była. Teraz nagle zobaczyłam jej twarz. Zobaczyłam, jak ciężko pracowała. Była tylko dzieckiem. Na tej pierwszej kasecie małą kruszynką, a na drugiej – młodą, pełną nadziei nastolatką. Każdy, kto oglądał ją na scenie, widział tylko jej talent i kunszt; nikt nie dostrzegał spustoszenia, jakie kariera poczyniła w jej sercu i duszy.

Co sprawiło, że się załamała? Ten dyrygent – czy wymagał od uczennicy perfekcji? Czy tego samego żądali od niej rodzice? Czy przygniotło ją brzemień sławy? Z moich oczu znów popłynęły łzy. Jakże chciałabym ją przytulić! Mocno uściskać. Powiedzieć, że nie musi być idealna; wystarczy, żeby była Lisą. Chciałam przeniknąć do tych nagranych obrazów i powiedzieć temu delikatnemu, młodziutkiemu aniołowi, żeby trzymał się dzielnie. *Pewnego dnia, obiecałabym jej, wszystko będzie dobrze.*

## 11.

– Zdziwiłabyś się, co ludzie kupują na domowych wyprzedażach – powiedziała Jeannie, kiedy przeglądałyśmy w pokoju stołowym zawartość serwantki z porcelaną mamy. W ręku trzymałam starą, zieloną misę z widocznym sklejonym pęknięciem. – Christine będzie chciała, żebyś zostawiła wszystko tak, jak jest.

– Nawet potłuczone naczynia? – spytałam, pokazując pęknięcie.

– Oczywiście – przytaknęła. – Artyści robią z nich biżuterię i rzeczy, jakich sobie nie wyobrażasz. Dlatego lepiej nic nie ruszaj. Tych pudeł nie potrzebujesz. – Pokazała palcem trzy puste kartony, które znalazłam w piwnicy. Planowałam wypełnić je rzeczami do oddania, ale Jeannie miała inny pomysł. – Chcę dokładnie przejrzeć kolekcje i zastanowić się, jakich rzeczoznawców wezwać. Rzeczy, które chcesz zatrzymać... ze względu na wartość sentymentalną... po prostu odkładaj na bok. Zrobimy dla nich miejsce w gabinecie na piętrze. Na razie możesz opróżnić szafki w salonie, w których twój ojciec trzymał swoje papiery. – Zabrała mi zieloną misę i wstawiła ją z powrotem do serwantki. – Zajrzyjmy tam – dyrygowała i poszłyśmy do salonu. Stała na środku, podparta pod boki, i wskazała dziesięć wbudowanych szafek, które biegły pod oknami przez całą długość pomieszczenia. – Wiem, że chował tam głównie formularze ubezpieczeniowe i dokumenty, które chyba można po prostu zniszczyć. Zajmiesz się tym?

– Dobrze. – Przeraziła mnie sama myśl o otwieraniu tych szafek. Widziałam, jak tata upychał w nich papiery z podobną niedbałością, z jaką wyrzucał śmieci do kosza.

– Spójrz na te hortensje! – Jeannie zrobiła krok w stronę okien wychodzących na ogródek obok domu. – Ależ twój tata je kochał. Szkoda, że nie dożył lata. Nie mógł się go doczekać. To jego ulubiona pora roku.

Drażniło mnie, że ona wie to o moim ojcu, a ja nie. Ale stanowczo postanowiłam dziś być dla niej miła. Naprawdę potrzebowałam jej pomocy.

– Co u licha...? – Nagle zauważyła, że w gablocie z fajkami brakuje przesuwanych szklanych drzwi. – Gdzie szyba?

W pierwszym odruchu chciałam coś zmyślić, ale ostatecznie zdecydowałam się powiedzieć prawdę.

– Danny był tu kilka dni temu, coś go zdenerwowało i rzucił w nią butelką piwa – wyjaśniłam.

– To okropne! – zawołała. – Twój ojciec zawsze twierdził, że Danny nie jest agresywny.

– Bo nie jest. – Przypomniałam sobie, jak Danny opowiadał, że przy Jeannie odstawia weterana z zespołem stresu pourazowego, cokolwiek to znaczyło. – Po prostu się zezłościł. Nigdy nie zrobiłby krzywdy człowiekowi.

– Jesteście ze sobą blisko?

– Byliśmy, w dzieciństwie. Z wiekiem stał się bardziej skryty i coraz mniej rozmawialiśmy. Można powiedzieć, że upodobił się do mojego ojca. Też zamknął się w sobie. – Tęskniłam za Dannym z lat mojego dzieciństwa.

– Twój ojciec nie wydawał mi się szczególnie zamknięty w sobie – stwierdziła Jeannie.

Z wysiłkiem zmusiłam się do uśmiechu. Miałam już dość tego ciągłego przypominania, że znała tatę lepiej ode mnie.

– Widocznie inaczej go postrzegaliśmy.

– No cóż. – Uśmiechnęła się. – Obie wiemy, że był dobrym człowiekiem, a to najważniejsze.

Skinęłam głową. Niech jej będzie.

Jeannie podeszła do fajek i zdjęła jedną z półki w gablocie.

– Ta zawsze mnie fascynowała – powiedziała. Cybuch wyrzeźbiony był na kształt ptasiej głowy z nastroszonymi piórami i oczami z zielonych paciorków. Zauważyłam, że trzymające fajkę ręce Jeannie mocno drżą. Z nerwów? A może to objaw jakiejś choroby? Widząc tę jej drobną słabość, poczułam do niej odrobinę sympatii. Nigdy nie wiadomo, z jakimi demonami ludzie walczą.

– Chcesz ją? – spytałam.

Przybrała zaskoczoną minę.

– Och, nie – powiedziała. – Nie miałabym co z nią zrobić. Przyznam jednak, że ciągle nie mogę przeboleć tego, że Frank zostawił tę kolekcję Kyle’om.

– Cóż, pewnie dużo mu pomagali na kempingu i...

Zachnęła się.

– Coś ci powiem. Nie lubię rozgłaszać plotek, ale chcę, żebyś wiedziała, dlaczego nie potrafię tego zrozumieć. To Tom Kyle miał dług wdzięczności wobec twojego ojca, nie odwrotnie.

– Jak to?

Jeannie ostrożnie odłożyła fajkę do gabloty.

– Kiedy byli szeryfami federalnymi, twój ojciec był jego przełożonym – wyjaśniła. – Tom wdał się w romans z kobietą, którą miał ochraniać, i Frank się o tym dowiedział. Powinien był Toma wyrzucić, ale tego nie zrobił. Pomógł nawet zatuszować całą sprawę. Tom zawdzięczał mu swoją pracę i zapewne małżeństwo. Z jakiej racji więc twój ojciec miałby...



– No i jeszcze płacił mu pięćset dolarów miesięcznie – wtrąciłam.

Jeannie wbiła we mnie wzrok i w jej oczach zapłonęły gniewne iskry.

– Mógł mnie dawać te pieniądze, skoro tak pilno mu było się ich pozbyć – powiedziała gorzko. – Zalegam ze spłatami kredytu hipotecznego i myślałam, że po sześciu latach związku... – Pokręciła głową. – Przepraszam. Jest, jak jest.

Teraz zrozumiałam, dlaczego raczej powściągliwie zareagowała na wieść o tym, że mój ojciec zostawił jej tylko fortepian i dziesięć tysięcy dolarów. Pomyślałam o stu tysiącach, które wkrótce trafią na moje konto.

– Przykro mi, Jeannie. Mogę jakoś pomóc? Zostawił mi więcej, niż w tej chwili potrzebuję, i...

Nachyliła się ku mnie i położyła dłoń na mojej dłoni.

– Nawet o tym nie myśl, skarbie – powiedziała i rysy jej twarzy złagodniały. – Przepraszam, poniosło mnie, wszystko jest w porządku. Naprawdę. Chciałabym tylko zrozumieć, dlaczego tak wysoko cenił Toma i Verniece.

– Dobrze znasz Verniece? – spytałam.

– Nie bardzo. Oboje są raczej odludkami.

– Twierdzi, że rodzice mnie adoptowali.

Niebieskie oczy Jeannie otworzyły się jeszcze szerzej.

– Co takiego? – nie kryła zdumienia. – Bzdura.

Czy krew odpłynęła jej z twarzy, czy tak mi się tylko zdawało?

– Mówi, że wie to od mojej matki.

– Nawet jej nie znała – prychnęła Jeannie, drżącymi palcami odkładając fajkę na półkę. – Jeśli już, to słabo.

Zawahałam się.

– Cóż, akurat to otwarcie przyznała – wyjaśniłam w końcu – ale mówiła, że moja mama, widząc jej rozpacz po stracie dziecka, przekonywała ją, że nie jest za stara na adopcję. Na dowód tego powiedziała, że z tatą mnie adoptowali, a to przekonało Verniece i Toma, żeby adoptować chłopca.

– Absurd – skwitowała Jeannie. – Zupełny absurd. Zastanów się – ciągnęła. – Nawet gdyby to była prawda, twoja matka nie wyjawiałaby tego niemal obcej osobie, na litość boską. Przecież wiesz, jaka była skryta.

– Prawdę mówiąc, tego nie wiem – wyznałam. – Wiem tylko, jaka była wobec mnie, nie wobec...

– Posłuchaj, Riley. Byłam jej najserdeczniejszą, najstarszą przyjaciółką, a mimo to o wielu sprawach nie chciała ze mną rozmawiać. Dlatego sugestia, że miałyby coś tak intymnego wyjawić kobiecie, którą ledwo znała... Nie, to po prostu śmieszne.

– Być może. – Ulżyło mi, ale tylko trochę, zważywszy na wyznanie Jeannie, że mama nie mówiła jej wszystkiego. Mogła mieć chwilę słabości, poruszona cierpieniem Verniece, świadoma, że podniesie ją na duchu. Verniece była taka urocza.

Mogłam sobie wyobrazić, że mama zaufała jej na tyle, żeby się przed nią otworzyć.

– Dość tych bzdur – ucięła Jeannie. Wzięła notes z ławy przy fortepianie, na której położyła go zaraz po przyjściu. – Obejdę dom i spiszę, co jest do zrobienia, poczynając od kolekcji na górze. Nie mogę się doczekać, kiedy poznasz Christine – dodała. – Na pewno się polubicie. Świetnie wie, co jest ile warte i jak nagłośnić wyprzedaż.

– Znalazłam klucze taty od serwantek na piętrze, gdybyś ich potrzebowała. – Przypomniałam sobie o kluczu, który zostawiłam Verniece. – Nie wiesz może, czy udostępnił komuś swojego kampera? – spytałam.

– Dobry Boże, nigdy! Uwielbiał tego starego gruchota. Nazywał go swoją jaskinią. Nawet mnie tam nie wpuszczał.

– Jedno mnie dziwi – zauważyłam. – Trzymał w nim płyty kompaktowe, wszystkie z bluegrassem i muzyką country. Mój ojciec słuchał bluegrassa? Wiesz coś o tym?

– Nie – przyznała – ale wiedział, że to nie moje klimaty, więc pewnie nie puszczał takich rzeczy przy mnie. Miał bardzo urozmaicony gust. – Spojrzała na mnie. – A ustaliłyśmy już, że ty nie znałaś go za dobrze, zgadza się? – To nie było pytanie, to był przytyk, i sympatia, którą przed chwilą do niej poczułam, pierzchła bez śladu. Nie lubiłam tej kobiety! Nie ufałam jej. Nie i już. – No dobrze – pociągnęła mnie za ramię do ściany zastawionej szafkami. – Przejrzyj papiery swojego ojca, a ja popracuję na górze.

Czułam się, jakby walec po mnie przejechał, w sumie jednak było mi obojętne, od czego zacznę. Suzanne uprzedziła, żebym zachowała rachunki taty z ostatnich trzech lat, bo chciała je przejrzeć, ale cała reszta nadawała się do wyrzucenia. Kiedy Jeannie poszła na górę, usiadłam przed jedną z szafek i otworzyłam drzwi. Jęknęłam, gdy papiery pospadały z półek na moje kolana. Wiedziałam, że w gabinecie na piętrze tata trzymał niszczarkę; oby była solidna. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam układać papiery w stos. Byłam ciekawa, czy gdzieś w głębi jednej z dziesięciu szafek znajdę dokumenty dotyczące mojej adopcji. Miałam nadzieję, że nie.

Po godzinie zaczynało mi się mącić w oczach, kiedy nagle z góry dobiegł dźwięk, na który przerwałam pracę i nadstawiłam uszu. Wysuwane i wsuwane szuflady? Czyżby Jeannie myszkowała w sypialni taty? Wstałam bezszelestnie i podeszłam do schodów. Nie zwróciłabym uwagi na te dźwięki, gdyby się tam rozbijała, ale te szuflady otwierała – jeśli to właśnie robiła – tak cicho i powoli, jakby chciała to przede mną ukryć. Zaciekawiona, wdrapałam się na piętro.

Kiedy dotarłam do szczytu schodów, Jeannie wyszła z sypialni mojego ojca. Drgnęła na mój widok.

– Och – bąknęła, kładąc dłoń na szyi. – Wystraszyłaś mnie!

– Chciałam zobaczyć, jak ci idzie. – Tak naprawdę chciałam zapytać, dlaczego grzebała w komodzie taty, ale ugryzłam się w język.

– Dobrze – odparła i kiwnęła głową w stronę sypialni, jakby zrozumiała, że bez wyjaśnienia się nie obejdzie. – Szukałam paru rzeczy, które tam zostawiłam.

Na górę weszła z notesem, teraz razem z nim niosła białe pudełko wielkości małego pudełka na koszulę. Przyciskała oba przedmioty do piersi.

– I znalazłaś je? – Wskazałam ruchem głowy pudełko.

– Tak – powiedziała. – To tylko parę drobiazgów, o których zapomniałam. Starych... rzeczy, które kiedyś przyniosłam, żeby mu pokazać. – Zaśmiała się nerwowo i prawie zrobiło mi się jej żal. Sądząc po jej rumieńcach, pudełko zawierało seksowny peniuar albo coś jeszcze bardziej pikantnego. Przypomniało mi się, jak Suzanne opowiadała o pornografii swojego ojca. Usiłowałam odpędzić te myśli.

– Jak ci poszło z jego zbiorami? – spytałam.

– Chyba już wiem, jakich rzeczoznawców trzeba wezwać – oznajmiła, ruszając w stronę schodów. Nie puściła pudełka nawet po to, żeby przytrzymać się poręczy.

– Opróżnienie szafek z dokumentami zajmie mi tydzień – rzuciłam za nią.

– Wyobrażam sobie. – Była już na ostatnim stopniu. – I wypadaloby też wycenić fajki, zanim oddamy je Kyle'om. Aha, i, mój Boże... – zachichotała – ...trzeba zobaczyć, ileż on miał tych płyt winylowych, żebym mogła to przekazać Christine. Nie wiesz, czy gdzieś nie zachomikował innych? Może na strychu?

– Nie sądzę – stwierdziłam, choć nie miałam pojęcia, co (o ile w ogóle cokolwiek) jest na strychu.

Chwilę pracowałyśmy w ciszy; ja siedziałam na podłodze, Jeannie przeglądała płyty. Mózg mi wysiadał od wyszukiwania dat na rachunkach medycznych i wyciągach z banku.

– Na dziś wystarczy – postanowiłam i wstałam. – Może lampkę wina?

Wypuściła powietrze ze znużeniem.

– Tylko połówkę – powiedziała. – Jeśli wypiję więcej, w drodze do domu zasnę za kierownicą.

Poszłam do kuchni i wyjęłam dwa kieliszki z kredensu nad zmywarką. Jeannie wyminęła mnie i zniknęła w toalecie przy tylnych drzwiach. Znała ten dom tak dobrze jak ja.

Była jeszcze w ubikacji, kiedy wróciłam z kieliszkami do salonu. Jej notes i pudełko, które tak do siebie tuliła, leżały na półce obok kolekcji fajek. Przygryzłam wargę i ciekawość zwyciężyła, choć nie byłam pewna, czy rzeczywiście chcę się przekonać, co w tym pudełku jest. A jeśli Jeannie coś ukradła? Narzekała na problemy finansowe, była wściekła na mojego tatę o to, że nie zostawił jej w spadku większej sumy, no i przez bitą godzinę mogła do woli szperać w jego zbiorach.

Z toalety nie dobiegały żadne dźwięki. Odłożyłam notes Jeannie na bok i uniosłam wieko pudełka. W środku były pozółkłe wycinki prasowe. PRAWDOPODOBNE

UTONIĘCIE LISY MACPHERSON. SAMOBÓJSTWO? – przeczytałam pierwszy nagłówek.

Po co tata zachował te artykuły? Myślałam z bólem o nim i mamie. Jak musieli się czuć ze świadomością, że nie zdołali zapobiec śmierci córki?

Usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi toalety, ale nie zamknęłam pudełka.

– Riley, nie! – Jeannie rzuciła się ku mnie, gdy tylko weszła do pokoju.

Podniosłam pudełko wysoko i odwróciłam się do niej plecami. Stała ze zwieszonymi rękami.

– Skarbie, lepiej tego nie rób – poprosiła. – Nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Po co to wszystko zachował? – spytałam, opuściłam pudełko z powrotem i zajrzałam do środka. Uniosłam pierwszy artykuł, ten o jej domniemanym samobójstwie, i ręka mi zamarła, kiedy zobaczyłam następny nagłówek. Czcionka była wielka, litery grube i czarne i wpatrywałam się w nie ze zdumieniem i niedowierzaniem: OSKARŻONA O MORDERSTWO LISA MACPHERSON UZNANA ZA ZMARŁĄ.

## 12.

Powoli odwróciłam się do Jeannie. Stała obok mnie z dłońmi przyciśniętymi do twarzy. Jej niebieskie oczy były pełne łez.

Wskazałam ruchem głowy artykuł w pudełku. OSKARŻONA O MORDERSTWO LISA MACPHERSON UZNANA ZA ZMARŁĄ.

– Co to znaczy? – Mój głos przeszedł w szept.

Wyciągnęła rękę i delikatnie wyswobodziła pudełko z mojego uścisku.

– Nie chciałam, żebyś o tym wiedziała – powiedziała, odkładając je z powrotem na półkę. – Miałam nadzieję zabrać to pudełko, zanim się na nie natkniesz. Nie byłam pewna, gdzie je schował, a tak bardzo się bałam, że... – Potrząsnęła głową. – Zamknij to i wyrzuć, Riley. Tego życzyłby sobie twój tata.

Mówiła szybko, próbując odwrócić moją uwagę od tego, co zobaczyłam. Sięgnęłam do pudełka i wyciągnęłam artykuł, w którym moją siostrę nazwano morderczynią.

– Nie rozumiem. – Przeczytałam nagłówek jeszcze raz. – Nic a nic nie rozumiem.

– Wiem – westchnęła. – Wiem, co ci powiedziano. Że się zabiła, bo była przepracowana i miała depresję. Twoi rodzice nie chcieli, żebyś kiedykolwiek poznała prawdę.

– Jaką prawdę? – Znowu wzięłam pudełko, po czym usiadłam z nim przy sekretarzyku. Wyjmowałam artykuł po artykule i w każdym nagłówku rzucało mi się w oczy to samo słowo: *morderstwo, morderstwo, morderstwo*.

– Dlatego przeprowadzili się tutaj po śmierci Lisy. – Jeannie podeszła do ławy przy fortepianie i ciężko usiadła. – Żeby zabrać ciebie i Danny'ego jak najdalej od tych wszystkich oskarżeń i całej reszty. Jak najdalej od miejsca, gdzie zawsze byłabyś znana jako siostra morderczyni.

Spojrzałam na nią.

– Zrobiła to? Naprawdę kogoś zabiła? Kogo? Dlaczego?

– To był wypadek. – Ze złością przycisnęła dłoń do czubka głowy. – Och, ależ twój ojciec byłby na mnie wściekły.

– Powiedz mi! – zażądałam.

– Miała stanąć przed sądem – powiedziała Jeannie – i była przekonana, że wyląduje w więzieniu do końca życia. Prokuratura zamierzała oskarżyć ją o zabójstwo z premedytacją i gdyby ten zarzut się utrzymał, rzeczywiście dostałaby dożywocie.

Myślę jednak, że tak naprawdę popełniła samobójstwo, bo nie potrafiła żyć z tym, co zrobiła. Przypadkiem czy nie, zabiła człowieka. Miała tylko siedemnaście lat... była jeszcze dzieckiem!... i nie mogła znieść poczucia winy.

– Mój Boże. – Ta nowina spadła na mnie niczym grom z jasnego nieba. – Kim był ten człowiek? – spytałam znowu. – Kogo zabiła?

– Nazywał się Steve Davis – powiedziała. – Uczył ją gry na skrzypcach.

Wstrzymałam oddech, przypominając sobie wysokiego, szczupłego dyrygenta na taśmach wideo. To jego Jeannie miała na myśli?

– Owszem, była na niego zła, bo zaszkodził jej staraniom o przyjęcie na Juilliard, ale nie zabiłaby go za to, nie ma mowy – mówiła Jeannie. – Była cicha i delikatna. Nie zabiłaby umyślnie człowieka z żadnego powodu. To wszystko było takie niewiarygodne.

To rzeczywiście było niewiarygodne i miałam wiele pytań. Przejrzałam artykuły, aż znalazłam jeden ze zdjęciem Steve'a Davisa. Tak, to był ten facet. Na pewno. Z dłonią przyciśniętą do ust czytałam artykuł, podczas gdy Jeannie siedziała w milczeniu na ławie i czekała, aż poznam prawdę.

*Lisa Beth MacPherson, siedemnastoletnia skrzypaczka oczekująca na proces w sprawie zabójstwa byłego nauczyciela skrzypiec, Stevena Davisa, zaginęła i uznana została za zmarłą. Żółty kajak Lisy MacPherson znaleziono w poniedziałek rano w zamrzniętych wodach rzeki Potomac niedaleko Fort Hunt Park w Alexandrii, a jej białą hondę civic przy drodze na południe od przystani w Belle Haven. W samochodzie leżał tornister zaginionej, a także portfel z jej prawem jazdy oraz ponad trzydziestoma dolarami gotówką. W pobliskich, oblodzonych trzcinach znaleziono również niebieską kurtkę, przypuszczalnie należącą do Lisy MacPherson.*

*Ojciec zaginionej, Frank MacPherson, skontaktował się z policją w poniedziałek około ósmej rano, gdy znalazł w sypialni córki list pożegnalny. Jego treści nie ujawniono, ale rzecznik prasowy policji oświadczył, że Lisa MacPherson wyraziła zamiar odebrania sobie życia, a jej ojciec potwierdził, że list sporządzony został jej ręką. Matki i młodszego rodzeństwa MacPherson w tym czasie nie było w mieście.*

*Lisa MacPherson, oskarżona o zabójstwo czterdziestodwuletniego Davisa, przebywała na wolności, wypuszczona za kaucją. Miała być sądzona jak osoba dorosła, a początek procesu wyznaczono na najbliższą środę. Przewidywano, że obrona będzie się starała wykazać, iż doszło do nieumyślnego spowodowania śmierci. MacPherson planowała ubiegać się o przyjęcie na uczelnię muzyczną Juilliard, a Davis rzekomo oszkalował ją w liście wysłanym do zatrudnionego tam znajomego, który to fakt prokuratura zamierzała przedstawić jako możliwy motyw. Davis uczył MacPherson przez większą część jej kariery, w ostatnim czasie jednak pobierała lekcje u skrzypaczki Narodowej Orkiestry Symfonicznej, Cateriny Thoreau.*

*Znajomi MacPherson twierdzą, że po aresztowaniu popadła w głęboką depresję. Na wieść o prawdopodobnym samobójstwie uczennicy Caterina Thoreau wydała komunikat prasowy następującej treści: „To tragiczna wiadomość. Lisa jest największym talentem, z jakim miałam przyjemność pracować, i rysowała się przed nią wspaniała przyszłość. Zawsze wierzyłam, że zabójstwo Stevena Davisa to tragiczny wypadek, i zważywszy na wrodzoną wrażliwość Lisy, mogę sobie wyobrazić, jak trudno jej było żyć z takim ciężarem. Darzyła go (Davisa) wielkim szacunkiem”.*

*Davis, zamieszkały w McLean z żoną, Sondrą Lynn Davis, w chwili śmierci uczył na Uniwersytecie George’a Masona. Państwo Davis nie mieli dzieci.*

*Poszukiwania ciała MacPherson trwają.*

Wpatrywałam się w artykuł.

– Myślałam, że się zabiła, bo nie poradziła sobie ze stresem związanym z karierą i dlatego, że martwiła się o przyjęcie na Juilliard, i... – Zawiesiłam głos. Spojrzałam na Jeannie i pokazałam jej artykuł. – To wszystko prawda?

Skinęła głową.

– Niestety tak. Bardzo dobrze ją znałam, Riley. Była miłą dziewczynką... pracowita, zawsze myślała o przyszłości. Twoja matka uczyła ją w domu, jak na pewno wiesz, a jednak Lisa miała przyjaciół, chociaż nie chodziła do szkoły. Innych młodych skrzyptków i tak dalej. Miewała trudne okresy... – Spojrzała w dal, jakby przypomniawszy sobie coś przykrego, co spotkało Lisę. – Ale który młody człowiek ich nie ma?

– Myślisz, że zabiła go z powodu listu do Juilliard? – spytałam.

– Nie, oczywiście, że nie! Z takiego czy innego powodu wzięła rewolwer twojego ojca. Może chciała mu pokazać. Nie wiem. I...

– Pokazać? Bez sensu. Co, leżał gdzieś na wierzchu? Wygląda na to, że się wściekła i z premedytacją go zastrzeliła. – Kryształowy wizerunek mojej siostry, który nosiłam w sercu, szybko rozsypywał się w pył. Czuję się, jakbym znowu ją traciła.

– Frank winił siebie – powiedziała Jeannie. – Zawsze. Trzymał rewolwer służbowy pod kluczem w pokoju dziennym, ale Lisa wiedziała, gdzie go znaleźć. To było w waszym domu w Wirginii. Może Lisa tylko groziła Steve’owi tą bronią. Może rzeczywiście ją poniosło w związku z listem i zażądała, żeby naprawił wyrządzoną jej krzywdę. Tak to sobie wyobrażałam. Że groziła mu, zaczęli się szamotać i broń wypaliła. Czy tak było, nie wiem. Wiem tylko, że doszło do tragedii. Twoja matka nigdy w pełni nie doszła do siebie po tym, co wtedy przeżyła.

– Jestem w szoku – wyznałam szczerze. – To dlatego tata przeszedł na wcześniejszą emeryturę?

– Cóż, formalnie był za młody na emeryturę, ale odszedł dlatego, rzeczywiście. Chcieli z twoją mamą stworzyć tobie i Danny’emu nowe życie.

– Przecież Danny miał sześć lat, kiedy Lisa umarła. Na pewno jako tako orientował się w sytuacji, prawda? Wiedział, dlaczego naprawdę się zabiła.

Jeannie nagle jakby się postarzała, jej niebieskie oczy patrzyły zmęczonym wzrokiem.

– Masz rację – powiedziała powoli – i uważam, że rodzice oddali twojemu bratu niedźwiedzią przysługę. – Potarła skronie. – Przykro mi ich krytykować, bo zdaję sobie sprawę, że starali się przetrwać to wszystko najlepiej, jak umieli, i pewnie nie byli w stanie logicznie myśleć. W każdym razie zdecydowali, że ty i Danny musicie się wychowywać w niewiedzy o tym morderstwie, i dlatego ile razy twój brat pytał ich czy to o coś, co gdzieś usłyszał na ten temat, czy to o rzeczy, które mówiły inne dzieci, twoi rodzice przekonywali go, że to brednie. No i, jak wspomniałam, od razu się tu przeprowadzili i zaczęli nowe życie. O morderstwie Davisa i samobójstwie Lisy było głośno w całym kraju, ale tutaj dzieciom ta sprawa jakoś umknęła i z tego, co wiem, nie czeptały się Danny’ego. Dlatego, tak jak ty, ostatecznie uwierzył w wersję, że wasza starsza siostra zabiła się, bo miała depresję. – Zwarła dłonie na podolku. – A jeśli przypominał sobie cokolwiek, rodzice przekonywali go, że musiał coś źle zapamiętać. Myślę, że to było trochę okrutne. Czasem pewnie czuł się przez to, jakby wariował. Może to dlatego stał się taki... niezrównoważony. Kiedy się tu przeprowadziliście, sprawiał dużo problemów.

– Ciągłe miał kłopoty w szkole – przyznałam. – Wdawał się w bójkę, nie odrabiał lekcji. I prawie co wieczór kłócił się z mamą i tatą. – Pamiętałam te awantury. Kulłam się w moim pokoju, podczas gdy moi rodzice i Danny skakali sobie do gardeł, krzyczeli i spierali się o jego oceny, wulgarny język i towarzystwo, w jakim się obracał. Miałam wtedy jedenaście lat i tęskniłam za starszym bratem, który mnie hołubił i zawsze był moim obrońcą. Nakrywałam głowę poduszką, żeby wytłumić te hałasy.

– Dyrekcja szkoły zaleciła mu wizytę u psychologa – ciągnęła Jeannie – ale twoi rodzice nie chcieli o tym słyszeć. Bali się, że wyrwałoby mu się coś o... o morderstwie i samobójstwie Lisy, wszystko rozniosłoby się po New Bern i przeprowadzka poszłaby na marne.

To mnie poruszyło do głębi.

– Okropna historia – powiedziałam. – Potrzebował pomocy, a oni mu jej wzbranieli. Nie chcieli ryzykować, że rodzinne kłamstwa wyjdą na jaw. – Serce mi się krajało na myśl o tym, jak bardzo mój brat musiał być zagubiony. Nic dziwnego, że mówił o naszych rodzicach z taką goryczą. Trudno go za to winić.

Nie byłam pewna, komu w naszej rodzinie bardziej współczułam. Ukochanemu bratu, który wiedział jedno, a wmawiano mu coś zupełnie innego. Ojcu, którego przez całe życie musiało dręczyć poczucie winy, że nie upilnował swojego rewolweru. Czy matce, która straciła swoje najstarsze dziecko. No i była jeszcze moja siostra, ta



delikatna istota, którą widziałam na taśmach wideo, usiłująca żyć z wyrzutami sumienia spowodowanymi odebraniem życia drugiemu człowiekowi. Odchyliłam głowę na oparcie krzesła i zamknęłam oczy.

– Wolałabym tego wszystkiego nie wiedzieć – przyznałam.

Teraz jednak, kiedy już to wiedziałam, pragnęłam poznać całą prawdę.

Pożegnawszy się z Jeannie, siedziałam na łóżku i czytałam wszystkie artykuły, słowo po słowie. Jeden opisywał widok zastany przez policję w naszym domu: „Pana Davisa znaleziono na zalanej krwią podłodze salonu. MacPherson klęczała nad nim z magnum .357 w ręku. Davis, postrzelony w skroń i oko, zmarł na miejscu”.

Ten makabryczny opis na pewno wróci do mnie w koszmarach.

Większość pozostałych artykułów przytaczała te same fakty, ale przeczytałam wszystkie. Była już prawie północ, kiedy natrafiłam na najbardziej osobisty, najtrudniejszy w lekturze tekst. Był to odręczny list na kartce papieru w linie, nie oryginał, lecz ksero.

*Kochana mamo, kochany tato,*

*z całego serca przepraszam za wszystko, co przeze mnie musieliście przejść. Wiem, że to, co zamierzam zrobić, jeszcze bardziej utrudni Wam życie, przynajmniej przez jakiś czas, ale jestem pewna, że ława przysięgłych nie uwierzy mi, że to był wypadek, a nie mogę pójść do więzienia. Sama myśl mnie przeraża. Po prostu nie dam rady. Na dłuższą metę tak będzie lepiej dla wszystkich. Bardzo kocham Was, Riley i Danny'ego. Przepraszam, że okryłam naszą rodzinę hańbą.*

*Ściskam Was mocno,  
Lisa*

## 13.

Głęboką ciszę w lesie mącił tylko szelest naszych kroków, kiedy szliśmy z Dannym po kobiercu z brązowych igieł sosnowych i kęp jaskrawozielonego poszycia. Byłam w świecie mojego brata, choć nie na jego zaproszenie. Tego ranka przyjechałam do niego z pudełkiem wycinków prasowych, niespokojna, a zarazem ciekawa, co pamiętał o morderstwie Davisa i samobójstwie Lisy. Ile wiedział. On jednak się nie odezwał. Siedząc przy stole, przejrzał dwa artykuły, po czym z twarzą prawie tak czerwoną jak jego T-shirt odepchnął pudełko na bok, złapał strzelbę, wypadł z przyczepy i ruszył w las. Pobiełam za nim, przerażona, że przynosząc mu te wycinki, popełniłam największy błąd w życiu.

Kiedy jednak go znalazłam, szedł pomału, jakby w nadziei, że go dogonię. Wciąż patrzył prosto przed siebie, niosąc strzelbę na ramieniu. Zrównałam się z nim. Przez co najmniej dziesięć minut szliśmy w milczeniu i niepokój powoli zaczął mnie opuszczać. Ta cisza i gruby dywan igliwia pod naszymi nogami miały w sobie coś kojącego. Wokół nas, jak okiem sięgnąć, proste niczym strzały pnie sosen celowały w niebo, gdzie eksplodowały purchawkami z długich, zielonych igieł. Zerknęłam przez ramię – ze wszystkich stron ten sam widok. Nie byliśmy na ścieżce i wiedziałam, że bez Danny’ego zabłądziłabym.

– Po czym poznajesz, gdzie jesteśmy? – szepnęłam. Czułam, że nie wolno mi rozproszyć czaru tego lasu swoim głosem.

– Po prostu wiem. – Pokazał coś z przodu. – Tam lubię przychodzić.

Spojrzałam w to miejsce, ale zobaczyłam tylko identyczne pnie drzew. A jednak po przejściu kilku kroków zrozumiałam. Przed nami otworzyła się owalna połać trawy, otoczona sosnami tak wysokimi, że przestrzeń pod nimi przypominała wnętrze katedry.

– Aha – powiedziałam. – Rozumiem dlaczego. Pięknie tu.

Podszedł do jednego z drzew i usiadł na poduszce z igliwia u jego podnóża, kładąc strzelbę na ziemi obok siebie. Klapnęłam obok i kiedy na niego spojrzałam, powoli kręcił głową z zamkniętymi oczami. Czekałam. Po kilku minutach wreszcie podniósł powieki.

– Wiesz, jak to jest, kiedy człowiekowi się wydaje, że coś pamięta, ale nie jest pewien, czy to mu się aby nie przyśniło? – spytał, wpatrzony w drzewa. – Albo czy

nawet... tego sobie nie wymyślił?

– Tak – przyznałam.

– Mama twierdziła, że mam bujną wyobraźnię. Powinieneś być pisarzem, mówiła mi, bo wymyślałem takie niestworzone historie. – W jego głosie brzmiała gorycz. – Śmiała się z tych moich historii. Kiedy pytałem, czy pamięta, jak któregoś dnia wróciliśmy z zakupów i wysiadając z samochodu, usłyszeliśmy dwa strzały, mówiła: „Och, ależ ty masz fantazję!”. A jak wspominałem plamy krwi na dywanie w salonie, wyrzucała mi: „Skoro już musisz wymyślać historie, czemu nie wymyślisz ładniejszych?”.

– Och, Danny. – Dotknęłam jego ramienia i ulżyło mi, kiedy nie odtrącił mojej ręki.

– Pamiętam syreny – powiedział. – Myślałem, że przyjechali po ciebie.

– Po mnie?

Przytaknął.

– Krwawiłaś. Miałaś rozciętą głowę.

– Mam bliznę na czole... – Uniosłam grzywkę, żeby pokazać mu małą skazę nad moją lewą brwią, ale nie patrzył na mnie, zatopiony we wspomnieniach.

– Krzyczałaś.

Opuściłam grzywkę z powrotem na czoło.

– Mama zawsze mówiła, że uderzyłam się w stolik, kiedy byłam mała, ale tego nie pamiętam.

– Myślałem, że to dlatego jedzie pogotowie, ale to nie było dlatego, prawda? –

Pokręcił głową jakby w odpowiedzi na swoje pytanie. – Przyjechali po jej nauczyciela. Tego faceta, którego zabiła.

– Niechcący – dodałam. – Chyba czytałeś, że to był wypadek?

– „Postrzelony w oko” – zacytował fragment artykułu. – Wiedziałem to. Wiedziałem... – Przeczesał włosy palcami. – Skąd to wiedziałem? Czy tam byłem? Słyszałem? – Mocno potarł skronie w geście frustracji, po czym wreszcie spojrzął na mnie. – Ja o tym wszystkim wiedziałem, Riles – stwierdził. – Wiedziałem, tylko zapomniałem.

– Myślę... – zaczęłam ostrożnie, żeby nie sprowokować kolejnej tyrady o naszych rodzicach... choć może na to zasługiwali? – Myślę, że mama i tata zrobili wszystko, co w ich mocy, żebyś o tym zapomniał.

– Nie musiałem wtedy chodzić do szkoły – powiedział. – Przez jakiś czas uczyła mnie mama, jak Lisę, chociaż Lisy nie było w domu. – Zmarszczył brwi, jakby wyteżała pamięć. – Ciągle jeździła na wycieczki czy tournée, ale... może wtedy była w areszcie? Na pewno. Nie skojarzyłem tych syren z faktem, że mam lekcje w domu, ani w ogóle z niczym. Myślałem, że to kara za coś, co zrobiłem. Nie pozwalali mi się bawić na podwórku. – Mówił chaotycznie, usiłując powiązać fakty ze sobą. – Prawie jej nie znałem – powiedział. – Lisy. Jedenaście lat starsza, wiecznie nieobecna. Nasze

życie było podporządkowane jej planom. Cały świat obracał się wokół niej. – Chwyć garść igieł sosnowych. Jego twarz wciąż nic nie wyrażała, ale głos był napięty. I nagle Danny złagodniał. – Za to ciebie lubiłem zawsze – dodał, zerkając na mnie. – Fajny był z ciebie brzdąc.

Nie mogłam uwierzyć, że tak do mnie mówi. Tak bardzo się otwiera.

– Byłeś moim najlepszym przyjacielem – zapewniłam.

Upuścił igły. Potarł dłońmi okryte dżinsem kolana.

– Co jakiś czas śni mi się ten sam koszmar – wyznał. – Nienawidzę go. Jest najgorszy ze wszystkich.

– Chcesz opowiedzieć...

– Myślałem, że był o Iraku. – Przerwał mi, pogrążony w zadumie. – Ale teraz już nie mam pewności, bo jest w nim mama. Zawsze. Zawsze krzyczy.

Patrzyłam, jak mięśnie jego szczęki się napinają.

– Samobójstwo jest dla tchórzy. – Wziął w palce gałązkę i obracał w palcach. – To znaczy współczuję weteranom, którzy się na to decydują, rozumiem ich. Brzemie staje się za ciężkie. Może nie mają takiego miejsca jak to, gdzie mogą się schronić.

Nie byłam pewna, co rozumiał przez „takie miejsce jak to”. Potem dotarło do mnie, że chodzi mu o ten kawałek lasu. Jego azyl. Byłam wzruszona, że mnie do niego dopuścił.

– Dlatego nie musisz się obawiać, że ze sobą skończę, jasne? – Zerknął na mnie. – Bo wiem, że się tym zamartwiasz.

Bałam się zmącić serdeczną atmosferę, jaka między nami zapanowała, ale uznałam, że spróbuję ją wykorzystać, by podrażnić głębiej.

– Owszem, martwię się – przyznałam. – Wiem, że jesteś w depresji. Gdybyś brał przepisane ci leki, może byłoby ci...

– Nie jestem w depresji.

*Akurat, pomyślałam.*

– Jak w takim razie określiłbyś to, co czujesz? Co...

– Jestem wkurzony i tyle! – Złamał gałązkę w palcach. Trzask był ledwo słyszalny, a mimo to aż podskoczyłam.

– Na kogo? – spytałam.

– Łatwiej byłoby wyliczyć, na kogo nie jestem wkurzony – odparł. – Po pierwsze, na nasz zaszary rząd. Za te wszystkie podłości, które kazali mi tam robić. Zmusili mnie... – Gniewnie potrząsnął głową. – Jak spędzi się tam trochę czasu, przestajesz widzieć w ludziach ludzi, wiesz? I jestem wkurzony na naszych rodziców. Naszego zakłamanego ojca i tę królową lodu, naszą matkę. I na naszą siostrę, tę samolubną sukę! – Jego twarz była czerwona i mokra od potu, głośno oddychał. – Zabierała całe powietrze w naszym domu. Dla nikogo innego go nie starczało.

– Ale – zaczęłam ostrożnie – nie pomyślałaś nigdy, jak jej się żyło, kiedy dorastała?

Pod jaką była presją?

– Nie, do cholery! – Jego gniew zburzył nabożną ciszę w lesie. – Nikt jej nie zmuszał, żeby grała na skrzypcach. Nikt nie kazał jej zabić tego pieprzonego nauczyciela. Dostała wszystko na srebrnej tacy i ani myślała się podzielić z innymi!

Wsunęłam palce w igliwie. Słyszałam głęboki, szybki oddech Danny'ego i przybrałam możliwie najspokojniejszy ton, żeby dać odpór jego furii.

– Ja tylko próbuję zrozumieć, dlaczego ludzie postępują tak, a nie...

– Nie wciskaj mi swoich psychologicznych gadek, dobra? – warknął. – Nie cierpię, kiedy to robisz!

Oślupiałam.

– Chcę tylko...

– Zmieniasz się w jakiegoś robota zaprogramowanego, żeby pleść te sztuczne, przymilne bzdety, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. – Spojrzał na mnie z wyiekami na twarzy. – Jak długo studiowałaś? Pięć? Sześć lat? I myślisz, że posiadasz wystarczającą wiedzę, żeby grzebać ludziom w głowach, chociaż nie przeżyłaś nawet chwili w prawdziwym świecie? Może poradzisz sobie z trzynastolatkiem. Czternastolatkiem. Ale ja, siostrzyczko, to dla ciebie za wysokie progi.

Czułam się, jakby przywalił mi kolbą strzelby w brzuch.

– Danny. – Ból był tak silny, że straciłam głos.

– W ogóle mnie nie rozumiesz, jasne? – Złapał strzelbę i zerwał się na równe nogi. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Spojrzał na mnie z góry gniewnymi, jasnoniebieskimi oczami. Nachylił się tak, że nasze twarze dzieliło może pół metra. – [To nie mój umysł jest chory – powiedział – tylko moja dusza. A jej nie wyleczysz prochami.](#)

Odwrócił się i choć utykał, wszedł w las wielkimi, szybkimi krokami. Odetchnęłam z ulgą. Poczekiałam chwilę, dygocząc, po czym podniosłam się i ruszyłam za nim w pewnym oddaleniu na nogach jak z waty. Nie chciałam go dogonić – nie mogłam w tej chwili z nim rozmawiać, nie po takim wybuchu złości – ale musiałam mieć go w zasięgu wzroku. Sama za skarby świata nie wyostałabym się z tego lasu. Dzięki Bogu za jego czerwoną koszulkę! Oczy mnie paliły, kiedy śledziłam ją z oddali, i zanim zrozumiałam, co się dzieje, popłakałam się. Jego słowa bolały do żywego. Czy zawsze miał o mnie takie niskie mniemanie? Że jestem jedynie niedouczoną szarlatanką, która „wciska psychologiczne gadki”? Czułam, że nie tyle straciłam brata, ile tak naprawdę nigdy go nie miałam.

Szłam w bezpiecznej odległości za nim wśród sosen, rozmyślając nad jego słowami. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak to jest być Danny'm. Dorastać z rodzicami, którzy wmawiają ci, że twoje wspomnienia to majaki. Potem dostawać rozkazy, by robić rzeczy – może torturować ludzi? może zabijać? – wbrew twojej woli. Wbrew twoim

wartościom.

Może miał rację. Może rzeczywiście to dla mnie za wysokie progi. Byłam świetną studentką – nie zmarnowałam na uczelni ani chwili – i sporo wiedziałam o leczeniu nie zrównoważonego umysłu.

Ale nikt mnie nie nauczył leczyć duszy.

## 14.

Kiedy wróciłam do domu, zraniona na duszy i wstrząśnięta rozmową z bratem, wzięłam jogurt z lodówki i usiadłam na werandzie, ale po pierwszym łyku straciłam apetyt. Danny słyszał strzały. Widział krew na podłodze. Czy zobaczył coś jeszcze, co rodzice usiłowali wymazać z jego pamięci? Kiedy myślałam o tym dyrygencie z taśmy wideo z festiwalu w Rzymie leżącym bez życia w salonie, z przestrelonym okiem, robiło mi się niedobrze. Nawet nie zobaczyłam tego dręczącego mnie obrazu na własne oczy, a mimo to nie mogłam się go pozbyć. Jak mój brat mógł z tym żyć?

Odstawiłam jogurt do lodówki i wróciłam na werandę z laptopem. Choć wentylator pod sufitem pracował na pełnych obrotach, było mi gorąco, ale na to nie zważałam. Pragnęłam dowiedzieć się wszystkiego o człowieku, który, jak sądziłam, na zawsze pozostanie w moich myślach. W wycinkach prasowych wyczytałam, że Steven Davis nie miał dzieci, ale miał żonę. Jak poradziła sobie bez niego?

Poszukałam w archiwach „Washington Post” i szybko się okazało, że w wiadomościach przewijało się wielu Stevenów Davisów. Dodałam słowo klucz „zamordowany” i to znacznie skróciło listę wyników. Znalazłam wiele tych samych artykułów, które mój ojciec – może mama też? – trzymał w pudełku, ale były też inne. Na przykład nekrolog, według którego Davis po raz pierwszy wziął skrzypce do ręki w wieku pięciu lat, tak jak moja siostra. Miał wrodzony talent, uczniowie go kochali. Po ukończeniu Juilliard przez pięć lat grał w Narodowej Orkiestrze Symfonicznej.

Koledzy z orkiestry wspominali go jako „czarującego perfekcjonistę, zdyscyplinowanego, pełnego pasji muzyka”. Obok widniało zdjęcie Davisa ze skrzypcami, czarno-biały portret, na którym się nie uśmiechał, ale i nie srożył. Na tej fotografii był po prostu przystojnym facetem z siwymi nitkami w ciemnych włosach na skroni i idealnie symetryczną twarzą, która wyglądała jak wyciosana z kamienia.

Sprawdziłam w Google jego żonę, Sondrę Lynn Davis, i znalazłam długą listę linków do bloga „Niezapomniani: miejsce spotkań rodzin ofiar morderstw”. Wpatrywałam się w ten tytuł całą minutę, zanim na niego kliknęłam.

Obraz w nagłówku bloga chwycił za serce. Odwrócona plecami para oglądała wschód słońca nad mlecznoszarym oceanem. Mężczyzna podnosił dłoń kobiety do ust w jednoznacznie czułym, intymnym geście. Choć widać było właściwie tylko ich

sylwetki, wiedziałam, kto to. Wiedziałam, że ten mężczyzna sądził, że jest o wiele za młody, żeby martwić się śmiercią.

Zanim jeszcze bardziej zatraciłam się w tym obrazie, opuściłam oczy na wstępny wpis na blogu.

## **NIEZAPOMNIANI: Miejsce spotkań rodzin ofiar morderstw**

27 października 1989 roku straciłam mojego męża i najlepszego przyjaciela, Steve'a Davisa. Steve był wybitnym muzykiem. Przez wiele lat grał w Narodowej Orkiestrze Symfonicznej, po czym podjął pracę na uczelni w północnej Wirginii, aby spędzać mniej czasu w rozjazdach i być blisko domu. Był kochającym, oddanym mężem. Udzielał prywatnych lekcji skrzypiec i to stało się początkiem końca. Nie przyjmował uczniów, żeby sobie dorobić, powodowało nim pragnienie, by pomóc w nauce jak największej liczbie osób. I tak trafiła do niego Lisa MacPherson.

Lisa zaczęła pobierać u niego lekcje w wieku zaledwie pięciu lat. Uczył ją na skrzypcach w rozmiarze 1/8 i ponieważ świetnie się zapowiadała, pracował z nią niezwykle ciężko. Od małego była równie ambitna jak on. Oczywiście miał oprócz niej wielu innych uczniów, wydaje się jednak, że w Lisie widział samego siebie sprzed lat, ponieważ zaczął grać w tym samym wieku co ona i z podobnym entuzjazmem. Każdy wybitny nauczyciel pragnie natchnąć choć jednego ze swoich podopiecznych, by wzniósł się na wyżyny sztuki, i wybór Steve'a padł właśnie na Lisę. Dzięki jego wielkiemu zaangażowaniu było oczywiste, że wysoko zajdzie. Steve organizował jej koncerty, rozmawiał w jej imieniu ze szkołami muzycznymi i zabrał ją i resztę swoich najzdolniejszych uczniów na festiwale w Montrealu i Rzymie. Oddał tej młodzieży całe serce i duszę.

Przez lata poznałam wszystkich uczniów Steve'a. Wszyscy bez wyjątku byli utalentowani, niepowtarzalni i intrygujący. Uważam, że każdy zapalony muzyk, ze Steve'em włącznie, jest nieco ekscentryczny. Lisa jednak zawsze wydawała mi się więcej niż tylko nieco ekscentryczna. Wyczuwałam w niej jakieś niezrównoważenie, które pozostawało niedostrzeżone, a tym samym nieleczone. Steve lekceważył moje obawy. Dopóty, dopóki pięknie grała, nie przejmował się jej stanem psychicznym. A powinien był.

Jako nastolatka Lisa poświęcała muzyce coraz mniej uwagi. Nawiązała współpracę z innymi nauczycielami i jej umiejętności na tym ucierpiały. Zrozpaczony tym, że Lisa marnuje swój talent, Steve napisał do starego znajomego z Juilliard, jednej z uczelni, na które złożyła papiery. W liście żalił się, że Lisa straciła czucie gry, i wieść o tym jakimiś drogami dotarła do niej.

Steve miał wielkie wyrzuty sumienia z powodu tego listu. Przez cały tydzień nie mógł spać, stał się małomówny, zamknięty w sobie. Wreszcie postanowił pójść do Lisy, żeby ją przeprosić. Wtedy ona – powiem wprost – podstępnie postrzeliła go w głowę z rewolweru swojego ojca. Steve umarł na miejscu.

Krótko przed tym, jak miała stanąć przed sądem pod zarzutem zamordowania mojego męża, Lisa MacPherson „utopiła się” w rzece Potomac. Jej ciała nigdy nie odnaleziono i jestem przekonana, że upozorowała samobójstwo. Policja przestała jej szukać, ale ja nie przestanę nigdy. Wynajęłam prywatnego detektywa, który znalazł kilka obiecujących tropów, organy ścigania jednak nie chciały ich sprawdzić. Nagroda w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów za informacje o miejscu pobytu



Lisy MacPherson pozostaje aktualna, ale czy to przyniesie jakiś efekt, czy nie, w pewnym sensie i tak jest bez znaczenia. Nic mi nie przywróci mojego pięknego męża.

Czas nie leczy ran. Może człowiek już nie płacze dzień w dzień, ale ból pozostaje. Przed śmiercią Steve'a staraliśmy się o dziecko. Długo z tym zwlekaliśmy – może za długo – oboje chcieliśmy bowiem najpierw zdobyć pozycję zawodową. W dniach poprzedzających zabójstwo Steve'a poddawałam się leczeniu niepłodności i byliśmy pełni optymizmu. Gdyby terapia się powiodła, nasze dzieci byłyby dziś nasto-, może nawet dwudziestolatkami, i głęboko żałuję utraconej szansy na to, żeby stworzyć ze Steve'em rodzinę.

Przed dziesięcioma laty uprzytomniłam sobie, że nie jestem osamotniona w moim smutku. Tysiącom innych ludzi również zamordowano najbliższych. Wtedy zaczęłam prowadzić ten blog. To miejsce, gdzie możecie opowiadać o swoich doświadczeniach i gdzie możemy wspierać się nawzajem. Jeśli ktoś z waszych bliskich został zamordowany, tutaj możecie przedstawić swoją historię.

Nie wiem, ile razy przeczytałam ten wpis, siedząc w dusznym upale na werandzie. Szukałam między wierszami... sama nie wiem czego. Kotłowały się we mnie emocje i zamęt ten przyprawiał mnie o doznania czysto fizyczne: ból w piersi, ucisk w żołądku. Ciało mojej siostry nigdy nie odnaleziono i myśl o jej kościach leżących gdzieś na dnie rzeki była nie do zniesienia. Wyobrażałam sobie, jak często rodzicom musiał stawać przed oczami obraz Lisy biorącej ostatni oddech, może wpadającej w panikę w ciemnej, lodowatej wodzie przed ostateczną utratą przytomności. Nic dziwnego, że chcieli uchronić Danny'ego przed prawdą. I nic dziwnego, że moja matka, nawet kiedy była ze mną w jednym pokoju, często wydawała mi się tak odległa.

Raz po raz wracałam do słów „wyczuwałam w niej jakieś niezrównoważenie”. Znowu pomyślałam o dziewczynie z kaset wideo, zawsze trzymającej się nieco na uboczu z Mattym... chyba że akurat kazano jej grać. Nie czuła się swobodnie wśród tych nastolatków, prawda? Czy cierpiała na jakąś niezdiagnozowaną chorobę psychiczną, jak sugerowała Sondra Davis? Współczułam tej kobiecie, wciąż pogrążonej w żałobie po dzieciach, których nie dane jej było mieć, wynajmującej detektywów, by szukali mojej nieżyjącej siostry. *Ale przecież minęło ponad dwadzieścia lat*, pomyślałam. Sondra powinna sobie odpuścić. Miałam ochotę do niej napisać, choć wiedziałam, że nigdy tego nie zrobię. Pragnęłam złożyć jej kondolencje i przekonać ją, że jestem pewna, absolutnie pewna, że Lisa nie chciała zabić jej męża. No ale mnie łatwo było w to wierzyć, bo nie wyobrażałam sobie, bym sama mogła z premedytacją odebrać komuś życie.

A ona nie była mną, prawda?

## 15.

Kiedy nazajutrz rano otworzyłam drzwi domu, Jeannie i jej córka wpadły do salonu jak wystrzelone z procy. Cofnęłam się o krok przed tą eksplozją energii.

– Riley, to Christine – powiedziała Jeannie, kładąc torebkę na stoliku przy drzwiach.

– Riley! – Szeroki uśmiech przeciął twarz Christine na pół. Miała ciemne włosy spięte w koński ogon, a jej duże oczy były brązowe, nie niebieskie, ale od razu poznałam w niej córkę Jeannie. – Tak się cieszę, że cię widzę! – Złapała mnie za rękę i torba zsunęła się z jej nadgarstka na mój. Potrząsnęła moimi dłońmi. – Kiedy ostatnio cię widziałam, byłaś jeszcze małym dzieckiem, wyobrazasz sobie? Tycim szkrabem!

Znowu, jak przy pierwszym spotkaniu z Jeannie, czułam się zupełnie stłamszona, skrzepowana niczym w kaftanie bezpieczeństwa. Niedaleko padło jabłko od jabłoni.

– Mnie też miło cię poznać, Christine – powiedziałam. – Cieszę się, że możesz mi pomóc.

– Oczywiście, że mogę! – Zdjęła swoją torbę z mojego nadgarstka. – A to taki piękny dom. Na pewno masz tu tysiące skarbów. Mama dużo mi opowiadała o zbiorach twojego ojca.

– Cóż, nie mam pojęcia, czy są cenne, czy nie. – I właściwie było mi to obojętne. Chciałam tylko rzucić na cudze barki ogrom pracy związanej z opróżnianiem domu, żeby móc się skupić na zamęcie emocjonalnym w moim życiu.

– Jesteś taka ładna... Prawda, mamu, że jest ładna? – spytała Christine, zwracając się do Jeannie. Oglądały mnie uważnie z progu domu.

– I to jak – przytaknęła Jeannie.

– Oj, przestańcie! – spieszyłam się i uciekłam do kuchni przed ich badawczymi spojrzeniami. – Przynieść wam coś? – spytałam przez ramię. – Butelkę wody? Lemoniadę?

– Nie trzeba – powiedziała Jeannie.

– Ja też dziękuję. – Christine ruszyła za mną, ale po drodze stanęła przy gablocie z fajkami i wgapiała się w nią, podparta pod boki. – Mama mówiła, że Danny rozbił szklane drzwi. Kiedy go znałam, był takim słodkim dzieckiem. Ludzie się zmieniają, co?

Patrzyłam na nią, z jednej strony pragnąc stanąć w obronie Danny'ego, z drugiej

zbyt zirytowana jej pytaniem, żeby wydobyć z siebie choćby słowo. Nie miałam kontaktu z bratem od naszej rozmowy w lesie poprzedniego dnia, myślałam jednak o niej prawie bez przerwy. Byłam ciekawa, czy też ją rozpamiętywał, czy może gdy tylko te ostre słowa wyszły z jego ust, od razu o nich zapomniał. Utopił je w alkoholu razem ze wspomnieniami.

Christine wzięła jedną z fajek i uważnie ją obejrzała.

– Hm, rzeczoznawcy będą mieli pole do popisu, prawda, mam? – spytała.

– A nie mówiłam? – Jeannie podeszła do córki i objęła ją ramieniem. Potem odwróciła się do mnie. – Umówiliśmy się z rzeczoznawcami na dziś po południu.

Poczułam leciutkie ukłucie niepokoju. Owszem, chciałam, żeby dom został opróżniony, ale miałam nieodparte wrażenie, że zanim to się stanie, zupełnie stracę panowanie nad sytuacją. Choć nie twierdzę, że w ogóle nad czymkolwiek panowałam.

– Proszę, żebyście konsultowały ze mną ważne decyzje – powiedziałam. – I pamiętajcie, że po wycenie fajki trafią do Toma Kyle’a, nie na wyprzedaż.

– Ależ oczywiście – obiecała Jeannie.

Christine wyczuła moje zaniepokojenie.

– Dziś zrobię tylko ogólną inwentaryzację – zapewniła. – Zwykle pracuję z całą ekipą, ale jedna dziewczyna jest w ciąży i musi leżeć w łóżku, a druga chodzi na kursy wakacyjne, więc pomoże mi mama. Sortowaniem rzeczy i ustalaniem cen zajmiemy się później, przed samą wyprzedażą. Na razie chcę tylko wybadać grunt przed wizytą rzeczoznawców. – Uśmiechnęła się do mnie. – Zupełnie mnie nie pamiętasz, co? – W jej głosie pobrzmiwał smutek.

Potrząsnęłam głową, usiłując przybrać przepraszającą minę.

– Byłaś prześliczna – powiedziała. – Bawiłam się z twoją siostrą. – Zaśmiała się głębokim śmiechem palaczki, ale nie czułam od niej tytoniu. Ostatnie, czego chciałam, to żeby ktoś palił mi w domu. – Chociaż Lisa rzadko znajdowała czas na zabawę – dodała. – Była taka ambitna. – Pokręciła ze smutkiem głową.

Byłam ciekawa, czy Christine wiedziała, że moja siostra zabiła człowieka. Czy znała prawdziwą przyczynę samobójstwa Lisy?

– Cóż – powiedziałam, pragnąc zejść z tematu mojej rodziny. Rozłożyłam szeroko ramiona, obejmując tym gestem cały dom. – Od czego zaczniemy?

Zajęłam się niszczeniem starych papierów z szafek taty, a Jeannie i Christine wyruszyły na obchód domu. Od czasu do czasu słyszałam ich rozmowy, dźwięki otwieranych i zamykanych szaf, odgłos opuszczanych schodów na strych. Teraz byłam zadowolona, że Jeannie dobrze znała mojego ojca. Powiedziałam sobie, że na pewno powierzyły jej takie zadanie. To złagodziło uczucie dyskomfortu, jakie budziła we mnie myśl, że dwie niemal obce osoby grzebią w jego rzeczach.

*Spokojnie oddychaj, myślałam, słuchając ich krzątania. Wszystko będzie dobrze.*

Koło jedenastej Suzanne przysłała mi mejla z informacją, że musimy z Tomem Kyle'em złożyć podpisy pod aktem przekazania kolekcji fajek. Już do niego zadzwoniła, powiadomiła mnie, obiecał przyjść nazajutrz o drugiej. Czy mogłabym zjawić się w jej gabinecie o tej samej porze?

Nie uśmiechało mi się spotkanie z Tomem Kyle'em, choć z Verniece chętnie bym jeszcze porozmawiała. Napisałam jednak do Suzanne, że przyjdę.

Rzeczoznawcy, obaj mężczyźni, zjawili się razem, kiedy wracałam do niszczarki. Jeannie przywitała ich, przedstawiła mnie, po czym wysłała jednego na górę, żeby zajął się zapalniczkami i kompasami. Drugi mężczyzna, sobowtór Świętego Mikołaja – miał nawet śnieżnobiałą brodę i okrągły brzuch – przysunął krzesło do kolekcji fajek.

– Ładne – skwitował, kiedy skupiłam się na papierach, poza tym jednak prawie się nie odzywał. Ulżyło mi, że nic nie powiedział o brakujących szklanych drzwiach.

Jakiś czas później robiłam sałatkę jajeczną w kuchni, kiedy weszła Jeannie.

Oparła się o blat.

– Może nie powinnaś sprzedawać skrzypiec Lisy – powiedziała.

Wlałam łyżeczką majonez do miseczki.

– Co miałabym z nimi zrobić?

– Nigdy nic nie wiadomo. – Wzruszyła ramionami. – Może kiedyś będziesz miała zdolne dziecko, które zapragnie grać na skrzypcach. Kto wie? Może Danny pewnego dnia założy rodzinę. Nawet jeśli wy dwoje nie jesteście muzykalni, w waszych żyłach płynie krew MacPhersonów. Może talent muzyczny przejdzie na wasze potomstwo i byłoby fajnie, gdyby twój syn czy córka grali na skrzypcach twojej siostry.

Uznałam, że próbuje mnie w ten sposób uspokoić, że nie jestem adoptowana. Doceniałam jej dobre chęci.

– W sumie nie muszę już teraz decydować, co z tymi skrzypcami zrobić – stwierdziłam.

– Rzeczoznawca na górze mówi, że choć nie jest znawcą instrumentów strunowych, to na jego oko są cenne, więc może powinnaś przechowywać je gdzieś, gdzie byłyby bezpieczniejsze niż tutaj.

Skinęłam głową, mieszając sałatkę jajeczną w miseczce. Jeszcze jedna sprawa do załatwienia.

Poczułam na sobie jej wzrok.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Zwiesiłam rękę.

– Szczerze mówiąc, nie. Jak mogłoby być? – Mówiłam cicho, pamiętając, że w salonie jest rzeczoznawca. – Moja wybitnie uzdolniona siostra okazała się morderczynią. Moja rodzina może nie być moją rodziną. Z moim bratem jest kiepsko. I brakuje mi ojca. – Głos mi się załamał. Jeannie podeszła i objęła mnie ramieniem.

– Lepiej byłoby, gdybyś nie znalazła tych wycinków – stwierdziła. – To moja wina. Powinam...

– To nie twoja wina, Jeannie. – Odruchowo zgarbiłam ramiona, zrzucając jej rękę. – Miałam prawo znać prawdę i dobrze, że ją znam. Ona wiele wyjaśnia.

– Twoja rodzina była... jest twoją rodziną. Łączą was więzy krwi. Ta historia z adopcją... to jedna wielka bzdura. Jestem tego całkowicie pewna. Nie wiem, za kogo Verniece Kyle się uważa, żeby zasiewać w tobie wątpliwości. Porzuć te obawy, proszę.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zadźwięczał dzwonek u drzwi.

– Ktoś przyszedł! – zawołał z salonu rzeczoznawca od fajek.

– Och! Przyjechali po fortepian! – oznajmiła Jeannie.

– Dzisiaj? – Nawet nie wiedziałam, że już się z nimi umówiła, i nagle poczułam pokusę, żeby pobiec do salonu i zagrozić im drogę. Nie zniosę obecności kolejnych nieproszonych gości.

– Nie martw się – powiedziała, wychodząc do salonu. – Zajmę się tym. Nie musisz nic a nic robić!

Jadłam w kuchni kanapkę z sałatką jajeczną, a pracownicy ekipy transportowej stukali młotkami, stękali i wrzeszczeli na siebie w salonie. Nawet tam nie zajrzałam, żeby zobaczyć, jak rozmontują fortepian. Zamiast tego siedziałam przy małym stole kuchennym i czytałam komentarze na Facebooku. Bryan i ja usunęliśmy się nawzajem z listy znajomych, a mimo to co parę dni zaglądałam na jego profil i wpatrzona w jego uśmiechniętą twarz na zdjęciu, zastanawiałam się, czy popełniłam błąd. Przez dwa lata naszego związku nie zmienił tej fotografii. Przedstawiała go stojącego na tle różowego zachodu słońca z trzyletnim wówczas synem i czteroletnią córką, którzy wdrapywali się po nim niczym małe małpki. To zdjęcie wciąż mnie rozśmieszało. Tęskniłam za tymi dziećmi prawie tak mocno jak za nim. Kiedy jednak patrzyłam na ten radosny obrazek, byłam zadowolona z mojej decyzji. Jego miejsce było u boku dzieci i – czy zdawał sobie z tego sprawę, czy nie – żony.

W salonie nagle zapadła cisza i usłyszałam głosy na ganku. Zaczekałam, aż umilkną, po czym wyszłam z kuchni, mijając sobowtóra Świętego Mikołaja, który wciąż oglądał fajki. Stałam na środku salonu i wbiłam wzrok w ogromne, puste miejsce, w którym, odkąd sięgałam pamięcią, stał fortepian. Zabrakło mi tchu. Złapałam się za serce. Miałam dopiero dwadzieścia pięć lat, ale bałam się, że ten miesiąc mnie zabije. Skoro tak trudno mi było się rozstać z fortepianem, na którym nawet nie umiałam grać, jak rozstanę się z domem, który kochałam?

Opadłam bezsilnie na kanapę i w tej samej chwili Christine zbiegła po schodach z iPadem w ręku.

– No proszę! – zawołała. – Nie ma fortepianu! Mama zabrała się z ekipą

transportową, zgaduję?

Skinęłam głowę.

– Chyba tak.

– Rzeczoznawca na górze już prawie skończył – oznajmiła. – Jest zachwycony kompasami! – Odwróciła się do mężczyzny przy fajkach. – Jak idzie?

Zamknął komputer.

– Prawie gotowe – powiedział, gładząc się po brodzie. – Muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy w biurze, ale wstępna wycena to siedemnaście tysięcy.

– O rany! – Usiadłam prosto. Nie miałam pojęcia, że te fajki są aż tyle warte. Może Tom Kyle przestanie wreszcie zrzedzić.

Rzeczoznawca wsunął komputer do teczki i ruszył do drzwi.

– Za kilka dni prześlę dokładne wyliczenia i przygotuję certyfikat. – Mówił raczej do Christine niż do mnie, więc nie zadałam sobie fatygi, żeby wstać, kiedy wyprowadziła go z domu. Po powrocie do salonu usiadła przy sekretarzyku mojego taty, bokiem na krześle, twarzą do mnie, z iPadem na udach.

– Jak idzie niszczenie dokumentów? – spytała.

– Pomału – westchnęłam. – Boję się, że wyrzucę coś, co potem okaże się ważne.

– Och, nie musisz być ostrożna – stwierdziła. – Jestem pewna, że większość papierów nadaje się do wyrzucenia. – Odgarnęła grzywkę na skroń i zobaczyłam, że ma wilgotne czoło. Na strychu, gdzie pracowała, musiało być potwornie gorąco i nagle zrobiło mi się jej żal.

– Niełatwo jest przeglądać cudze rzeczy – zauważyłam. – Pewnie zostawiłam ci straszny bałagan, ale Jeannie mówiła, żeby oprócz starych papierów niczego nie wyrzucać.

– I chwala jej za to – powiedziała Christine. – Uwielbiam szperać w cudzych gratach, więc nie przejmuj się bałaganem. – Dotknęła ekranu iPada. – Przyjdziemy z mamą jutro, jeśli ci to nie przeszkadza. Wiem, że chcesz mieć to z głowy jak najszybciej.

– Im szybciej, tym lepiej – przyznałam.

– Jest kilka spraw, które muszę z tobą omówić. – Znów stuknęła w ekran. – Komputer w gabinecie na górze. Chcesz się go pozbyć?

Skinęłam głowę.

– Należał do mojego ojca. Pewnie najpierw powinnam wyczyścić twardy dysk.

– No właśnie. Możemy to zrobić za ciebie, ale zanim nam go oddasz, lepiej sprawdź, czy nie ma tam czegoś, co mogłoby być ci potrzebne.

– Dobrze.

– W tym samym gabinecie zostawiłam ci plastikową torebkę z kluczami, które znalazłam w różnych pokojach – powiedziała. – Przejrzyj je i zobacz, czy któregoś nie należałoby zachować. I zanoś do tego gabinetu wszystko, co chcesz zatrzymać.

Mama wie, że nie można niczego stamtąd zabierać, oczywiście oprócz zapalniczek, kompasów i instrumentów.

– Z mojej sypialni też nie – dodałam. – Niczego tam nie ruszajcie.

– Oczywiście – obiecała. – A co z dawnym pokojem twojego brata? Właściwie nic tam nie ma, ale może chciałby...

– Jemu to obojętne – powiedziałam.

– Jeśli znajdziemy coś, co wygląda na rzecz osobistą albo pamiątkę rodzinną, to też przeniesiemy do gabinetu – zapewniła Christine. – Może tak być?

– Zgoda – przytaknęłam. – Chcę zatrzymać te jedne skrzypce, przynajmniej na razie.

– Skrzypce Lisy – domyśliła się. – Te z fiołkiem na przywieszce?

– Tak. – Podniosłam na nią oczy. Przekrzywiłam głowę. – Wiedziałaś o tym... co zrobiła? – spytałam.

Pierwszy raz po jej twarzy przemknął cień.

– Byłam wtedy za granicą i rzadko kontaktowałam się z mamą, więc całą historię usłyszałam później, po powrocie – powiedziała. – Twoja rodzina już przeprowadziła się tutaj. Byłam w szoku. Wiem, że moja mama czuła się okropnie. Naprawdę lubiła Lisę i żałowała, że z nią nie porozmawiała. Że jakoś jej nie pomogła.

– Lisie chyba nie dało się pomóc.

– Mhm. Tak bywa. – Spojrzała na mnie spod grzywki, która opadła jej z powrotem na czoło. – Mama mówiła, że o niczym nie wiedziałaś i że znalazłaś stare artykuły o tej sprawie. To musiał być dla ciebie wstrząs.

– Był – potwierdziłam. – Nadal jest.

– Cóż – westchnęła, podnosząc się na nogi. – Miejmy nadzieję, że to ostatni wstrząs, jaki przeżyłaś podczas opróżniania tego domu.

## 16.

– Marnie wyglądasz – powiedział Tom Kyle, kiedy nazajutrz siedzieliśmy naprzeciwko siebie w sekretariacie przed gabinetem Suzanne Compton. Całą drogę z domu do kancelarii pokonałam biegiem i wiedziałam, że moja osłonięta daszkiem przeciwśłonecznym twarz lśni od potu. Pierwszy raz zobaczyłam Toma ubranego w coś innego niż T-shirt i spodnie moro. Ogolił się, przyczesał przeredzone, siwe włosy, włożył spodnie khaki i elegancką, niebieską koszulę z krótkim rękawem. Jednak porządny strój nie odmienił jego wrednego usposobienia i żałowałam, że tata w ogóle coś mu zostawił. Pomyślałam o tym, że zdradzał Verniece, być może narażając na szwank jakieś ważne działania służb państwowych. Nie miałam pojęcia, co mojego ojca ujęło w tym człowieku, że pomógł mu zatuszować romans.

Korciło mnie, żeby odciąć się jakąś złośliwością na jego przytyk do mojego wyglądu, ale to raczej nie pomogłoby mi wyciągnąć z niego niezbędnych mi informacji. Chciałam wiedzieć dwie rzeczy: po pierwsze, dlaczego Verniece tak się upiera, że jestem adoptowana, i po drugie, czym sobie zasłużył na comiesięczne wypłaty od mojego ojca i jego kolekcję fajek. Postanowiłam zagrać na współczuciu Toma w nadziei, że chociaż opryskliwy, ma w sobie choć trochę empatii.

– Wiem – przyznałam, usiłując przybrać autoironiczny uśmiech. – Życie ostatnio trochę mi się pogmatwało.

Przyjrzał mi się spod krzaczastych, siwych brwi.

– Twój ojciec zostawił ci masę spraw na głowie – stwierdził.

Przytaknęłam.

– I czuję się zupełnie osamotniona. – Potarłam dłońmi wilgotne uda. – To mnie przytłacza.

Na jego twarzy dostrzegłam cień współczucia, zaraz jednak powróciła zwykła, posępna mina.

– Ten twój brat bardziej przeszkadza, niż pomaga, domyślam się – powiedział.

– Cóż, ma własne problemy.

Tom zerknął na biurko przy drzwiach gabinetu. Choć sekretarka Suzanne gdzieś wyszła i byliśmy sami, zniżył głos.

– Nie boisz się, że może popełnić samobójstwo jak twoja siostra? – spytał. – Czasem słychać tam strzały i Verniece się niepokoi. Zwykle chce pójść sprawdzić,



czy wszystko w porządku, ale zawsze jej mówię, że najlepiej zostawić go w spokoju.

Cała Verniece, wiecznie zatroskana o innych.

– Sytuacja mojej siostry wyglądała zupełnie inaczej – zauważyłam. – Danny nie robi krzywdy ani sobie, ani nikomu innemu, po prostu poluje. Verniece nie musi się obawiać. – Ciekawa byłam, czy Tom znał prawdziwą przyczynę samobójstwa Lisy. Pewnie tak. O morderstwie Stevena Davisa było wtedy głośno. Chyba tylko Danny i ja nie mieliśmy pojęcia, co się naprawdę stało.

– Cóż – powiedział Tom – daj znać, gdybyśmy mogli jeszcze jakoś pomóc na kempingu. – Wychylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. – Wiesz, to jest nasz dom – dodał. – Przeżyliśmy tam ponad dwadzieścia lat i nie wiem, gdzie się podziejemy, kiedy go sprzedasz.

Świdrował mnie wzrokiem, aż musiałam się odwrócić. Nie proponował pomocy z czystej dobroci serca; nie byłam jednak pewna, co jeszcze się za tym kryło.

– Cześć, Riley. – Do poczekalni weszła Suzanne z ręką wyciągniętą w moją stronę. – A to pan Kyle, jak sądzę.

Oboje uścisnęliśmy jej dłoń, po czym weszliśmy za nią do gabinetu i usiedliśmy prawie ramię w ramię naprzeciwko Suzanne.

– Riley – powiedziała, przypatrując mi się zza biurka – dobrze się czujesz?

– Tak. – Musiałam wyglądać jeszcze gorzej, niż przypuszczałam. Chciałam wrócić do domu. Christine i Jeannie znów buszowały w dobytku mojej rodziny i dziwnie się czułam, zostawiwszy je tam same. Christine zaczynała działać mi na nerwy swoją szorstkością. Była niecierpliwa i niezbyt dyplomatyczna w ocenie wypełniających dom staroci.

– No dobrze – powiedziała Suzanne, przechodząc do rzeczy. – Sporządziłam dokument, na mocy którego kolekcja fajek trafi do pana, panie Kyle. Wyceniłaś ją już, Riley?

Skinęłam głową.

– Według rzeczoznawcy jest warta około siedemnastu tysięcy. – Obserwowałam twarz Toma, ale nie potrafiłam nic z niej wyczytać. Właśnie powiedziałam mu, że wzbogacił się o siedemnaście tysięcy dolarów, i zupełnie go to nie ruszyło. – Jak to załatwimy? – spytałam. – Czy mam te fajki dostarczyć, czy...

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pan Kyle sam po nie przyjedzie, zapakuje je i zabierze. Od tej chwili są jego własnością.

Jeszcze chwilę porozmawialiśmy z Suzanne, podpisaliśmy dokumenty, po czym w milczeniu wyszliśmy z jej gabinetu. Przed budynkiem zobaczyłam znajomego, wyblakłego, zielonego forda Kyle'ów.

– Nie przejmuj się wszystkim tak bardzo, Riley – poradził Tom, odwrócił się i ruszył do samochodu.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc bez słowa szłam dalej. Już byłam

na chodniku, kiedy Tom, zjeżdżając tyłem na ulicę, zawołał mnie przez otwarte okno.

– Riley?

Spojrzałam na niego.

– Tak?

– Ta twoja siostra, która się zabiła...

Milczałam w nadziei, że coś doda, on jednak wyraźnie czekał na moją odpowiedź.

– Tak? – powtórzyłam.

– Nie zrobiła tego – rzucił, dodał gazu i szybko wyjechał na ulicę. Zanim te trzy słowa do mnie dotarły, już go nie było.

# CZĘŚĆ II

STYCZEŃ 1990

17.

## Alexandria, Wirginia, Lisa

Siedziała na skraju łóżka i w świetle latarni ulicznej wlewającym się przez szybę widziała zarys futerału Violki z pięknej, czarnej skóry. Odwróciła wzrok. Ojciec zabronił jej wziąć Violkę. Protestowała. Gdyby miała się zabić, zabrałaby ze sobą skrzypce. To logiczne. Nie zostawiłaby ich. On jednak wtedy posłał jej spojrzenie, które mówiło, że Violka to najmniejsze z ich zmartwień.

Sypki śnieg opadał w świetle latarni jak kurz. Zadrżała. Ostatnio ciągle marzyła bez względu na to, ile warstw ubrania nosiła. Tej nocy zęby jej szczękały i czuła się chora. Od wielu dni nie mogła jeść. Mama myślała, że to przez proces, i martwiła się, że na widok jej bladej, zapadniętej twarzy i kościstych ramion przysięgli z miejsca uznają ją za ćpunkę. „Musisz jeść, Liso”, przekonywała. „Przysięgli pomyślą, że bierzesz narkotyki”.

Nie chciała tej nocy myśleć o mamie.

Ojciec stanął w drzwiach sypialni. W ciemności nie widziała jego twarzy. Kazał zostawić zgaszone światła, na wypadek gdyby któryś z sąsiadów nie spał i okazał się ciekawski.

– Gotowa? – spytał.

Wstała z łóżka.

– Nie – powiedziała, ale wzięła plecak i torbę zawierającą ręcznik, puste opakowanie po farbie do włosów oraz jej obcięte blond kosmyki, ominęła ojca i wyszła na korytarz. Na coś takiego nie można być gotowym.

Chwycił ją za ramię i odwrócił ku sobie.

– Musisz to zostawić. – Dotknął wisiorka na jej szyi.

– Ale, tato, przecież miałabym to na sobie! – Musnęła palcami owal z białego jadeitu. Opuszkami wyczuła wzór wyrzeźbiony w kamieniu. – Nigdy tego nie zdejmuję.

– Musisz – nalegał. – Jest zbyt charakterystyczny.

Dała za wygraną. Wróciła do pokoju i rozpięła naszyjnik, ale zamiast do szkatułki z biżuterią schowała go do kieszeni dzinsów. Nie ma mowy. Nie zostawi go.

Wyszła z powrotem na korytarz i ruszyła za ojcem do drzwi domu. Na zewnątrz naciągnęła czapkę nisko na czoło, bo było strasznie zimno, a włosy jeszcze jej nie wyschły.

– Cii! – szepnął tata, choć nie wydała najlżejszego dźwięku. Poszedł przodem i otworzył drzwi jej samochodu od strony kierowcy. – Nie włączaj świateł, dopóki nie wjedziemy na ekspresówkę – powiedział szeptem.

Skinęła głową i zamknął drzwi ciszej, niż jej się to wydawało możliwe.

Jego samochód stał u wylotu podjazdu i jedno po drugim powoli zjechali tyłem na ulicę w ciemności rozproszonej tylko światłem pobliskiej latarni. A potem wyruszyli w drogę. Trzymała się tuż za tatą. Szczekanie zębów odbijało się echem w jej głowie.

– Żegnaj, Ansel Road – szepnęła. Samochód wypełniła woń farby do włosów, której użyła, i zaczęła się zastanawiać, czy ten sam zapach czuć w jej sypialni. Jak długo się tam utrzyma? Czy mama poczuje go po powrocie z Pensylwanii? Co ważniejsze, czy poczuje go policja?

I wtedy oczami duszy zobaczyła Violkę porzuconą w kącie pokoju. Wyobraziła sobie, jak matka czyta pozostawiony przez nią list. A potem pomyślała o mamie, Riley i Dannym, którzy byli u dziadka w Pensylwanii i niczego nie podejrzewali. „Lepiej, żeby dzieci teraz tu nie było”, tłumaczył tata, przekonując mamę, żeby wyjechała z Riley i Dannym. „Przynajmniej dopóki prasa nie przestanie nas nękać”. Mama się zgodziła, nieświadoma ich straszego planu.

Riley. Danny. Mama. Nigdy więcej ich nie zobaczy. Serce jej się ścisnęło, bolesne ciarki przeszły po rękach.

– Nie myśl! – nakazała sobie. Jej głos dziwnie brzmiał w ciemnym samochodzie. Nie mogła pozwolić, by myśli o rodzinie zniweczyły plan. Musiała skupić się na tym, co należy zrobić teraz. Tej nocy.

Ojciec przedstawił jej swój pomysł zaledwie kilka dni wcześniej. Przyszedł do pokoju Lisy w środku nocy. Usiadł na skraju łóżka. Wszystko szczegółowo wyłuszczył i wiedziała, że myślał o tym od dawna. Słuchała, najpierw z niedowierzaniem, potem z wdzięcznością, że gotów był zrobić dla niej coś takiego. Ocalić ją. Miała wybór, powiedział: spędzić resztę życia w więzieniu albo na zawsze stać się kimś innym. Inną dziewczyną, wolną jak ptak. Właściwie nie było się nad czym zastanawiać.

Zmierzając do biegnącej wzdłuż rzeki George Washington Parkway, nie minęli ani jednego samochodu. Spowijająca drogę ciemność sprawiła, że ta noc, i bez tego pełna grozy, stała się jeszcze bardziej upiorna. Wycieraczki oczyszczały zasypywaną śniegiem przednią szybę. Światło mijanych latarni rzucało cień kajaka na maskę samochodu; miała nadzieję, że wystarczająco mocno przytroczyła go do dachu. Prosiła tatę, żeby jej pomógł, bo była zbyt roztrzęsiona, on jednak stwierdził, że musi wszystko zrobić sama, by nie zostawić policji żadnego śladu, że nie działała w pojedynkę.

Kiedy jej ojciec wjechał na drogę ekspresową, włączył światła. Zrobiła to samo. Śnieg zgęstniał, więc przełączyła wycieraczki na szybsze obroty. Minęli tylko kilka innych samochodów. Im mniej, tym lepiej.

Przez jakiś czas jechali. Wiedziała, że ich celem jest przystań w Belle Haven, a właściwie jakaś drożyna koło niej, której nigdy nie widziała na oczy. Jej ojciec wszystko starannie zaplanował i musiała wierzyć, że wie, co robi. Dotarli do zjazdu na przystań i ruszyli w stronę parkingu, ale zanim tam dojechali, tata odbił na wąską drogę leśną. Światła jego samochodu zgasły, więc swoje też wyłączyła. Nie widziała prawie nic. Krzaki szorowały o karoserię. Po pewnym czasie tata zjechał na bok i stanął w wąskiej szczelinie między drzewami. Wiedziała, że teraz też ma się zatrzymać. Wszystko jej dokładnie wytłumaczył. Stanęła i czekała, aż ojciec przesiądzie się do jej samochodu. Strząsnął śnieg z butów, zanim postawił nogi na podłodze.

– Świetnie sobie radzisz. – Poklepał ją po ramieniu dłonią w rękawiczce. – Świetnie. A teraz jedź dalej, powoli i ostrożnie.

Lekko dodała gazu.

– Otóż to – pochwalił. – Doskonale. Całe szczęście, że pada śnieg. Do rana ma sypać jeszcze mocniej, więc zatrze ślady, które zostawimy, wracając do samochodu. Nie byłem pewien, jak rozwiązać ten problem.

Nie chciała słyszeć, że czegoś nie był pewien.

Po pewnym czasie kazał jej włączyć światła. „Chcę sprawdzić, gdzie jesteśmy”, wyjaśnił. Zapaliła reflektory i zobaczyła z przodu padający śnieg, a kawałek dalej, zdecydowanie za blisko, rzekę.

– Doskonale – nakazał ojciec. – Stań tutaj. Zgaś światła.

Teraz nie widziała nawet swojej dłoni w rękawiczce, kiedy podnosiła ją do oczu. Jak poradzi sobie po omacku?

Podał jej latarkę.

– Świeć na ziemię – poinstruował. – Las jest gęsty, ale nie możemy ryzykować, że ktoś zobaczy światło. Dasz radę po ciemku sama zdjąć kajak?

– Tak – powiedziała. Wysiadła z samochodu i zamknęła drzwi tak cicho jak on na podjeździe przed domem. Wyciągnęła rękę do jednego z niewidocznych pasków.

Zdejmowała kajak z dachu setki razy, ale nigdy w ciemności, nigdy na mrozie, a już na pewno nigdy w rękawiczkach. Po niespełna minucie straciła czucie w opuszkach palców i nie mogła odpiąć paska. Przypomniało jej się, jak zeszłego lata, zanim to wszystko się zaczęło, wynajęli domek w Rehoboth i mama pozwoliła jej popływać z Riley kajakiem po spokojnej tafli Intracoastal Waterway. Pamiętała zachwyconą buzią Riley machającej do ptaków. Pamiętała, jak pochylona nad małą, całowała ją w czubek głowy, jak przyciskała usta do jej jedwabistych, ciemnych loczków, jak wdychała zapach Riley, która wtedy jeszcze nie wyrosła z pieluch.

Zapiekły ją oczy i jej palce zsunęły się z paska. Uderzyła pięścią w szybę. Kopnęła drzwi.

– Hej, hej – powiedział ojciec, wysiadając z samochodu. Podszedł i objął ją ramieniem, a ona oparła się o niego.

– Nie dam rady, tato – szepnęła.

Długo nic nie mówił, tylko tulił ją i głaskał po plecach.

– Nie musisz, kochanie – zapewnił. – To jedna z opcji i tyle. Wybór należy do ciebie.

Położyła czoło na jego piersi, zamyślona. Ciekło jej z nosa i otarła go wierzchem rękawiczki. *Wybór należy do mnie*. Od swojego adwokata usłyszała, że jej sprawa jest nie do wygrania. Bała się więzienia. Bała się tych twardych kobiet. Prawdziwych kryminalistek. Przerażała ją myśl o przebywaniu w zamknięciu, bez szansy na ucieczkę. Bez powietrza. Już wtedy, gdy tamtego dnia w salonie zakuli ją w kajdanki, zaczęła krzyczeć. Jak można żyć za kratami, w miejscu, z którego nie ma żadnego, ale to żadnego wyjścia? Wyobraziła sobie, jak mama mówi ludziom: „Mam troje dzieci, ale jedno jest w więzieniu”. Jak Riley i Danny muszą znosić związane z tym upokorzenia. Danny’emu i bez tego było ciężko. Nie rozumiał, co się właściwie dzieje, ale wiedział, że inne dzieci go obmawiają. Zawsze był radosnym, żywym malcem, a teraz nagle nikt nie chciał się z nim przyjaźnić.

– Boję się, to wszystko – wyznała.

– Wiem. Ja też.

– Chcę to zrobić – powiedziała.

– Nie będzie odwrotu.

– Wiem. – Obróciła się i znów sięgnęła do kajaka. – Dam radę sama.

– Na pewno?

– Tak. – Przedni pasek w końcu się rozpiął, więc zaczęła majstrować przy tylnym, nie bacząc na brak czucia w palcach. Myślała tylko o tym, żeby spuścić kajak na wodę.

Ojciec zaczekał w samochodzie, ona, niosąc kajak nad głową, poszła nad rzekę. Wybrał dobre miejsce: łagodnie opadający brzeg, żadnego zdradliwego, skalistego urwiska. Zaryzykowała i poświeciła latarką na wodę; przy brzegu już zamarażała,

a dalej była wzburzona, spieniona, smagana wiatrem. Bała się, że nie zdoła wypchnąć łódki w nurt, ale wyteżyła siły i udało się, rzeka pochwyciła kajak i poniosła naprzód, zgodnie z przewidywaniami ojca. Ostatkiem sił wrzuciła wiosło do wody, najdalej, jak mogła. Potem przypomniała sobie, że miała zostawić w kajaku kurtkę. Za późno. Zdjęła ją i cisnęła z całej siły w stronę rzeki. Porwana wiatrem, poleciała w nadbrzeżne zarośla. Chwilę patrzyła za nią w świetle latarki. Stało się. Nic na to nie poradzi. Płatki śniegu osiadły na jej szyi, więc podciągnęła kołnierz swetra. Zgrabiła palce ledwo zdołały chwycić materiał.

Ojciec sprawdził w świetle latarki, czy w jej samochodzie nie zostało nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Zabrała torbę z ręcznikiem i pustym opakowaniem po farbie do włosów, ale zgodnie z planem zostawiła swój plecak, a w nim prawo jazdy i portfel ze zdjęciami Riley, Danny'ego i Matty'ego. Tata okrył ją swoją kurtką i ruszyli przez gęsty las z powrotem do jego samochodu. Mogli pójść drogą, ale bał się, że zostałyby ślady, choć śnieg tak mocno sypał, że jej zdaniem nie było się czego obawiać.

Dobrnęli do auta zmarznięci na kość. Tata włączył ogrzewanie, ona zdjęła mokre rękawiczki i przysunęła dłonie do wylotu powietrza.

– To chyba najzimniejsza noc roku – stwierdził ojciec.

– Masz dla mnie kurtkę, prawda? – spytała.

– Jest na tylnym siedzeniu.

Odwróciła się, ale było za ciemno, żeby cokolwiek dostrzec.

– I nowy plecak? – Bała się, że o czymś zapomniał. Tyle szczegółów do zapamiętania.

– Nie plecak. Masz nową torebkę. Jest razem z kurtką.

– Torebkę? Tato, przecież wiesz, że nie noszę torebki.

– Lisa nie nosiła torebki – powiedział. – Ann Johnson tak. – Według nowych dokumentów tak właśnie się nazywała.

Zacząła odpinać pas bezpieczeństwa, żeby sięgnąć po kurtkę i torebkę, tata jednak powstrzymał ją gestem ręki.

– Zaczekaj, aż będzie jaśniej. Wyjedźmy stąd. – Ruszył tyłem wąską, leśną drogą. Minęła cała wieczność, zanim wrócili na dwupasmówkę i zapalił światła. Zobaczyła z przerażeniem, że zegar na desce rozdzielczej pokazuje wpół do trzeciej.

– Nie dasz rady odwieźć mnie do Filadelfii i wrócić nad ranem do domu! – zawołała. Ich plan już pruć się w szwach. Tata musiał rano „odkryć” jej zniknięcie. Miał wejść do jej pokoju, niby żeby sprawdzić, czy już wstała i jest gotowa na spotkanie z adwokatem o dziewiątej, i zastać puste łóżko i list pożegnalny.

– Wszystko gra – zapewnił. – Nie zawiozę cię do samej Filadelfii. – Zerknął na nią, ale w ciemności nie dała rady wyczytać nic z jego twarzy. – Nie panikuj – dodał.

– Jak to nie zawieziesz mnie do Filadelfii? Muszę zdążyć na pociąg o ósmej!



– Zdążysz. Bez obaw.

– Jak? – Naprawdę ją przerażał.

– Posłuchaj mnie. Pamiętasz Toma Kyle’a? Mojego kolegę z pracy?

– Nie mam pojęcia, kto to! – Wiedziała, że kiedyś poznała człowieka o tym nazwisku, ale była zbyt wzburzona, żeby ojcu się do tego przyznać.

– Cóż, przypomnisz sobie, kiedy go zobaczysz. Spotkamy się z nim na parkingu przy autostradzie. To on zawiezie cię do Filadelfii.

Krew ścięła się lodem w jej żyłach.

– On wie? – spytała. – Powiedziałeś mu? Kazałeś nikomu nic nie mówić! Absolutnie nikomu. Obiecałeś. Że...

– Przestań. – Patrzył prosto przed siebie, na drogę. – Nie bój się. Wiem, co robię. Tom będzie milczał.

– Skąd ta pewność? Nie do wiary, że to przede mną ukryłeś. Nie zgodziłabym...

– Liso! – krzyknął, ucinając jej protesty. – Wszystko już uzgodnione, jasne? Ręczę za to. Jesteś bezpieczna.

Zamilkła. Był cichym, spokojnym człowiekiem, z rzadka podnosił głos, więc teraz jego krzyk wstrząsał nią do głębi.

Skręcił na obwodnicę Waszyngtonu i nie rozmawiali przez następne pół godziny, aż wjechał na autostradę numer 95. Wtedy nagle przerwał milczenie.

– Zawsze będę cię kochał bez względu na to, co zrobiłaś – powiedział.

Zawsze będzie ją uważał za morderczynię. Łzy ścisnęły jej gardło. Wiedziała, że nie miało dla niego znaczenia, jaka była prawda. Cokolwiek zrobiła, rodzice nigdy nie przestaną jej kochać. Poddała ich miłość wystarczająco wielu ciężkim próbom, by zyskać co do tego pewność.

Zjechał z autostrady na pierwszy napotkany parking. Był pusty.

– Nie ma go – stwierdziła oczywisty fakt.

– Przyjedzie. – Zostawił samochód na chodzie, żeby działało ogrzewanie, a wycieraczki usuwały śnieg z przedniej szyby. – Pokaż włosy – powiedział.

Spojrzał na nią w świetle lampki sufitowej. Zdjęła czapkę. Przesunął dłonią po brodzie.

– Może peruka jednak byłaby lepsza. – W jego głosie brzmiała nerwowość. – Staraj się nie zdejmować czapki, a w pociągu trzymaj się z dala od ludzi. Od miesiący wszędzie pokazują twoje zdjęcie. – Wskazał na torbę leżącą pod jej nogami. – Daj mi ją.

Patrzyła, jak wysiada, brnie przez kilkucentymetrową warstwę śniegu i wyrzuca torbę do kosza na śmieci obok murowanego budynku ubikacji. Korciło ją, żeby opuścić lusterko na osłonie przeciwsłonecznej i jeszcze raz obejrzeć swoją fryzurę, ale uznała, że nie będzie się bardziej dołować. Przez całe życie miała długie, jasne blond włosy. Nie spodoba jej się dziewczyna, w jaką się przeobrażała.

Tata otrzepał się ze śniegu i wsiadł z powrotem, patrząc na zegarek. Sięgnął na tylne siedzenie po kurtkę i torebkę. Podał jej jedno i drugie. W świetle lampki sufitowej zobaczyła, że torebka wcale nie jest nowa. Wyglądała jak ze sklepu ze starzyzną. Sama w życiu nie kupiłaby sobie takiej, ale objęła paski dłonią, żeby poczuć, jak leżą w ręku. Ciężko się będzie przestawić. Jeszcze nigdy nie miała torebki i już tęskniła za uciskającym ramię grubym paskiem plecaka.

– Pamiętałeś o walizce? – spytała z niepokojem. Sama zupełnie o niej zapomniała.

– W bagażniku. – Odwrócił się i spojrzał w stronę wjazdu na parking, po czym znów zerknął na zegarek.

W walizce były tylko nowe dokumenty i trochę ubrań kupionych przez tatę. Nie mogła wziąć własnych – to byłoby zbyt ryzykowne. Mama zauważyłaby ich zniknięcie. Nie miała pojęcia, czy policja uwierzy w jej samobójstwo, czy nie. Może pomyśli, że uciekła. Wtedy szukaliby jej na lotniskach i dworcach kolejowych. Dlatego wsiądzie do pociągu w Filadelfii, nie Waszyngtonie. Mimo to ryzyko było duże. Kiedy rano do domu przyjedzie policja, tata zwróci im uwagę, że Violka wciąż jest w pokoju córki. „Nie wyjechałaby bez swoich skrzypiec”, powie. Potem uda, że zauważył zniknięcie kajaka. Będzie jednak musiał się pilnować, żeby nie wskazać zbyt wielu szczegółów. To wzbudziłoby podejrzenia. Zapytają, czy Lisa ostatnio była w depresji, i będzie mógł zgodnie z prawdą odpowiedzieć, że tak. Tak brzmiała oficjalna diagnoza. Psychiatra, do którego ją posłali, orzekł, że trzeba ją bacznie obserwować. Okropnie się czuła na myśl o tym, że mama będzie sobie wyrzucać, że obserwowała córkę nie dość uważnie i pojechała do dziadka, zamiast być z nią przed samym procesem. Nie chciała, żeby mama obwiniła siebie.

– A teraz słuchaj, Liso – powiedział tata. – Chcę, żebyś coś zapamiętała. Nigdy, przenigdy, pod żadnym pozorem nigdzie tego nie zapisuj, jasne? Miej to tylko w pamięci.

– O czym ty mówisz?

– Wynajęłam skrytkę pocztową – odparł. – Tylko na nadzwyczajne sytuacje. Nie mogę często do niej zaglądać, przynajmniej na początku, ale w razie potrzeby będziesz ją miała.

Nagle poczuła, że znów może swobodnie oddychać. Pozostaną w kontakcie!

– Jaki jest adres? – spytała.

– Tylko na nadzwyczajne sytuacje – przypomniał. – Rozumiesz?

Skinęła głową.

Wyrecytował adres: skrytka pocztowa 5782, Pollocksville, Karolina Północna. Zmarszczyła brwi.

– Karolina Północna? Po co miałbyś wynajmować skrytkę pocztową w...

– Nieważne. Na nazwisko Fred Marcus. Gdybyś coś tam wysyłała, to nigdy na moje prawdziwe nazwisko.

– Dobrze.

– Powtórz adres.

– Skrytka pocztowa 5782, Pollocksville, Karolina Północna. Kod pocztowy?

– Za dużo danych do zapamiętania. I jak się nazywam?

– Fred Marcus.

– Dobrze. – Śnieg przestał padać, więc tata wyłączył wycieraczki. – W San Diego pojedź do Ocean Beach. Byłem tam raz, dawno temu, i myślę, że w tej dzielnicy nie powinnaś się rzucać w oczy. Znajdź pokój w tanim motelu. – Zerknął na nią i wyczuła jego niepokój. – Nie aż tak tanim, żebyś nie czuła się bezpiecznie – dodał. – Znajdź pracę i jak najszybciej rozejrzyj się za czymś lepszym.

Ledwo go słuchała.

– Wolałabym, żebyś nie wtajemniczył pana Kyle’a.

Myślała, że nie odpowie, ale po minucie przerwał milczenie.

– Był potrzebny, żeby załatwić ci dokumenty – wyjaśnił. – Robi to w ramach programu ochrony świadków. Ja już takimi sprawami się nie zajmuję. Gdybym spróbował, wzbudziłbym podejrzenia.

– Ale... teraz on wszystko wie.

Tata spojrzał na nią.

– Zaufaj mi, Liso, nie puści pary z ust.

Nagle omiotły ich światła samochodu. Odwróciła się i zobaczyła, że na parking wjeżdża pikap.

– O wilku mowa – powiedział tata, po czym dodał nagłym tonem: – Nazwisko i adres skrytki?

Jeszcze raz powtórzyła dane.

– Brawo.

Pikap zatrzymał się obok. Ani drgnęła, nagle sparaliżowana strachem, kiedy z szoferki wyłonił się kierowca i naciągnął dzianinową czapkę na czoło. Był wysoki i barczysty. Jej ojciec wysiadł i wyciągnął rękę do Kyle’a, ale ten nie wyjął dłoni z kieszeni. Usłyszała pukanie w szybę; tata dawał jej znak, żeby się pospieszyła. Przez chwilę niezdarnie szarpała się z klamką, po trosze z nerwów, po trosze dlatego, że wciąż miała wilgotne rękawiczki. Kiedy wreszcie wydostała się z samochodu, nie mogła spojrzeć Tomowi Kyle’owi w oczy. Tata otworzył bagażnik i podał jej walizkę, tak lekką, że każdy, kto wzięłyby ją do ręki, od razu nabrałby podejrzeń.

Nikt się nie odzywał. Pan Kyle wstawił walizkę za swoje siedzenie w szoferce pikapu. Przez chwilę zastanawiała się, czy tata ma wobec niej inny plan od tego wymyślnego, który wspólnie uknuli. Może Tom Kyle wcale nie zabierze jej na dworzec kolejowy w Filadelfii?

Kyle zerknął na nią, potem na jej ojca.

– Zaczekam w samochodzie – powiedział.

Kiedy zostali sami, tata wziął ją w ramiona.

– Na dworcu siedź w ubikacji, aż zrobi się większy tłok – szepnął jej na ucho. – Wtedy wmieszaj się w tłum. Pilnuj torebki... są w niej pieniądze... i dokumentów, które masz w walizce. Miej się na baczności. – Mocno ją wyściskał. – I co najważniejsze, nigdy więcej nie bierz skrzypiec do ręki, rozumiesz, Liso? Nigdy. Od tej pory musisz chować swoje światło pod korcem. Obiecuj mi. – Nie pierwszy raz jej mówił, że już nigdy nie będzie mogła grać. Wzbudziłaby zbyt duże zainteresowanie, tłumaczył. Ludzie, którzy znają się na muzyce, domyśliliby się, kim jest.

– Obiecuję – wydusiła.

– Kocham cię, Liso – powiedział i cofnął się. Nie widziała jego oczu, ale w głosie taty słyszała łzy. Jeszcze nigdy przy niej nie płakał.

– Ja ciebie też kocham – szepnęła.

Wsiadła do szoferki pikapu Toma Kyle'a. Nie odezwał się. Płakała cicho, kiedy wyjeżdżał z parkingu, nękana wątpliwościami, czy postąpiła słusznie.

Znów zaczął sypać śnieg i pan Kyle jechał powoli, mimo że po drodze minęli dwa pług i jezdnia była w niezłym stanie. Przez prawie godzinę nie zamienili słowa; może chciał dać jej popłakać w spokoju, a może nie wiedział, co powiedzieć. Albo po prostu miał ją gdzieś. Sądząc po jego kamiennej, jakby lekko zagniewanej twarzy, było to całkiem możliwe.

Po długim czasie odwróciła się do niego. Śnieżyca zelżała, więc dodał gazu.

– Dlaczego pan to robi? – spytała. Po tak długiej ciszy jej głos w szoferce wydawał się strasznie donośny.

Milczał, jakby jej nie usłyszał. Wreszcie przemówił.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – burknął szorstko. – Nie chcę słuchać twoich wymówek, dlaczego zabiłaś niewinnego człowieka z powodu pieprzonego podania na studia. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Z piekącymi oczami odwróciła się do okna. Ten człowiek ją przerażał. Wyraźnie nią gardził – dlaczego więc tata sądził, że będzie milczał? Nie miała pojęcia. Najchętniej powiedziałaaby ojcu, że Tom Kyle może stanowić dla nich zagrożenie, ale kiedy przycisnęła torebkę do siebie, uderzyła ją bezlitosna myśl: a jeśli już nigdy nie będzie mogła tacie nic powiedzieć?

18.

## Riley

Byłam pewna, że pobiłam swój rekord szybkości, kiedy biegłam do domu po spotkaniu z Tomem i Suzanne. *Nie zrobiła tego*, powiedział. Nie zrobiła czego? Nie zabiła się? Czy można to było inaczej zinterpretować? Skąd mógł coś takiego wiedzieć? Zaglądał na bloga Sondry Lynn Davis? Sondra też nie wierzyła w samobójstwo Lisy. Może Tom wyczytał to na blogu i jej teoria trafiła mu do przekonania.

A może wiedział coś, czego nie wiedział nikt inny. Tak czy inaczej, samo to, że mówił mi o mojej rodzinie, sprawiło, że czułam się skalana.

Po powrocie do domu nie zadałam sobie trudu, żeby się przebrać. Zauważyłam, że Christine i Jeannie pracują w pokoju stołowym; urzędowały przy otwartej serwantce i przeglądały ukochaną porcelanę i stare wazony mojej mamy.

– Masz minutkę, żeby... – Christine zaczęła się podnosić, ale nie dałam jej dokończyć.

– Przykro mi! – zawołałam. – Spieszę się.

Złapałam torebkę i kluczyki ze stolika przy drzwiach i wskoczyłam do samochodu.

Jechałam przez kemping, sypiąc żwirem spod kół; zwolniłam dopiero na końcu drogi, kiedy zobaczyłam, że za kamperem Kyle'ów nie ma starego forda. *A niech to szlag!* Zaparkowałam w cieniu drzew, weszłam na schodki kampera i załomotałam do drzwi.

– Chwileczkę! – zawołała Verniece ze środka i usłyszałam ciężkie kroki zbliżające się do drzwi. Uderzyłam w nie raz jeszcze, nie mogłam się powstrzymać. Otworzyła ze zirytowaną miną, która złagodniała na mój widok.

– Riley! Co się tak dobijasz? Mój Boże!

– Gdzie Tom? – spytałam.

– Och, proszę, tylko nie mów, że nie przyszedł do adwokatkę. – Przybrała zbolaną minę. – Od wielkiego dzwonu zdarza mu się wypić za dnia, choć wie, że nie

powinien, i wtedy zapomina...

– Był na spotkaniu. Poszło dobrze. Tylko że na odchodnym powiedział coś, co... – Urwałam zasapana. – Mogę wejść? – spytałam.

Spojrzała na mnie z autentyczną troską i wyciągnęła rękę do mojego ramienia, jakby pomyślała, że może trzeba mnie podtrzymać.

– Pozwól, że do ciebie wyjdę – zaproponowała. – Na zewnątrz będzie wygodniej niż w środku. Usiądziemy w cieniu. Chcesz może czegoś...

– Nie. – Cofnęłam się po schodkach na wylany betonem placyk. – Niczego nie chcę. Muszę porozmawiać z Tomem!

– Dobrze, już dobrze. – Zeszła do mnie. – Niepokoisz mnie. Zazwyczaj wydajesz się spokojna i kiedy widzę cię w takim stanie... Więc w czym problem? Mówiłaś, że spotkanie poszło dobrze...

– Powiedział, że moja siostra się nie zabiła.

Przez chwilę patrzyła na mnie z twarzą zastygłą w wyrazie zdumienia.

– Usiądź, kochana – rzekła w końcu, opuszczając się na jedno ze starych krzeseł z siedziskami z pasów parcianych.

– Nie chcę siadać. – Stałam przed nią. – Chcę tylko wiedzieć, dlaczego tak powiedział.

– Usiądź – powtórzyła, wskazując gestem drugie krzesło, i niechętnie skorzystałam z zaproszenia. Prawe kolano latało mi jak podłączone do prądu.

– Dlaczego miałyby coś takiego powiedzieć? – spytałam.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odparła. – Sama jestem lekko zszokowana. Czasem bywa złośliwy, ale nie wyobrażam sobie, żeby nawet w najpodlejszym nastroju mógł tak okrutnie się z tobą drażnić.

– Czyli uważasz, że to nieprawda? I że w rzeczywistości się zabiła?

– Och, kochanie. – Położyła dłoń na moim ramieniu. – Wiesz, dlaczego odebrała sobie życie, prawda?

– Bo dręczyło ją sumienie – powiedziałam. – I bała się, że wyląduje w więzieniu.

Verniece skinęła głową.

– Zabiła kogoś i miała za to zapłacić. Wiem, że nie znaleźli jej ciała i że według niektórych upozorowała swoją śmierć, żeby uniknąć więzienia, ale Potomac to duża rzeka, całej nie dali rady przeszukać. – Mówiła życzliwym tonem, tak jak o mojej rzekomej adopcji, i coś w jej głosie – i sposobie bycia – działało na mnie kojąco.

Płacz wzbierał mi w piersi.

– Chcę, żeby to była prawda. – Splotłam dłonie i pocierałam jedną o drugą. – Chcę, żeby ona żyła. Potrzebuję mojej rodziny, Verniece. Muszę pilnować spraw związanych z domem i majątkiem taty, martwię się o Danny'ego i... czuję się jak małe dziecko, które porwało się na coś, co je przerasta.

– Biedactwo! Nie powinnam była ci mówić o twojej adopcji, przynajmniej nie teraz,

kiedy masz tyle na głowie.

– Najlepsza przyjaciółka mojej mamy nic nie wie o żadnej adopcji – ucięłam stanowczo. – Naprawdę uważam, że pomyliłaś moją matkę z kimś innym.

Patrzyła na mnie chwilę, po czym skinęła głową.

– Może – powiedziała, ale wiedziałam, że tylko po to, żeby mnie uspokoić. – Pewnie pamięć mi szwankuje.

– Gdzie mogę znaleźć Toma w tej chwili?

– Pewnie wpadł na parę głębszych gdzieś, gdzie ty zachodzić nie powinnaś. – Spojrzała na drogę, jakby spodziewała się lada chwila zobaczyć jego samochód. – Tom jest dobrym człowiekiem i przez te wszystkie lata był dobrym mężem – dodała – ale niestety trochę za często zagląda do kieliszka.

Pomyślałam o romansie Toma zatuszowanym przez mojego ojca. Zrobiło mi się żal Verniece. Nie dość, że była skazana na towarzystwo takiego człowieka, to jeszcze czuła, że musi go bronić.

– Wiesz, kiedy wróci?

– Och, z nim nigdy nic nie wiadomo. – Pacnęła komara, który usiadł na jej nagim kolanie. – I jeśli za dużo wypił, ciężko ci będzie wyciągnąć z niego jakieś konkrety – dodała. – Spróbuj z nim porozmawiać rano. Obiecuję, że kiedy go zobaczę, spytam, co właściwie chciał ci powiedzieć o twojej siostrze. Na razie przychodzi mi do głowy jedynie to, że musiałaś go źle zrozumieć.

– Nie wiem, co innego mógł mieć na myśli.

– Porozmawiam z nim. Ale... – westchnęła – ...powinnaś coś wiedzieć, Riley. Może to wyjaśni, dlaczego Tom powiedział ci coś równie przykrego.

– O co chodzi? – Przygotowałam się psychicznie, niepewna, czy chcę to usłyszeć.

– Widzisz – zaczęła – twój tata planował przekazać nam kemping. – Zacisnęła usta jakby w obawie, że powiedziała za dużo.

– Naprawdę? – Przypomniałam sobie, jak Tom na mnie patrzył, kiedy w kancelarii Suzanne mówił o kempingu.

Verniece skinęła głową.

– Rozmawiali o tym od dawna i teraz, kiedy twój ojciec odszedł... jeśli odniosłaś wrażenie, że nie byliśmy wdzięczni za kolekcję fajek, to właśnie dlatego. Tom oczekiwał dużo więcej. Liczył, że sprzedamy kemping i na stare lata będzie się nam trochę lżej żyło.

Oślupiałam. Dlaczego, do licha, mój ojciec był tak hojny dla Toma Kyle'a?

– Aha – bąknęłam. – Nie miałam pojęcia. Przykro mi.

Wzruszyła ramionami.

– Cóż, takie jest życie. Ale mój mąż jest bardzo rozgoryczony. Obawiam się, że powiedział to o twojej siostrze tylko po to, żeby wyładować na tobie złość.

Spojrzałam w głąb zwirowej drogi, pragnąc, by jego samochód wyłonił się zza

zakrętu.

– Chciałam, żeby to była prawda – szepnęłam.

– Wiem, kochanie, ale czasem trzeba stawić czoło rzeczywistości. – Poruszyła się na krześle. – Tak się składa, że tamtego dnia byłam nad rzeką.

– Którego dnia? – spytałam, zdezorientowana.

– Nazajutrz po wypadku. Pamiętasz, że mieszkaliśmy tam, bo Tom był szeryfem federalnym? – Spojrzała w dal, jakby miała tę scenę przed oczami. – Widziałam żółty kajak uwieczony w lodzie na środku rzeki. Zjechała policja, strażacy, w ogóle cała okolica i nikt nie miał pomysłu, jak się dostać do tego kajaka, a co dopiero jak znaleźć... kogoś, kto wpadł pod lód. Twoja siostra wtedy mogła już być w zatoce Chesapeake.

Zadrzałam, choć temperatura przekroczyła chyba trzydzieści stopni.

– Po prostu chciałabym, żeby to była prawda – wyznałam. – Nie pamiętam jej. Nigdy jej tak naprawdę nie poznałam. Ale teraz jest mi potrzebna.

Spojrzała na mnie życzliwie.

– Możesz na mnie polegać, Riley – zapewniła. – Wiem, że nie jestem twoją mamą, siostrą ani nawet ciotką, ale w każdej chwili możesz ze mną porozmawiać. W porządku?

Zmusiłam się do uśmiechu.

– W porządku – powiedziałam. – Dziękuję.



STYCZEŃ 1990

19.

## San Diego, Lisa

Nogi miała jak z waty, kiedy wysiadła z pociągu w San Diego po trzech dniach smutnej, wypełnionej lękiem podróży. Na jawie panicznie się bała, że lada chwila ją znajdą i zabiorą, a we śnie powracały koszmary prześladowające ją od tamtego straszego październikowego dnia. To były krwawe sny. Nie знаła ludzi, którzy się w nich pojawiali, wiedziała tylko, że krwawili. Bez końca.

Kiedy obudziła się tego ostatniego ranka w ciasnym przedziale, który tata jej zarezerwował – tak małym, że musiała podnosić łóżko, żeby skorzystać z toalety – zauważyła, że pod cienkim kocem sterczą jej biodra. W pociągu nie mogła przełknąć nic oprócz słonych krakersów, a i to na siłę. Drugiego dnia dostała okres i musiała sobie radzić przy użyciu papierowych ręczników i papieru toaletowego aż do Chicago, gdzie miała przesiadkę i przed odjazdem do Los Angeles zdążyła kupić, co trzeba. Większą część podróży jednak przespała, żeby nie myśleć o tym, co musiała przeżywać mama, przekonana, że jej córka odebrała sobie życie. Matty też na pewno się zadręczał, czy mógł coś powiedzieć albo zrobić, żeby powstrzymać ją przed samobójstwem.

Kurczowo ściskając walizkę i torebkę, wyszła za resztą pasażerów z dworca w San Diego. Zmrużyła oczy osłepione popołudniowym słońcem. Jeszcze nigdy nie widziała tak soczyście błękitnego nieba. Pod szpalerem palm stał rząd taksówek. Wsiadła do jednej z nich i poprosiła kierowcę, żeby zawiózł ją do Ocean Beach.

– Gdzie dokładnie? – spytał, odbijając od krawężnika.

– Hm... do motelu?

Parsknął śmiechem i zerknął na nią w lusterku wstecznym.

– Dobrego czy taniego? – spytał.

Pomyślała o trzech tysiącach dolarów, które tata zostawił w jej torebce. Niby dużo pieniędzy, ale na jak długo wystarczą? *Znajdź pracę*, radził tata, ale w tej chwili marzyła tylko o tym, żeby wgramolić się do łóżka i przespać resztę życia.

– Taniego – zdecydowała.

Pół godziny później taksówkarz zajechał przed stary motel przecnicę od oceanu. Wyglądał na zaniedbany i obskurny, ale skoro stał blisko plaży, chyba nie mógł być aż tak zły. Wyciągnęła walizkę z taksówki – nie mogła uwierzyć, że raptem przed kilkoma dniami wydawała jej się taka lekka. Teraz ledwo dźwignęła ją na chodnik. Drżącą dłonią oddzieliła kilka banknotów od pliku w torebce i kiedy włożyła rękę przez okno, żeby zapłacić za kurs, pieniądze wypadły jej z palców na podłogę samochodu.

– Ojej! – powiedziała i chciała otworzyć drzwi, ale taksówkarz zbył ją machnięciem ręki.

– Żaden kłopot! – zawołał i odjechał, zostawiając ją samą. Dopiero wtedy zauważyła, że błękitne niebo zasnuły chmury. Zapadał zmierzch. Musiała znaleźć dach nad głową.

Zniosła walizkę do skromnego motelowego holu i zaraz za progiem zastygła w bezruchu. Recepcjonista, potężny i barczysty jak Tom Kyle, bez skrępowania palił jointa.

– Brak miejsc – oznajmił. – Proszę pytać jutro.

Nie mogła się ruszyć. Nie mogła mówić. Jej mózg był zbyt zmęczony, żeby zrozumieć jego słowa, a sam zapach marihuany przyprawił ją o zawroty głowy.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

– Szukam pokoju – wydobyła z siebie. – Gdzie mogę jakiś znaleźć?

– W sobotni wieczór w Ocean Beach? – zdziwił się. – Nigdzie. Przenocuj na plaży, jak wszyscy. I wróć tu jutro. Może do tego czasu coś się zwolni. – Zaciągnął się jointem, zatrzymując dym w płucach. – Dobrze się czujesz? – spytał znowu, wypuszczając smugę dymu.

Nie miała siły odpowiedzieć. Odwróciła się i wyszła.

W ciągu kilku minut, które spędziła w motelu, niebo przybrało atramentowy odcień. Szła w stronę pobliskiej plaży, zadowolona, że jest w kurtce, bo z sekundy na sekundę robiło się coraz chłodniej. Recepcjonista miał rację. Na plaży rzeczywiście byli ludzie: jej pełni wigoru, krzepcy rówieśnicy, z których część kończyła mecz siatkówki, a wszyscy zbierali się do odejścia, oraz obdarci mężczyźni i kobiety, którzy pewnie nie mieli dokąd pójść. Ci ostatni siedzieli skuleni samotnie i w grupach przy wale nadmorskim – domyślała się, że zostaną tu na noc. Stała w wejściu na plażę, sparaliżowana, niepewna, co robić, podczas gdy wokół zapadał zmrok.

Ścisnęła torebkę w jednej ręce, walizkę w drugiej. Ludzie gapili się na nią. Rzuciła

się w oczy, a na to nie mogła sobie pozwolić. Weszła na piasek i pokonała kilka kroków dzielących ją od skrawka wolnej przestrzeni u stóp wału nadmorskiego. Położyła walizkę na płasko, usiadła na niej i objęła się ramionami, przyciskając torebkę i schowane w niej pieniądze do piersi. Wszystkie spojrzenia zwrócone były na nią. Bezdomni. Obserwujący ją. Ciekawi, kim jest ta nieznajoma, nowa dziewczyna. A jeśli ktoś wezwie opiekę społeczną? Miała dopiero siedemnaście lat. Mogliby ją zabrać do izby dziecka, prawda? A wtedy zaczęłyby się pytania. Pytania, na które nie mogła odpowiedzieć. Tata byłby wściekły, że wszystko zepsuła. Potem jednak przypomniała sobie, że według nowych dokumentów – aktu urodzenia, karty ubezpieczenia społecznego, prawa jazdy – ma osiemnaście lat. Opieka społeczna musiałaby zostawić ją w spokoju.

Nie mogła pozwolić sobie zasnąć. Jak tylko zrobiło się wystarczająco ciemno, wyjęła pieniądze z torebki. Wsunęła banknoty pod bieliznę, wygładziła je na swoich piersiach i biodrach. Wokół słyszała rozmowy. Śmiechy. Brzęk butelek. „Fred Marcus”, szepnęła do siebie. „Skrytka pocztowa 5782. Pollocksville, Karolina Północna”. Powtarzała raz po raz niczym modlitwę.

Mięśnie jej zeszywniały, kiedy siedziała jak posąg, usiłując nie przyciągać uwagi. Ciemność ją przerażała. Czowała się wystawiona na spojrzenia wszystkich, którzy mogliby chcieć ją skrzywdzić. Obrabować. Nikt jej jednak nie zaczepiał i już powoli zaczynała się odprężyć, kiedy nagle dostrzegła chybotliwe światełko przesuwające się po plaży w pobliżu wału nadmorskiego. Wokół rozbrzmiały okrzyki „Hej, Ingrid, tutaj!” i „Ingrid, Ingrid!”. Ludzie budzili się do życia, kiedy snop światła wyławiał ich z mroku, i wreszcie z ciemności wynurzyła się kobieta, która zdawała się wszystkich znać i z każdym po kolei ucinając sobie krótką pogawędkę.

Objęła się mocniej ramionami, widząc, że kobieta z latarką zbliża się do niej; jej palce nerwowo bawiły się wisiorkiem w ciasnej kieszeni spodni. Nie miała dokąd uciec i z wyschniętymi na wiór ustami czekała, aż światło ją odnajdzie. Kiedy tak się wreszcie stało, zamrugnęła i odwróciła głowę.

– Cześć. – Kobieta usiadła na piasku przed nią. – Jesteś nowa – stwierdziła. Położyła latarkę obok siebie tak, że jej światło odbijało się od wału. Twarz nieznajomej, choć wciąż osnuta mrokiem, nagle stała się widoczna. Niebieskie oczy. Prosty nos. Szeroki uśmiech. – Jestem Ingrid – powiedziała. – A ty jak się nazywasz?

Nie zdobyła się na to, żeby powiedzieć „Ann Johnson”. Bała się, że to nazwisko jakoś ją zdradzi. Poczowała jadeitowy wisiorek pod opuszkami palców.

– Jade – szepnęła i próbowała zwilżyć wargi suchym językiem. – Jade – powtórzyła.

– Piękne imię. – Ingrid wyjęła z torby butelkę wody i podała jej. – Proszę, skarbie. Wolisz czekoladowe czy owsiane?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nawet nie zrozumiała pytania.

– Ciastka, słonko – wyjaśniła Ingrid. – Staram się je tu przynosić parę razy

w tygodniu.

Wątpiła, czy zdoła zjeść ciastko, ale wiedziała, że musi spróbować.

– Owsiane – powiedziała i wzięła od Ingrid ciastko w folii.

– Twoja pierwsza noc w Ocean Beach? – spytała Ingrid.

Skinęła głową.

– A ile masz lat, kochanie?

– Osiemnaście.

Ingrid po chwili wahania wzięła latarkę i wstała, a Lisa... Jade musiała się powstrzymać, żeby nie złapać tej kobiety za nogę z błaganiem „Proszę, pomóż mi!”, jednak ostatnie, czego potrzebowała, to obca osoba w jej życiu. Obca osoba, która w lepszym świetle mogłaby rozpoznać jej twarz. O zabójstwie Stevena było głośno w całym kraju. Nawet w „People” pisali o tej sprawie. Tata był naiwny, jeśli sądził, że przefarbowanie włosów wystarczy, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Uważaj na siebie, skarbie – rzuciła Ingrid na odchodnym i Jade stłumiła szloch, patrząc na światełko oddalające się w głąb plaży.

Rano pokuśtykała sztywno do małej kawiarni, w której skorzystała z łazienki. Przeżyła szok, kiedy zobaczyła w lustrze swoje brązowe, nieumyte włosy, ciemne kręgi pod oczami i chorobliwie białą skórę rozciągniętą na kościach policzkowych.

W kawiarni wypiła karton soku i zjadła mały kęs ciastka owsianego od Ingrid, gdy żołądek dał jej znać, że popełniła błąd. Była tak wyczerpana po nieprzespanej nocy, że otaczający ją ludzie wydawali się postaciami ze snu. Przy stoliku koło okna zobaczyła mężczyznę czytającego „New York Timesa” i zastanawiała się, czy w tym numerze jest coś o niej. „Times” pisał o morderstwie, oczywiście. Czy napisałby też o jej samobójstwie? Mężczyzna zerknął w jej kierunku i pozwoliła, by kilka kosmyków opadło zasłoną na jej twarz.

Kiedy wróciła do motelu, zastała w nim tego samego faceta co zeszłego wieczoru, siedzącego na stołku w recepcji. Obiecał, że pokój dla niej będzie gotowy w południe. Aż się popłakała z ulgi. Sto dwadzieścia tygodniowo, powiedział. Nie miała pojęcia, czy to korzystna cena za taką obskurną norę, czy nie. Nigdy dotąd nie musiała radzić sobie sama. Podróżowała więcej niż większość rówieśników. Tyle było koncertów. Tyle festiwali. Jednak wszystkie formalności zawsze załatwiali dorośli – jej rodzice, Steven albo Caterina – a ona musiała tylko przychodzić, gdzie kazali, i grać na swoich wartych dwadzieścia tysięcy dolarów skrzypcach. Teraz, czekając na pokój na twardym, plastikowym krześle w recepcji o brudnej podłodze i poplamionych ścianach, zdała sobie sprawę, że była rozpieszczona.

Ścisnęła walizkę kolanami, świadoma, że jest niebezpiecznie bliska zapadnięcia

w sen. W południe recepcjonista dał jej klucz. Wyszła na powietrze, wdrapała się po schodach i długi korytarz zewnętrzny doprowadził ją do pokoju nie większego od celi więziennej, do której tak naprawdę powinna trafić. Mimo że był środek dnia i słońce świeciło przez zamgloną szybę w oknie, po podłodze, widoczne jak na dłoni, maszerowały dwa karaluchy. Jade nie zwróciła na nie uwagi. Widziała tylko łóżko przykryte cienkim, zielonym kocem, spod którego wystawała na oko czysta pościel. Przekręciła zamek w drzwiach, zaciągnęła zasłony i zwała się na łóżko, żeby uciec w sen przed tą straszną rzeczywistością, w jaką przeobraziło się jej życie.

Na dobre przebudziła się dopiero w południe następnego dnia. Wcześniej kilka razy wyrwały ją ze snu śmiechy, krzyki, a także przerażające łomotanie do jej drzwi i parę razy wstawała, żeby skorzystać z brudnego sedesu w ubikacji, poza tym jednak twardo spała. Kiedy teraz rozsunęła zasłony, zobaczyła mężczyznę, który zaglądał do jej pokoju, przyciskając zrytą bruzdami twarz do brudnej szyby. Krzyknęła i pospiesznie zasłoniła okno. Nie śmiała wyjść. Wydawało się, że od nocy spędzonej na plaży minęły całe wieki. Że była wtedy innym człowiekiem. Miała wielkie szczęście, że przetrwała tamtą noc w jednym kawałku i nie straciła swoich drogocennych pieniędzy.

Siedząc w półmroku na łóżku, skubała zębami ostatni kawałek ciastka od Ingrid. Zastanawiała się, skąd potem weźmie coś do jedzenia, chociaż wcale nie miała apetytu. Musiała jednak jeść, aby żyć. Była tak słaba i rozdygotana, że nie wiedziała, czy dałaby radę zejść po schodach na ulicę. *Mogłabym umrzeć w tym pokoju*, pomyślała. Nigdzie się nie ruszy, dopóki pod drzwiami sterczał ten podejrzany typ. Wgramoliła się z powrotem do łóżka. Kiedy zamknęła oczy, widziała tylko obraz swojej matki kołyszącej Riley w ramionach do snu. Riley miała na sobie piżamkę z różowymi stópkami i Jade wyobraziła sobie zapach dziecięcego szamponu i emulsji do rąk mamy. Gdyby tak mogła wymazać ostatnich kilka miesięcy i znowu być z rodziną! Zasnęła, myśląc o bliskich, pragnąc ich dotknąć.

Rano obudziło ją pukanie do drzwi. Spojrzała na nie z łóżka. Słońce zaglądało do pokoju przez szparę między drzwiami a futryną. Tylko po tym mogła odróżnić dzień od nocy. Pukanie rozległo się znowu.

– Jade? – zapytał kobiecy głos. – To ja, Ingrid, kochanie. Otwórz, proszę.

Po chwili wahania Jade usiadła prosto na łóżku z myślą: *To pułapka. Nie otwieraj*. Ale potrzeba odrobiny życzliwości, pragnienie, by dorosła osoba przejęła władzę nad jej życiem i zaprowadziła w nim porządek, były zbyt silne. Powoli odgarnęła pościel.

– Chwilę – powiedziała chrapliwym głosem i wstała z łóżka. Idąc przez pokój, czuła smród swoich brudnych włosów. Nie przebrała się, odkąd wysiadła z pociągu. Lisa nigdy nie pozwoliłaby sobie pójść w taką rozsypkę. Ale Lisa umarła i nigdy nie wróci.

Uchyliła drzwi, mrugając oślepiionymi słońcem oczami, i po raz pierwszy dobrze przyjrzała się Ingrid. Miała na sobie luźne białe spodnie, zwiewną białą bluzkę i zielone japonki. Przez lewe ramię przerzuciła długi warkocz; kolor jej włosów był nijaką mieszanką beżowego, brązowego i szarego. Oczy miała w tym samym odcieniu błękitu co Jade, ale przez kontrast z opalenizną bardziej wyraziste. I choć z ich kącików rozchodziły się płytkie zmarszczki, a skóra jej szyi wyglądała jak wygarbowana, to Ingrid nie była stara. Miała może czterdzieści parę lat. Tyle, co matka Jade.

Ingrid się uśmiechnęła.

– Pamiętasz, spotkałyśmy się na plaży? – spytała.

Jade skinęła głową.

– Popytałam ludzi i ktoś skojarzył, że chyba wynajęłaś tu pokój. Ale coś czuję, że to nie miejsce dla ciebie, mam rację?

Jade nie była pewna, co się kryje za tym pytaniem, ale zdecydowanie to nie było miejsce dla niej. Skinęła głową.

– Mieszkam niedaleko – oznajmiła Ingrid – i mam domek do wynajęcia. Od zeszłego tygodnia stoi pusty i mogę ci go udostępnić za niewiele więcej, niż zapewne płacisz tutaj. Odpowiada ci to?

Czy mogła jej zaufać? Czy Ingrid doniosła na nią policji? Jade za bardzo mąciło się w głowie, żeby mogła to przemyśleć. Przypomniała sobie nocne krzyki pod drzwiami pokoju. Pobrużdżoną twarz starca przyciśniętą do okna. Skinęła głową.

– Tak – powiedziała.

– To spakuj się i chodźmy.

Musiały pójść pieszo. Ingrid wyjaśniła, że nie ma samochodu i go nie potrzebuje, bo w Ocean Beach wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Wzięła od Jade małą walizkę i toczyła ją za sobą, słowem nie komentując jej dziwnej lekkości. Jade miała na końcu języka pytanie, jak daleko będą musiały iść – czuła się tak słaba i chora, że nie była pewna, czy zdoła przejść o własnych siłach więcej niż jedną przecznicę. Brzuch jej się zapadł, mięśnie tak zwiotczały, że ledwo trzymała się na nogach. Nie wypadało jednak o nic pytać. Uskarżać się na cokolwiek kobiecie, która była dla niej miła.

– Ojej, a ty w czapce i grubej kurtce – zauważyła Ingrid, kiedy szły obok siebie. – Pewnie przyjechałaś z jakichś zimnych okolic?

– Z Maryland – odparła Jade, wypróbowując kłamstwo. Ann Johnson mieszkała w Bethesda w stanie Maryland. Początkowo sądziła, że to głupie, że według dokumentów pochodzi ze stanu sąsiadującego z Wirginią, ale tata stwierdził, że tak będzie jej łatwiej. Wychowywała się w Wirginii, więc dużo wiedziała o Maryland. Dość dużo, by w razie gdyby trafiła na dociekliwą osobę, przekonująco udawać jego rodowitą mieszkankę.

– Cóż, teraz już możesz spalić zimowe ubrania – powiedziała Ingrid wesoło. – Od tej pory jesteś dziewczyną z Kalifornii.

Pokonały kilka przecznic w milczeniu, mijając zlewające się w jedno sklepy, palmy i ludzi, i Jade dostała ostrej zadyszki, zanim Ingrid w końcu wskazała palcem niski, drewniany, parterowy dom. Był mały i wyglądał staro, jak wszystkie budynki przy tej ulicy, ale ściany miał pomalowane na ciemnoturkusowo, a podwórko od frontu zarastały pnącza obsypane fioletowym kwieciem. Prawdziwy, przytulny dom. Dom, na jaki Jade w swoim odczuciu nie zasługiwała.

Podeszła za Ingrid popękany chodnikiem do drzwi. Ingrid otworzyła je – nie były zamknięte na klucz – i zaprosiła ją do środka. Weszły do saloniku, w którym spojrzenie przyciągał wyłożony zielonymi płytkami kominek i wielka, brązowa kanapa z grubymi poduszkami. Jade zauważyła trzy łukowate przejścia do innych pomieszczeń.

– Tu mieszkam ja – oznajmiła Ingrid. – Twoja chatka jest na tyłach. – Jade czuła na sobie jej badawcze spojrzenie i pragnęła schować się za czymś więcej niż tylko swoimi brudnymi włosami. Czy ta kobieta porównywała ją z twarzą, którą zobaczyła w porannych wiadomościach? Pomyślała o swoich zdjęciach pokazywanych w mediach po śmierci Stevena. Na prawie każdym trzymała w rękach Violkę. Tata dobrze zrobił, że nie pozwolił jej wziąć skrzypiec.

– Nigdy nie byłam dalej na wschód niż w Iowa, skąd pochodzę – powiedziała Ingrid. Stała w łukowatym przejściu między salonem a żółtą kuchnią. – Kiedy miałam osiemnaście lat... tyle, co ty teraz... przyjechałam tutaj i zostałam – ciągnęła. – Jak tylko skończyłam szkołę, wyruszyłam w wielki świat. – Zaśmiała się i Jade także próbowała się uśmiechnąć. – I nie żałowałam tego ani przez chwilę. Tyle że ja miałam w San Diego znajomych. A ty? Znasz tu kogoś?

Jade potrząsnęła głową.

– Chciałam zacząć od nowa – z trudem wydobyła z siebie głos. – Zupełnie.

– Na razie przede wszystkim musisz się odświeżyć – poradziła Ingrid. – Padasz z nóg, co? Chodź. Pokażę ci twój nowy dom. – Sięgnęła po walizkę, ale tym razem Jade pierwsza złapała za rączkę.

– Nie trzeba – podziękowała.

Przeszła za Ingrid przez małą żółtą kuchnię do łukowatych tylnych drzwi, za którymi był mały ogródek, gdzie w gąszczu pnączy i różowych kwiatów stał malutki turkusowy domek jak z bajki.

– Oto twoje skromne mieszkanko – Ingrid objęła je szerokim gestem. – Możesz sobie zbierać pomarańcze na sok do śniadania. – Pokazała palcem dwa drzewka. –

Facet z motelu mówił, że płaciłaś mu sto dwadzieścia tygodniowo, ja proponuję sto trzydzieści. Dasz radę?

Jade skinęła głową. Tym razem wiedziała, że to korzystna stawka.

– Nie noś przy sobie dużych sum – przestrzegła Ingrid, wskazując na jej torebkę. – Okolica jest w miarę bezpieczna, ale jak wszędzie są tu narkotyki i narkomani. Na pewno kilku spotkałaś na plaży. – Uśmiechnęła się. – Załóż konto w banku, nawet jeśli pieniędzy masz niewiele. Szkoda byłoby je stracić. Musisz być przezorna.

Weszły na mały taras, na którym starczyło miejsca tylko na dwa nieduże, białe, metalowe krzesła i dwie identyczne rośliny w doniczkach. Jade musnęła palcami liście. Grube, mięsiste i błyszczące, w dotyku przypominały aksamit.

– Kiedy postanowiłam cię spytać, czy chcesz tu zamieszkać – Ingrid wskazała jedną z roślin – kupiłam je z myślą o tobie. Wiesz, jak się nazywają?

Potrząsnęła głową.

– To drzewka szczęścia – wyjaśniła Ingrid. – Pomyślałam, że trochę szczęścia ci się przyda.

Zanim zrozumiała, co się z nią dzieje, z oczu Jade popłynęły łzy. To był niepoohamowany płacz, taki, który ogarnia całe ciało i duszę. Właściwie nie wiedziała, co go wywołało. Pewnie to, że Ingrid była dla niej taka miła. A ona kłamała jej w żywe oczy. Szlochała w dłonie, niezdolna się powstrzymać ani chwili dłużej.

– Ojej, ależ jesteś wykończona. – Ingrid objęła ją ramieniem. – Wejdz, rozpakuj się, weź porządną kąpiel. Nie ma prysznic, ale możesz umyć włosy w wannie albo umywalce. Dwie przecznice stąd jest sklep, w którym możesz zaopatrzyć lodówkę i spiżarkę. – Ingrid opuściła rękę i Jade wytarła palcami mokrą twarz. – Została z ciebie sama skóra i kości – dodała i Jade była ciekawa, czy jej nowa znajoma bierze ją za jednego z narkomanów, o których mówiła.

Dała się zaprowadzić do małego salonu. Ingrid odsłoniła jedyne okno, a Jade rozejrzała się dookoła. Większość miejsca zajmowała wielka, brązowa kanapa, taka jak w głównym domu, i dwa krzesła, które wyglądały jak ze starego zestawu mebli stołowych. W kącie stał telewizor. Jade chciała go włączyć. Zobaczyć, czy w wiadomościach mówią o samobójstwie Lisy MacPherson. Zamiast tego poszła za Ingrid do sypialni, tylko trochę większej od podwójnego łóżka rozmiarami identycznego z tym, jakie miała we własnym domu. Między łóżkiem a oknem z widokiem na drzewka pomarańczowe tkwiła komoda.

– A to twoja łazienka – wskazała Ingrid. Łazienka też była mała; zmieściły się w niej tylko sedes, umywalka i stara wanna na lwich łapach. Ingrid miała rację. Koniecznie musiała się porządnie wymoczyć.

– Tu znajdziesz pościel. – Ingrid otworzyła małą szafę zawierającą wyblakłe różowe ręczniki i różowe kwieciste prześcieradła i poszwy. – Na Newport Avenue jest pralnia samoobsługowa. To niedaleko. A przed nią stoi automat telefoniczny, gdybyś chciała zadzwonić na jakiś miejscowy numer. W sytuacjach nadzwyczajnych możesz korzystać z mojego telefonu.

– Strasznie ci dziękuję. – Po raz pierwszy, odkąd opuściła dom, głos Jade, choć



cichy i zmęczony, trochę przypominał jej własny. – Cudownie tu. I zrobię, jak radzisz. Wezmę kąpiel. A potem się zdrzemnę.

Ingrid wsunęła jej klucz do ręki i spojrzała prosto w oczy.

– Tutaj będziesz bezpieczna – zapewniła. Jade mogła tylko mieć nadzieję, że się nie myli.

Przez następne dwa dni Jade nie ruszała się z domku. Piła wodę z kranu, ale nic nie jadła, bo bała się wyjść. Pokazać ludziom. Ufała Ingrid, ale nie na sto procent, i wyczekiwała pukania do drzwi, które będzie zwiastunem jej zguby. Wieczorem i rano, skulona w rogu kanapy, oglądała wiadomości. Nie było ani słowa o niej, choć wiedziała, że w jej rodzinnych stronach pewnie o niczym innym się nie mówi. Uwagę miejscowych zaprzętał seryjny zabójca, który zabijał kobiety nożem w ich własnych domach, i fakt, że Krzywa Wieża w Pizie została zamknięta dla zwiedzających, bo za bardzo się przekrzywiła. Jeśli stacje w San Diego w ogóle kiedykolwiek wspomniały o samobójstwie Lisy MacPherson, to już do tej sprawy nie wracały.

Nocą, w łóżku, tęskniła za mamą. Na ustach prawie zawsze miała słowo, którego nie wypowiadała od lat – *mamusia*. Chciała znów być małym dzieckiem jak Riley, układanym przez mamę do snu. Pamiętała, jak matka nachylała się nad nią i całowała ją w czubek nosa, a potem się razem modliły, prosząc o błogosławieństwo dla każdego, kogo znały, ze Stevenem włącznie. Teraz jednak modlitwa, którą Jade co wieczór zmawiała przed snem, nie miała nic wspólnego z Bogiem; skupiała się wyłącznie na skrytce pocztowej w Karolinie Północnej. Adres musiała zawsze mieć w pamięci, choć była pewna, że tata liczył, że nigdy nie spróbuje z niej skorzystać.

Czy teraz było mu lżej? Oszczędził rodzinie bolesnego spektaklu, jakim byłby jej proces, który dziś toczyłby się już od trzech dni. Uniknęli szopki medialnej. Czy zrobił to dla niej – zastanawiała się – czy dla jej rodziny?

Trzeciego ranka usłyszała pukanie do drzwi. Przez okno zobaczyła Ingrid, która stała między drzewkami szczęścia, trzymała coś w ręku i do niej machała. Jade wiedziała, że nie ma innego wyboru, jak tylko otworzyć. Nie rozmawiała ze swoją gospodynią od pierwszego dnia.

– Przyniosłam ci chleb bananowy – odezwała się Ingrid, kiedy Jade otworzyła drzwi. – Chodź, posiedź ze mną na słońcu. Tkwisz tu zamknięta w czterech ścianach, zamiast korzystać z pięknej pogody. – Przekrzywiła głowę i uważnie przyjrzała się Jade. – Dobrze się czujesz?

– Tak – powiedziała Jade. – Tylko ciągle jestem wykończona, bo... bo się nie wyspałam w pociągu. Ani na plaży, ani w motelu.

Ingrid chyba jej nie uwierzyła.

– Chodź – nalegała. – Posiedź ze mną. Pogadajmy.

Jade wyszła za nią na taras, mrugając oślepienymi słońcem oczami. Bała się, czego ta rozmowa będzie dotyczyć.

– Nie lubię być wścibska – zaczęła Ingrid, kiedy usiadły na białych, metalowych krzesłach – ale chciałabym ci pomóc, a żeby to zrobić, muszę wiedzieć, co się z tobą dzieje. Jesteś chora, prawda? Mnie możesz powiedzieć. To AIDS?

– AIDS? – Była w szoku. – Nie!

– No to mi ulżyło – powiedziała Ingrid, choć wyraźnie nie w pełni przekonana. – Niepokoiłam się, bo przypominasz mi znajomą, którą ta przekłeta choroba mi odebrała. Po prostu... jesteś taka chuda. Jakbyś od miesiący nie jadła. Do tego jesteś blada i... i masz cienie pod oczami.

Jade wiedziała, że wygląda na chorą. Koszule, które tata kupił jej w sklepie charytatywnym, wisiały na niej i wkrótce będzie musiała sprawić sobie pasek, żeby spodnie jej nie spadały. Zawsze miała małe piersi, ale teraz stanik jej odstawał.

– Nie jestem chora – zapewniła. – Tylko... to chyba ze stresu związanego z przyjazdem tutaj, rozpoczynaniem życia na nowo. Nie mam apetytu.

– Kochanie. – Ingrid nachyliła się ku niej. – Uciekasz przed kimś, kto cię skrzywdził?

Próbowała się zaśmiać, jakby to było absurdalne pytanie.

– Nie, skąd – powiedziała.

– Jesteś w ciąży? Przepraszam, że tak drążę – dodała Ingrid pospiesznie. – Chcę tylko pomóc.

Miała ochotę wyznać jej wszystko. Ingrid była serdeczna i miła. Ale oczywiście nie mogła. Nigdy nie powie prawdy o sobie nikomu.

– Nie jestem w ciąży. Nie jestem chora. – Zmusiła się do uśmiechu. – Wszystko jest w porządku. Naprawdę.

– Musisz mieć w domu coś do jedzenia. – Ingrid podała jej bochenek chleba bananowego i Jade położyła go sobie na podołku. – Wyszłaś choć raz? – spytała. – Byłaś w sklepie? – Wskazała w kierunku północnym. A może południowym. Trudno się połapać, kiedy człowiek nagle ma ocean na zachód, nie na wschód od siebie jak przez całe życie. – Mam wózek sklepowy na większe zakupy, żeby ich nie dźwigać. Możesz z niego korzystać. Trzymam go w szopie. – Wskazała mały budynek w głębi ogródka, obrośnięty białym, kwitnącym pnączem.

– Dziękuję.

– Dasz radę dojść do sklepu o własnych siłach? – zapytała Ingrid. – Jeśli nie, mogę później kupić ci parę rzeczy.

Jade domyśliła się, że Ingrid nadal podejrzewa ją o AIDS.

– Pójdę tam po południu – obiecała. I tak zrobi. Ingrid miała rację. Musiała się ruszyć z domu. Zobaczyć, jak ludzie zareagują na jej widok. Musiała się upewnić, że

jest tu bezpieczna.

Po powrocie do domku Jade przejrzała się w łazienkowym lustrze. Wyglądała tragicznie. Włosy, choć teraz już czyste, zwisały smętnie wokół jej bladej twarzy, oczy były podkrążone. Choć ufarbowała brwi, rzęsy miała białe jak zawsze; sama prosiła się o to, żeby ją zdemaskować. Powinna sprawić sobie tusz do rzęs, no i farbę do włosów, na wypadek gdyby pojawiły się odrosty.

Włożyła sandały i chwyciła torebkę. Po wyjściu na ulicę ruszyła w kierunku wskazanym przez Ingrid. Na północ. Kiedy w oddali dostrzegła sklep, mocno się już zasapała. Wokół roilo się od ludzi, w większości jej rówieśników. Młodzi blondyni na deskorolkach. Długowłose dziewczyny w poszarpanych džinsach i obciętych T-shirtach. Zerkali na nią. Niektórzy nawet się uśmiechali i wołali „cześć”. Nie była już w północnej Wirginii. Tu ludzie byli weseli, serdeczni i nigdzie się nie spieszyli. Słońce świeciło jaśniej i czystiej. Nikt nie myślał o młodej morderczyni z Alexandrii.

W sklepie zaczęła żałować, że nie wzięła wózka Ingrid. Ograniczyła zakupy tak, żeby wszystko zmieściło się w dwóch papierowych torbach; wzięła trochę owoców, pierś kurczaka i książkę kucharską *Zdrowe i tanie gotowanie*. Odszukała przepis na kurczaka i dobrała resztę niezbędnych składników. Nigdy nie nauczyła się gotować. Mama zawsze powtarzała, że ma grać na skrzypcach, a nie zajmować się domem. Jade powstrzymała łzy na wspomnienie matki i wtedy zauważyła tę dziewczynkę. Malutka, najwyżej dwuletnia, ukucnęła między regałami z makaronem i ryżem, odwrócona do niej plecami, i dźgała palcem plastikowe opakowanie makaronu. Obok stała kobieta – prawdopodobnie jej matka – studiująca etykiety na słoikach sosu do spaghetti. Czarne, lśniące włosy dziewczynki spięte były nad skroniami w dwa mysie ogonki. Jade znieruchomiała, wpatrzona w nią, i próbowała zmusić ją siłą woli, żeby się odwróciła, żeby była Riley. Dziewczynka gaworzyła do siebie, naciskając palcem opakowanie, a Jade walczyła z pokusą, żeby wziąć ją na ręce, obrócić ku sobie i wtulić twarz w tę pulchną szyjkę, która na pewno pachniałaby tak jak szyja Riley. Kiedy jednak mała zadarła ku niej buzię słodkiej nieznajomej, czar prysł. Jade pospiesznie ominęła dziecko i poszła do kasy, zanim kobieta oglądająca słoiki zdążyła ją przyłapać na gapieniu się na jej córeczkę.

Wróciła do domku Ingrid z torbami w rękach. Ważyły chyba z tonę, a ona zupełnie nie miała siły. Ledwie uszła przecznicę, a już dostała zadyszki i nie mogła zmusić serca, żeby się uspokoiło. Chwilami nawet gubiło rytm tak jak tego dnia, kiedy policja ją aresztowała i zabrała na komisariat. Siedziała wtedy półprzytomna w radiowozie i czuła, jakby w piersi miała objijającą się o zebra kulkę do pinballa. Jej džinsy były sztywne od krwi, dłonie lepkie i czerwone. Nie dbała wówczas o to, czy umrze. Przyjęłaby atak serca z ulgą. Chciała, żeby to wszystko się skończyło, bo wiedziała, że cokolwiek ją czeka, jej życie jest zrujnowane. Podobnie czuła się teraz. Jakby nie

miała po co żyć. Gdyby w tej chwili padła trupem na ulicy, znaleźliby tylko Jade, dziewczynę, która nie istnieje, i kiedy spróbowaliby skontaktować się z jej rodziną, przekonali się, że rodzina też nie istnieje.

Zlana potem i zapłakana, weszła do wynajętego domku. Rzuciła zakupy w kuchni, gruchnęła na łóżko i patrzyła przez okno na drzewka pomarańczowe. Czy Jade miała kogoś, kto ją kochał? Rodzina, od której uciekła – czy ją kochała? Jakie to ma znaczenie, powiedziała sobie. To były wymyślone postacie. Wszyscy, którzy kochali Lisę – jej rodzice, Riley, Danny i Matty – teraz kochali już tylko jej ducha. Oprócz taty. On jeden wiedział, że nie umarła. Nikt inny nie znał pustej dziewczyny, w którą się zmieniała.

20.

## Riley

Mimo przestrogi Verniece, żebym z rozmową z Tomem zaczekała do jutra, nie wytrzymałam. Po kolacji wróciłam na kemping i z ulgą zobaczyłam Kyle'ów siedzących na krzesłach przed kamperem. Na stoliku między nimi stały dwa piwa.

Zaparkowałam na końcu zwirowej drogi. Patrzyli na mnie, kiedy szłam w ich stronę.

– Chcesz piwo, Riley kochana? – spytała Verniece, gdy stanęłam przed nimi. Wydawała się jakaś nerwowa, uśmiechała się niepewnie.

– Nie, dzięki. – Bez zaproszenia osunęłam się na trzecie krzesło. Jeden komar natychmiast wylądował na moim udzie, drugi na nadgarstku. Jednego pacnęłam, drugiego chybiłam, ale nie dbałam o to.

– Słuchaj. – Tom wychylił się do przodu, nie czekając na moje pytania. Wciąż miał na sobie tę samą koszulę i spodnie co w kancelarii Suzanne. – Powiedziałem tylko to, co mówiła policja. Nigdy nie znaleźli jej ciała. To podejrzane i tyle.

– Czyli nic nie wiesz? – Usłyszałam błaganie w moim głosie. *Proszę, powiedz, że coś wiesz!* – To jedynie twoje przypuszczenia?

– Właśnie – przytaknęła Verniece. – Jego przypuszczenia. Nic więcej.

Tom podniósł piwo do ust i pociągnął duży łyk. Zerknął na żonę.

– W miejscu, gdzie zostawiła samochód, znaleźli ślady drugiej osoby, jakby ktoś jej pomagał – oznajmił nagle.

– Tom! – zaprotestowała Verniece.

– Jakby ktoś pomógł jej upozorować samobójstwo – dodał, jakbym nie zrozumiała za pierwszym razem. A zrozumiałam. Doskonale.

– Skąd wiesz o tych śladach? – spytałam.

Wzruszył ramionami.

– Przeczytałem w jakiejś gazecie. Kurde, wszyscy się rozpisywali o tak zwanym samobójstwie twojej siostry.

– Mój ojciec powycinał masę artykułów na ten temat – powiedziałam. – Przeczytałam wszystkie. Nigdzie nie było mowy o śladach drugiej osoby.

– Widocznie akurat ten jeden przegapił – stwierdził. – Przecież nie wysłałem sobie tego z palca. Jakie to w ogóle ma znaczenie? – Spojrzał na mnie zmrużonymi oczami.

– Chcesz mieć morderczynię w swoim życiu? Podzielić się spadkiem z kimś takim?

– Tom... – Verniece miała czerwone plamy na gardle.

– Jeśli moja siostra żyje, chcę ją poznać. – Czułam, że łzy napływają mi do oczu.

– Widzisz, coś narobił? – warknęła Verniece na męża. – Przestań się z nią drażnić.

Co w ciebie wstąpiło, stary baranie?

Tom z westchnieniem odchylił się na oparcie.

– Nie chciałem cię zdenerwować.

– Nie chciał, Riley, wierz mi – zapewniła Verniece.

– Ale... naprawdę sądzisz, że się nie zabiła? – Nie mogłam tego zostawić. Będę się trzymać tej nadziei najdłużej, jak to możliwe.

– Tak – odpowiedział. – Myślę, że najprawdopodobniej żyje gdzieś w świecie, wolna jak ptak.

– Przestań! – Verniece trzepnęła męża w ramię. – Nie widzisz, jaka dziewczyna jest krucha? Mocno przeżyła to, że jej powiedziałam o adopcji, a teraz ty jeszcze wciskasz jej jakieś bzdury!

– Nikt mnie nie adoptował – ucięłam znużonym głosem i znów spojrzałam na Toma. – Chodzi o to, jakim tonem to powiedziałeś. Pamiętasz, wtedy, kiedy już siedziałeś w samochodzie, zaraz przed odjazdem? Jakbyś wiedział to na pewno.

– Byłem wkurzony – przyznał. – Ale to w niczym nie zmienia mojego zdania. Że ona żyje.

Oboje ignorowaliśmy Verniece, która cmokała z niezadowoleniem.

– Verniece mówiła, że mój ojciec podobno obiecał wam kemping, ale w testamencie nie ma nic na ten temat. Przykro mi, jeśli narobiliście sobie nadziei. Naprawdę uważam, że kolekcja fajek to całkiem hojny dar.

Posłał mi złowieszcze spojrzenie.

– Nic, kurwa, nie wiesz. – Zerwał się tak gwałtownie, że odchyliłam się na krześle, wystraszona. Złapał opróżnioną do połowy butelkę i poszedł w stronę strumienia. Odprowadziłam go wzrokiem, żałując, że wspomniałam o kempingu. Że w ogóle tu przyszedłam.

Spojrzałam na Verniece.

– Przepraszam – powiedziałam. – Nie zdawałam sobie sprawy, że to taki drażliwy temat.

Westchnęła głęboko i odgoniła muchę od swojej wilgotnej twarzy.

– Trochę kiepsko ostatnio stoimy z pieniędzmi – wyznała. – To wszystko. Wiesz, jak to jest... Chociaż nie, skąd mogłabyś wiedzieć. – Uśmiechnęła się. – Jak człowiek

osiągnie pewien wiek, dochody się nie zmieniają, za to wydatki rosną. Dom się sypie. – Zaśmiała się niewesoło, wskazując na poobijanego kampera za jej plecami. – Robi się trochę strasznie.

– Przykro mi – powiedziałam. Czułam się bogata; pieniądze, które zapisał mi tata, już były w drodze na moje konto, a do tego dojdą jeszcze sumy ze sprzedaży domu i kempingu. Nie zrobiłam zupełnie nic, by zasłużyć na ten majątek. – Wiesz, że możecie tu mieszkać za darmo, dopóki nie sprzedam kempingu. – *O Boże*. A gdzie potem się podzieją? – Mam nadzieję, że ta kolekcja fajek pomoże wam stanąć na nogi.

– Na pewno – Ze smutnym uśmiechem wyciągnęła rękę i dotknęła mojej dłoni. – I nie martw się o nas. Poradzimy sobie.

Wyjeżdżając od Kyle'ów, czułam się znacznie gorzej niż pół godziny wcześniej, kiedy do nich przyjechałam. Chciałam wierzyć, że moja siostra żyje, wiedziałam jednak, że istnieje spore prawdopodobieństwo, że Tom tylko sobie ze mną pogrywa.

*Ślady drugiej osoby*, powiedział. Zmyślał? A nawet jeśli były takie ślady, cóż to oznaczało?

Wiedziałałam też, że nie chcę być sama z moimi rozterkami. Minęłam wyjazd z kempingu i wjechałam na zryty koleinami dukt, który doprowadził mnie do przyczepy mojego brata.

MARZEC 1990

21.

## *San Diego, Jade*

Nocą grała na skrzypcach w łóżku.

Instrumentu nie miała, oczywiście. Dotrzyma obietnicy danej ojcu bez względu na to, ile ją to kosztowało. Nigdy więcej nie zagra. Jednak tak jak bez gitary można udawać gitarzystę, tak ona przeciągała smyczkiem po strunach wyimaginowanych skrzypiec. Leżała na plecach z Violką pod brodą i grała Bacha albo Mendelssohna dopóty, dopóki ręce mogły utrzymać instrument. A potem, każdej nocy bez wyjątku, płakała, aż głowa jej puchła, i z trudem zasypiała.

Strasznie tęskniła za swoimi skrzypcami. Nigdy nie należała do tych dzieci, które musiały być przez rodziców gonione do ćwiczeń. Przeciwnie: musieli ją zmuszać, żeby raz na jakiś czas poszła się pobawić na podwórku. Dla Jade – dla Lisy – skrzypce były nagrodą. Nawet kiedy miała osiem czy dziewięć lat, w sobotnie poranki nie jeździła na rowerze jak dzieci z sąsiedztwa; po przebudzeniu palce ją świerzbiły, żeby sięgnąć po smyczek. Skrzypce pomogły jej przetrwać wiele trudnych chwil, a teraz, samotna jak nigdy przedtem, w tym najczarniejszym okresie jej życia, została pozbawiona tej jednej jedynej rzeczy, która byłaby w stanie ją ukoić.

Chwilami nie mogła uwierzyć, że tak się to wszystko ułożyło, że nie jest to tylko koszmar, z którego kiedyś się ocknie, by dalej z zapalem pisać podania na Juilliard i inne interesujące ją uczelnie. Nawet gdyby Juilliard ją odrzuciła – przez Stevena – przyjęliby ją gdzie indziej. „Och, Lisa ma świetlaną przyszłość!”, zachwycali się wszyscy. Teraz Lisa nie miała przyszłości w ogóle, Jade też raczej nie. Zastanawiała się, czy istnieje jakieś wyjście z jej dylematu. Może adwokat coś przeoczył. Teraz jednak, nawet gdyby jakieś rozwiązanie rzeczywiście się znalazło, do więzienia



trafiłaby nie tylko ona, ale i tata. Nie mogła na to pozwolić.

Co rano wmuszała w siebie grzanekę i oglądała wiadomości. Choć już półtora miesiąca przebywała poza domem, wciąż się niepokoiła, że zobaczy swoją twarz na ekranie telewizora, ale to nie nastąpiło. Z każdym dniem, który przemijał bez żadnej wzmianki o Lisie MacPherson, czuła się coraz śmieiej. Chodziła na coraz dłuższe spacery po osiedlach pełnych parterowych domków i dzikich ogrodów. Kiedy ludzie się do niej uśmiechali, odwzajemniała uśmiech i wątpiła, czy ktokolwiek poznał, że był to tylko odruch mięśni twarzy, nie jej serca. Na plaży obserwowała ujeżdżających fale surferów w skafandrach piankowych. Patrzyła z nowym współczuciem na bezdomnych, którzy nie zrobili jej krzywdy, kiedy spędziła noc wśród nich. Kilka razy poszła po zmroku z Ingrid rozdać jej wypieki głodnym. Uznała, że choć tyle może dla nich zrobić.

Między dzielnicą Ingrid a plażą biegła Newport Avenue, główna arteria Ocean Beach. Po obu stronach stały sklepy ze starzyzną, komisy, studia jogi i małe jadłodajnie, Jade jednak ciągnęło w jedno miejsce – do sklepu muzycznego o nazwie Grady's Records. Kiedy pierwszy raz przestąpiła próg sklepu, przez godzinę przeglądała stare winyle, kasety i nowe kompakty, na jakiś czas zapomniała o bólu w piersi. Interesowało ją wszystko – muzyka poważna, rock, folk, country, gospel. Wszystko. Potrzebowała muzyki! Jak ona wytrzymała tyle tygodni bez niej? Gdyby tylko mogła kupić choć kilka kompaktów... nie miała jednak na czym ich słuchać, a wolała nie uszczuplać swoich i tak topniejących zasobów na koncie. Musiała się rozejrzeć za jakimś płatnym zajęciem, ale choć potrafiła stać na scenie przed tysiącami ludzi i godzinami grać na skrzypcach, przerażała ją myśl, że miałyby wejść do jednego ze sklepów na Newport Avenue i spytać o pracę.

Ale powoli zbierała się na odwagę, bo Grady, długowłosy blondyn prowadzący sklep z płytami, uśmiechał się do niej ciepło, ilekroć przychodziła. Jeśli nie podobało mu się, że tak długo grzebała w jego płytach i nic nie kupowała, nigdy tego nie okazywał.

W sklepie Grady'ego czuła się swojsko także z innego powodu, niezwiązanego z muzyką. Kiedy przyszła tam pierwszy raz, jej spojrzenie przyciągnął plakat na ścianie, jedyny wśród licznych rozwieszonych przez Grady'ego, który nie przedstawiał zespołu rockowego. Była to fotografia nagiej modelki, Nastassji Kinski, oplecionej pytonem. Jeśli policjanci po „śmierci” Jade przeszukali jej pokój, być może znaleźli to samo zdjęcie w głębi szuflady, w której trzymała T-shirty. Po raz pierwszy zobaczyła je, kiedy miała jedenaście lat. Leżeli z Mattym na podłodze salonu i przeglądali jakieś kolorowe czasopismo. On przewrócił kartkę i ich oczom ukazała się Nastassja z wężem. „Błę!”, Matty wykrzywił twarz w grymasie obrzydzenia, który zawsze ją rozśmieszał.

– Błę – przytaknęła, ale później, kiedy została sama, wycięła to zdjęcie i zanim

schowała je do szuflady, wpatrywała się w nie godzinami, zafascynowana tym, jak wąż owijał się wokół ciała kobiety, to zasłaniając, to odkrywając jej wdzięki.

Fakt, że zobaczyła ten sam wizerunek na ścianie Grady'ego, mimo że nie miał nic wspólnego z muzyką, wydał jej się znakiem od losu. Tutaj chciała pracować.

Jednak nawet otaczanie się muzyką w sklepie płytowym nie wystarczało, żeby zabić tęsknotę za domem. Przeciwnie, z każdym mijającym dniem brak rodziny, Matty'ego, Violki stawał się coraz dotkliwszy, coraz bardziej rozdzierał serce. Kiedy sądziła, że nie uniknie więzienia, poprosiła Matty'ego, żeby miał oko na Riley i Danny'ego, i teraz pocieszała się myślą, że choć w jego przekonaniu umarła, na pewno pozostawał z nimi w bliskim kontakcie. Wyobrażała sobie, że przychodził do ich domu i troszczył się o Riley i Danny'ego jak starszy brat. Może zabierał ich do kina albo zoo. Gdyby tak mogła z nimi być.

Pewnego dnia, kiedy nie mogła się otrząsnąć z poczucia straty, poszła do banku i rozmieniła banknot dwudziestodolarowy na ćwierćdolarówki, wmawiając sobie, że drobne potrzebne jej są do pralni samoobsługowej. Potem, gdy jej ubrania już wirowały w pralce, poszła do pobliskiej budki telefonicznej. Zostawiła drzwi lekko uchylone, żeby trochę wywiało smród alkoholu i moczu, po czym ułożyła drobne w stosik na małej, metalowej półce pod automatem.

Wbiła wzrok w tarczę. Na Wschodnim Wybrzeżu była godzina piąta po południu. Mama pewnie była w domu, szykowała kolację. Jade chciała tylko usłyszeć jej głos. To wszystko. Może przy okazji usłyszałyby w tle gaworzenie Riley. Nie odezwie się jednak ani słowem. Nie ośmieliłaby się. Chodziło jedynie o to, żeby choć przez chwilę poczuć bliskość rodziny. Potrzebowała tego rozpaczliwie.

Wykręciła swój stary numer domowy, wrzucając na żądanie automatycznego głosu kolejne ćwierćdolarówki. Ze wstrzymanym tchem przeczekała trzy dziwne, brzękliwe sygnały, zanim ktoś się odezwał.

– Wybrany numer został odłączony – poinformował ją mechaniczny i obojętny głos. Jade spojrzała szeroko otwartymi oczami na tarczę.

O nie. Po jej aresztowaniu rodzice dwa razy musieli zmieniać numer; jej „samobójstwo” zapewne pociągnęło za sobą kolejną falę niechcianych telefonów, więc najwyraźniej zrobili to znowu. Serce zabiło Jade mocniej, gdy zrozumiała, że nie skontaktuje się z rodziną. Nowy numer na pewno zastrzegli. Mimo to postanowiła spróbować. Zadzwoiła na informację i poprosiła o numer Franka MacPhersona z Alexandrii.

– Nie ma numeru nikogo o tym nazwisku w Alexandrii – oznajmiła telefonistka.

– To znaczy nie może go pani podać, tak? Jest zastrzeżony?

– Nie, po prostu nie ma żadnego Franka MacPhersona. Jest Peter i J.T.

Przeprowadzili się? To wydawało się nie do pomyślenia.

– A w... Arlington? – spytała. – Gdzieś w okolicach Waszyngtonu?

Telefonistka znalazła Fionę, ale nie Franka, tak wśród zastrzeżonych, jak i niezastrzeżonych numerów. Jade w końcu skapitulowała i odwiesiła słuchawkę. Gdzie oni są? Gdzie jej rodzina? Czy uciekają przed prasą? A może przed nią?

Może Matty wiedział? Wyglądało na to, że jednak nie uczestniczył w życiu jej rodziny, jak to sobie na pocieszenie wyobrażała. Bo i jak mógłby, skoro się przeprowadzili?

Wreszcie, choć tego nie planowała, wykręciła numer Matty'ego. Miał w swojej sypialni własny telefon, niepołączony z tym, z którego korzystali jego rodzice. Zadowoliliby się komunikatem z automatycznej sekretarki. Jednym słowem. Pragnęła tylko usłyszeć głos kogoś z jej przeszłości, kogoś, komu – była tego pewna – na niej zależało.

Podniósł słuchawkę.

– Halo? – odezwał się.

*O mój Boże.* Dotknęła telefonu tak, jakby dotykała Matty'ego. Jego głos był tak znajomy i bliski. Z trudem powstrzymała słowa cisnące się na usta.

– Halo? – powtórzył. – Jest tam kto?

Domyśli się? Nikt na tym świecie nie był jej bliższy niż Matty. Czy wiedział, że nigdy, przenigdy nie popełniłaby samobójstwa? Czekala, pragnąc, by zapytał „Lisa, to ty?”. On jednak odłożył słuchawkę.

Wróciła do pralni, oszołomiona. Próbowała sobie wyobrazić swój dom w Alexandrii z nowymi lokatorami. Jej rodzina ułożyła sobie życie bez niej. To bolało. Marzyła, że kiedyś znajdzie sposób, by wrócić do domu. A teraz dom już nie istniał. Na tę myśl zakręciło jej się w głowie, jakby dryfowała w przestrzeni kosmicznej bez nadziei na powrót na Ziemię.

Otworzyła pralkę i sięgnęła po swoje mokre, poskręcane ubrania.

Czego właściwie się spodziewała? Musiała przestać myśleć o sobie, a zacząć o tym, co będzie najlepsze dla Riley, Danny'ego i rodziców. Przewróciła ich życie do góry nogami. Przeprowadzka na pewno wyjdzie Danny'emu na dobre. Zacznie naukę w szkole, w której nikt nie słyszał o Lisie MacPherson. A Riley, dziś zaledwie trzyletnia, nigdy nie pozna prawdy o swojej siostrze – morderczyni i samobójczyni.

Otarła oczy trzymanym w rękach wilgotnym ręcznikiem.

Wiedziała, że tak będzie najlepiej.

22.

## Riley

Nie znalazłam mojego brata. Kiedy po wizycie u Kyle'ów wjechałam na polanę Danny'ego, jego samochód stał zaparkowany obok przyczepy, ale moje pukanie pozostało bez odpowiedzi. Zapewniał, że nie ma skłonności samobójczych, mimo to nie wytrzymałam, przysunęłam do przyczepy betonowy pustak, stanęłam na nim i zajrzałam do środka. Ani śladu Danny'ego. Jego strzelba też zniknęła, co bynajmniej nie uśmierzyło moich obaw. Pewnie zaszył się w swojej ulubionej leśnej kryjówce, ale na własną rękę nigdy nie znalazłabym tej owalnej, trawiastej polany. Usiadłam na stopniu przed drzwiami airstreama, wyciągnęłam telefon z kieszeni i wybrałam numer brata. Nie byłam zaskoczona, kiedy nie odebrał.

Znalazłam w samochodzie świstek papieru i napisałam liścik, który zostawiłam mu w drzwiach. *Muszę z Tobą porozmawiać. Proszę, zadzwoń. Daj znać, czy wszystko u Ciebie w porządku. Ale raczej nie liczyłam na odpowiedź.*

Tej nocy przewracałam się z boku na bok do drugiej nad ranem, bardziej rozbudzona niż w chwili, kiedy się kładłam. W końcu postanowiłam wstać i zająć się komputerem taty. Musiałam zobaczyć, co z twardego dysku należy zachować, zanim oddam go w ręce Christine. Może jeśli się na tym skupię, zapomnę o Tomie i Verniece, a także moich obawach o brata.

Poszłam boszo do gabinetu taty i zapaliłam lampkę na biurku. W martwej ciszy usiadłam przy komputerze. Wcisnęłam przycisk zasilania, a stara maszyna wydała ludzkie niemal westchnienie, które przyprawiło mnie o zimny dreszcz. Długo czekałam, aż masywny monitor obudzi się do życia, a gdy to wreszcie nastąpiło, jęknęłam. Żądał hasła. No to super.

Bohaterowie filmów jakoś zawsze odgadują właściwe. Imię dziecka. Ważna data. Coś oczywistego. Bezskutecznie wypróbowałam wszystkie kombinacje liter i cyfr, jakie mi przyszły do głowy, po czym wróciłam do łóżka. Może Jeannie miałyby lepsze pojęcie o tym, jakiego użyłby hasła, myślałam, wpatrzona w ciemny sufit.

W końcu zdawała się wiedzieć o nim wszystko. Jeśli ona nie pomoże, zwrócę się do Danny'ego. Komputery nie miały przed nim tajemnic i kto jak kto, ale on na pewno znał sposoby, żeby ominąć zabezpieczenia i dostać się na twardy dysk. Pytanie tylko, jak go namówić, aby raz jeszcze przestąpił próg naszego rodzinnego domu.

Poza tym najpierw musiałam go znaleźć.

Właśnie budziłam się następnego ranka, kiedy przyjechały Jeannie i Christine. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi samochodu, ich stłumione głosy na ganku i chrobot klucza Jeannie w zamku. Za chwilę jedna albo druga zapuka do mojej sypialni, żeby zawracać mi głowę szafkami ojca, komputerem albo równie ważną sprawą. Mój dom nie należał już do mnie.

Wstałam, umyłam zęby i narzuciłam na siebie strój do biegania. Niepostrzeżenie zeszałam na dół i wymknęłam się z domu, po czym ruszyłam lekkim truchtem w stronę rzeki, wciąż ziewając po prawie nieprzespanej nocy. Kiedy dotarłam do nadbrzeżnej ścieżki, zobaczyłam pięciu kajakarzy wiosłujących na południe. Zwolniłam kroku, stanęłam przy barierce na brzegu i patrzyłam, jak klucz kajaków przecina wodę. Ten na czele był żółty, jak kajak mojej siostry. *Dziwny zbieg okoliczności*, pomyślałam i wróciłam myślą do rozmowy z Kyle'ami.

*Ślady drugiej osoby.*

Wyciągnęłam telefon z kieszeni szortów i zadzwoniłam do Danny'ego. Nie odbierał. Odwróciłam się i ruszyłam biegiem do domu. Gdy weszłam tylnymi drzwiami, zastałam Jeannie grzebiącą w jednym z kredensów kuchennych. Podniosła głowę, zaskoczona, i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zerwała kluczyki z haczyka, pomachałam jej i wyszłam, zanim zdążyła się odezwać.

Danny'ego znowu nie było, ale tym razem zniknął też jego wóz, domyśliłam się więc, że pojechał do sklepu albo do baru. Kiedy tak siedziałam w potwornie nagrzanym samochodzie, przypomniał mi się mejl od Harry'ego z informacją, że mój brat ostatnio jest stałym bywalcem Slick Alley.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce z nadzieją, że zobaczę jego subaru na parkingu sklepu Food Lion, nie sali bilardowej, dla dobra nas obojga. Po długich manewrach – kawałek w przód, kawałek w tył i tak Bóg raczy wiedzieć, ile razy – nawróciłam na małej polanie i ruszyłam z powrotem do New Bern. Po kwadransie wypatrzyłam samochód Danny'ego na parkingu Slick Alley. Sam budynek był parterowym, betonowym kłocem z płaskim dachem; kiedyś biały, dziś zlewał się w jedno z szarym niebem w tle. Ręcznie wymalowany, zielony szyld nad wejściem zapraszał do BILARD SLICK ALLEY, a boczną ścianę zdobiło malowidło przedstawiające

biuściastą blondynkę, która pochylona nad stołem bilardowym, przymierza się do uderzenia bili. Urocze.

Dochodziła dopiero jedenasta, ale przed budynkiem stało już dziesięć samochodów. Zaparkowałam między subaru a zielonym pikapem i wysiadłam, zanim zdążyłam się rozmyślić. Pchnęłam drzwi wejściowe i tuzin męskich głów odwrócił się w moją stronę, a ja zaczęłam żałować, że nie ubrałam się w coś innego niż szorty do biegania i podkoszulek. Lokal wyglądał jak typowa sala bilardowa – przyćmione światło, zadymione powietrze, cicha muzyka przerywana głuchym stukotem uderzających o siebie bil. Wzdłuż lewej ściany ciągnął się rząd boksów i kiedy moje oczy oswoiły się z półmrokiem, w ostatnim zobaczyłam mojego brata z książką w rękach. Patrzył na mnie. Nie pomachał. Nie wstał. Ruszyłam ku niemu, ignorując spojrzenia, komentarze i cmoknięcia mijanych bilardzistów.

Danny był w boksie sam, nie licząc jednej pełnej i jednej pustej butelki piwa. Wsunęłam się na ławę naprzeciwko niego. Obicie ze sztucznej skóry lepiło się do moich nagich ud.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – spytał.

Liczyłam na to, że zrelacjonuję mu moją rozmowę z Kyle'ami, ale nie tutaj. Bałam się, jak zareaguje na moje ustalenia o Lisie.

– Chcę, żebyś pomógł mi się dostać do komputera taty – powiedziałam zamiast tego. – Jest zabezpieczony hasłem.

– Nie powinnaś tu przychodzić.

– A jak inaczej mogłam się z tobą skontaktować? – odparłam. – Nie korzystasz z telefonu, który ci dałam.

– Po co grzebać w jego komputerze? Po prostu wyczyść twardy dysk i go wyrzuć.

– Najpierw muszę sprawdzić, czy nie ma tam czegoś ważnego. Potrzebuję twojej pomocy. Proszę.

Potrząsnął głową.

– Powiedziałem ci. Moja noga więcej nie postanie w tym domu.

Westchnęłam.

– Zatem przywiozę komputer do ciebie – stwierdziłam, niezbyt zachwycona perspektywą taszczenia tej ciężkiej maszyny. – To duży, nieporęczny, stary pecet. Monitor nie będzie potrzebny, prawda? Wystarczy sam komputer?

Nie odpowiedział. Spojrzał tylko na mnie matowym wzrokiem, z którego nie potrafiłam nic wyczytać, i jego niebieskie oczy błysnęły w słabym świetle wpadającym przez witryny. Miałam ochotę spytać, czy to tak spędza całe dni – siedząc samotnie na tej lepkiej ławie w tym obskurnym budynku. Czy w ogóle znał facetów przy stołach bilardowych? Czy był tu ktoś, kogo mógłby nazwać przyjacielem? A jednak z moich ust wyszło zupełnie co innego.

– Kiedy widzieliśmy się ostatnio, zarzuciłeś mi, że nie jestem dobrym

psychologiem. To zabolęło – powiedziałam, sama zaskoczona tym, jak wartko płynęły słowa z moich ust. – Ciężko pracowałam, żeby skończyć studia, i dobrze sobie radzę z dziećmi, które do mnie przychodzą. Wiem to. Może masz rację, że ktoś taki jak... ktoś, kto przeżył tyle, co ty, to dla mnie za wysokie progi. Ale nie powinienesz mnie poniżać ani ucierać mi nosa. – Wychyliłam się do przodu, żeby podkreślić wagę moich słów. – Było mi naprawdę przykro.

Mocniej ścisnęłam piwo w dłoni, a ja zeszytniałam, zaniepokojona, co zrobi, on jednak tylko podniósł butelkę do ust i pociągnął długi łyk. Kiedy odstawił ją na stolik, spojrzał na mnie.

– Chodźmy, pomogę ci z tym komputerem. – Wysunął się z boku. – Nie musisz go do mnie przywozić.

Dopiero po chwili jego słowa do mnie dotarły i zrozumiałam, że to była forma przeprosin. Z dziwną euforią wyslizgnęłam się zza stolika. Danny szedł u mojego boku, jakby osłaniając mnie przed kretynami przy stołach bilardowych, i po raz pierwszy od dzieciństwa poczułam dotyk ramienia brata obejmującego mnie opiekuńczym gestem.

Kiedy wyszliśmy, już miałam go zapytać, czy jest w stanie prowadzić, ale ugryzłam się w język. Wydawał się zupełnie trzeźwy. Przypuszczałam, że ma mocną głowę, a poza tym ostatnie pół minuty obudziło we mnie radość, której nie chciałam niczym zmącić.

– Pojadę przodem, dobrze? – spytałam, otwierając drzwi mojego samochodu. Nagle zaniepokoiłam się, że to był z jego strony tylko podstęp, żeby się mnie pozbyć. Może kiedy wyjedziemy z parkingu, ucieknie mi i znów będę musiała tracić czas na jego poszukiwania. Nie sądziłam jednak, by tak się stało. Miałam wrażenie, że w chwili gdy objął mnie ramieniem, wszystko się zmieniło. Przynajmniej dla mnie.

W drodze przypomniałam sobie, że w domu są Jeannie i Christine. *No to świetnie.* Sam na sam ze mną Danny jeszcze by jakoś wytrzymał, ale towarzystwo tej dwójki to zupełnie inna para kaloszy.

Ulżyło mi, kiedy po przyjeździe zobaczyłam, że samochód Jeannie zniknął. *Pewnie zrobiły sobie przerwę na lunch,* pomyślałam. Skręciłam na podjazd, a Danny zaparkował na ulicy. Dołączył do mnie na trawniku i razem weszliśmy po schodach na ganek. Ledwie otworzyłam drzwi, zobaczyłam Christine w pokoju stołowym.

– Gdzie się podziewałaś?! – zawołała, kiedy weszliśmy do salonu. – Był jeden kolekcjoner, kupił wszystkie zapalniczki i kompasy. Cudownie, prawda? Ale mamy do ciebie tysiące pytań. – Stała w drzwiach między pokojem stołowym a salonem i pisnęła na widok Danny'ego. – Danny MacPherson! O Boże! Kiedy cię ostatnio widziałam, byłeś jeszcze dzieckiem! – Ruszyła ku niemu z otwartymi ramionami, ale szybko osłoniłam go własną pierśią i Christine przezornie się zatrzymała. – Piękny

chłopak z ciebie – powiedziała. – Naprawdę. O rany.

– Nie dam rady. – Danny ruszył do drzwi domu, ale złapałam go za rękę i niemal siłą zaciągnęłam na schody.

– Nie teraz – warknęłam na Christine, posyłając jej spojrzenie, którym można stopić stal.

Zaprowadziłam Danny’ego na górę, ciągnąc go za rękę jak małe dziecko. Nie stawiał oporu. Bez słowa minęliśmy jego stary pokój i weszliśmy do gabinetu naszego ojca. Tam puściłam go, żeby zamknąć drzwi i przekręcić zamek.

– Kto to, do licha...?

– Córka Jeannie Lyons – powiedziałam. – Christine. Pamiętasz ją?

Potrząsnął głową i podszedł prosto do biurka taty.

– Co ona tu robi? – spytał, siadając przy komputerze.

– Pamiętasz, mówiłam ci, że organizują z Jeannie wyprzedaż majątku? A potem Jeannie wystawi dom i kemping na sprzedaż w moim... w naszym imieniu. Przepraszam, że cię napadła z zaskoczenia. Zupełnie jakbym mieszkała z dwoma pitbullami. Kroku zrobić nie mogę, żeby się na którąś nie nadziać, panoszą się w domu, jakby należał do nich, nie do mnie.

Danny wbił wzrok w monitor komputera.

– Domyślasz się, jakie mógł mieć hasło?

– Nie.

Podniósł głowę.

– Gdzie trzymał dysk startowy? – Nasze głosy zdawały się odbijać echem od ścian pokoju.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem, czy go w ogóle miał. Ten komputer to rupieć.

– Poszukajmy. – Wstał i zaczął szperać w szafce na dokumenty, a ja przejrzałam szuflady biurka.

– Jest – powiedział Danny po kilku minutach. Kucał nad dolną szufladą, trzymając w podniesionej ręce dysk w białej kopercie. Wrócił za biurko. – Sprawdź, czy jest tu gdzieś zewnętrzny dysk twardy. Lepiej przekopiować wszystkie pliki z komputera, zanim go wyczyścisz.

– Mam własny. – Wzięłam z półki przy drzwiach pendrive’a i podałam mu. Christine wręczyła mi go przed kilkanaście dni, pragnąc zmobilizować mnie do działania. Usiadłam na jedynym, oprócz tego za biurkiem, krześle w gabinecie – tapicerowanym antykiem w kącie – a Danny wziął się do pracy. Dopiero wtedy zauważyłam, że przeszklone serwantki stoją puste. Ktoś kupił zapalniczki i kompas, powiedziała Christine. Nic dziwnego, że nasze głosy zdawały się odbijać echem. Nie byłam przywiązana do tych kolekcji, ale pustka w pokoju nagle poruszyła mnie do głębi. Zupełnie jakby tata kawałek po kawałku zniknął z domu.



Podniosłam bose stopy na krzesło, oplotłam nogi ramionami i odwróciłam wzrok od pustych serwantek. Danny włożył dysk startowy do komputera i patrzyłam jak zahipnotyzowana na jasne oczy brata rozświetlone blaskiem ekranu. Christine miała rację – był piękny. Przypomniała mi się rada Jeannie, żebym zachowała skrzypce Lisy dla moich albo jego dzieci. Czy Danny w ogóle będzie kiedykolwiek mieć dziecko? I normalne życie rodzinne? Życzyłam mu tego z całego serca. Równie mocno jak sobie.

– Udało się – oznajmił po kilku minutach.

– Hura! – Klasnęłam w dłonie. – Och, Danny, dziękuję.

– Jakie chcesz mieć nowe hasło? – spytał, nie zdejmując palców z klawiatury.

Pierwszym słowem, jakie mi przyszło do głowy, było „Lisa” i szybko zepchnęłam je najdalej w głąb umysłu, jak się dało.

– Wszystko jedno – powiedziałam. – To i tak tylko na parę dni. Może „New Bern”?

– Słabe jak cholera – stwierdził, ale je wpisał. – Twoje hasło brzmi „newbern”. Bez drukowanych liter, bez odstępów. Chcesz od razu coś tu zobaczyć?

Pokręciłam głową.

– Jutro się tym zajmę. – Uśmiechnęłam się. – To moja nowa dewiza. Nie rób dzisiaj, co możesz zrobić jutro. Doprowadzam Christine i Jeannie do szau.

Nie odpowiedział, tylko podłączył zewnętrzny dysk twardy do komputera.

– Niech się przekopiuje – stwierdził, wciskając kilka klawiszy. – To potrwa kilka godzin. Potem sprawdź, czy wszystko się zgrało na nowy dysk, zanim wyczyścisz stary.

– Super – powiedziałam.

– Spadam. – Wstał. – Odwrócisz uwagę tego pitbulla na dole, żebym mógł wyjść?

– Najpierw muszę z tobą o czymś porozmawiać. – Nie ruszyłam się z miejsca, zbierając odwagę. – Chodzi o parę spraw związanych z Kyle’ami.

– Jakich?

– Usiądź jeszcze, dobrze?

Chwilę się opierał, wpijając się w moje oczy palącym spojrzeniem. Ulżyło mi, kiedy skapitulował i z powrotem usiadł.

– Cóż, po pierwsze – powiedziałam, spuszcżając stopy na podłogę – twierdzą, że tata obiecał im kemping. Że planował im go dać.

– A niech go sobie wezmą. – Wzruszył ramionami. – Co my mielibyśmy z nim zrobić?

– To cenny kawałek ziemi, Danny. Może ciebie pieniądze nie obchodzą, ale mnie, szczerze mówiąc, owszem. Tu chodzi o naszą przyszłość. I to jeszcze nie wszystko – dodałam pospiesznie, zanim wpadł w złość. – Wiem, że Lisa to nie jest twój ulubiony temat...

– Wszystko mi jedno, co zrobisz z jej skrzypcami – przerwał mi, zerkając w stronę

pięciorga skrzypiec opartych o ścianę.

– Nie o to chodzi – wyjaśniłam. – Tom Kyle uważa, że wcale się nie zabiła.

Danny prychnął.

– Skąd niby miałyby to wiedzieć?

– Gdzieś wyczytał, że koło samochodu Lisy były ślady dwóch osób. No wiesz, tam, gdzie spuściła kajak na rzekę. – Danny zmarszczył brwi i nie byłam pewna, czy za mną nadała. – Pamiętasz jej przyjaciela Matty’ego?

– Mgliście. – Wyciągnął szyję w lewo i w prawo, jakbym go nudziła.

– Cóż, tak się zastanawiam... Może rzeczywiście się nie zabiła – powiedziałam. – Może Matty pomógł jej uciec.

Zaśmiał się, ale bez krzty wesołości.

– To byłoby w jej stylu, nie? – stwierdził. – Wszystko zawsze się układało po jej myśli. Mogła zabić tego faceta i odejść w siną dal, wolna jak ptak. Pewnie teraz siedzi na Tahiti i sączy martini. Wcale bym się nie zdziwił.

– Nie wiem, co o tym sądzić. Przeczytałam wszystkie artykuły, które tata trzymał w tym pudełku, i nie było żadnej wzmianki o śladach dwóch osób, więc...

– Więc Kyle cię podpuszcza. – Wychylił się nad rogiem biurka w moją stronę. – To sukinsyn, Riles. Wierz mi. Szkoda na niego twojego czasu.

– Ale dlaczego? – spytałam. – Dlaczego miałyby coś takiego mówić? – Chciałam, żeby to była prawda. Chciałam, żeby Lisa rzeczywiście wtedy uciekła. Żeby żyła.

– Bo jest palantem. Nie pozwól, żeby ci zalazł za skórę.

– Rzecz w tym – ciągnęłam – że jeśli istnieje choćby cień szansy, że się nie zabiła, myślę, że powinniśmy to sprawdzić. – Musnęłam opuszkami palców postrzępiony materiał na poręczy krzesła. – To znaczy wiem, że pewnie to zrobiła, ale... – Spojrzałam na niego. – Jeśli gdzieś tam mamy siostrę?

– Posłuchaj – powiedział. – Jeżeli ona żyje, to znaczy tylko tyle, że mamy siostrę, która świadomie porzuciła swoją rodzinę. Z nami włącznie.

Skinęłam głową na znak, że przyjąłem jego słowa do wiadomości. Głos uwiązł mi w gardle.

– Przecież to nie jest tak, że się zgubiła i chce, żeby ją znaleźć – dodał Danny. –

Nawet jeśli za nami tęskni, upozorowała samobójstwo, żeby uniknąć więzienia. A gdybyśmy ją znaleźli, tam by wylądowała.

Szczerze mówiąc, nie pomyślałam o tym. Idiotka ze mnie. W głowie miałam tylko skromną, bo skromną, ale jednak nadzieję, że odzyskam siostrę.

– Nie tego chcę – zapewniłam.

Byłam pewna, że mnie nie usłyszał. Z zamyśloną miną wbił wzrok w ciemny ekran monitora.

– I tam właśnie jest jej miejsce – oznajmił wreszcie. Podniósł oczy na mnie. – Kurde, byłoby miło, gdyby w końcu dostała za swoje.



## WRZESIEŃ 1990

23.

### *Jade*

Większą część poranka spędziła na układaniu płyt rockowych w kolejności alfabetycznej, chyba setny już raz w ciągu pięciu miesięcy pracy u Grady'ego. Odwiedzające sklep dzieciaki robiły straszny bałagan. Czasem myślała, że to na złość. W dziale muzyki klasycznej nigdy nie było takich problemów; tam płyty zawsze pozostawały nienagannie ułożone od A do Z. Miłośnicy muzyki poważnej, na ogół starsi i mniej upaleni, lubili porządek.

Zgromadziła już własną starannie dobraną kolekcję płyt kompaktowych. Grady dał jej zniżkę i nazywał ją swoją najlepszą klientką. Był pod wielkim wrażeniem jej wiedzy o muzyce i muzykach, choć tak naprawdę nie mówiła mu nawet połowy tego, co rzeczywiście wiedziała.

Tego ranka, w czasie kiedy ona układała płyty, Grady pracował przy kasie. Kręcone blond włosy opadały mu na ramiona i Jade wiedziała, że wiele nastolatek przychodziło do sklepu tylko dla jego niesamowicie zielonych oczu. Nosił małe, złote kółko w brwi. Początkowo wydawało jej się to dziwaczne, ale szybko oswoiła się z tym widokiem i uznała, że to całkiem ładnie wygląda, a nawet zaczęła się zastanawiać, czy sobie też nie przekłuć brwi. Wtedy jeszcze mniej przypominałaby Lisę MacPherson.

Pracowała powoli, nieszczególnie skupiona na płytach. Dziś wypadały urodziny Danny'ego. Gdziekolwiek mieszkała jej rodzina, wieczorem na pewno pójdą razem na kolację. Taki mieli zwyczaj – urodziny obchodzili w restauracji. Mogła to sobie wyobrazić. Choć przeprowadzili się Bóg wie gdzie, oczami duszy widziała ich w tej samej chińskiej restauracji przy drodze numer jeden w Alexandrii, w której

najczęściej świętowali podobne okazje. Ani chybi zajęli stolik koło akwarium, żeby Riley i Danny mogli oglądać ryby. Riley pewnie siedziała w wysokim krzeselku... albo skoro miała już trzy lata, może usadowili ją na foteliku dziecięcym? A Danny miał siedem lat! Nie do wiary. Ta sama myśl zapewne będzie ją nachodzić co roku: *Nie do wiary, że Danny ma dziewięć, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat.* Boże, ależ to przygnębiające.

Był wrzesień. Gdyby wszystko potoczyło się tak, jak to sobie dawno temu zaplanowała, w tej chwili zaczynałaby naukę na Juilliard. Nie chciała o tym myśleć, bała się, że oszaleje. Zamiast studiować na uczelni, o której marzyła całe życie, ukrywała się jak zbieg. Nie „jak” zbieg, była zbiegiem. Właśnie rozmyślała o tym niewiarygodnym fakcie, kiedy do sklepu wszedł starszy pan. Skierował się prosto do działu muzyki poważnej, więc nie mogła to być jego pierwsza wizyta, choć Jade nie pamiętała, by go kiedykolwiek przedtem widziała. Niski, prawie łysy, z wąsami, nosił okulary w drucianych oprawkach i stary, beżowy sweter z łatami na łokciach, bardzo przypominający równie wysłużony sweter, w którym jej tata zawsze chodził zimą. I choć nieznamy był o wiele starszy i zupełnie do jej ojca niepodobny, miała ochotę podejść do niego i poprosić, żeby ją przytulił.

Zamiast tego podeszła i spytała, czy może mu pomóc.

Uśmiechnął się do niej.

– Wątpię – wyjaśnił. – Od lat szukam pewnej płyty. Jest mało znana. Moja świętej pamięci żona ją uwielbiała. – Położył dłoń na płytach Bacha. – Mieliśmy ją dawno temu, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Anglii. Wyjeżdżając, zostawiliśmy całą naszą płytotekę. Zjrzałem tutaj rok temu, oczywiście nadaremnie. Obszedłem wszystkie duże sklepy płytowe i też nic. Dzisiaj akurat byłem w pobliżu i pomyślałem, że wpadnę jeszcze raz, może szczęście się do mnie uśmiechnie. Zresztą chcę przy okazji kupić kilka innych płyt. Bardzo lubię przeglądać stare krążki w waszym sklepie.

– Jaka to płyta? – spytała. – Ta, którą uwielbiała pańska żona.

– Między innymi w tym kłopot. Nie pamiętam nazwiska artystki. Wiem, że na płycie były koncerty Bacha i Mozarta, okładka przedstawiała dwa posążki, a skrzypaczka była Włoszką. – Parsknął śmiechem. – Mało tych szczegółów, niestety.

Serce zabiło jej szybciej. Tak naprawdę szczegółów było aż nadto. Wiedziała, o jaką płytę chodzi. Rzeczywiście, była mało znana, i choć wiedziała, że się naraża, w tym przypadku nie mogła udawać głupiej. Zanuciła melodię Mozarta i starszy pan złapał ją za ramię, z oczami okrągłymi jak spodki.

– To ten koncert! Pamiętam!

– I szuka pan Giocondy de Vito – oznajmiła.

– O mój Boże! Zgadza się. To ta skrzypaczka! Skąd pani wiedziała?

Czuła na sobie spojrzenie Grady’ego. Była pewna, że jego też to ciekawi.

– Hm. – Wzruszyła ramionami. – Moja rodzina słuchała muzyki klasycznej i akurat

tę płytę pamiętam.

– Nadzwyczajne! Wie pani może, gdzie mógłbym ją dostać?

Za chwilę miała staruszka uszczęśliwić. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Wiem – powiedziała. – Leży u nas na zapleczu. Widziałam ją wśród płyt, które przed paroma dniami kupiliśmy na wyprzedaży majątku. Tylko uprzędam, jest w mono.

– Może być mono! Taki sprzęt mieliśmy w Anglii.

– Mamy tę płytę? – spytał Grady zza lady. Wydawał się równie zaskoczony jak starszy pan.

– Uhm. Kilka minut mi zajmie, żeby się do niej dokopać. – Spojrzała na mężczyznę.

– Może pan poczekać?

– Tak, tak, oczywiście!

– Zaraz wracam. – Ruszyła na zaplecze. Podchodząc do drzwi, usłyszała, jak staruszek mówi do Grady’ego: „Ta dziewczyna to skarb”, a Grady odpowiada: „Wie więcej niż ja”.

Stos pudeł z wyprzedaży majątku stał w kącie i ku swojemu zadowoleniu zobaczyła, że pudło, o które jej chodziło, było na wierzchu. Otworzyła je i wyciągała płytę po płycie, aż wreszcie znalazła ten drogocenny krążek. Czarna okładka z dwoma porcelanowymi posążkami nieco wyblakła po kilkudziesięciu latach tkwienia między innymi albumami. Jade wyciągnęła płytę z koperty i dokładnie ją obejrzała. W idealnym stanie. Warta pewnie ze sto dolarów. Zniosła ją starszemu panu, który przez ten czas znalazł trzy inne do kupienia. Ze łzami w oczach wziął płytę i próbował wcisnąć Jade do ręki banknot dwudziestodolarowy, ale potrząsnęła głową.

– Cieszę się, że mieliśmy ją dla pana – powiedziała. Szczerze. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była taka szczęśliwa.

– Jak pani na imię? – zapytał ją.

Omam się nie wsypała. Przez osiem i pół miesiąca w Ocean Beach nie zdarzyło jej się to ani razu, ale ten staruszek miał w sobie coś, co obudziło uszpioną w niej Lisę.

– Jade – powiedziała.

– Och, jakie piękne imię. Piękne imię dla pięknej dziewczyny. Jestem pani niewymownie wdzięczny. À propos, na imię mi Charlie.

– Miło mi cię poznać, Charlie.

Weszła za ladę i ukradkiem podała Grady’emu karteczkę. Napisała na niej: *Warta 100\$,* ale miała nadzieję, że nie zażąda aż tyle. Grady zerknął na notkę, a potem na błyszczące oczy Charliego.

– Dziesięć za tę – dotknął płyty w jego rękach – po pięć za każdą z pozostałych.

Charlie zapłacił, jeszcze raz jej podziękował i wyszedł. Jade wróciła do płyt rockowych, a uśmiech nie schodził jej z twarzy. Czuła na sobie spojrzenie Grady’ego.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać – wyznał po chwili.

– Czemu?

– Po prostu... to było niesamowite.

Wzruszyła ramionami, jakby chodziło o drobiazg, i przeniosła Neila Younga z płyt na „B” do tych na „Y”.

– Dlaczego właściwie się nie uczysz? – spytał Grady.

– Słucham? – Spłoszona, podniosła wzrok. O co mu chodziło? – Skończyłam szkołę w ’89 – powiedziała. Jeszcze jedno z wielu jej kłamstw. Dopiero zaczynała ostatnią klasę, kiedy wszystko się posypało.

– Mówię o studiach – uściślił. – Jesteś bystra. Nie palisz trawy. Nie wyglądasz, jakbyś klepała biedę. Dlaczego nie studiujesz?

– Aha – bąknęła. – Zrobiłam sobie przerwę po szkole średniej.

– Ale zamierzasz studiować?

– Kiedyś tak.

– Wiesz, że jak pomieszkasz tu rok, możesz się ubiegać o obniżkę czesnego na uniwersytecie stanowym? To się bardzo opłaca.

– Nie wiedziałam – przyznała, przesuwając w zamyśleniu palcami po górnych krawędziach płyt. Od ucieczki nie myślała o studiach. Liczyło się dla niej tylko przetrwanie. Udawanie. Kłamstwa. Nie zastanawiała się nad przyszłością. Ale uczelnia stanowa? Po tym, jak była o włos od dostania się na Juilliard? Na tę myśl poczuła się jak snobka. Los szybko sprowadził ją na ziemię.

Wiedziała, że Grady skończył studia biznesowe na uniwersytecie stanowym w San Diego, zanim otworzył sklep z płytami.

– Uważasz, że dobrze zrobiłeś, idąc na studia? – spytała. – W sumie wiedza, którą zdobyłeś, tutaj się nie przydaje.

Zaśmiał się.

– Ależ przydaje się i dobrze ją mieć. Poza tym studia to była świetna zabawa. Musisz się trochę rozerwać, Jade. Jesteś strasznie poważna, wiesz?

Trudno było się z tym nie zgodzić.

– Tak – odparła.

– Nie wiem, co przeszłaś w rodzinnym domu i od czego uciekłaś, ale widać, że wycisnęło to na tobie piętno – powiedział. Pierwszy raz rozmawiał z nią o sprawach osobistych i musiał poznać po jej minie, że czuła się skrepowana. – Przepraszam, że włożę z butami w twoje życie – dodał – ale cię lubię. Szkoda byłoby mi stracić tak cennego pracownika jak ty, ale myślę, że powinnaś iść na studia, trochę się wyluzować. Mogłabyś nadal tu pracować na pół etatu.

– Mieszkam w Kalifornii dopiero osiem miesięcy – powiedziała. – Ale zastanowię się.

– Co chciałabyś studiować? – Nie odrywał wzroku od rozłożonych na ladzie płyt, na które nalepiał ceny, pozornie niezainteresowany jej odpowiedzią. Jade

obserwowała go i zastanawiała się, czy to było podchwytliwe pytanie. Czy jeśli powie „muzykę”, Grady ją zdemaskuje? Oczywiście i tak nie mogłaby studiować muzyki, ale żadnej innej specjalizacji nigdy nie brała pod uwagę.

– Nie mam pojęcia – przyznała.

– Myślę, że byłabyś świetną nauczycielką.

– Zastanowię się – powtórzyła, ciekawa, co trzeba zrobić, żeby przystąpić do eksternistycznej matury, bo przecież nie ukończyła szkoły średniej. Musiałaby ponownie zdać egzaminy SAT – i na myśl o tym jęknęła w duchu. Potem jednak wyobraziła sobie siebie na środku klasy pełnej małych dzieci. Takich jak Danny i Riley. To mogłoby jej się spodobać, stwierdziła i po raz pierwszy, odkąd opuściła rodzinny dom, pomyślała, że może jednak ma przyszłość.



24.

## Riley

– Dzień dobry! – zawołała Jeannie, kiedy wpadły z Christine do kuchni, jak zawsze rozsadzane nadmiarem energii. Chciałam się ulotnić, zanim przyjadą, ale nic z tego. Właśnie stałam przy blacie i jadłam płatki. Z pełnymi ustami skinęłam im głową na powitanie.

– Nareszcie mam szacunkowe wyliczenia wartości kempingu. – Jeannie triumfalnie wzniosła laptopa i chyba dopiero wtedy zauważyła, że jem. – Jak skończysz, chodź do salonu, to je przejrzymy.

– Dobrze. – Odwróciłam się i opłukałam miseczkę w zlewie, wysypując połowę płatków do młynka do rozdrabniania odpadów. Apetyt mi ostatnio nie dopisywał.

– Wiesz, Riley... – Christine otworzyła zmywarę, wyjęła miseczkę z moich rąk i włożyła ją do środka, jakbym za bardzo się guzdrała jak na jej gust – ...jeszcze niczego nie przeniosłaś do gabinetu swojego ojca. Na pewno jest coś, co chcesz zatrzymać.

Na pewno było sporo takich rzeczy, ale Bogiem a prawdą, od dwóch dni byłam w stanie tylko spać za dnia i całymi nocami myśleć o Lisie. Katować się nadzieją, że może ona jednak żyje. Nie miałam najmniejszej ochoty grzebać w rzeczach mojej rodziny. Bałam się, że jeśli spojrzę na jakiś wazon, koszulę, długopis czy lampę, opadną mnie wspomnienia. Niech już Christine zabierze wszystko, bylebym nie musiała dłużej zmagać się ze swoim smutkiem i poczuciem zagubienia.

– Spróbuję się do tego zabrać dziś albo jutro – obiecałam.

– Świetnie – powiedziała, zamykając zmywarę – bo niebawem zaczniemy wszystko wyceniać. Szkoda byłoby naszej fatygi, gdybyśmy ustaliły wartość jakiejś rzeczy tylko po to, żebyś nagle doszła do wniosku, że to nie jest na sprzedaż.

– Wiem – przytaknęłam. – Zajmę się tym.

– A jak ci idzie z komputerem twojego taty? – drażyła Christine.

– Zabieram się do czyszczenia twardego dysku – skłamałam. Nawet nie myślałam o komputerze od czasu, kiedy skopiowałam jego zawartość na dysk zewnętrzny.

– I... – Jeannie stanęła w drzwiach do salonu. Wskazała gestem ręki długi szereg szafek pod oknami. – Przez pewien czas świetnie ci szło z papierami twojego taty – przyznała. – Na jakim etapie jesteś?

Wyjściowym.

– Zostało jeszcze dużo roboty, ale chyba nie ma pośpiechu, prawda? To znaczy przecież te papiery i tak nie są na sprzedaż.

Obie spojrzały na mnie z dokładnie tą samą miną: wyrażającą troskę schłodzoną zniecierpliwieniem.

– Cóż, tak czy siak, trzeba to zrobić – oznajmiła Christine i przeszła obok matki do salonu. – Będę w pokoju Danny’ego.

– Jasne – odparłam trochę zbyt poirytowanym tonem, co nie umknęło uwagi Jeannie. Objęła mnie matczynym gestem i zaprowadziła na kanapę w salonie. Nie opierałam się; byłam zbyt zmęczona.

– Wiem, że jest ci ciężko, Riley – przyznała. – Wiem, że to wszystko cię przytłacza. Po prostu zdaj się na mnie i Christine, a sama niczym się nie zajmuj. Ty musisz zrobić tylko jedno: przejrzeć papiery swojego ojca przed dwudziestym lipca, bo wtedy odbędzie się wyprzedaż majątku. I...

– Dwudziestym lipca? – spytałam. – Przecież to już za parę tygodni! Miałaś wcześniej uzgodnić datę ze mną.

Zrobiła zaskoczoną minę.

– Myślałam, że Christine to z tobą omówiła – powiedziała.

Założyłam ramiona na piersi.

– Nic mi nie mówiła – odparłam. – Trzeba to przełożyć.

– Niemożliwe, skarbie. Ogłoszenie już poszło w świat, ale nic się nie martw. Do tego czasu wszystko będzie gotowe, obiecuję. Proszę, przestań się tym stresować, dobrze?

Ustałam i zwiesiłam ręce. Jakoś muszę sobie poradzić.

– W porządku – zgodziłam się, choć wiedziałam, że mój ton jasno daje do zrozumienia coś innego. Żałowałam, że wyprzedaż nie odbędzie się za miesiąc. Albo nawet dwa.

– Cieszę się. – Jeannie znów objęła mnie ramieniem. – A teraz spocznij sobie, przyniosę laptopa i pokażę ci wyliczenia.

Nie puściła mojego ramienia, dopóki nie usiadłam na kanapie. Potem wzięła laptopa ze stolika przy drzwiach i zajęła miejsce obok mnie. Podniosła pokrywę, wcisnęła kilka klawiszy i na ekranie wyskoczyła lista działek na sprzedaż.

– Nie będę cię zanudzać szczegółami, bo widzę, że nie jesteś w nastroju, ale sądząc po cenach innych kempingów i niezabudowanych działek położonych w pobliżu strumieni i lasów, myślę, że możemy bezpiecznie założyć, że ziemia, na której stoi kemping twojego taty, warta jest około dziesięciu tysięcy dolarów za akr.

Nie spodziewałam się aż takiej sumy.

– Ile tam jest akrów? – spytałam.

– Niecałe dwadzieścia. Dwadzieścia pięć z działką, na której stoi przyczepa Danny’ego, ale wiem, że jej nie bierzemy w rachubę.

– Aż tyle? – Przywołałam w pamięci obraz kempingu. Każde z miejsc postojowych ciągnęło się od brzegu strumienia po las, więc rzeczywiście mogły w sumie zajmować dwadzieścia akrów. – Nie zdawałam sobie sprawy, że ten kemping jest tak cenny.

– Owszem, jest. Wspaniale, prawda? Dlatego proponuję, żebyśmy...

– Jeannie – przerwałam jej. – Słyszałaś coś o tym, że mój ojciec obiecał kemping Kyle’om? – Byłam prawie pewna, że nie wiedziała nic na ten temat, zważywszy na to, jak przyjęła nowinę, że Tom Kyle dostał kolekcję fajek.

Wbiła we mnie wzrok.

– A gdzieś ty, do licha, to słyszała? – spytała.

– Oni sami mi powiedzieli. Kyle’owie. Są źli, bo tata podobno obiecał za parę lat przekazać im kemping i bardzo na to liczyli. Zdaje się, że krucho u nich z pieniędzmi.

Niebieskie oczy Jeannie były teraz wielkie jak spodki.

– O mój Boże, Riley – jęknęła. – Chcą cię zrobić w konia.

Przypomniałam sobie przestrożę Danny’ego, że Tom Kyle mnie podpuszcza.

– Cóż, nawet Verniece tak mówiła, a jest...

– Wiem, jest poczciwą kobieciną – powiedziała Jeannie. – Ale to ona wciska ci te bzdury, że jesteś adoptowana, zgadza się? Trzymaj się od nich z daleka, Riley. Nie dbają o twoje dobro, a w tej chwili musisz mieć wokół siebie ludzi, którzy będą cię wspierać, nie mącić ci w głowie. – Postukała mnie koniuszkiem palca w skroń.

– Ale czy tata naprawdę mógł im obiecać, że dostaną kemping?

– Nie! – Spojrzała na mnie z zachmurzonym czołem. – Nie lubił Kyle’ów. Przyznaję, że nie rozumiem, dlaczego co miesiąc dawał Tomowi czek i zostawił mu fajki, kiedy świetnie wiedział, że te pieniądze by mi się przydały. – Wypuściła powietrze z irytacją. – Chociaż trzy lata temu, kiedy sporządzał testament, finansowo stałam nieźle, więc widocznie do głowy mu nie przyszło, że pewnego dnia mogłabym być w potrzebie. Ale sugestia, że miałby im podarować tak cenną działkę, to zupełny absurd.

Zanim dokończyła ostatnie zdanie, zabręczała moja komórka. Wyciągnęłam ją z kieszeni szortów. Nie poznałam numeru, który się wyświetlił; dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że to komórka Danny’ego. Porwałam się na nogi, zadziwiona, że zadzwonił.

– Muszę odebrać – przeprosiłam Jeannie i ruszyłam do drzwi frontowych, żeby mieć trochę prywatności. Na ganku przyłożyłam telefon do ucha.

– Danny?

– Przyjeżdż – rzucił. – Mam ci coś do powiedzenia.



LIPIEC 1992

25.

## *Jade*

Potrzebowała samochodu.

Maturę eksternistyczną zdała bez trudu, po czym, dzięki dobrym wynikom ponownie przebytych egzaminów SAT – choć nie tak dobrym, jakie miała Lisa MacPherson, w żadnym razie – i wypracowaniu o swoim fikcyjnym dzieciństwie w Maryland, dostała się na uniwersytet stanowy w San Diego. Zamierzała pilnie się uczyć, nie wychylać się i przypuszczała, że za kilka lat zostanie nauczycielką. Nie był to zawód jej marzeń, ale pragnęła robić w życiu coś wartościowego, a skoro nie mogła grać na skrzypcach, to nie widziała lepszego zajęcia od nauczania dzieci.

Tyle tylko, że uczelnię dzieliło od Ocean Beach dwadzieścia parę kilometrów. Jade planowała dalej mieszkać u Ingrid i pracować u Grady'ego, bo w tych dwóch miejscach czuła się bezpiecznie, więc bez samochodu nie mogła się obyć. A to, uznała, nadzwyczajna sytuacja.

Do tej pory posłusznie nie kontaktowała się z rodziną. A mimo to tęskniła za nimi i czasem czuła się taka zapomniana. Wiedziała, że tata chciał ustrzec ją od znacznie gorszego losu, ale czy brakowało mu Lisy? Czy w ogóle jeszcze o niej myślał?

Wynajęła skrytkę pocztową pod swoim nowym nazwiskiem, Ann Johnson. Potem, w domku, usiadła przy stole kuchennym i napisała długi, z serca płynący list do ojca, obficie skrapiając łzami każde zdanie. Nie mogła go wysłać. Nie śmiała. Wytarła oczy i zaczęła od nowa:

*Drogi Fredzie,*

*zaczynam studia pedagogiczne. Jedyne kłopot to transport. Pracuję, ale nie stać*

*mnie na kupno używanego samochodu. Mam nadzieję, że mogę na Ciebie liczyć.*

*Pozdrawiam,  
Ann*

Odsunęła się od stołu i przeczytała list na głos, zacinając się na jego zimnych słowach. Nadała mu taki suchy, oficjalny ton, gdy tak naprawdę chciała napisać: *Tak bardzo za Wami tęsknię! Co u Was wszystkich słyhać? Jak się miewa Riley? Proszę, napisz, że w wieku czterech lat wciąż jest wesołą dziewczynką, jaką była jako dwulatka. Czy z Dannym wszystko w porządku? Czy zapomniał tamten straszny dzień? Czy jest szansa – CIENÍ SZANSY – żeby Was wszystkich zobaczyła? Proszę!*

Złożyła list i wsunęła do koperty. Bardzo możliwe, że tata będzie na nią zły, ale to nic, bo sama też była zła.

Trzy dni po wysłaniu listu zaczęła zaglądać do skrytki pocztowej – oczywiście nic nie przychodziło. Ilekroć widziała pustą przegródkę za szybką w metalowych drzwiczkach, robiło jej się ciężko na sercu. Jednak dziewiętnastego dnia szybkę przesłaniał cień. Otworzyła skrytkę i wyciągnęła długą, grubą kopertę. Nie było adresu zwrotnego, ale stempel pocztowy był z Pollocksville w Karolinie Północnej, i zanim zdołała się pohamować, z jej ust wyrwał się okrzyk radości. Jej adres wypisany był drukowanymi literami niepodobnymi do pisma taty, ale nikt inny nie mógł tego listu nadać. Rozdygotana, schowała kopertę do torebki i wróciła do domu prawie biegiem.

Siedząc na dużej kanapie w salonie, ostrożnie rozcięła kopertę. Wewnątrz znalazła plik banknotów – dwadzieścia setek – a w nim liścik o treści: *Kochamy i tęsknimy*. Przycisnęła karteczkę do serca. Z dwudziestu jeden przedmiotów w kopercie ten był najcenniejszy.

Kupiła starego, białego volkswagena garbusa od podstarzałego hipisa z Ocean Beach. Kosztował czterysta dolarów, resztę pieniędzy wpłaciła na konto. Wyrobiła sobie też kalifornijskie prawo jazdy. Mimo że mieszkała w San Diego już dwa lata, cała w nerwach poszła do wydziału komunikacji, oddała fałszywe prawo jazdy z Maryland i stanęła przed obiektywem aparatu. Wszystko przebiegło jednak gładko. Okazało się, że najtrudniej było przewyciężyć strach.

Pod koniec lipca po raz pierwszy pojechała swoim samochodem na uczelnię, gdzie czekał ją sprawdzian predyspozycji. Trwał dwie godziny i okazał się łatwy. Potem wybrała się na spacer po kampusie. Nie przyznałaby się nawet przed sobą, że szuka siedziby wydziału muzycznego, a mimo to ją wypatrzyła – między budynkiem, w którym pisała sprawdzian, a parkingiem – i uznała, że skoro jest taki upał, rozsądek

nakazuje przejść na skróty pod dachem, żeby się ochłodzić.

W holu powitał ją dźwięk oboju. Grał tylko gamy, najpierw szybko, potem powoli i znów szybko. Za godzinę miała być w pracy u Grady'ego, ale zwolniła kroku, kiedy gama przeszła w etiudę, której zachwycająca melodia poniosła się echem po pustym korytarzu.

Powietrze w budynku wypełniło się zapachem Violki. Jade szła coraz wolniej i wciągała do płuc tę drzewną, przydymioną woń; wiedziała, że to tylko złudzenie, ale nie dbała o to. Dźwięk oboju towarzyszył jej do chwili, gdy zamknęła za sobą pierwsze z dwojga drzwi prowadzących na zewnątrz. W małym westybulu wisały dwie tablice informacyjne, obie wypełnione plakatami. Zatrzymała się. Co jej szkodzi pójść na koncert? Przecież nie tylko muzycy są melomanami. Przesuwała się od plakatu do plakatu, ciekawa, kto latem będzie występował w San Diego. Tyle było koncertów, które chciałyby zobaczyć! I wtedy jeden mały plakat przyciągnął jej spojrzenie. STUDENCKA ORKIESTRA SMYCZKOWA KONSERWATORIUM PEABODY'EGO. Stała jak wryta, a serce zabiło jej mocniej. Matty dostał się do Konserwatorium Peabody'ego, wchodzącego w skład Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa, już na pierwszym etapie rekrutacji. Na pewno zdecydował się tam studiować; to była jego uczelnia pierwszego wyboru. Zapewne właśnie skończył drugi rok, więc możliwe, że spędzał wakacje w trasie koncertowej z orkiestrą smyczkową. Niesamowicie, cudownie, nadzwyczajnie możliwe.

Długo studiowała plakat, wpatrzona zmrużonymi oczami w ciemne zdjęcie orkiestry, ale nie zdołała rozróżnić twarzy muzyków. Zapisała datę i godzinę w pamięci; marzyła o tym, żeby zobaczyć Matty'ego i może nawet, gdyby starczyło jej odwagi – albo głupoty – z nim porozmawiać. Pójdzie na ten koncert. Nie przegapi go za nic w świecie.

Z drżącym sercem wyszła z siedziby wydziału muzycznego. Niemal biegiem wróciła do samochodu, tak podekscytowana, że nie mogła iść wolno. Nie sądziła, żeby na koncercie był komplet, ale postanowiła kupić bilet od razu. Musiała mieć dobre miejsce. Musiała siedzieć dość blisko sceny, żeby dokładnie widzieć muzyków. Umarłaby, gdyby nie było wśród nich Matty'ego.

Albo umarłaby, gdyby był.

Zjawiła się zaledwie garstka widzów i z jednej strony żal jej było orkiestry, a z drugiej – wstydziła się za swoją uczelnię, bo kto to widział, żeby na koncercie muzyki klasycznej sala świeciła pustkami. Jednak dzięki marnej frekwencji mogła wybrać sobie idealne miejsce na środku drugiego rzędu. Przyszła wcześniej i siedząc samotnie na widowni, wpatrywała się w scenę, z zapiętym tchem oczekując pojawienia się muzyków. *Proszę, bądź*, błagała w duchu Matty'ego. *Proszę, błagam.*

Miejsca wokół niej pomału się zapełniały. Przyszli głównie studenci muzyki, którzy

rozmawiali między sobą ze śmiechem, jakby byli w sali lekcyjnej, nie na koncercie. Zazdrościła im, nie tylko koleżeńskich więzi, ale przede wszystkim możliwości studiowania muzyki. Wieczorem wrócić do domów i sięgnąć po swoje instrumenty, a ona zamiast skrzypiec poczuje w rękach tylko powietrze.

Kiedy przygasły światła, rozmowy ucichły i na scenę wyszli muzycy, witani uprzejmymi brawami. Od razu rozpoznała Matty'ego. Był koncertmistrzem drugich skrzypiec i widząc to, aż wstrzymała oddech z wrażenia. Wezbrała w niej duma. Dopiero zaczynał trzeci rok na Peabodym, a już zajmował tak odpowiedzialną pozycję. Zawsze był solidnym, pełnym pasji muzykiem, choć nigdy jej nie dorównywał. I proszę, jak świetnie sobie poradził. Został doceniony.

Na głowie wciąż miał burzę ciemnych loków, ale choć nie siedziała na tyle blisko, żeby rozróżnić jego rysy, po samym kształcie twarzy Matty'ego poznała, że się zmieniły. *A jeśli on się zmienił razem z nimi?*, pomyślała. A jeśli ją znienawidził?

Orkiestra zaczęła od *Adagio na smyczki* Barbera i wydawało się, że cała widownia wstrzymała oddech, kiedy salę wypełniła smutna muzyka. Jade nie przypuszczała, że to będzie tak bolesne doświadczenie. Skąd jej do głowy przyszło, że to dobry pomysł, żeby go zobaczyć, usłyszeć? Teraz cierpiała na własne życzenie. Nie mogła z nim porozmawiać, pod żadnym pozorem. niesprawiedliwie byłoby wymagać od niego, żeby dochował tajemnicy. Zbyt mocno Matty'ego kochała, by stawiać go w podobnym położeniu. W dodatku udręką było patrzeć, jak robił to, o czym ona mogła tylko marzyć: grał na skrzypcach. Na jego widok przeżywała męki pod każdym możliwym względem.

Mimo to kiedy tak siedziała, tłumiąc łzy, wyobrażała sobie, że po koncercie idzie za kulisy. Że go znajduje. Bierze na stronę. Kładzie palec na jego ustach, żeby nie wypowiedział jej imienia. Wzięłaby go w ramiona i utonęła w jego bezpiecznych objęciach. To jednak były tylko rojenia i kiedy w przerwie koncertu wstała, wiedziała, że żadnej wizyty za kulisami nie będzie. Wyjdzie z auli, żeby uciec przed pokusą. Przed niebezpieczeństwem.



26.

## *Riley*

– To pewne: tej nocy, kiedy Lisa podobno się zabiła, obok jej samochodu były ślady dwóch osób – powiedział Danny, ledwie weszłam do jego przyczepy. Siedział boso na łóżku, oparty plecami o ścianę, z komputerem na kolanach.

– Skąd wiesz? – Usiadłam na ławie przy stole.

Zapalił papierosa i zaciągnął się, nie odrywając oczu od mojej twarzy.

– Włamałem się do ich bazy danych.

– Czyjej? – spytałam, zbita z tropu. – Kyle’ów?

– Policji stanowej starej, dobrej Wirginii. – Uśmiechnął się. – Powinni zadbać o lepsze zabezpieczenia.

– Danny! Powiedz, że żartujesz. Jak to zrobiłeś?

– Naprawdę chcesz to wiedzieć czy wolisz posłuchać, co ustaliłem?

– A jeśli cię złapią? – Ta myśl zagłuszyła wszystkie inne. Pobyt w więzieniu to ostatnie, czego Danny’emu było trzeba.

Potrząsnął głową.

– Wątpliwe. Jestem pewien, że nikt tam nie zagląda do akt z 1990 roku.

– Już wtedy używali komputerów?

Skinął głową.

– Przynajmniej częściowo. Zdaje się, że dopiero zaczynali komputeryzację. Na pewno mają więcej dokumentów z tego śledztwa, niż udało mi się znaleźć.

– Jesteś niesamowity. – Zaśmiałam się. Nie mogłam się powstrzymać; byłam dumna, że ma taką smykałkę do komputerów, nawet jeśli wykorzystał ją do złamania prawa. – To co ustaliłeś?

Zaciągnął się papierosem.

– Tamtej nocy padał gęsty śnieg – powiedział przez smugę dymu – co podobno mocno utrudniło dochodzenie. Nie ma jednak wątpliwości, że znaleźli ślady obecności dwóch osób. Jedno jest ciekawe. – Zdjął komputer ze swoich nóg na łóżko i wychylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. – Nie ujawnili tego szczegółu

mediom. Wykluczone, by Tom Kyle mógł o tym gdzieś przeczytać.

– W takim razie skąd wie?

– Doskonałe pytanie, nie sądzisz? – Wydmuchnął kółko z dymu w stronę sufitu. – Są pewni, że to były ślady męskich butów, ale...

– Matty. – Myślałam na głos. – Pamiętasz, mówiłam ci o nim? Byli bliskimi przyjaciółmi i mamy zdjęcia, na których...

– Matthew Harrison – powiedział Danny. – Tak się nazywa, o ile to ten sam chłopak, o którym policja wspomina w raporcie. Przesłuchali go, bo był u nas w domu tego wieczoru, kiedy zabiła swojego nauczyciela, więc...

– Serio? Był tam?

– Tak, ale nie sądzą, żeby miał z tym cokolwiek wspólnego. Zjawił się, kiedy facet już nie żył. Mimo to był w kręgu zainteresowań policji, więc przesłuchali go po samobójstwie Lisy. Okazało się, że tej nocy, kiedy rzekomo się zabiła, nie było go w mieście.

– O mój Boże! – zawołałam, coraz bardziej ożywiona. – Rzekomo? Czy policja uważa, że ona...

– Nie rób sobie nadziei – zastrzegł. – Najprawdopodobniej odebrała sobie życie, ale... tylko nie panikuj... jedna z ich teorii zakładała, że ta druga osoba, która zostawiła ślady, mogła zabić Lisę i upozorować jej samobójstwo.

– Przecież zostawiła list pożegnalny, pamiętasz?

– Mógł być sfalszowany. Brali też pod uwagę możliwość, że to ślady człowieka, który był w tamtej okolicy wcześniej, albo kogoś, kto przypadkiem zobaczył porzucony samochód i chciał go obejrzeć z bliska. – Zgasił papierosa w szklanej popielniczce stojącej na łóżku. – Jak mówiłem, śnieg utrudnił badanie miejsca zdarzenia. W każdym razie wygląda na to, że przestali się tą sprawą zajmować, więc śledztwo zostało oficjalnie umorzone.

– Jeśli ona żyje, chcę ją znaleźć – oznajmiłam.

– No to udanych poszukiwań wiatru w polu – zakpił. – Ale gdybyś ją mimo wszystko namierzyła, daj znać, to zadzwonię do Harry'ego. Uwielbia nierozwiązane sprawy.

– Danny. – Wbiłam w niego spojrzenie. Nie spuścił wzroku. – Tylko się ze mną droczysz, prawda?

– Czy ja kiedykolwiek się z tobą droczyłem?

W dzieciństwie droczył się ze mną bez przerwy, ale dorosły Danny zupełnie zatracił skłonność do takich wygłupów.

– Wiem, że jej nie lubieś – powiedziałam. – Wiem, że winisz ją za całe zło, które spotkało naszą rodzinę. Ale miałeś tylko sześć lat, kiedy umarła... albo zniknęła. Nigdy jej tak naprawdę nie znałeś.

– Musisz się pogodzić z tym, że jest morderczynią, Riley. – Wytrząsnął następnego

papierosa z paczki na łóżko.

– Nie dostała szansy, żeby się wytłumaczyć przed sądem – przypomniałam.

– I czyja to wina? – spytał, zapalając papierosa.

Wstałam.

– Jeśli ją znajdę – stwierdziłam – po prostu ci o tym nie powiem.

Znów odchylił się na ścianę i jego twarz na chwilę przesłonił kłęb dymu.

– Tak chyba będzie najlepiej – powiedział.

## PAŹDZIERNIK 1992

27.

### *Jade*

Siedziała na chłodnej posadzce holu siedziby wydziału muzycznego, oparta o ścianę przed salą lekcyjną. W środku zespół ćwiczył koncert Brucha. Byli dobrzy. Na dźwięk muzyki po jej ramionach rozpełzał się tępy ból, a gardło ścisnęły wstrzymywane łzy. Opuściła zajęcia z psychologii rozwojowej dziecka, żeby tu przyjść i posłuchać, niczym narkoman, który nie może wytrzymać bez kolejnej działki, i wiedziała, że źle z nią.

W pierwszych tygodniach studiów miała wrażenie, jakby przebywała poza swoim ciałem. Na kampusie roilo się od studentów i nie przypominała sobie, by kiedykolwiek czuła się częścią tak ogromnej całości. Przez całe życie uczyła się w domu, więc z trudem przywykła do ciągłych wędrówek między salami. To była tak bezosobowa struktura; tłumy studentów ją onieśmiewały.

Na zajęciach siedziała cicho, żeby nie rzucać się w oczy, i nie szukała kontaktu z innymi studentami. Jedyne ludźmi, których mogła nazwać przyjaciółmi, byli Grady, Ingrid i kilku stałych klientów sklepu z płytami, w tym Charlie, który co tydzień przychodził pogawędzić o muzyce.

Zespół doszedł do jej ulubionej części koncertu i oparła głowę o ścianę, zasłuchana, z zamkniętymi oczami. Nie wiedziała, czemu katuje się przychodzeniem do wydziału muzycznego, ale to było silniejsze od niej.

Kiedy zespół skończył próbę, podniosła powieki i zobaczyła tablicę ogłoszeń na ścianie naprzeciwko. W odróżnieniu od tablic w westybulu, gdzie znalazła plakat z zapowiedzią koncertu Matty'ego, na tej studenci wieszali małe karteczki, głównie z wypisanymi na maszynie lub odręcznie ofertami sprzedaży instrumentów.

Wstrzymała oddech. Wstała i przeszła na drugą stronę korytarza, żeby przejrzeć ogłoszenia. Było troje skrzypiec na sprzedaż i choć żadne nie dorównywały jakością Violce, to wśród nich znalazły się skrzypce Jay Haide za pięćset dolarów. Droższe niż jej samochód, za to pewnie w lepszym stanie.

Przy tych rzadkich okazjach, kiedy musiała gdzieś zadzwonić, przywykła korzystać z telefonu Ingrid. Był tańszy, łatwiejszy w obsłudze i mniej obrzydliwy od budki telefonicznej, ale miał jeden minus – zagrożenie, że rozmowę usłyszy Ingrid. Jade mogła zaczekać, aż gospodyni pójdzie pracować w ogródku albo zanieść ciastka bezdomnym na plaży, tego popołudnia jednak była zbyt podekscytowana. Musiała zadzwonić w sprawie tych skrzypiec Jay Haide, zanim ktoś ją uprzedzi, i nie miało znaczenia, czy będzie przy tym Ingrid, czy nie.

Wybrała więc numer z ogłoszenia, nie bacząc na to, że obok Ingrid kroїła warzywa. Dziewczyna, która odebrała – na imię miała Cara – była na ostatnim roku studiów i powiedziała Jade, że pozbywa się skrzypiec Jay Haide, bo przechodzi na dziewiętnastowieczne amati. Umówiły się nazajutrz w jednej z sal prób na uczelni. Jade po cichu liczyła, że spotkają się jeszcze tego wieczoru. Gotowa była drugi raz tego dnia pojechać na uniwersytet, gdyby Cara znalazła wolną chwilę, ona jednak stwierdziła, że ma zajęcia, a potem randkę z chłopakiem.

Kiedy Jade odłożyła słuchawkę, Ingrid podała jej kawałek selera, który właśnie kroїła.

– Skrzypce? – Miała rozbawioną minę, jakby sądziła, że jej młoda lokatorka zbzikowała.

– Grałam w dzieciństwie – wyjaśniła Jade – i trochę mi tego brakuje.

– Fajnie. – Ingrid zgarnęła kawałki selera do garnka na kuchence. – Nie mogę się doczekać, żeby posłuchać, jak grasz.

Jade wzruszyła ramionami, jakby kupno skrzypiec nie było niczym nadzwyczajnym.

– No wiesz, tyle czasu upłynęło – powiedziała. *Ściśle dwa lata, dziewięć miesięcy i około czternastu dni.*

– Cóż, dobrze mieć jakąś pasję – stwierdziła Ingrid. – Zostaniesz na kolację? Zupa z indyka.

Jade potrząsnęła głową.

– Nie, dzięki. Muszę odrobić pracę domową. – Choć jej gospodyni była naprawdę miła, starała się nie spędzać z nią za dużo czasu. Nie bała się już, że ktoś ją rozpozna, wciąż jednak nachodziły ją niespokojne myśli, że pewnego dnia do Ingrid zapuka policja zainteresowana jej dziwną lokatorką.

Tej nocy prawie nie spała, podekscytowana perspektywą kupna skrzypiec. Jej entuzjazm studziły jednak myśli o ojcu. *Nigdy więcej nie bierz skrzypiec do ręki, Liso*, przestrzegł ją. Byłby wściekły, gdyby się dowiedział, ale będzie bardzo ostrożna.

Będzie grała tylko w swoim domku. Nie miała żadnego, ale to żadnego powodu grać gdziekolwiek indziej.

Cara miała dwadzieścia jeden lat i była niezwykle piękna. *Typowa dziewczyna z Kalifornii*, pomyślała Jade. Taka, którą łatwiej sobie wyobrazić na desce surfingowej niż w murach siedziby wydziału muzyki uniwersytetu stanowego. Okazała się jednak dobrą skrzypaczką; kiedy grała pierwszą część *Czardasza Montiego*, Jade słuchała urzeczona. Patrzyła, jak opalona, jędrna ręka Cary operuje smyczkiem, jak jej długie palce śmigają po strunach, i właściwie nie była pewna, czy bardziej zauroczyły ją skrzypce, czy skrzypaczka.

Cara skończyła grać i podała jej instrument. Kiedy Jade po raz pierwszy od tak dawna wsunęła skrzypce pod brodę, poczuła się, jakby miała w rękach przyjaciela, którego sądziła, że straciła na zawsze. Zagrała parę gam i arpeggiów, żeby sprawdzić brzmienie instrumentu i rozgrzać sztywne, napięte palce. Potem porwała się na fragment koncertu a-moll Vivaldiego i nawet nie musiała się zbytnio wysilać, żeby wypaść jak nowicjuszka. Nic dziwnego po tak boleśnie długiej przerwie.

Dała Carze pięć banknotów studolarowych, po czym zanosła skrzypce na drugi koniec kampusu, do swojego samochodu, tuląc futerał jak dziecko.

Nad San Diego nadciągnęły suche, gorące, jesienne wiatry Santa Ana i choć w domku było jak w saunie, Jade pozamykała wszystkie okna i wzięła skrzypce do ręki. Mimo że obie jej ręce pracowały w idealnej harmonii, odwykłe od gry palce osłabły i z początku poruszały się ociężale. Niezbyt wprawnie władała smyczkiem, ale to nie miało znaczenia. Grając, płakała ze szczęścia i smutku. Tak wiele straciła. Dom. Rodzinę. Przyszłość. Ale oto w rękach trzymała jedną jedyną rzecz, która mogła przynieść jej radość, i grała na swoim nowym, najlepszym przyjacielu po świt.

28.

## *Riley*

Wjechałam na okrągły placyk przed domem na brzegu oceanu w Myrtle Beach i chwilę siedziałam nieruchomo, powtarzając sobie w myśli wszystko, co zamierzałam powiedzieć Caterinie Thoreau. Caterina – nie Steven Davis – była nauczycielką skrzypiec Lisy. Jej nazwisko występowało w kilku artykułach zachowanych przez mojego ojca. Była jedyną wciąż żyjącą osobą, która naprawdę знаła moją siostrę w okresie poprzedzającym jej śmierć – to znaczy o ile Lisa rzeczywiście umarła.

Wyszperałam w Internecie numer telefonu Cateriny, zadzwoniłam, przedstawiłam się i powiedziałam, że chcę z nią porozmawiać. Obecnie siedemdziesięciosześcioletnia, przed dziesięciu laty odeszła na emeryturę z Narodowej Orkiestry Symfonicznej i przeniosła się do Karoliny Południowej, żeby być blisko córki. Kiedy już ochłonęła z zaskoczenia, zaprosiła mnie do siebie. Czułam rozpaczliwą potrzebę rozmowy z kimś, kto dobrze poznał Lisę, i komu, miałam nadzieję, była bliska, więc nie zniechęciło mnie to, że jej dom dzieliło od New Bern prawie cztery godziny drogi. Zrobię wszystko, żeby poznać prawdę.

Zaletą wyjazdu do Myrtle Beach było to, że mogłam uciec od obłądu, jaki zapanował wokół mnie. Przybywając do New Bern, chciałam tylko opróżnić dom i jak najszybciej wystawić go na sprzedaż. Teraz pragnęłam ten proces spowolnić, ale kiedy widziałam, z jakim zapalem Christine i Jeannie buszują po pokojach, nie byłam pewna, czy to w ogóle możliwe. Powiedziałam im, że jadę do znajomej z Wirginii i wrócę wieczorem. Christine otworzyła usta, ale zanim zaczęła nudzić, żebym zajęła się papierami ojca, szybko wyszłam z domu.

Kiedy wysiadłam z samochodu, Caterina Thoreau już czekała na mnie w drzwiach. Miała na sobie białe rybaczki i zwiewną, niebieską bluzkę pod kolor nieba i oceanu widocznych przez szklaną ścianę za jej plecami. Z uśmiechem podała mi rękę.

– Siostra Lisy! – zawołała, wciągając mnie do domu. – Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać!

– I nawzajem – odparłam.

Zaprowadziła mnie do wysokiego salonu i posadziła na jednej z dwóch białych kanap, po czym zrobiła dwie mimozy<sup>1</sup>. Ocean za szklaną ścianą wydawał się na wyciągnięcie ręki.

– Niesamowity widok – powiedziałam.

Skinęła głową i podała mi kieliszek.

– Mam wielkie szczęście. – Usiadła na drugiej kanapie i podkuliła bosc nogi pod siebie. Była piękną kobietą o włosach tak białych jak jej sofy i niebieskich oczach skrzających się w twarzy, z którą czas łagodnie się obszedł.

Upiła łyk mimozy.

– Odkąd zadzwoniłaś, dużo myślałam o Lisie i twojej rodzinie. – Pokręciła ze smutkiem głową. – Ależ to był straszny czas. Tak dobrze pamiętam twoich rodziców. Starali się wychować twoją siostrę najlepiej, jak umieli, i proszę, co się stało. Bardzo smutna historia. Ile miałaś lat, kiedy odeszła?

– Tylko dwa, więc tak naprawdę zupełnie jej nie pamiętam – wyjaśniłam. – Pomyślałam sobie, że porozmawiam z ludźmi, którzy ją znali, żeby spróbować ją lepiej zrozumieć. – A przy okazji, dodałam w duchu, dowiedzieć się, czy żyje, czy nie.

– Och, wszyscy chcieliśmy ją lepiej zrozumieć – przyznała. – Do dziś kiedy o niej myślę, kręcę głową z niedowierzaniem. Trudno uwierzyć, że zrobiła to, co zrobiła, i... jak się to wszystko skończyło. – Uśmiechnęła się do mnie smutno, trzymając kieliszek na udzie. – Jak mogę pomóc? – spytała. – Co chciałabyś wiedzieć?

– Wszystko – odparłam w nadziei, że okaże się gadułą. – Pewnie wie pani, że moja rodzina wyprowadziła się z północnej Wirginii zaraz po tym, jak Lisa odebrała sobie życie.

Skinęła głową.

– Zniknęli – powiedziała. – Nikt nie wiedział, dokąd wyjechali.

– Przeprowadzili się do Karoliny Północnej – wyjaśniłam – i zataili przede mną i moim bratem fakt, że Lisa zabiła swojego nauczyciela... to znaczy pana Davisa. Poznaliśmy prawdę niedawno, kiedy przypadkiem znalazłam stare wycinki prasowe.

Ręka Cateriny zamarła z kieliszkiem w powietrzu.

– Ojej – powiedziała po chwili. – Nic dziwnego, że jesteś ciekawa. Masz mnóstwo białych plam do wypełnienia, prawda?

– No właśnie.

– Cóż. – Wychyliła się do przodu i postawiła drinka na szklanym blacie stolika. – Zaczęłam pracować z Lisą, dopiero kiedy odeszła od „tajemniczego nauczyciela” i...

– Tajemniczego nauczyciela?

Zawahała się.

– No tak, pewnie nic o tym nie wiesz. W ogóle byłaś już wtedy na świecie? Moim



zdaniem to od tamtego momentu wszystko zaczęło się psuć. – Postawiła nogi na podłodze i nachyliła się ku mnie. – Po pierwsze, chcę, abyś zrozumiała, że uwielbiałam twoich rodziców. Byli czarującymi ludźmi i nie winię ich za to, co się stało. Ale Lisa pod kierunkiem Stevena świetnie się rozwijała. Na litość boską, zobacz, jaki poziom dzięki niemu osiągnęła! – Wyrzuciła ręce w górę. – Pierwszy raz usłyszałam o niej, kiedy miała raptem osiem lat. „Musisz posłuchać tej małej!”, radzili mi ludzie. W owym czasie młodzi wirtuozi skrzypiec pochodzili głównie z Azji, więc Lisa wyróżniała się w tym gronie, zwłaszcza z tymi swoimi białymi włosami. – Sięgnęła po kieliszek i upiła łyk mimozy. – Steve był z niej ogromnie dumny. – Usiadła prosto i spojrzała na ocean, po czym lekko potrząsnęła głową, jakby odpędzając smutne wspomnienie. – Chociaż bywał zaborczy, tak to można nazwać. W przypadku Lisy wcale mu się nie dziwiłam. Poświęcić tyle lat jednej uczennicy po to tylko, żeby porzuciła cię na rzecz nikomu nieznanego nauczyciela? – Pokręciła wzgardliwie głową. – Wszyscy sądziliśmy, że twoi rodzice postradali zmysły.

– Dlaczego zdecydowali się na tę zmianę? – spytałam.

– Któż to może wiedzieć! – Odstawiła drinka. – Nic nikomu nie powiedzieli, bo wiedzieli, że spadnie na nich masa krytyki. Chyba bali się, i słusznie, że Steve starałby się im to wyperswadować. Na pewno próbował ustalić, kim był ten nowy nauczyciel, ale czy mu się udało, nie wiem.

– Przecież on... i pani... musieliście znać wszystkich nauczycieli skrzypiec w okolicy?

– A widzisz, w tym cały szkopuł. – Już sięgała po kieliszek, ale w tej chwili znieruchomiała. – Na pewno nikt z okolicy. Wyjechała na cały rok szkolny, żeby uczyć się u tego człowieka... a może w jakimś konserwatorium, kto to wie? Nigdy się tego nie dowiedzieliśmy. Ktokolwiek to był, fatalnie jej się przysłużył.

Miałam zupełnego kręćka w głowie, myśli obijały się o siebie jak kule bilardowe. Przypomniałam sobie, że Sondra Davis wspomniała na blogu o innych nauczycielach Lisy.

– Jak to fatalnie się przysłużył? – spytałam.

– Przez ten rok stała się znacznie gorszą skrzypaczką – powiedziała Caterina. – Tragiczna sprawa, naprawdę. To wtedy twoi rodzice spytali, czy zgodziłabym się ją uczyć. Osłupiałam. Spytałam, czemu nie wróci do Steve’a... wydawało mi się, że tak byłoby logicznie... a twoja mama stwierdziła, że Lisa uważa, że go przerosła. Myślę jednak, że po prostu wstydziła się przed nim stanąć, kiedy tak słabo grała. – Wzięła kieliszek ze stolika i upiła duży łyk. – Wiedziałam, że Steve wścieknie się na mnie, jeśli ją przyjmę... bywał strasznie drażliwy!... ale kusila mnie perspektywa pracy z tak wielkim talentem, jakim była twoja siostra. Jak mogłam odmówić? Zgodziłam się więc. – Uśmiechnęła się. – Ale potem Lisa przyszła do mnie i usłyszałam, jak gra. Prawie się popłakałam. Rzępoliła okropnie! Poza tym straciła pewność siebie. –

Caterina znowu odstawiła kieliszek. – Poprosiłam, żeby opowiedziała o metodach jej poprzedniego nauczyciela, ale nie była w stanie. Jestem pewna, że ten... szarlatan... przyszedł do twoich rodziców i powiedział: „Oto co Steve robi źle i oto jak temu zaradzę”, a oni pomyśleli: „No tak, Steven Davis uczy pięciolatków, pora oddać Lisę w ręce profesjonalisty”. – Potarła ramiona przez zwiewny materiał rękawów. – Steve przestał się do mnie odzywać, kiedy zgodziłam się uczyć Lisę. Jego żona, Sondra, też, a przyjaźniłyśmy się długie lata.

– O rany. Naprawdę był... drażliwy. – Użyte przez nią wcześniej określenie wydawało się trafne.

– Rzeczywiście – przyznała. – Sondra nie była zbyt szczęśliwa nawet za życia Steve’a. Bezskutecznie starali się o dziecko. Wiem, że bardzo ją to frustrowało. Chyba do dziś nie pogodziła się z tym, co się stało. To smutne przez tyle lat żyć przeszłością.

– To prawda – zgodziłam się.

– Cóż, Lisa zdawała sobie sprawę, że ma zaległości, więc ciężko pracowała. Powoli naprawiałyśmy szkody wyrządzone przez poprzedniego nauczyciela i znów zaczęła cieszyć się grą. – Podniosła kieliszek i wypila do dna. Mój drink stał prawie nietknięty. – Kiedy już była gotowa iść na studia, miała praktycznie zapewnione miejsce na Juilliard – powiedziała Caterina. – Sądziłam, że ją przyjmą, bo odzyskała dawną biegłość. – Odwróciła się i w jej oczach nagle zalśniły łzy. – Nigdy nie zrozumieć, dlaczego Steve tak okrutnie postąpił. Inaczej się tego nie da określić. Wiesz, że interweniował na Juilliard, żeby nie przyjęli Lisy?

Skinęłam głową.

– Postąpił jak idiota. A ja popełniłam ten błąd, że jej o tym powiedziałam, więc zawsze obwinałam siebie o to, co się potem stało.

A więc tak Lisa dowiedziała się o liście Stevena do Juilliard.

– To nie była pani wina – zapewniłam.

– Cóż, chciałabym móc to cofnąć. Była jeszcze bardziej krucha, niż przypuszczałam, a twój ojciec nieroztropnie przechowywał broń w miejscu, gdzie mogła ją znaleźć. – Znowu miała łzy w oczach. – To po prostu... okropne. – Wyrzała przez okno na ocean i przez chwilę obie milczałyśmy. Nagle wstała. – Poprosiłam asystentkę, żeby znalazła wideo z próby twojej siostry przed przesłuchaniem. Kazałam je przekopiować na DVD jak wszystkie stare taśmy. Ileż z tym było roboty! Chcesz obejrzeć?

– Tak – powiedziałam, choć pamiętałam, jak ciężko mi się oglądało kasety, które znalazłam w domu.

Caterina podeszła do telewizora, wzięła pilota i usiadła obok mnie, na wprost ekranu. Wcisnęła guzik i zobaczyłam moją siostrę grającą solo na skrzypcach. Jej palce i smyczek śmigały po strunach. To wideo było dużo lepszej jakości niż kasety,

które miałam; wyraźnie widziałam emocje malujące się na twarzy Lisy.

– Jest ten wisiorek – zauważyła Caterina.

– Wisiorek?

Lisa skończyła grać, wysunęła skrzypce spod brody i wtedy zobaczyłam, o czym Caterina mówi. Moja siostra miała na szyi łańcuszek z białym krążkiem. Pamiętałam, że taki sam widziałam na jej fotografii z Mattym, tej, na której stali oparci o siebie plecami. Na wisiorku wygrawerowany był jakiś wzór, ale nie zdołałam dostrzec szczegółów.

– Zawsze go nosiła – powiedziała Caterina. – Mówiła, że dostała go od nauczyciela, z którym spędziła tamten rok. – Spojrzała na mnie. – Dziwne, nie uważasz? – spytała. – Nauczyciel, u którego oduczyła się grać... sama przyznawała, że to prawda... dał jej wisiorek, a ona nigdy go nie zdejmowała, przynajmniej przy mnie.

Na ekranie telewizora Lisa tym razem zagrała coś wolnego, słodko-gorzkiego. Przez pewien czas oglądałyśmy ją w milczeniu. Pomijając okazję, by jeszcze raz zobaczyć, jak grała moja siostra, czułam się zawiedziona tą wizytą. Czego oczekiwałam? Że Caterina zdradzi mi miejsce pobytu Lisy? A może wyzna, że przez te lata ukrywała ją u siebie w piwnicy? Teraz jednak mnie wyczerpały się pytania, a Caterinie odpowiedzi, więc tylko siedziałyśmy i słuchałyśmy muzyki dziewczyny, którą ona uważała za zmarłą, a ja chciałam odnaleźć żywą. Myślałam o tajemniczym nauczycielu, który dał Lisie tak cenny dla niej wisiorek. Czy on – albo ona – znał odpowiedzi na dręczące mnie pytania? O ile te odpowiedzi w ogóle istniały...

<sup>1</sup> Drink z szampana i soku pomarańczowego.

MARZEC 1994

29.

## *Jade*

– Zapraszamy Jade – powiedziała kobieta.

Jade siedziała na krześle w holu wydziału muzycznego. Na kolanach trzymała futerał ze skrzypcami. Przyszła wcześniej, podekscytowana i stremowana przesłuchaniem, które miało pozwolić jej zmienić specjalizację z pedagogiki na nauczanie muzyki. W ostatnim roku zaczęła realnie oceniać swoje muzyczne aspiracje. Wiedziała, że nigdy nie będzie solistką i że musi porzucić żywione od dzieciństwa marzenia o grze na deskach Carnegie Hall. Nie śmiałyby nawet wystąpić w orkiestrze symfonicznej. Mogła za to uczyć muzyki. Dużo o tym myślała. Mogła pomóc dzieciom spełnić marzenie, które sama utraciła.

Obserwowała studentów czekających razem z nią na przesłuchanie. Większość wyglądała, jakby jeszcze nie skończyli szkoły średniej, i wydawali się tak stremowani, że im współczuła. Jade też miała duszę na ramieniu, ale z innego powodu. Ich dręczył strach, że nie są dość dobrzy, by się dostać na upragniony kierunek. Ona rozmyślała o tym, jak znaleźć złoty środek: grać na tyle dobrze, żeby ją przyjęli, ale nie aż tak dobrze, by ściągnąć na siebie uwagę. A była dobra. Przez ostatni rok, od czasu, kiedy kupiła skrzypce, co noc grała godzinami. Brakowało jej wskazówek Cateriny Thoreau, ale z powodzeniem uczyła się na własną rękę i samą siebie motywowała. Kupowała całe sterty nut. Niekiedy grała przez całą noc przy zamkniętych oknach, nawet w najgorszy upał, czasem ćwiczyła też w salach prób na uczelni, zawsze ukradkiem, bo jeszcze nie była studentką wydziału muzycznego. Przy odrobinie szczęścia wkrótce nią zostanie.

Skrzypce brzmiały znakomicie jak na względnie niedrogi instrument. W rękach Jade

rozkwitły i w zależności od tego, czego wymagał dany utwór, potrafiły przybrać i radosny, i – w razie potrzeby – ciepły, łagodny ton. Nie były Violką, bo z nią żadne skrzypce nie mogły się równać, ale Jade traktowała je jak najcenniejszy skarb.

– Tak, to ja – powiedziała do kobiety i wstała. Weszła za nią do sali, w której czekała komisja. Trzej mężczyźni i dwie kobiety. Trzy razem z tą, która ją wywołała. Przypomniała sobie swoje wyobrażenia o przesłuchaniu na wymarzoną uczelnię. Ludzie przed nią nie byli profesorami Juilliard, ale traktowali swoją pracę naprawdę serio. Ich poważne twarze jasno dawały to do zrozumienia i widząc ich spojrzenia, czuła się nieswojo. Czy rozpoznali w niej Lisę MacPherson? Ojciec przestrzegał, żeby nie brała skrzypiec do ręki, i przez chwilę obawiała się, że miał rację.

Zagrała *Sicilienne* Kreislera i drugą część *Z ojczyzny*. Uznała, że wyszło jej całkiem nieźle. Nie angażowała się emocjonalnie w grę, bo z doświadczenia wiedziała, że tak najłatwiej popaść w przeciętność.

– Bardzo ładnie – pochwaliła kobieta, która wpuściła ją do sali, i paru innych członków komisji pokiwało głowami.

– U kogo pani się uczyła? – spytał jeden z egzaminatorów.

– Prawdę mówiąc, uczył mnie tata. – Długo ćwiczyła to kłamstwo i była zadowolona, że się nie zająknęła. – Nigdy nie grał zawodowo, ale miał wykształcenie muzyczne.

– To nadzwyczajne – zauważył mężczyzna. – I nie miała pani żadnego innego instruktora? Nie grała pani koncertów?

Potrząsnęła głową. Wiedziała, że zwraca na siebie uwagę samym tym, że usiłuje nie zwracać na siebie uwagi. Rzadko się zdarzało, by ktoś grał tak dobrze jak ona bez formalnego wykształcenia. Wpatrywali się w nią. *O Boże*, pomyślała. Czy sądzili, że odkryli nieoszlifowany diament? Muzyczny fenomen? Musiała dać im bardziej przekonujące wyjaśnienie.

– Muzyka właściwie była moim hobby – przyznała. – Graliśmy z ojcem w domu, tak tylko, dla zabawy. Nigdy nie marzyłam o karierze muzycznej. Zawsze chciałam zostać nauczycielką. Ale w zeszłym roku, na studiach pedagogicznych, strasznie zatęskniłam za skrzypcami. I doszłam do wniosku, że mogę połączyć jedno z drugim. Muzykę z zawodem nauczyciela. – Uśmiechnęła się niepewnie.

Ciągle się w nią wpatrywali.

– No dobrze – powiedziała kobieta wreszcie. – Skontaktujemy się z panią.

Wyszła z sali. Wiedziała, że będą o niej rozmawiać, jak tylko zamknie za sobą drzwi. Kiedy trzymała w rękach skrzypce, nie mogła nie ściągać na siebie uwagi. Tak było przez całe jej życie. Jeśli tylko nikt nie sprawdzi jej historyjki – na przykład dzwoniąc do wymyślanego ojca z Maryland – wszystko się uda. Powinna była powiedzieć, że on nie żyje.

Tylko że wtedy wzbudziłyby jeszcze większe zainteresowanie komisji.



30.

## *Riley*

Następnego ranka po powrocie z Myrtle Beach wreszcie zajrzałam na zewnętrzny twardy dysk w gabinecie mojego ojca. Upewniłam się, że wszystkie dane się przekopiowały. Potem zaczęłam kasować pliki i szło mi całkiem sprawnie, dopóki nie zajrzałam do poczty elektronicznej. Z ciekawości postanowiłam przeczytać ostatniego mejla, jakiego mu przysłałam. Chciałam wiedzieć, że ta ostatnia wiadomość była pełna miłości, że wprowadziła go w dobry nastrój tego ranka, kiedy pojechał do Food Lion.

W skrzynce miał potworny bałagan. Wiadomości od innych kolekcjonerów – a były ich setki – mieszały się z mejlami ode mnie i Jeannie, której identyfikator, Jlyons, widniał w chyba co drugim nagłówku. W końcu znalazłam ostatnią wiadomość ode mnie, napisaną w przededniu jego śmierci.

Możemy przyjechać dwudziestego czwartego i zostać na weekend, jeśli Tobie to pasuje.

Dopiero po chwili przypomniałam sobie, o co chodziło – planowaliśmy z Bryanem wpaść do taty na długi weekend z okazji Dnia Pamięci Narodowej. Wydawało się, że to było tak dawno temu. Westchnęłam, wpatrzona w tę suchą wiadomość. Teraz żałowałam, że nie podpisywałam każdego mejla „kochająca córka”. Czy to byłoby aż takie trudne?

Następna wiadomość była od Jlyons i nie oparłam się pokusie. Kliknęłam.

Może ugotuję Twoje ulubione danie i wezmę jakiś film z Redboxa? Całuję, Twój Dżinek.

Wzdrygnęłam się. To tak ją pieśczośliwie nazywał? Nie miałam pojęcia, co to znaczy, i nie chciałam tego nigdy wiedzieć.

Otworzyłam następną wiadomość, teraz już z czystego wścibstwa.

Frank, mam tę piękną fajkę z morskiej pianki, której szukasz. W doskonałym stanie. Z wyrzeźbioną kobietą w intensywnym, jednolicie bursztynowym kolorze. Daj znać, gdybyś chciał zdjęcie. Zażądałbym 150\$, bo w sumie nie czuję potrzeby, żeby się z nią rozstać.

Właśnie takie mejle spodziewałam się znaleźć w skrzynce mojego ojca. Kliknęłam na następny.

To najlepsza kartka urodzinowa na świecie. Jesteś niesamowity! Ściskam, Celia.

Długo wpatrywałam się w te słowa. Kto to, u licha, Celia? I czy Dżinek wiedział, że inna kobieta pisała czułe liściki do mojego ojca... który być może wiódł ciekawszy żywot, niż mi się to zawsze wydawało? W ostatnim roku życia dostał bzika na punkcie projektowania kartek internetowych na wszelkie okazje, ale nie przypominałam sobie, żeby choć raz przysłał mi taką, którą określiłabym „najlepszą na świecie”.

– Hej, Riley. – W drzwiach stanęła Christine. – Możesz na chwilę zejść do kuchni? Właśnie zajęłam się wyceną i muszę z tobą pogadać o rzeczach z kredensu.

Zerknęłam na nią i wróciłam spojrzeniem na ekran.

– Za minutkę – rzuciłam. – Mam tu jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

– Byłoby super, jakbyś przyszła od razu – nalegała. – Świetnie mi dzisiaj idzie, trzeba korzystać, dopóki jestem w transie.

*Odwal się*, pomyślałam, wsłuchana w jej oddalające się kroki.

Próbowałam skupić się na mejlu, ale słysząc, jak Christine rozbija się w kuchni, postanowiłam zobaczyć, czego chce, i mieć ją z głowy. Westchnęłam, wyłączyłam komputer i zeszłam na dół. Moim oczom ukazały się stosy talerzy, szklanek, garnków i patelni piętrzące się na kuchennych blatach i stole. Kredensy były prawie puste.

– O rany. – Stanęłam w wejściu.

– Super, że jesteś – powiedziała Christine. Objęła szerokim gestem ręki bałagan, który zrobiła. – Wyceniam wszystko, co tu widzisz. I jak już się z tym uwinę, lepiej, żebyś niczego nie ruszała. Chyba powinnaś sobie sprawić papierowe talerze, plastikowe sztucce i, no wiesz, plastikowe kubki, żebyś mogła do końca swojego pobytu jeść po ludzku. Chyba że jest coś, co chcesz, żebym ci koniecznie zostawiła.

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem.

– Christine! Przecież zostanę tu jeszcze co najmniej kilka tygodni.

– Cóż, wyprzedaż, tak czy inaczej, odbędzie się dwudziestego lipca – oznajmiła. – Naprawdę chcesz tu być w czasie, kiedy dom będzie opróżniany?

– Owszem, chcę! – Zauważyłam talerze Franciscan Ware, które tak bardzo przypominały mi mamę. Talerze, które kochałam, a których Danny nienawidził. – Słuchaj – powiedziałam do Christine. – Chcę, żebyś zostawiła co najmniej cztery



z tych talerzy, cztery szklanki, cztery miseczki i cztery zestawy sztućców.

Christine wypuściła powietrze z irytacją.

– Tyle razy prosiłam, żebyś dała znać, co chcesz zachować, i nic, słowem się nie odezwałaś.

Musiałam przyznać jej rację.

– Przepraszam – powiedziałam – ale po wyprzedaży będę musiała tu jeszcze trochę pomieszkać, w porządku?

Patrzyła na coś za moimi plecami i odwróciwszy się, zobaczyłam w salonie Danny'ego. Stał z rękami w kieszeniach, wyraźnie skrepowany. Przywołał mnie ruchem głowy.

– Muszę iść – powiedziałam do Christine. – Zostaw mi też średni garnek i patelnię. Proszę. – Odwróciłam się, nie czekając na odpowiedź, i wyszłam za Danny'm na ganek.

Zamknęłam za nami drzwi.

– Ta kobieta doprowadza mnie do szału – wyznałam.

– Nie podoba mi się, jak na mnie patrzy.

– Leci na ciebie.

Przewrócił oczami i usiadł w jednym z foteli bujanych.

– Po co przyjechałeś? – spytałam, siadając obok.

– Chcę porozmawiać z Tomem Kyle'em o tej historii ze śladami dwóch osób – powiedział. – Nie daje mi spokoju. Coś tu śmierdzi i ciekaw jestem, skąd on zna ten szczegół. Powinnaś pójść do niego ze mną.

Nie od razu odpowiedziałam. Sama chciałam jeszcze raz porozmawiać z Tomem. Ale jak wyjaśniłabym mu, skąd wiem, że informacji o tych śladach nie ujawniono mediom? Poza tym gdybym jakoś skłoniła go do mówienia, nie chciałam, żeby Danny przy tym był. Nie ufałam jego motywom. Bałam się, do czego posunąłby się pod wpływem zdobytej wiedzy.

– Nie rozmawiałeś o tym z Harrym, co? – spytałam.

– Nie ma z nim o czym rozmawiać – zauważył. – Przynajmniej na razie.

– Jak wyjaśnisz Tomowi Kyle'owi, skąd wiesz o śladach?

– Coś wymyślę. – Rzadko widziałam na jego twarzy taką determinację. Danny żył z dnia na dzień. Ślęczał przy komputerze. Pił. Palił. Pamiętałam, jak tata wzdychał: „Mógłby sobie wreszcie znaleźć jakieś zajęcie”. Wyglądało na to, że jego życzenie się spełniło.

– Ty naprawdę chcesz ją ukarać, prawda? – stwierdziłam.

Zasępił się i wstał.

– Nie mieszaj do tego psychoanalizy, dobrze? – Spojrzał na mnie z góry. Wcisnął ręce do kieszeni. – Porozmawiam z nim, z tobą czy bez ciebie – oznajmił. – Jedziesz czy nie?



## SIERPIEŃ 1995

31.

### *Jade*

– Cześć, Charlie – powiedziała, kiedy staruszek wszedł do sklepu Grady’ego. Zawsze cieszyła się na jego widok. Lubiła wszystkich stałych klientów, ale nigdy nie zapomniała tej nici wzajemnego zrozumienia, jaka nawiązała się między nią a Charliem, kiedy znalazła mu płytę, której tak długo szukał.

– Dzień dobry, Jade – przywitał się. – Pewnie już się szykujesz na ostatni rok studiów, co?

Skinęła głową. Tego lata pracowała więcej niż zwykle, żeby podreperować stan konta, ale nie mogła się doczekać powrotu na uczelnię. Dawno wymyśliła, jak przetrwać studia – przede wszystkim trzymać się na uboczu. Nie sądziła, by inni studenci uważali, że jest zimna, nie całkiem; postrzegali ją raczej jako outsiderkę, która ma dużo zajęć poza uczelnią. Tak przynajmniej przypuszczała. Na skrzypcach grała tak, żeby nie wzbudzać zainteresowania, a tym bardziej zachwyty – w tym celu wzorowała się na koleżance ze studiów, która była dobra, ale nie wybitna. Śledziła jej postępy i wiernie ją naśladowała, zadowolając się opinią przyzwoitej skrzypaczki. A mimo to w swoim domku co noc na długie godziny uwalniała z siebie Lisę MacPherson. Kochała swoje dawne ja. Potrzebowała go. Czasem miała wrażenie, że Jade i Lisa są dwiema różnymi osobami. Za dnia jednak często była zmęczona. Podwójne życie kosztowało ją mnóstwo energii.

– Czyli już za rok zaczniesz uczyć? – spytał Charlie.

– Nie, potem mam jeszcze rok na zdobycie uprawnień. Dopiero wtedy mogę zacząć.

– Czekala na ten moment z niecierpliwością. Po trzech latach studiów zaczynała wierzyć, że będzie niezłą nauczycielką. – Szukasz dziś czegoś szczególnego? –

spytała.

– Nie ja, moja wnuczka. – Zerknął przez ramię w stronę drzwi. – Przyjechała z Oregonu. Z Portland. Poszła do piekarni obok, ale zaraz się zjawi. Do tego czasu przejrzę płyty jazzowe.

– Jasne – powiedziała. Charlie czasami wspominał o wnuczce; *miło, że go odwiedziła*, pomyślała Jade. Nie wiedzieć czemu, czuła się za niego odpowiedzialna. Martwiła się, że mieszkał samotnie, i brakowało jej go, kiedy tygodniami nie przychodził. Choć na schorowanego nie wyglądał, miał swoje lata; ile właściwie, nie była pewna. Wiedziała, że ubóstwiał swoją świętej pamięci żonę. Wiedziała też, że lubił przychodzić do sklepu Grady’ego, bo tutaj czuł się jak wśród bliskich. Była wrażliwa na punkcie ludzkiej samotności.

Wstawiała nowe kompaktki z muzyką klasyczną, gdy Charlie trącił ją w łokieć. Podniosła głowę.

– Jade – powiedział. – Pozwól, że przedstawię ci moją wnuczkę, Celię.

Obok Charliego stała młoda kobieta, nieco wyższa od niego i nieco starsza od Jade. Miała ciemnobrązowe włosy, z jednej strony bardzo krótko ostrzyżone, z drugiej trochę dłuższe, z kosmykiem opadającym na skroń. Ubrana była w czarne szorty i szary, damski T-shirt Indigo Girls. Obejmując smukłą ręką ramiona dziadka, uśmiechała się do Jade, która czuła się zahipnotyzowana spojrzeniem jej srebrzystoszarych oczu. Mówiła tak, jakby nie działo się nic nadzwyczajnego: „Cześć, Celia. Miło cię poznać. Na długo przyjechałaś? Twój dziadek wspominał, że szukasz czegoś szczególnego”, ale nie mogła oderwać od niej wzroku ani na chwilę, a Celi to wyraźnie nie przeszkadzało. To było jak wolkańskie połączenie umysłów. Dziw nad dziwy. Jade widziała swoją przyszłość i Celia była jej częścią.

– Dziadzio mówił, że znasz wszystkie płyty, jakie kiedykolwiek powstały – oznajmiła Celia.

– Cóż... – Jade zaczerwieniła się, a nie zwykła się rumienić. – Już się boję.

– Szukam starej płyty Robin Flower. Nie mogę jej nigdzie znaleźć.

– *1st Dibs*? – spytała Jade, właściwie niepotrzebnie. Jakoś od razu wiedziała, o który krążek chodzi. Celia nie musiała nic wyjaśniać.

– Właśnie – potwierdziła Celia. Wciąż patrzyły sobie w oczy.

– Mamy ją, ale tylko na winylu.

– To doskonale – ucieszyła się Celia.

– Widzisz? – zwrócił się Charlie do wnuczki. – Mówiłem ci, że jest dobra.

Udało jej się oderwać oczy od Celi, żeby na niego spojrzeć, i zobaczyła na jego twarzy lekkie rozbawienie, jakby od samego początku wiedział, że Jade i jego wnuczka szybko przypadną sobie do serca.

Charlie wysunął się spod ramienia Celi i delikatnie popchnął ją w stronę Jade.

– Poszukajcie tej płyty Robin Flower – zaproponował. – Będę w dziale jazzu.

– Uwielbiam twojego dziadka – powiedziała, kiedy zaczęły z Celią szperać po regałach. Świetnie wiedziała, gdzie jest płyta Flower, ale nie chciała za szybko jej znaleźć. Ich ramiona stykały się ze sobą i Jade obserwowała grę mięśni i ścięgien pod skórą wędrującej od albumu do albumu ręki Celi. Fala gorąca rozlewała się po jej piersi i obejmowała policzki. Drżały jej kolana. To było jednocześnie najbardziej niezrozumiałe i najcudowniejsze uczucie, jakiego w życiu doznała, mimo że bała się, że zaraz będzie musiała usiąść na podłodze, żeby nie fiknąć.

– On ciebie też – odparła Celia. – Mówił, że przychodzi tylko w te dni, kiedy pracujesz. – Miała piękne dłonie, ciepłego, miodowego koloru jak ona cała, o długich, smukłych palcach z krótkimi, zaokrąglonymi paznokciami. – Wspomniał też, że studiujesz muzykę. Skrzypce, prawda? Nic dziwnego, że znasz tę płytę Robin Flower.

Minęła chwila, zanim Jade odzyskała mowę.

– No tak – bąknęła.

– I wspomniał, że chcesz uczyć. Ja też uczę.

– Naprawdę? W której klasie?

– Jestem matematyczką w dwuletnim college’u w Portland.

– O rany! – Nagle poczuła się bardzo młodo. – Tu jest. – Wyciągnęła płytę i podała Celi.

– Super! – Celia wzięła album w swoje miodowe dłonie, po czym spojrzała na nią. – Dziadzio kazał cię zaprosić dziś na kolację.

Jade domyślała się, że powiedział coś w stylu „jak ci się spodoba, zaprosź ją”. No i się spodobła.

– Chętnie przyjdę – odpowiedziała.

Cofnęły się od płyt. Jade wręcz bała się znów na nią spojrzeć i poczuć ten nieziemski magnetyzm jej oczu, ale to zrobiła.

– Ile masz lat? – spytała Celia.

– Dwadzieścia dwa. Późno zaczęłam studia, bo musiałam najpierw trochę dorobić. Dlatego dopiero teraz jestem na ostatnim roku. – Plotła piąte przez dziesiąte, gdy tak naprawdę chciała powiedzieć: „Jakaś ty piękna!”. – A ile ty masz lat? – spytała.

– Dwadzieścia pięć. Czyli przyjdiesz?

– Jasne.

– Koło siódmej? Znasz adres?

Skinęła głową.

– Przynieść wino?

– Nie trzeba. Wszystko mamy. Przynieś tylko siebie. – Celia położyła swoją idealną dłoń na jej przedramieniu i leciuteńko zacisnęła palce. Jade przez resztę dnia co rusz dotykała tego miejsca i za każdym razem żar oblewał jej pierś i policzki. Niecierpliwie odliczała godziny do siódmej.

Choć Jade wiedziała, gdzie Charlie mieszka, nigdy dotąd u niego nie była. Na ścianach miał pełno obrazów, większych i mniejszych. Słabo znała się na sztuce, ale przypuszczała, że dzieła zdobiące salon są oryginałami, może nawet bardzo cennymi. Zdawała sobie sprawę, że Charlie nie jest biednym emerytem, bo wiedziała, ile wydawał u Grady'ego, ale poza płótnami na ścianach i regałami pełnymi płyt – tak bardzo przypominającymi kolekcję jej ojca – w jego skromnym, przytulnym gniazdku nie zauważyła nic, co wskazywałoby, że jest zamożny.

Pod jedną ze ścian salonu stały za to dwie gitary i mandolina schowane w futerałach.

– Kto gra? – spytała, stojąc na środku pokoju.

– My oboje – wyjaśniła Celia. – Mandolina należy do mnie. Przywiozłam ją ze sobą z Portland. Na gitarze tylko brzdąkam, dziadzio jest dużo lepszy. A ty?

– Trochę grałam na mandolinie – powiedziała. – Ale całe wieki temu.

– Szkoda, że nie poprosiliśmy, żebyś przyniosła skrzypce – stwierdził Charlie.

W sumie dobrze, że tego nie zrobili. Nie była pewna, czy zdołałaby się oprzeć pokusie.

Jedli pasta primavera na talerzach Franciscan Ware ozdobionych namalowanymi jabłkami, takich samych jak te, które Jade w dzieciństwie oglądała na co dzień w domu. Nie wspomniała jednak o tym, bo dziewczyna, która z tych talerzy korzystała, dla niej już nie istniała. Mimo to dziwnie się z nich jadło.

Przy kolacji opowiedzieli jej wszystko o Celi. Dzieciństwo spędziła w San Diego, ale kiedy miała czternaście lat, jej tatę przeniesiono do Portland i to tam skończyła szkołę średnią. Miała brata, Shane'a, który mieszkał parę godzin drogi od niej w Seattle, i wraz z rodzicami tworzyli zżyłą, kochającą muzykę rodzinę.

– Byli w lekkim szoku, kiedy wyznałam, że wolę dziewczyny – powiedziała Celia swobodnie, jakby wiedziała, że Jade nie będzie zaskoczona. I nie była. T-shirt Indigo Girls. Płyta Robin Flower. Zaskoczyło ją co innego: to, co czuła, stojąc obok Celi w sklepie Grady'ego. Nie wiedziała, jak to rozumieć. Trudno jej się patrzyło na Celię nad stołem, bo czuła na szyi i policzkach ten znajomy żar i bała się, że to po niej widać.

– Pogodzili się z tym? – spytała. – Że jesteś... no wiesz?

– Nie od razu. Myśleli, że mi przejdzie. – Zaśmiała się.

– Ja wiedziałem, że nie – zapewnił Charlie. – Poradziłem im, żeby to zaakceptowali, bo inaczej cię stracą.

– Dziadzio lubi sobie wmawiać, że uratował sytuację, ale w końcu zmieniliby zdanie sami z siebie.

– Uratowałem sytuację – stwierdził Charlie z przekonaniem, jakby znał tamte wydarzenia od podszewki.

– Pod wpływem dziadzia czy nie, szybko poszli po rozum do głowy – powiedziała Celia. – Chyba po prostu się martwili, że nie dam im wnuków.

Zapytali Jade o jej rodzinę i z bólem ich okłamała. Z bólem, bo kochała Charliego i przypuszczała, że bez trudu mogłaby pokochać Celię – i sądząc z tego, co o nich usłyszała, wszystkich jej bliskich – a mimo to musiała opowiadać im bajki. Okropnie się czuła, mówiąc, jak to uciekła z domu, bo miała okropnych rodziców. Chciała im powiedzieć o Riley. O Dannym. Prawda jednak była taka, że w gruncie rzeczy niewiele już wiedziała o swojej rodzinie. Nie miała nawet pojęcia, gdzie mieszkają. Charlie i Celia patrzyli na nią z wielkim współczuciem. Czy w ogóle potrafili sobie wyobrazić życie bez oparcia w bliskich, jakie opisywała? Czy sądzą, że sama jest sobie winna, skoro nic nie zrobiła, żeby rozwiązać swoje problemy? Fałszywa tożsamość była Jade nie mniej wstrętna niż ta prawdziwa i bardzo ją to smuciło. Chciała im powiedzieć, że rodzice kochali ją mimo błędów, jakie popełniała. Że byli dla niej dobrzy. A zamiast tego zrobiła z nich parę potworów rujnujących jej życie.

– Chętnie posłucham, jak gracie – powiedziała, wskazując ruchem głowy instrumenty w salonie, żeby odwrócić uwagę od siebie.

– Dobra myśl. – Celia odsunęła się z krzesłem od stołu. – Ale najpierw posprzątajmy.

Jade pomogła jej z naczyniami, a Charlie w tym czasie puścił płytę Robin Flower na swojej wieży. Miał sprzęt najwyższej klasy, jak na miłośnika muzyki przystało. Pracując w kuchni, Jade czuła, że jej ramię napotyka ramię Celi częściej, niż to było absolutnie konieczne. Jasne, miejsca było mało, ale zmywanie i wycieranie naczyń mimo wszystko nie wymagały aż takiej bliskości. Nie miała jednak nic przeciwko; dotyk Celi sprawiał jej przyjemność. Przyjemność tak wielką, że poczuła żal, kiedy naczynia już były czyste, a blat wytarty.

Przeszły do salonu. Charlie, siedząc na sofie, wyjmował gitarę z futerału. Celia wyłączyła wieżę i spojrzała na Jade.

– Może zagrasz na mojej mandolinie – zaproponowała – a ja porzępolę na drugiej gitarze?

Jade pokręciła głową.

– Nie, dzięki – powiedziała. – Wolę posłuchać was.

Celia usiadła na drugim końcu sofy i zagrała z dziadkiem *Roll in My Sweet Baby's Arms* na gitarę i mandolinę. Jade siedziała w fotelu z szerokim uśmiechem na ustach. Tworzyli zgrany duet! Wykonali kilka nieznanych jej tradycyjnych melodii, a potem parę starych przebojów Beatlesów.

Słuchała ich jeszcze jakiś czas, klaskała w dłonie i nawet śpiewała razem z nimi... aż w końcu zrozumiała, że dłużej nie wytrzyma. Raptownie zerwała się na nogi i spojrzeli na nią ze zdumieniem.

– Muszę iść po skrzypce – oznajmiła.

– Hura! – zawołała Celia.

– Idź z nią – polecił jej Charlie. – Za ciemno, żeby chodziła sama po ulicach.

Wcale nie było za ciemno na samotne spacerki. Owszem, w niektóre rejony Ocean Beach Jade nie zapuściłaby się po zmroku, ale trzy przecznice dzielące jej chatkę od domu Charliego były całkowicie bezpieczne. Mimo to ani myślała przepuścić okazję, żeby spędzić więcej czasu z Celią.

Początkowo szły w milczeniu.

– Trzeba nie lada odwagi, żeby opuścić rodzinę w wieku osiemnastu lat – powiedziała w końcu Celia. – Masz w ogóle z nimi kontakt?

Jade potrząsnęła głową.

– Nie – powiedziała. – Nawet nie wiedzą, gdzie jestem, i chcę, żeby tak zostało.

Celia przez chwilę milczała.

– Zrobiłaś to, bo jesteś lesbijką? – spytała, nie patrząc na nią. Jade zamurowało. Wyglądała na lesbijkę? Nosila włosy do ramion i była przekonana, że ma w miarę kobiecą urodę. Ale może wygląd nie miał tu nic do rzeczy.

Zawahała się.

– Nie sądzę, żebym była lesbijką – powiedziała, po czym dodała: – Choć akurat w tej chwili jestem trochę skołowana.

Właśnie przechodziły pod latarnią i Jade zobaczyła lekki uśmiech na ustach Celi. Pomyślała, że jej nowa znajoma wie o niej więcej niż ona sama.

Celia dotknęła jej ramienia.

– Nie ma sprawy.

Jade przypomniała sobie, co czuła, patrząc na plakat Nastassji Kinski w sklepie Grady'ego, albo tamten dzień, kiedy kupowała skrzypce, i dreszcz, o jaki przyprawił ją widok grającej na nich Cary. Matty nawet jej kiedyś powiedział, że czasem się zastanawia, czy aby nie jest lesbijką, tylko jeszcze o tym nie wie. Uznała to wtedy za złośliwy żart, zemstę za to, że zraniła jego uczucia wyznaniem, że jest jej obojętne, czy się kiedyś pocałują, czy nie. Spojrzała na profil Celi. Teraz by tak nie powiedziała. Pragnęła, żeby Celia spróbowała ją pocałować. Nie opierałaby się.

Przeszły pół przecznicy w milczeniu.

– To tutaj. – Pokazała palcem parterowy dom Ingrid. – Mieszkam na tyłach. – Pchnęła furtkę. – Tędy – powiedziała i Celia ruszyła za nią wąską ścieżką.

Weszły do domku i Jade zapaliła światło w salonie. Zawstydziała się na widok bezładnie porozrzucanych papierów i arkuszy nutowych. Cóż, do tej pory nie odwiedzał jej nikt oprócz Ingrid.

– Ślicznie tu – stwierdziła Celia. – Stać cię na to, skoro pracujesz w sklepie z płytami? – spytała i zaraz się zarumieniła. – Przepraszam. Zbyt osobiste pytanie.

– Ingrid lituje się nade mną – wyznała Jade. Ani razu nie podniosła jej komornego. – Poza tym płacę obniżone czesne za studia. Ale jak tylko je skończę, będę się



musiała rozejrzeć za etatem w szkole. – To była niepokojąca perspektywa. Ile szkół w tych czasach szukało nauczycieli muzyki?

Sięgnęła po futerał ze skrzypcami.

– Kupiłam je od studentki, która przerzuciła się na lepszy model – powiedziała. – W domu miałam lepsze, ale musiałam je zostawić.

– Przykro mi. – Celia dotknęła jej ramienia współczującym gestem. – Cokolwiek cię spotkało w rodzinnym domu, nie zasłużyłaś na to.

Jade bała się na nią spojrzeć w obawie, że się rozplacze. Ulżyło jej, kiedy zgasła światło i wyszły z powrotem w ciemność.

Jade znów siedziała w salonie Charliego i drżącymi rękami stroiła skrzypce. Wiedziała, co robi, i zdawała sobie sprawę, że igra z losem.

– Może zaczniemy i do nas dołączysz? – spytał Charlie życzliwie. Siedzieli z Celią na sofie i czekali, aż Jade zakończy swoje skrupulatne przygotowania. – Jaka jest twoja ulubiona piosenka?

– Zagram ją wam – powiedziała, wsunęła skrzypce pod brodę i zaczęła *Taniec chochlików* Bazziniego. Przymknęła oczy, żeby zatracić się w muzyce. Zapomnieć, gdzie jest. Zapomnieć, jak wiele ryzykuje, grając jeden z najtrudniejszych technicznie utworów, jakie знаła. Zapomnieć, że odrzuca korzec i pozwala, by jej światło buchnęło spod niego niczym eksplozja fajerwerków.

Skończyła i podniosła powieki. Powitała ją cisza. Celia przyciskała do ust dłońie złożone jak do modlitwy. Jej szare oczy były szeroko otwarte.

– O kurde – głos Charliego przeciął nieruchome powietrze.

Jade drżącymi rękami opuściła skrzypce na kolana.

– To właśnie mój ulubiony utwór – powiedziała. *Proszę, nie mówcie nikomu*, pomyślała.

– Gdzieś ty się nauczyła tak grać? – spytał Charlie.

– W dzieciństwie dużo ćwiczyłam. – Wzruszyła ramionami. Nie zagrała dobrze po to, żeby się popisać. W żadnym razie. Czuła po prostu potrzebę, żeby choć odrobinę odkryć swoje prawdziwe oblicze przed ludźmi, na których jej zależało. Ludźmi, którym zależało na niej.

– Dlaczego nie robisz tego zawodowo? – Celia wreszcie odzyskała głos. – Czemu wybrałaś uniwersytet stanowy? Nie konserwatorium?

– Juilliard – rzucił Charlie i Jade aż podskoczyła. Zupełnie jakby znał prawdę.

– Musiałam opuścić dom – wyjaśniła. – Musiałam z tego zrezygnować.

– Nie! – zawołała Celia. – Nie wolno ci. Musisz do tego wrócić.

– To dar – przyznał Charlie. – Masz obowiązek go wykorzystać.

– Chcę uczyć – powiedziała. – Tylko na tym mi w tej chwili zależy. – Wskazała ruchem głowy jego gitarę. – Zagrajmy coś.

Minęła jeszcze minuta, zanim ochłonęli. Miała wrażenie, że poznali, że ona cierpi. Że potrzebuje ulgi, którą mogli jej dać. Dlatego z dobroci serca zaczęli grać. Muzykowali we trójkę do drugiej nad ranem, a potem Celia znów odprowadziła ją do domu. Tam, co nie zaskoczyło żadnej z nich, wyjęła z rąk Jade futerał ze skrzypcami i odstawiła go na bok, po czym przyciągnęła ją do siebie i delikatnie pocałowała w usta. Jade czuła na żebrach ciepły dotyk jej dłoni.

– Zostań – powiedziała, kiedy odsunęły się od siebie, i Celia skinęła głową. – Tyle że nie mam telefonu, żebyś mogła dać znać Charliemu, że nie wrócisz na noc i...

Celia położyła koniuszek palca na jej ustach.

– Uprzedziłam, żeby się nie martwił, jeśli nie wrócę.

– Aha. – Pomimo tego, jak otwarcie rozmawiali we troje przez cały wieczór, Jade była lekko zszokowana. – Co powiedział?

– Żebym była dla ciebie dobra. Że jesteś wielkim, wielkim skarbem. – Celia uśmiechnęła się. – Ale tego to ja sama się domyśliłam.

## Riley

– A wy tu czego? – warknął Tom Kyle, kiedy jego żona wpuściła nas do dusznego, nagrzanego kampera. Verniece miała tę spłoszoną minę, którą już znałam. Domyślałam się, że nie jest jej lekko, gdy mąż wpada w złość, i było mi przykro, że się do tego przyczyniłam. Nie zachęcili nas, żebyśmy usiedli, staliśmy więc we czwórkę w kąciku kuchennym, niepewni, co dalej. Ja byłam przy drzwiach z ręką na gałce. Obawiałam się mojego brata i jego nieobliczalnego gniewu.

– Mamy kilka pytań – powiedział Danny. – Podałeś mojej siostrze pewną informację i winien nam jesteś wyjaśnienie.

– Jaką informację? – Tom kiwnął głową w moją stronę. – Co ci nagadała?

Verniece wyciągnęła rękę do lodówki.

– Może się czegoś... – zaczęła, ale zanim mogła otworzyć drzwi, Tom zablokował je ramieniem. Szkoda. Przydałoby się trochę chłodnego powietrza.

– Nie przyszli tu w odwiedziny – powiedział do Verniece. Spojrzał na Danny'ego. – Do rzeczy, dobrze? Po południu ma padać i chcę złowić parę ryb, zanim lunie.

– Zapowiadają dwadzieścia pięć milimetrów deszczu – powiedziałam, jakbyśmy wpadli z kurtuazyjną wizytą.

– Skąd wiedziałeś, że koło przystani, tam, gdzie znaleziono samochód naszej siostry, były ślady dwóch osób? – spytał Danny.

Tom unikał spojrzenia mojego brata. Bawił się buteleczką tabletek stojącą na blacie kuchennym.

– Po co wyciągacie stare bzdury? – spytał. – Przecież jej mówiłem skąd. – Wskazał mnie ruchem głowy, jakby zapomniał moje imię. – Gdzieś to wyczytałem.

– Tyle że tę informację trzymano w tajemnicy przed mediami, Tom – powiedziałam. – Nie mogłeś o tym przeczytać.

– Naprawdę? – Verniece przybrała zdumioną minę. – Ja też pamiętam, że gdzieś o tym czytałam. Przynajmniej tak mi się zdaje. To było tyle lat temu.

Pomyślałam, że Danny mógł się pomylić. Może ten szczegół jednak wyciekł

do którejś z gazet.

– To niemożliwe – rzucił Danny do Verniece. – No już. Szybko. Skąd to wiecie?

– Proszę, skupcie się – powiedziałam niemal łagodnie, usiłując osłabić groźbę zawartą w słowach mojego brata. – Spróbujcie sobie przypomnieć, gdzie o tym słyszeliście.

Zamilkli. Tom założył muskularne ramiona na piersi i spojrzał pustym wzrokiem przed siebie, jakby się zastanawiał nad odpowiedzią. Verniece łypnęła na niego wyzywająco i znów wyciągnęła rękę do lodówki. Otworzyła ją i wzięła z półki na drzwiach dwie butelki napoju pomarańczowego. Podała je mnie i Danny'emu.

– Masz, Riley. Widzę, że trzeba ci ochłody.

Kiedy wzięłam od niej butelkę, zadzwonił mój telefon. Wyciągnęłam go z kieszeni i spojrzałam na wyświetlacz. Christine. Żadna niespodzianka. Będzie zła, jeśli nie odbiorę. Położyłam komórkę na blacie kuchennym i otworzyłam napój. Pociągnęłam długi łyk, po czym przyłożyłam chłodną butelkę do szyi. Czy oni w ogóle mieli w tym kamperze klimatyzację? Jak mogli tu wytrzymać?

– Wiecie, jak to musiało być? – odezwał się wreszcie Tom, jakby wnikliwie przemyślał pytanie i doszedł do jakiegoś wniosku. – Wtedy byłem szeryfem federalnym. Miałem znajomości. W tym śledztwie uczestniczyła policja stanowa. FBI też. Miałem paru kumpli i tu, i tam, więc może nigdzie tego nie wyczytałem, tylko dowiedziałem się o tym od jednego z nich.

– I pewnie po latach mi o tym wspomniałeś – dorzuciła Verniece. Chyba jej ulżyło, że znaleźli wyjaśnienie.

– A jak twoi kumple tłumaczyli obecność śladów dwóch osób? – spytał Danny.

Tom wzruszył ramionami.

– Że może to był jakiś podstęp. No wiesz. Że ktoś ją stamtąd wywiózł.

– Na jakiej podstawie doszli do takich wniosków? – drążył Danny.

– Skąd mam, do cholery, wiedzieć? – warknął Tom. Wychylił się do przodu i wyjrzał przez okno nad zlewem. – Chmurzy się – powiedział, zniecierpliwiony. Przepisnął się między nami i otworzył drzwi, wypraszając nas. – Koniec rozmowy.

Danny zawahał się, a ja zeszywniałam, niepewna, co zrobi lub powie. Wreszcie odwrócił się w stronę drzwi.

– Na dzisiaj – rzucił. Ulżyło mi, że odpuścił, przynajmniej na jakiś czas.

Wyszłam za nim, trzymając butelkę w górze.

– Dzięki, Verniece – powiedziałam, zmuszając się do przepraszającego uśmiechu.

– Wie dużo więcej, niż mówi – oznajmił Danny, kiedy wsiedliśmy do jego samochodu. Miał nieobecne spojrzenie, jakby w myślach rozwiązywał jakąś łamigłówkę.

– Cóż, nie chciał z nami rozmawiać, to na pewno. – Ustawiłam klimatyzację tak,

żeby chłodne powietrze dmuchało mi w twarz. – Ale co właściwie może wiedzieć? Nie sądzisz, że dwadzieścia cztery lata temu policja wzięła pod lupę wszystkie dowody?

– Kto wie? – spytał Danny i ruszył zwirówką naprzód. – Może śledztwo prowadziła banda partaczy. Wiem tylko, że coś tu nie gra i...

– Mój telefon! – przerwałam mu, klepiąc się po kieszeni szortów. – Zostawiłam go u nich.

Wcisnął hamulec i sięgnęłam do klamki.

– Nie cofaj – zaprotestowałam. Przejechaliśmy może trzydzieści metrów. – Przejdę ten kawałek pieszko. – Otworzyłam drzwi i wysiadłam. – Zaraz wracam – zapewniłam.

Potruchtałam w stronę kampera, zła na siebie. Nie miałam najmniejszej ochoty na ponowne spotkanie z Tomem i Verniece. Przy kamperze zwolniłam kroku i właśnie okrążałam go od tyłu, kiedy z wnętrza dobiegła mnie kłótnia. Zatrzymałam się. Głos, który słyszałam, nie należał ani do Toma, ani do Verniece. Nagle bałam się ruszyć z miejsca. Czyżby kogoś u siebie ukrywali? I wtedy uświadomiłam sobie, że to jednak głos Verniece, choć nie tej pocziwej Verniece, którą znałam i lubiłam.

– ...równie dobrze mogłeś od razu pójść na policję, baranie! – wrzeszczała. – Przecież on się przyjaźni z Harrym Washingtonem! Jak mamy...

Tom warknął coś niezrozumiałego, a odpowiedź Verniece była stłumiona i niewyraźna... chociaż zdołałam wychwycić słowo „Riley”. Oparłam głowę o tył kampera. Verniece zawsze była taka cicha. Taka dobroduszna i delikatna. Teraz poznałam ją od innej strony, strony, o której istnieniu nie miałam pojęcia. Pod dłonią czułam, jak metalowa okładzina wibruje od ich głosów, ale teraz mówili ciszej, za cicho, żebym mogła cokolwiek zrozumieć.

Głośno zakasłałam, żeby ich uprzedzić o swojej obecności, wysunęłam się z za rogu kampera i zawołałam:

– Verniece! – Umilkli, kiedy podeszłam do schodków przed drzwiami. – Verniece? Zostawiłam u was komórkę.

Usłyszałam nerwową krzątanie w środku i po chwili Verniece stanęła w drzwiach z moim telefonem w ręku.

– Proszę, złociutka. – Uśmiechnęła się i podała mi aparat z twarzą czerwoną jak burak i lśniącą od potu. – Dopiero byłaby katastrofa, gdybyś tego zapomniała, co?

– Tak – przyznałam, niezdolna odwzajemnić uśmiechu. – Dzięki.

Odwróciłam się i ruszyłam do samochodu Danny’ego, pragnąc zerknąć przez ramię, czy mnie obserwują. *Równie dobrze mogłeś od razu pójść na policję, baranie!* Nie wiedziałam, o co jej chodziło. Wiedziałam tylko, że przynajmniej na razie zachowam to dla siebie.

## BOŻE NARODZENIE 1995

33.

### *Portland, Oregon, Jade*

– Specjalny toast! – Paul, ojciec Celi, wznosił kieliszek wysoko nad szeroki stół jadalny, który niemal ugiął się pod ciężarem ogromnego, pieczonego indyka i wielkich półmisek z ziemniakami, warzywami i farszem. – Za przyjaciółkę Celi, Jade. Jesteśmy szczęśliwi, że po raz pierwszy... i miejmy nadzieję, nie ostatni... zasiada z nami do bożonarodzeniowej wieczerzy.

– Dziękuję – powiedziała Jade ze swojego miejsca obok Celi. Uśmiechnęła się nad stołem do brata Celi, Shane’a, i jego żony Ellen, ślicznej, rudawej blondynki, po czym wszyscy wzniesli kieliszki.

Była zakochana. Głęboko, szaleńczo, namiętnie. Spędziły razem tydzień w Ocean Beach, zanim Celia musiała wrócić do pracy w Portland. Potem, po Święcie Dziękczynienia, Celia znów przyjechała na kilka dni do San Diego i tym razem zatrzymała się u Jade, nie u Charliego, choć dopilnowały, żeby staruszek towarzyszył im we wszystkim, co robiły. No, prawie wszystkim. Był zachwycony, że Jade i Celia są razem. Milion razy im to powtarzał.

Po tej wizycie Jade uznała, że chce napisać tacie o Celi. Musiała podzielić się swoją radością z kimś, kto potrafiłby ją zrozumieć. Czy to „nadzwyczajna sytuacja”? Tak, powiedziała sobie. Przynajmniej w wymiarze emocjonalnym. Tyle że może tata już nie zadawał sobie trudu, żeby zaglądać do swojej skrytki pocztowej, choć ona swoją odwiedzała co miesiąc z nadzieją na choćby kilka zdań o rodzinie. Jednak od tego dnia przed trzema laty, kiedy dostała pieniądze na samochód wraz z krótką notką – *kochamy i tęsknimy* – nie mieli ze sobą kontaktu.

Starannie dobierając słowa, napisała:

*Drogi Fredzie,  
chcę, żebyś wiedział, że poznałam kogoś, na kim bardzo mi zależy. Ciesz się razem ze mną. Bardzo jestem ciekawa, jak się wszyscy macie.*

*Ann*

Wysłała list, wyobrażając sobie, jak leży nieotwarty w skrytce pocztowej taty i zbiera kurz. Może należało zaryzykować i napisać adres zwrotny, na wypadek gdyby tę skrytkę zlikwidował, ale było na to za późno.

Jednak już po tygodniu dostała odpowiedź.

*Ann,  
bądź ostrożna. Przyjaciel łatwo może stać się wrogiem.*

*Pozdrawiam,  
Fred*

*PS. Mamy się dobrze.*

Nie na taką odpowiedź liczyła – bynajmniej – i chłodny ton listu sprawił jej taki ból, że na zajęciach nagle zalała się łzami i musiała wyjść. Co to znaczy „mamy się dobrze”? Chciała szczegółów! Riley miała osiem lat, Danny dwanaście i pragnęła ich poznać. Jak Riley podobało się w szkole? Czy kochała muzykę jak Lisa? Czy grała na jakimś instrumencie? Czy jej włosy pachniały tak jak kiedyś, słońcem i zasypką dla niemowląt? Jak radził sobie Danny? Czy tęsknił za starszą siostrą? I czy jej matka doszła do siebie po „samobójstwie” Lisy? Chciała to wszystko wiedzieć, ale było oczywiste, że od ojca nie uzyska odpowiedzi.

Teraz otaczała ją cudza rodzina. Spędziła Wigilię u rodziców Celi, Paula i Ginger, którzy od początku odnosili się do niej tak, jakby znali ją – i kochali – od urodzenia.

Na wieczerzy u Lindów była jeszcze jedna osoba spoza rodziny. Travis od lat przyjaźnił się z Celią. Miał długie, kędzierzawe blond włosy jak Grady, ale w odróżnieniu od niego spinał je w koński ogon. Jade wzięła go za kuzyna Celi, bo tak swobodnie czuł się z jej rodziną; widać było, że obchodził w ich gronie wiele świąt. Jak wszyscy przy stole, nie licząc Charliego, który przyleciał z nią do Portland, Travis był nauczycielem. Pracował w tym samym college’u co Celia. Paul i Ginger uczyli w liceum, Shane i Ellen w podstawówce w Seattle. Wypyтали Jade o jej plany związane z tym zawodem i wyczuła ich aprobatę, kiedy wyznała, że chce prowadzić lekcje muzyki na poziomie gimnazjum albo szkoły średniej. Nie interesowali się jej przeszłością i po raz pierwszy czuła, że przeszłość nie ma nic wspólnego z jej obecnym życiem.

– Czy twój naszyjnik ma dla ciebie jakieś szczególne znaczenie, Jade? – spytała

Ginger. – Jest bardzo intrygujący.

Jade dotknęła zawieszzonego na szyi wisiorka. Założyła go po raz pierwszy, odkąd opuściła dom; to pokazywało, jak bezpiecznie się czuła z rodziną Celi.

– To prezent od przyjaciela – powiedziała. – Lubię go, bo jest z jadeitu, a moje imię „Jade” znaczy „jadeit”.

– Biały jadeit? – zdziwiła się Ellen. – Nigdy o takim nie słyszałam.

Jade skinęła głową.

– Chińczycy mówią, że to jadeit z baraniego łaju.

– Baraniego łaju, też coś! – Ginger zaśmiała się. Miała dziewczęcy śmiech, który z każdą chwilą podobał się Jade coraz bardziej.

– Co znaczy ten chiński znak? – spytał Shane.

– Ten z tej strony to „nadzieja” – powiedziała, dotykając wisiorka – a ten na odwrocie... – obróciła wisiorek – ...oznacza „szczęście”.

To dało początek rozmowie o rodzinnej biżuterii: Ellen opowiedziała o kameach swojej prababki, a Ginger o szmaragdowych kolczykach babci. Jade przysłuchiwała się, raz po raz dotykając wisiorka, i przez resztę posiłku myślała o tym, jak łatwo przyszło jej kłamstwo o znaczeniu tych symboli i jak bardzo chciałaby powiedzieć komuś prawdę.

Po kolacji wszyscy pomogli uprzątnąć ze stołu, nawet mężczyźni. Ojciec Jade nigdy nie rwał się do gotowania i sprzątania, była więc zaskoczona, kiedy Paul nałożył fartuszek na swój sweter i dżinsy.

– Im szybciej się z tym uwiniemy, tym prędzej zaczniemy grać – wyjaśnił.

Celia uprzedziła ją, że familia Lindów słynie ze zbiorowego muzykowania, ale dopiero kiedy skończyli zmywać i przenieśli się do salonu, Jade zrozumiała, co to tak naprawdę oznaczało. Nagle pojawiły się instrumenty. Charlie i Shane chwycili gitary, Paul i Travis banjo, a Celia mandolinę. Tylko Ellen i Ginger na niczym nie grały, za to Ginger śpiewała, a Ellen wybijała rytm na tamburynie. Jade za namową Celi przywiozła swoje skrzypce – nie kazała się długo prosić. Celia chciała, żeby zagrała *Taniec chochlików*, którym zachwyciła ją i Charliego tamtego dnia, kiedy się poznały, Jade jednak wiedziała, że to nie wchodzi w rachubę. Nigdy więcej. Dla nikogo. Podjęła wtedy zbyt duże ryzyko. Zresztą rodzina Celi grała muzykę popularną, nie klasyczną, głównie bluegrass, trochę country i starego rocka, i wieczór minął jak z bicza strzelił.

Po paru godzinach, kiedy starsze pokolenie i Ellen poszli spać, zaczęło się poważne muzykowanie. We czwórkę – Celia, Shane, Travis i Jade – brzmieli znakomicie. I od razu to poznali. Kiedy grali, Jade przechodziły ciarki; chemia między nimi była wprost magiczna. Jak na ironię to ona była najsłabszym ogniwem w tym gronie. Skrzypce w muzyce klasycznej a skrzypce w bluegrassie to zupełnie co innego. Travis



jednak dawał jej pożyteczne wskazówki i zaczęła na nowo zakochiwać się w instrumencie, który trzymała w rękach.

Ciekawa była, jak jej ojciec zareagowałby na wieść, że gra bluegrass... i że tak się zżyła z cudzą rodziną. Przypomniała sobie liścik od niego – *przyjaciel łatwo może stać się wrogiem* – i wpadła w złość.

Przyglądała się Celi, kiedy grali i śpiewali. Ona miałaby stać się jej wrogiem? Wykluczone. Wiedziała jednak, że nie może się przed nią w pełni odsłonić. Celia była szczęśliwym człowiekiem w szczęśliwej rodzinie. Powiedzieć jej prawdę byłoby tak jakby wrzucić garść ziemi do szklanki czystej wody. Nie mogła tego zrobić.

W niedzielę poszła z Celią do jej kościoła. Choć od dawna niepraktykująca, wiedziała, że to bardzo ważne dla Celi, która zapewniła ją, że kościół ten jest „otwarty dla wszystkich”. To znaczy, że geje i lesbijki są w nim mile widziani, wyjaśniła, ale Jade i tak była oszołomiona, kiedy Celia przez całe nabożeństwo trzymała ją za rękę.

– I jak? – spytała Celia, kiedy wsiadły do samochodu i ruszyły w drogę powrotną. – Podobało się?

– Zupełnie inaczej niż w kościele katolickim, do którego chodziłam w dzieciństwie, to na pewno – powiedziała Jade.

Celia zerknęła na nią.

– Wierzysz w Boga, Jade?

Nie było to coś, o czym często myślała.

– Nie jestem pewna – przyznała, zadowolona, że przy Celi nie musi ukrywać swoich przekonań. – Wierzę, że coś puściło wszystko w ruch, i chyba na tym moja wiara w Boga się kończy. Szczerze mówiąc, nie lubię religii. Mam wrażenie, że zrobiła z idei Boga narzędzie do zdobycia władzy nad ludźmi.

Celia uśmiechnęła się, wpatrzona w drogę przed nimi.

– Tak, wiem – powiedziała. – Dla mnie kościół to przede wszystkim ludzie. To, jak troszczą się o siebie nawzajem, rozumiesz, co mam na myśli? – Znów zerknęła na Jade. – Kocham mój kościół. Gdyby którakolwiek z osób, które tam dzisiaj widziałas, miała jakieś kłopoty czy przeżywała kryzys, wszyscy pozostali by jej pomogli.

Nie taki kościół Jade pamiętała z dzieciństwa. Kiedy jej rodzina przechodziła kryzys – przez nią – nikt nie podał im ręki. Przeciwnie, wszyscy ich odtrącili.

Tej nocy, kiedy Celia zasnęła, Jade wyszła na balkon, otulona kołdrą, i wyjrzała na miasto. Powietrze było chłodne i zamglone. W dole widziała światła Portland. Wszystko wyglądało tak pięknie. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Celia była najlepszym człowiekiem, jakiego w życiu poznała. Najcieplejszą, najserdeczniejszą, najmądrzejszą – i najbardziej seksowną – osobą na świecie. I do tego w niej

zakochaną.

Tyle tylko, że Celia jej nie znała. Nie wiedziała, że Jade jest kłamczuchą i oszustką. Czy kochałaby ją nadal, gdyby poznała prawdę? Tego Jade nie mogła być pewna.

34.

## Riley

Nazajutrz rano, gdy tylko przyjechała Christine, wymknęłam się z domu, żeby pobiegać. Tak to sobie wykalkulowałam. Każda minuta z dala od niej była dobrą minutą. Ledwie jednak zesłam po schodach z ganku, pod mój dom zajechał stary ford Kyle'ów.

*O nie*, pomyślałam. Chciałam mieć godzinę spokoju. Czy żądałam zbyt wiele?

Szyba od strony pasażera opuściła się i zobaczyłam, że za kierownicą siedzi Verniece, nie Tom.

– Riley, złociutka! – zawołała ze słodkim, promiennym uśmiechem. – Możemy chwilkę porozmawiać?

Stojąc z rękami na biodrach, spojrzałam przez ramię na dom, świadoma, że zaraz przyjedzie Jeannie i nie ucieszy się na widok Verniece. Przeszłam przez trawnik, otworzyłam drzwi samochodu i wsiadłam. Po tym, jak poprzedniego dnia usłyszałam jej kłótnię z Tomem, Verniece nie budziła już we mnie serdecznych uczuć.

– Tu nie możemy rozmawiać – zastrzegłam. – Za dużo się dzieje.

– Och, to nic. – Jej głos drżał tak jak tego pierwszego ranka, kiedy powiedziała mi, że moja tak zwana adopcja zmotywowała ich do adoptowania syna. Wrzuciła bieg i lekko wcisnęła pedał gazu. – Może znajdziemy jakieś miejsce w cieniu nad rzeką? Za gorąco, żeby siedzieć w samochodzie.

– Dobrze – zgodziłam się. – Co jest grane?

Puściła moje pytanie mimo uszu, jakby skupiona na prowadzeniu samochodu, a ja nie naciskałam. I tak wkrótce wszystkiego się dowiem.

Zatrzymała wóz na parkingu koło Union Point Park i usiadłyśmy na ławce w cieniu drzew. Spojrzałam na rzekę. W oddali dwaj kajakarze powoli odpływali od brzegu.

– Naprawdę trudno mi o tym mówić – zaczęła Verniece. – Potwornie trudno. Czasem czuję się, jakbym chodziła na pasku Toma. – Wzruszyła ramionami. – Wstyd to przyznać, ale tak jest.

*Wyduśże to z siebie*, pomyślałam. Denerwowało mnie, że już nie mogę jej ufać.

Od przyjazdu do New Bern uważałam Verniece za jedyną osobę, na której mogłam polegać, jedyną, która troszczyła się o moje dobro. Myliłam się. O moje dobro nie dbał nikt w tym mieście.

Czekała, aż odpowiem, ale milczałam, więc niepewnie brnęła dalej.

– Najpierw musisz obiecać, że nie powtórzysz nic bratu – zażądała.

– Tego obiecać nie mogę – odparłam.

– Proszę, Riley. Są pewne informacje, które powinnaś poznać, ale jeśli podzielisz się nimi z Dannym, a on z... kimkolwiek innym, moje życie legnie w gruzach. Moje i Toma. Nie powiedziałam ci tego wcześniej, ale jestem ciężko chora. – Spojrzała na mnie i położyła sobie dłoń na piersi. – Niedługo mają mi zrobić operację na otwartym sercu, a cała ta sprawa odbija się na moim zdrowiu. – Kiedy nie odpowiedziałam, ciągnęła: – Ani chybi dziwisz się, jak wytrzymuję z takim starym zrzędą jak Tom. Komuś takiemu jak ty na pewno trudno to zrozumieć. Jesteś młoda, zdrowa, wykształcona, nie to, co ja. Dlatego znoszę wszystko, co muszę znieść, żeby żyć.

Kiwnęłam głową wbrew mojemu postanowieniu, by zachowywać wobec Verniece chłodny dystans. Doskonale ją rozumiałam. Wiele kobiet w jej wieku jechało na tym samym wózku.

– W porządku – powiedziałam. – Mów, czego chcesz.

– Dobrze. – Wzięła głęboki, świszczący wdech; może rzeczywiście miała chore serce. – Wiem, że to okropnie zabrzmi... bo to jest okropne – zaczęła – ale Tom jest zdesperowany. Cóż, właściwie oboje jesteśmy. – Zaśmiała się nerwowo. – Chodzi o to, że Tom wie więcej o... zniknięciu twojej siostry, niż wczoraj twierdził. Nie zdradził mi wszystkiego – dodała pospiesznie – ale wiem, że nie powiedział prawdy tobie i twojemu bratu.

– O jej zniknięciu? – upewniłam się. – Wie na pewno, że się nie zabiła?

Verniece skinęła głową, a serce zamarło mi w piersi.

– Tak – potwierdziła. – I kazał, żebym ci przekazała... – kącik jej ust drgnął – ...że dowiesz się, gdzie ona jest, jeśli przepiesz na niego kemping. – Patrzyła w stronę rzeki, nie na mnie, więc nie zobaczyła szoku wypisanego na mojej twarzy.

– Wykluczone! – zawołałam. – Przecież to wymuszenie!

– Oj nie, nic z tych rzeczy! – zaprotestowała. – Zdaję sobie sprawę, że stawiam cię w okropnym położeniu, i strasznie mi wstyd, ale pamiętaj, taka była wola twojego taty i... – Zawiesiła głos. Zaczęła załamywać ręce na podołku. – To wszystko pomysł Toma. Nie znałam go od tej strony. – Złapała mnie za rękę. – Proszę, nie mów nic Danny'emu! – błagała. – Zasługujesz na to, żeby wiedzieć, co się stało z twoją siostrą, ale na pewno nie chcesz mieszać w to policji, a twój brat... po prostu nie wiemy, co by zrobił, gdyby...

– Ona żyje? – Wyrwałam rękę z jej uścisku.

– Żyła, kiedy widział ją ostatnim razem.

– Widział ją? – Położyłam dłoń na piersi i czułam pod dłonią łomotanie mojego serca. – Na własne oczy?

– Mówił, że był w tę sprawę zamieszany, ale nie wiem, co przez to rozumie. To jakiś obłąd. Ale on dużo wie, Riley. Wie, gdzie ona mniej więcej jest.

Przeprowadziłam obliczenia w pamięci. Dwadzieścia akrów, dziesięć tysięcy dolarów za akr. Czy odnalezienie mojej siostry warte było dwieście tysięcy dolarów? Danny'emu nie zależało na należnej mu połowie tej kwoty, poza tym mieliśmy jeszcze pieniądze po tacie i to, co dostaniemy za dom. Wiedziałam, że Verniece próbuje mnie podejść metodą dobrego i złego policjanta; że tylko udaje niewinną ofiarę męża. Mój rozum doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale sercu było to obojętne.

– Zgoda – powiedziałam.

– O Boże kochany! – Verniece klepnęła się dłońmi w uda. – Naprawdę? Och, dziękuję, dziękuję, Riley! Dzięki tobie z nadzieją patrzę w przyszłość!

– Przyjadę po południu, Tom powie mi, jak znaleźć Lisę, a potem każę adwokatce ojca przygotować dokumenty niezbędne, żeby przekazać wam kemping.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Powiedział, że masz to zrobić najpierw. To znaczy załatwić dokumenty.

*Niech wam będzie*, pomyślałam.

– Zgoda.

– I nie powiesz nic Danny'emu?

Pokręciłam głową.

– Nie – odparłam. Przynajmniej nie od razu, choć liczyłam, że pewnego dnia stanie się to możliwe. – Tyle że nie wiem, jak szybko Suzanne... adwokatka mojego ojca... załatwi wszystkie formalności.

– Cóż, Tom chce, żeby to było jak najszybciej. Zanim straci odwagę.

*Co za bezczelność*, prychnęłam w myślach. Wyjęłam telefon z kieszeni i Verniece wpadła w popłoch.

– Co ty robisz? Chyba tego nie nagrywałaś?

– Spokojnie – powiedziałam. Swoją drogą, żałowałam, że nie przyszło mi to do głowy. – Chcę cię wpisać na listę kontaktów. Zadzwoń, kiedy papiery będą gotowe.

– Aha. – Podyktowała mi swój numer. – Nie pożalujesz, Riley – zapewniła. – Myślę, że Tom dużo wie i naprawdę może ci pomóc. – Wstała. – Chodź, odwiozę cię do domu.

Potrząsnęłam głową, nie podnosząc się z ławki.

– Przebiegnę się.

Z zaniepokojoną miną wyciągnęła rękę do mojego ramienia, ostrożnie, jakby

niepewna, czy sobie tego życzę. Szybko cofnęła dłoń, może wyczuwając, że zmieniałam się w zimny głaz.

– Będziemy czekać na telefon – powiedziała.

Odprowadziłam ją wzrokiem, po czym wstałam i pobiegłam w stronę nadbrzeża. Naprawdę się na to zdobędę? Przecież to szalone. I ryzykowne. Muszę szukać Lisy ostrożnie, w tajemnicy przed Dannym. W tajemnicy przed policją. Żeby ją chronić. Nie wybaczyłabym sobie, gdybym swoimi poszukiwaniami jej zaszkodziła. Jeśli w ogóle Lisie na mnie zależało, jeśli kiedykolwiek kochała swoją młodszą siostrę, ta miłość wówczas ulotniłaby się bez śladu. Zrujnowałabym jej życie. Zniszczyłabym ją.

Przed zaledwie dwoma tygodniami byłam dumną posiadaczką sześciu tysięcy dolarów. Choćbym teraz musiała wydać do ostatniego centa wszystkie pieniądze po ojcu, znajdę Lisę. Byłam przekonana, że tego chciałby tata. Moje oczy zaszyły łzami i nie przerywając biegu, otarłam je grzbietem dłoni, zaraz jednak na ich miejsce napłynęły nowe. Jakże rodzice musieli się zadręczać samobójstwem Lisy! Byłam pewna, że tata oddałby wszystko, co miał, żeby poznać prawdę. Zrobię to w równym stopniu dla niego, co dla siebie.

LUTY 1996

35.

## *San Diego, Jade*

*Drogi Fredzie,*

*życie układa mi się dobrze, mam kogoś, kto mnie kocha, zajęć mi nie brakuje, w moim sercu jednak zije wielka wyrwa, która bez Twojej pomocy się nie zasklepi. Muszę wiedzieć, co u Was słyhać. W SZCZEGÓŁACH. Nocami nie śpię, tylko zamartwiam się, czy u Was wszystko w porządku. Proszę. Jeśli choć trochę mnie jeszcze kochasz, zrób to dla mnie.*

*Ściskam, Ann*

MARZEC 1996

*Droga Ann,*

*cieszę się, że dobrze Ci się wiedzie. Nie zapomnieliśmy o Tobie i nigdy nie zapomnimy. Mam nadzieję, że to wiesz.*

*Prosisz o szczegóły, więc zrobię, co w mojej mocy, ale tylko ten jeden jedyny raz, i zaraz po przeczytaniu musisz ten list zniszczyć. Znając Cię, wiem, że chcesz, żebym szczerze opisał sytuację w domu, więc tak uczynię. Przykro mi, jeśli to przysporzy Ci zmartwień.*

*Nasza rodzina jest na krawędzi rozpadu.*

*Twoja matka nie doszła do siebie po Twoim odejściu. Zamknęła się w sobie i bierze środki przeciwdepresyjne. Trochę pomagają, ale tęsknię za radosną kobietą, jaką była*

dawniej. Mieszkamy w ładnym zakątku Karoliny Północnej i znalazła tu kościół, który jej odpowiada, ale nie nawiązała z nikim przyjaźni. Sądzę, że boi się zostawić D i R bez opieki choćby na chwilę. Przypisuje sobie część winy za wszystko, co się stało, i nic, co powiem, tego nie zmieni.

D przysparza coraz więcej kłopotów. W sierpniu skończy trzynaście lat i szczerze mówiąc, myślimy z trwogą, co będzie, kiedy wejdzie w okres dojrzewania. Ciągłe się złości, na co, tego nie wiem. Jest trudnym, wiecznie naburmuszonym dzieckiem, wdaje się w bójkę w szkole i ciężko do niego trafić. Możliwe, że to po prostu hormony przedwcześnie dają o sobie znać. Zastanawiamy się, czy jak kiedyś nie uczyć go w domu – właściwie zastanawia się nad tym Twoja matka – ale nie sądzą, by miała na to dość siły. Nie wiem, czy to dobre rozwiązanie. Z dnia na dzień jest coraz bardziej podobny do Ciebie.

R wyrasta na piękną dziewczynkę. Jest słodka, grzeczna, dobrze się uczy, ale czasem trochę za bardzo się klei do Twojej matki i jak dla mnie jest zbyt wrażliwa. Próbuje trochę ją zahartować, bez większych efektów. Płacze z byle powodu i jest typem dziecka, które gdziekolwiek pójdzie, znajduje bezdomne pieski i kotki. D ją uwielbia i przy niej zmienia się nie do poznania. Są sobie bardzo bliscy; na pewno byłabyś zadowolona. R nie ma KRZTY talentu muzycznego. Nie wywieraliśmy presji ani na nią, ani na D. Oboje nie znosili lekcji fortepianu, więc nie ma sensu ich męczyć.

Jeśli pogoda dopisze, w urodziny R planuję zabrać ją i D na plażę, gdzie będziemy puszczać własnej roboty latawce. (Pamiętasz latawiec, który Ty i ja zrobiliśmy razem?). Nie wiem, czy zdołam namówić Twoją matkę, żeby pojechała z nami. W każdym razie w drodze powrotnej zjemy kolację w restauracji. Tak, staram się podtrzymywać przynajmniej niektóre stare zwyczaje. R uwielbia lokal o nazwie Sanitary Fish Market<sup>2</sup> (co za nazwa dla restauracji!), bo wszyscy goście jedzą razem przy długich stołach i to wprawia ją w zachwyty. Wręcz spodziewam się, że kiedyś odśpiewa tam hymn pochwalny. To szczęście w nieszczęściu, że R nie pamięta, jaka nasza rodzina była dawniej. Obecny stan rzeczy to dla niej norma – wiecznie smutna matka, zamyślony, zafrasowany ojciec, zagubiony i gniewny brat.

Co do mnie, na pewno się domyśliłaś, że nie pracuję już w dawnym zawodzie. Skupiam się na moich zbiorach i prowadzę mały interes na boku, taki, który daje mi możliwość pracy na świeżym powietrzu.

I to tyle, Ann, jeśli chodzi o rodzinę M. Uwierz mi, bardzo chciałbym dowiedzieć się wszystkiego o Twoim życiu, ale będę musiał się bez tego obyć. Nie możemy tak do siebie pisać. Pewni ludzie pozostają podejrzliwi.

Przypominam: zniszcz ten list. Koniecznie. Nalegam.

Całuję, Fred

<sup>2</sup> Higieniczny Targ Rybny.





## Riley

– O cóż więc chodzi, Riley? – spytała Suzanne zza biurka. – Przez telefon wydawałaś się zdenerwowana.

Ulżyło mi na wieść, że jeden z jej klientów odwołał spotkanie i mogła mnie przyjąć jeszcze tego popołudnia. Powiedziałam sobie, że to znak, że podjęłam słuszną decyzję, i musiałam ją zrealizować, zanim zabraknie mi odwagi.

– Serio? – spytałam niewinnie. – Chwilę przedtem wróciłam z przebieżki, więc pewnie byłam zdyszana. Wszystko w porządku, ale potrzebuję twojej pomocy. – Mocno spłotłam dłonie na podołku. – Dowiedziałam się, że mój ojciec zamierzał zmienić testament i zapisać kemping Kyle’om, więc potrzebuję rady, jak to załatwić.

Pomału przekrzywiła głowę, jakby niepewna, czy dobrze rozumiała.

– Cóż – powiedziała powoli – jego testamentu już się nie da zmienić.

– Och, wiem – odparłam. – Ale chcę... to znaczy, chcemy z Dannym... wypełnić wolę taty i jakoś przekazać kemping Kyle’om. Co w związku z tym muszę zrobić?

Słuchała mnie ze zmarszczonym czołem. Pewnie uznała, że jestem najhojniejszym człowiekiem na świecie.

– Cóż – zaczęła – przede wszystkim radzę, żebyś to przemyślała, Riley. To cenny teren. Jeannie może w przybliżeniu ustalić jego wartość i...

– Już to zrobiła. Szacuje, że moglibyśmy dostać za niego około dwustu tysięcy dolarów. Ale nie możemy go przyjąć, skoro tata chciał go oddać komuś innemu.

Odchyliła się na oparcie krzesła i założyła okulary do czytania, choć nie widziałam, żeby leżały przed nią jakieś papiery.

– Jak się o tym dowiedziałaś? – spytała.

Byłam zadowolona, że ze swojego miejsca nie mogła widzieć, jak załamuję ręce spoczywające na kolanach.

– Jeannie o tym wspomniała – skłamałam. – I Verniece Kyle. A potem, opróżniając biurko taty, znalazłam listę spraw do załatwienia, na którą wpisał między innymi, że musi porozmawiać z tobą o zmianie testamentu, i w nawiasie dodał: „kemping dla

Kyle'ów", co potwierdza, że obie mówiły prawdę.

Nigdy nie umiałam kłamać. Zupełnie. Suzanne poruszyła się na swoim krześle, patrząc na mnie zmrużonymi oczami.

– Czy podejmujesz tę decyzję pod przymusem? – spytała.

– Nie, skąd – zapewniłam. – Zdecydowaliśmy wspólnie, ja i Danny. Po prostu uważamy, że postąpilibyśmy nie fair, zatrzymując tę ziemię.

– To niezwykle szlachetnie z waszej strony, Riley, ale wolałabym, żebyś skonsultowała się z doradcą finansowym przed podjęciem tak ważnej decyzji. Jesteś świadoma, jakie będą tego konsekwencje podatkowe?

Konsekwencje podatkowe? To trochę ostudziło mój zapał, ale nie chciałam dać jej poznać, że tego nie przemyślałam.

– Tak. – Skinęłam głową.

– Wiesz, że trzeba złożyć w urzędzie skarbowym formularz darowizny? – upewniła się, jakby mi nie dowierzała. – Darowizny są zwolnione z podatku, dopóki ich suma nie przekroczy dożywotniego limitu, ale masz dopiero dwadzieścia pięć lat i nigdy nie wiadomo, czy kiedyś...

– Dużo o tym myślałam, Suzanne – przerwałam jej. – Chcemy to zrobić, naprawdę, i to jak najszybciej. Zależy mi na tym, żeby wreszcie zamknąć wszystkie sprawy związane z majątkiem i wrócić do Durham i mojego życia.

– I to właśnie mnie niepokoi – powiedziała. – Że spieszno ci wrócić do normalnego życia i przez to podejmujesz pochopne decyzje.

Wychyliłam się do przodu. Musiałam mieć to już za sobą.

– Jak to załatwimy? – spytałam. – Trzeba sporządzić umowę?

Wyczuła moje zniecierpliwienie i lekko skinęła głową na znak kapitulacji.

– To akt darowizny – wyjaśniła. – Sprawa jest w gruncie rzeczy prosta. Jako darczyńca przepisujesz swoją własność na rzecz Kyle'ów. Oni jako obdarowani podpisują się pod tym na znak, że przyjmują dar bez zastrzeżeń. Mogą sprawdzić tytuł własności, co osobiście zalecam, ale jeśli zechcą, mogą się tego prawa zrzec. Wtedy ja, a właściwie moja sekretarka składa akt w sądzie i to wszystko. Proste, prawda?

– Doskonale – powiedziałam. – Kiedy możemy się tym zająć?

– Przygotuję formularz dziś, a jutro po południu możecie przyjść go podpisać.

*Możecie.*

– Danny też ma przy tym być? – spytałam. Zarządzałam jego majątkiem. Liczyłam, że nie będzie się musiał pod niczym podpisywać.

– Nie – powiedziała. – Jeśli załatwimy sprawę jutro, jedyny kłopot polega na tym, że akt trafi do sądu nie wcześniej niż w poniedziałek, więc dopiero wtedy się uprawomocni.

– To nic.

– Zwykle... – przyjrzała mi się znad okularów do czytania – ...w akcie darowizny zamieszcza się sformułowanie, że przekazanie własności następuje w uznaniu serdecznych stosunków między darczyńcą i obdarowanym.

Na te słowa ścisnęło mnie w żołądku.

– Możesz to pominąć – uznałam.

Obdarzyła mnie zaniepokojonym uśmiechem.

– Dobrze – powiedziała. Czułam, że ani przez chwilę nie wierzyła, że nie podejmuję tej decyzji pod przymusem.

MARZEC 1996

37.

## *Morehead City, Karolina Północna, Jade*

Siedząc w wynajętym samochodzie przed restauracją Sanitary Fish Market, zdjęła wielkie, ciemne okulary kupione specjalnie na ten wyjazd. Obawiała się, że cały jej trud i poniesione koszty pójdą na marne. Że szuka wiatru w polu. Przesiedziała tu już prawie trzy godziny, zapadał zmierzch i wkrótce jeszcze trudniej będzie dostrzec ludzi wchodzących do budynku.

Wrzuciła bieg i podjechała bliżej wejścia, żeby lepiej widzieć w gasnącym świetle dnia. Wcześniej była piękna pogoda i restauracja zapełniła się rodzinami spędzającymi tu ferie wiosenne. Na to liczyła. Z łatwością wmiesza się w tłum, zanosilo się jednak na to, że tylko zmarnowała tu czas.

Grady chciał, żeby w tym tygodniu pracowała, ale powiedziała mu, że wyjeżdża do Portland, do Celi. Prawda była taka, że Celia miała ferie kiedy indziej niż ona. Że nawet ona nie wiedziała, gdzie Jade teraz jest. Nie wiedział tego nikt i na tę myśl ścisnęło ją w gardle. *Nieważne, ilu ludziom na tobie zależy*, powiedziała sobie w duchu. *Jeśli nie możesz odsłonić przed nimi swojego prawdziwego oblicza, jesteś sama jak palec.*

Następnej nocy po przylocie do Raleigh próbowała przespać się w samochodzie, ale było za zimno i nie mogła uciszyć swoich myśli. Wyobrażała sobie jazdę tutaj, do Morehead City, małego miasta w Karolinie Północnej, gdzie znajdował się Sanitary Fish Market, restauracja, o której tata nieopatrznie wspomniał w swoim liście. Martwiła się, że zabłądzi albo że coś innego pokrzyżuje jej plany. Na przykład Riley obudzi się z katarem. Albo pogoda zatrzyma ich w domu. Kiedy o poranku wreszcie ruszyła w drogę, była zupełnie wykończona.

Dopiero na peryferiach Morehead City założyła wielkie, ciemne okulary i czarną, halloweenową perukę, którą kupiła w obawie, że ufarbowane włosy to niedostateczny kamuflaż. Potem odszukała restaurację, zaparkowała i czekała. Teraz wyglądało na to, że cała wyprawa poszła na marne.

I wtedy, w blasku świateł restauracji, zobaczyła mężczyznę, kobietę i jasnowłosego chłopca idących chodnikiem w stronę wejścia. Przed nimi biegła dziewczynka i Jade wychyliła się do przodu z wstrzymanym tchem. Przez cały ten czas wypatrywała małego dziecka, choć przecież doskonale wiedziała, że Riley ma już dziewięć lat.

– O mój Boże – wyszeptała. Jej oddech osnuł szybę samochodu mgłą. Szybko wytarła ją palcami, żeby nic nie zasłaniało widoku.

Mama krótko obcięła swoje ciemne włosy i nosiła je założone za uszy. Szła obok taty, ale nie trzymali się za ręce jak dawniej; był między nimi co najmniej kilkunastocentymetrowy odstęp. *Przeze mnie*, pomyślała Jade. Tata może nie zarzucił jej tego wprost w liście, ale wyczytywała jego wyrzuty między wszystkimi wierszami opisującymi rozpad jej rodziny.

W świetle wylewającym się z restauracji ojciec Jade wyglądał, jakby zupełnie posiwiiał. Na twarzy jednak miał uśmiech, kiedy krzyknął coś, na co Riley odwróciła się i do niego pomachała.

Danny i Riley... zmienili się nie do poznania. Danny był wysoki i tyczkowaty, włosy miał zupełnie białe, takie same, jakie miałyby Jade, gdyby ich nie farbowała. Szedł lekko przygarbiony, jakby za szybko urósł i nie zdążył przywyknąć do swojej nowej sylwetki.

No i Riley. O mój Boże, Riley! Jade żałowała, że nie jest jaśniej i nie może jej wyraźniej widzieć, ale poznała, że mała dwulatka zniknęła i jej miejsce zajęło smukłe, ładne dziecko o ciemnych, falujących włosach. Riley pobiegła z powrotem do rodziców, złapała ojca za rękę i kołysząc nią, co kilka kroków podskakiwała wesoło. Jade przełknęła ślinę. Słusznie postąpiła przed laty. Słusznie.

Zaczekała, aż wejdą do restauracji, po czym dała im jeszcze kilka minut na to, żeby zajęli miejsca. Wreszcie założyła ciemne okulary, poprawiła perukę, odetchnęła głęboko i wysiadła.

W restauracji stały rzędy długich, niby-piknikowych stołów. Na szczęście było tłoczno. Jade ulokowała się mniej więcej cztery stoły od swojej rodziny, w miejscu, z którego wyraźnie widziała Riley i tatę, ale mama i Danny odwróceny byli do niej plecami. Siedziała naprzeciwko starszych państwa, którzy, ku jej zadowoleniu, wyraźnie nie mieli ochoty z nią rozmawiać. Przez ciemne szkła ledwo widziała kartę dań i bała się, że rzuca się w oczy. Chyba tylko ona przyszła do restauracji sama, a już na pewno jako jedyna miała tanią perukę i okulary przeciwsłoneczne, mimo to jednak nikt nie zwracał na nią uwagi.

Zamówiła faszzerowaną flądę, ale nie była w stanie jeść. Mogła tylko patrzeć. Riley

tak bardzo się zmieniała. Uśmiechała się szeroko do kelnerki i zamawiała z własnej karty dań jak dorośli. Zupełnie zapomniała tamten krwawy dzień sprzed sześciu i pół roku, Jade była tego pewna. Na to właśnie liczyła – wymazanie wszystkiego, co złe, z pamięci Riley. Cztery stoły od siebie widziała rodzinę, która ułożyła sobie życie bez niej. Owszem, Lisa wciąż w jakimś sensie wśród nich była – w skrzętnym ukrywaniu prawdy przez jej ojca. W bólu toczącym serce matki. W buncie Danny’ego i może na starych, rodzinnych zdjęciach, na które Riley być może pewnego dnia się natknie. Została jednak odsunięta, żeby zrobić miejsce dla ich przyszłości. Tego właśnie chciała, ale kiedy zobaczyła to na własne oczy, zawładnął ją przejmujący ból.

Gdy pod ciemnymi okularami popłynęły łzy, położyła banknot dwudziestodolarowy obok talerza i wstała, nie bacząc na zaskoczone miny starszych państwa naprzeciwko. Pospiesznie wyszła z restauracji i w zapadającym zmierzchu wróciła do wynajętego samochodu. Siedząc w środku, pozwoliła sobie na głośny płacz. W pewnym sensie ulgą było dać ujście tak długo wstrzymywanym łzom. Gdy wreszcie się opanowała, wytarła wilgotną twarz chusteczką i odpaliła silnik. Wyjechała z Morehead City, na dobre pozostawiając przeszłość za sobą.

## Riley

Późnym piątkowym popołudniem, gdy tylko podpisałam w gabinecie Suzanne akt darowizny, pojechałam na kemping. Tom i Verniece złożyli podpisy pod prostym formularzem wcześniej – ja specjalnie zaczekałam z tym, aż wyjdą z kancelarii, bo nie chciałam mieć z nimi do czynienia więcej niż to absolutnie konieczne. Wzięłam od Suzanne kopię dokumentu z podpisami nas wszystkich, żeby pokazać ją Kyle’om, w razie gdyby nie uwierzyli mi na słowo.

Czekali w kamperze. Usiedliśmy przy wbudowanym stole, oni we dwójkę po jednej stronie, ja po drugiej.

– Oto kopia podpisanego dokumentu. – Położyłam ją między nami. – Wszystko załatwione, Suzanne zarejestruje go w poniedziałek. A teraz mów, gdzie jest moja siostra – zwróciłam się do Toma takim tonem, jakbym to ja rządziła w tej małej, dusznej klitce, choć tak nie było. Moje ciało też to chyba wiedziało, bo słyszałam, że głos mi drży.

Tom i Verniece spojrzeli chciwie na formularz, Verniece pokręciła głową.

– Poczekamy, aż się uprawomocni – powiedziała ostrym tonem, tym samym, który słyszałam z jej ust tego dnia, kiedy zostawiłam telefon w ich kamperze. Zreflektowała się, jakby przypominając sobie, że przy mnie ma grać rolę uroczej, przemiłej babuni.

– To znaczy... chyba tak byłoby najrozsądniej, prawda?

– Dobrze gada – Tom zwrócił się do mnie. – Tak to załatwimy. Adwokatka da nam znać, że dokument jest prawomocny, a ty przyjedziesz tu znowu i wszystko ci powiemy.

– Nie. – Splotłam dłonie na stole. – Powiecie mi teraz. Nie będę czekać przez cały weekend. Oddaję wam dużą część moich aktywów. – Te słowa same wyszły mi z ust. Nie byłam nawet pewna, co to właściwie są „aktywa”, ale łudziłam się, że zabrzmiało to tak, jakbym wszystko dogłębnie przemyślała i wiedziała, co robię.

– Nie zdajesz sobie sprawy, ile ja mam do stracenia – warknął Tom. – Narażam własną skórę. I z góry uprzedzam – wszystkiego się wyprę, jeśli piśniesz choćby



słowo policji. Albo bratu.

– Cicho, Tom. – Verniece położyła dłoń na jego ramieniu. – Załatwmy to kulturalnie. Myślę, że możesz jej śmiało wszystko powiedzieć. To jej się należy. Jest godna zaufania. – Wyciągnęła rękę nad stołem i ścisnęła moje splecione dłonie. – Prawda, złociutka?

Nie odpowiedziałam. Wpiłam się w Toma palącym spojrzeniem i wychwyciłam moment, kiedy postanowił ustąpić.

Wstał. Podszedł do lodówki i wyjął piwo.

– Byłem dłużnikiem twojego ojca – zaczął, zdejmując otwieraczem kapsel. Odwrócił się twarzą do nas i oparty plecami o blat, podniósł butelkę do ust. – Verniece wszystko wie, więc o to się nie martw – ciągnął. – Wdałem się w romans z więźniarką, którą eskortowałem, kiedy byłem szeryfem federalnym. Głupota. Frank, wtedy mój szef, dowiedział się o tym. Powinien był mnie wylać, ale zamiast tego mnie krył. Dał mi drugą szansę. – Spuścił oczy na swoje piwo. – Ale koniec końców spłaciłem ten dług z dziesięciokrotną nawiązką.

– Jak to? – spytałam.

– Twoja siostra się nie zabiła, ale nie ona obmyśliła cały ten podstęp.

Mimo duchoty w kamperze przeszedł mnie zimny dreszcz.

– Nie ona, czyli... ty?

– Nie, kochana – wtrąciła się Verniece. – Twój tatuś.

Nagle zrobiło mi się niedobrze i odchyliłam się od stołu, kładąc dłonie na kolanach. W co oni sobie ze mną, do licha, pogrywali? Czy zamierzali w zamian za kemping karmić mnie kłamstwami?

– Nie wierzę – szepnęłam.

– Słuchaj no – burknął Tom. – Obiecałem powiedzieć ci, co wiem. Nie obiecywałem, że to dla ciebie upiększę.

Starałam się nie okazywać szoku. Tata? Niemożliwe. Był najuczciwszym człowiekiem, jakiego znałam, i rozpaczął po Lisie. Czułam tę jego rozpacz przez całe życie.

Pomyślałam jednak o śladach drugiej osoby na śniegu koło porzuconego samochodu mojej siostry.

– Co to właściwie znaczy? – spytałam. – Że mój ojciec pomógł jej... co zrobić? Upozorować samobójstwo?

– Otóż to – potwierdził Tom. – Spuścili kajak na wodę, ona wsiadła do jego samochodu, on zawiózł ją na parking w połowie drogi do Filadelfii. Tam zaczynała się moja rola. – Odstawił butelkę na blat. Założył ramiona na piersi. – Twoja siostra przesiadła się do mojego auta i zabrałem ją do Filadelfii.

Poczułam, że krew odpływa mi z twarzy. Nie mogłam oddychać. Miałam wrażenie, że w kamperze nie ma powietrza, jak przez mgłę widziałam Toma i Verniece. Mocno

splotłam dłonie pod stołem.

– Dobrze się czujesz, Riley? – spytała Verniece. Zignorowałam ją, wpatrzona w Toma.

– A moja matka? – Gardło miałam tak ściśnięte, że słowa były ledwo słyszalne. – Wiedziała, że Lisa się nie zabiła?

Tom pokręcił głową.

– Ani ona, ani nikt inny.

– To niemożliwe. Mój ojciec nigdy by...

– Twój ojciec nigdy by co? – Zaśmiał się drwiąco. – Nie ocaliłby pierwородnej od dożywocia? Osobiście nie sądzę, że na ocalenie zasłużyła, ale on widocznie uważał inaczej.

Łzy napłynęły mi do oczu. Nie chciałam płakać przy tych ludziach. Musiałam być silna, ale serce mi krwawiło na myśl o tacie robiącym wszystko, co w jego mocy – łamiącym prawo, na litość boską – żeby ocalić moją siostrę.

– Nie chciałem w tym uczestniczyć. – Tom podniósł butelkę do ust. – Twoja siostra musiała być socjopatką, sądząc po tych bujdach, które wciskała policji... że to niby był wypadek i tak dalej. Nie obchodziła mnie ani trochę. Zrobiłem, co zrobiłem, bo miałem dług wobec twojego ojca i wolałem mu się nie narażać.

Otarłam łzę z policzka.

– Dlaczego do Filadelfii? – zapytałam. – Dlaczego zabrałeś ją właśnie tam?

– Zawiózł ją na dworzec kolejowy – dodała Verniece.

– Dokąd miała stamtąd pojechać?

– Skąd mam wiedzieć? – prychnął. – Nie wnikałem.

– Czyli nie masz pojęcia, gdzie jest? – podniosłam głos.

– Powiedz jej o nowym nazwisku i całej reszcie – wtrąciła pospiesznie Verniece. Chciała mnie uspokoić, ale gdyby się okazało, że jej mąż nie zna miejsca pobytu mojej siostry, wściekłabym się nie na żarty. Umowa była jasna: kemping w zamian za informację, gdzie jest Lisa.

– Załatwiłem jej nowe dokumenty – powiedział Tom – tak jak świadkowi koronnemu.

– Nowe nazwisko i tak dalej – dorzuciła Verniece.

– Jakie to nazwisko? – spytałam.

– Ann Johnson. Chronionym świadkom zwykle nadawaliśmy takie nazwiska, żeby inicjały pozostały bez zmian. Tak było łatwiej. Ale twój ojciec zażyczył sobie nazwiska, które nie zapada w pamięć.

*Moja siostra ma nazwisko.* Słowa, które mogłam wypowiedzieć na głos. Słowa, których mogłam poszukać w Google. Ale Ann Johnson?

– Muszą być tysiące kobiet o tym nazwisku – zauważyłam.

– I o to chodziło.

– Mówiłeś o dokumentach. W liczbie mnogiej – dodałam. – Co jeszcze załatwiłeś?

– Prawo jazdy z adresem w Maryland. I numer ubezpieczenia społecznego.

– Wiesz jaki? – spytałam.

– Kurde, własny ledwo pamiętam – powiedział z gorzkim śmiechem. – Nie mam pojęcia. – Wziął następny łyk piwa. – A zatem – odstawił butelkę z powrotem na blat – powiedziałem ci wszystko, co wiem. Znasz jej nazwisko i wiesz, że wsiadła do pociągu w...

– Obiecaliście powiedzieć, gdzie mogę ją znaleźć! – Wpadłam w popłoch. Przecież tak brzmiała obietnica Verniece, prawda?

– Nic takiego nie obiecywałem – stwierdził Tom.

Patrzyłam na Verniece, a ona lekko się zgarbiła pod ciężarem mojego spojrzenia.

– Nie twierdziłam, że zna jej dokładny adres, Riley – bąknęła. – Ale wiesz teraz o wiele więcej niż jeszcze kilka minut...

– Mogę cię zapewnić, że dwadzieścia trzy lata temu była cała i zdrowa – przerwał żonie Tom – i przedstawić okoliczności, w jakich zniknęła. Tylko tyle obiecałem. I słono za to zapłaciłem. W '93 oblałem badanie na wykrywaczu kłamstw, bo kryjąc twojego ojca i siostrę, stwierdziłem, że nigdy nie wykorzystalem służbowych uprawnień do pozasłużbowych celów. Powinienem był machnąć na nich ręką, niechby ich w cholerę powiesili.

– Oj tam – powiedziała Verniece – i tak oblałbyś to badanie, bo kłamałeś w sprawie tej zdziury, z którą miałeś...

– Zamknij się, babo! – huknął Tom. – Nie wiesz, o czym mówisz.

Verniece zasznurowała usta, choć miałam wrażenie, że chętnie by mu wygarnęła jak przed paroma dniami. Przez wzgląd na mnie musiała dalej odstawiać dobrotliwą, niewinną babunię.

– To dlatego mój ojciec przez lata płacił ci pięćset dolarów miesięcznie – zauważyłam. Nagle wszystko zaczęło się układać w logiczny ciąg.

– Niska cena za ocalenie córki od więzienia, nie sądzisz?

– Przede wszystkim sądzę, że tak naprawdę niewiele mi powiedziałaś – stwierdziłam gorzko. – Tylko tyle, że Lisa dwadzieścia trzy lata temu żyła pod nazwiskiem, po którym nie da się jej namierzyć, i że wsiadła do pociągu jadącego Bóg wie dokąd.

– Wiesz co, Riley? – rzucił. – Nie przyszło ci do głowy, że gdyby Lisa chciała, toby cię znalazła?

Trafił w czuły punkt. Zabolało. Wstałam, chwyciłam ze stołu kopię podpisanego formularza i przedarłam na pół.

– To tylko kopia! – zawołała Verniece.

– Oto co zrobię z naszą umową – odparłam, rwąc papier na strzępy. – Zadzwońię do Suzanne i powiem, że się rozmyśliłam i cofam darowiznę.

– Nie możesz! – Verniece podniosła na mnie oczy, wstrząśnięta. – Podpisaliśmy dokument! Oryginał!

– Mogę i tak zrobić – zapewniłam z nadzieją, że się nie mylę. – To koniec.

– Ty mała suko! – wrzasnął Tom. Postąpił krok w moją stronę, więc cofnęłam się odruchowo.

– Riley – jęknęła Verniece. – Grasz nieuczciwie! Wyznał ci wszystko, co wie. Chyba nie chcesz, żeby zmyślał tylko po to, by cię zadowolić, co?

– Nie, ale chcę, żeby powiedział mi coś wartego dwieście tysięcy dolarów – odparłam. – Koniec rozmowy.

Pociągnęłam drzwi do siebie i wyskoczyłam z kampera. Uciekłam biegiem do samochodu, przerażona, że Tom goni mnie ze strzelbą. Dopiero siedząc w samochodzie, obejrzałam się na przyczepę, ale nie zobaczyłam żywej duszy. Drżącą ręką przekręciłam kluczyk w stacyjce. Na końcu drogi zawróciłam, po czym wyjechałam z kempingu i dopiero kiedy znalazłam się na szosie, stanęłam na poboczu i zaczęłam płakać. Na co ja liczyłam? Że Kyle poda mi dokładny adres Lisy?

Zadzwoiłam do Suzanne i ulżyło mi, kiedy włączyła się poczta głosowa. Za bardzo się wstydziłam, by rozmawiać z nią osobiście. Odchrząknęłam z nadzieją, że nie pozna po moim głosie, że płakałam.

– Suzanne – powiedziałam – tu Riley MacPherson. Przemyślałam twoje rady i postanowiłam jednak nie przekazywać kempingu Kyle’om. Przepraszam za kłopot. Proszę, anuluj darowiznę. Dzięki, że przemówiłaś mi do rozumu.

Rozłączyłam się i siedziałam wpatrzona niewidzącym wzrokiem w drzewa na poboczu. *Tata wiedział*. Przez te wszystkie lata znał prawdę. Czy to możliwe, by wtajemniczył moją mamę? Raczej nie. Za bardzo rozpaczała. Takiej rozpaczy nie sposób udawać. Przypuszczałam, że tylko on wiedział, co się naprawdę stało, i byłam ciekawa, czy gdzieś w morzu papierów wypełniających szafki w salonie znajdę jakąś wskazówkę dotyczącą miejsca pobytu Lisy.

Rzucę się na te papierzyska z nowym zapalonym. Koniec z przerwami na niszczenie niechcianych dokumentów. Szkoda czasu. Przetrzęsnę wszystko w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, co naprowadzi mnie na trop siostry.

## KWIECIEŃ 1996

39.

### *Jade*

– Cześć, Charlie – powiedziała, kiedy staruszek wszedł do sklepu Grady’ego z naręczem longplayów. Pocałowała go w policzek i wzięła od niego płyty. – Na pewno chcesz się ich pozbyć? – Ostatnio z każdą wizytą przynosił coraz więcej płyt do sprzedania. W jego wieku pora przebrać dobytek, tłumaczył, ale mimo że pozbywał się dziesięciu, dwudziestu albumów tygodniowo, to na ich miejsce kupował co najmniej pięć innych, zanosilo się więc na długotrwały proces.

Ułożyła płyty w stos na blacie przed Gradym, który miał je wycenić w czasie, gdy Charlie będzie myszkował po sklepie, wypatrując nowości.

– Przeglądam pudła na zapleczu – powiedziała do nich. W sklepie byli tylko we troje i zazwyczaj z przyjemnością gawędziła z Charliem, ale tego dnia chciała pobyć sama.

– Daj znać, gdybyś znalazła tam coś, bez czego nie mógłbym żyć – poprosił Charlie.

– Jasne.

Siedząc na zapleczu, wyciągała stare winyle z jednego z pudeł kupionych na wyprzedaży czyjegoś majątku. Ledwo jednak zauważała ich tytuły. Myślała o tym, czego rano dowiedziała się na uczelni: że zanim zacznie piąty rok studiów, po którego ukończeniu miała uzyskać uprawnienia nauczycielskie, musi się zgodzić, żeby pobrano jej odciski palców. Taki wymóg dotyczył każdego, kto uczył, każdego, kto pracował z dziećmi. W swojej naiwności nie wpadła na to, że zostanie dokładnie prześwietlona, zanim dostanie pracę w szkole! Przeglądając niewidzącym wzrokiem płyty, uświadomiła sobie, że ostatnie cztery lata jej życia, przynajmniej jeśli chodzi o edukację, poszły na marne. Nigdy nie będzie uczyć. Ani muzyki, ani niczego

innego. I pojęcia nie miała, czym w takim razie się zajmie.

W sklepie zapadła cisza. Właśnie skończyło się *Watermark* Enyi i Jade wiedziała, że Grady zastanawiał się, co teraz puścić. Nagle brzęknął dzwonek nad drzwiami wejściowymi.

– Mogę w czymś pomóc? – usłyszała pytanie Grady’ego.

– Być może – odparł głęboki, męski głos. Coś w jego tonie sprawiło, że Jade porzuciła przeglądanie płyt i nadstawiła uszu. – Jestem prywatnym detektywem – wyjaśnił mężczyzna. – Nazywam się Arthur Jones i szukam tej dziewczyny.

Opuściła dłonie z pudła na kolana. *Spokojnie*, nakazała sobie. W Ocean Beach było pełno uciekinierek z domu. Często zjawiali się ludzie poszukujący zaginionych dzieci.

– To stare zdjęcie – przyznał mężczyzna. – Dziś miałyby dwadzieścia trzy lata. Pewnie zmieniła wygląd. Może nosi perukę albo ufarbowała włosy.

Przycisnęła pięść do ust i czekała. Przez bardzo długą chwilę nikt się nie odzywał.

– Wygląda jak fotografia promocyjna – odezwał się wreszcie Grady.

– Fakt. Jest skrzypaczką, jak pan widzi. Była, jak to mówią, cudownym dzieckiem.

Zamknęła oczy. Mogła się domyślić, które zdjęcie pokazywał Grady’emu – to, które po śmierci Stevena trafiło na pierwsze strony gazet.

*Sześć lat*, pomyślała. Przez sześć lat była bezpieczna. Uwierzyła, że to może trwać wiecznie.

– Nie wygląda znajomo – powiedział Grady i wypuściła powietrze.

– Nie? – zdziwił się Arthur Jones. – Pokazałem to zdjęcie jednemu człowiekowi na ulicy i twierdził, że podobna dziewczyna pracuje tutaj.

– Po ulicach chodzi pełno dziwnych typów. – Grady wyraźnie się zirytował.

– Pokaż pan – rzucił Charlie.

– Dziś na pewno wygląda inaczej – zauważył Arthur Jones. – Jest starsza, jak mówiłem, i proszę spróbować ją sobie wyobrazić z włosami w innym kolorze albo obciętą na krótko.

– Ładna dziewczyna – powiedział Charlie. – Dlaczego pan jej szuka?

– Jest podejrzana o morderstwo – odparł mężczyzna niedbałym tonem. Usłyszała śmiech Grady’ego.

– Coś w tym śmiesznego? – spytał Jones.

– Nie wygląda na morderczynię, to wszystko – oznajmił Grady. – Co zrobiła? Walnęła kogoś skrzypcami w łeb?

– Nie, postrzeliła człowieka w głowę z magnum .357.

Długa cisza.

– Kurde – powiedział Charlie po chwili. – Żartujesz pan.

– I co, chodzi pan z tym zdjęciem po sklepach? – spytał Grady.

– Wiemy, że dziewczyna jest skrzypaczką, i jesteśmy prawie pewni, że przebywa w San Diego – odparł Arthur Jones – więc to logiczne, że zaglądam do sklepów

muzycznych, nie?

Skąd wiedzieli, że ona jest w San Diego? No i skąd wiedzieli, że nie zabiła się w 1990 roku, skoro już o tym mowa? Pomyślała o listach, które przed miesiącem wymieniła z ojcem. Czyżby miały się okazać katastrofalnym błędem?

– Cóż, tu jej nie było – zapewnił Grady.

– Znam wszystkich w Ocean Beach i nigdy jej nie widziałem – dodał Charlie. – Chyba trafił pan pod zły adres.

– Jest tu ktoś jeszcze, komu mógłbym pokazać jej zdjęcie? – spytał mężczyzna.

– Nie – odparł Grady pospiesznie. – Mały dzisiaj ruch w interesie.

– Dobrze zatem. Dziękuję, że poświęcili mi panowie czas.

Usłyszała brzęk dzwonka nad drzwiami, ale nie ruszyła się z miejsca. Czy powinna wymknąć się na zaułek za sklepem? Ale co zrobiłaby potem?

Powoli zsunęła się ze stołka i na miękkich nogach weszła do sklepu. Obaj stali jak posągi i wpatrywali się w nią, Charlie z płytą w ręku, Grady za ladą.

– Jesteś blada jak zjawa – stwierdził Grady, a Charlie uniósł wolną dłoń.

– Powiedz mi tylko, że tego nie zrobiłaś – poprosił.

Przełknęła ślinę przez gardło suche jak grzanka.

– Nie zrobiłam tego. – Co innego mogła powiedzieć?

– Mnie to wystarczy – zapewnił Charlie.

– Ile czasu minie, zanim facet wpadnie na to, żeby zapytać o ciebie na wydziale muzycznym twojej uczelni? – zapytał Grady i serce zamarło jej w piersi.

– Muszę wyjechać – oznajmiła. – Muszę opuścić Ocean Beach.

– Jedź do Celi – poradził Charlie. – Ale Ingrid powiedz, że jedziesz gdzie indziej.

Skinęła głową.

Grady otworzył kasę, odliczył pięć dwudziestek i podał jej.

– Będzie nam ciebie brakować – powiedział, po czym dodał: – Kochamy cię, Jade. Uważaj na siebie.

Błyskawicznie opróżniła swoją chatkę. Niewiele miała rzeczy do spakowania, a jeszcze mniej takich, na których jej zależało, ale uznała, że na wszelki wypadek lepiej wziąć wszystko. Wszędzie zostawiła pełno odcisków palców! Miała nadzieję, że detektyw nie rozmawiał z nikim, kto skierował go do Ingrid i tego domku. Jeśli szukał jej tylko w sklepach muzycznych, była bezpieczna, ale gdyby poszedł z tym zdjęciem do supermarketu, tam na pewno ktoś by ją rozpoznał. No i, jak wspomniał Grady, był jeszcze wydział muzyczny jej uczelni... o Boże. Jak to się w ogóle mogło stać?

Zrobiła cztery kursy, zanim umieściła cały dobytek w samochodzie. Miała jedną walizkę, z którą przyjechała. Podręczniki, które zapewne już się jej do niczego nie przydadzą, ale nie chciała ich zostawiać w swoim pokoju. Laptopa. Skrzypce, nuty,

pulpit. To wszystko. Za każdym razem, kiedy szła do samochodu, rozglądała się za Arthurem Jonesem. Żałowała, że w sklepie go nie zobaczyła. Nie wiedziała, kogo się bać.

Załadowawszy samochód, odszukała Ingrid, która właśnie kopała motyką w małym ogródku za szopą.

– Ingrid – powiedziała Jade. – Przepraszam, że wyskakuję z tym tak nagle, ale muszę pojechać do domu.

– Do domu? – Ingrid przerwała pracę i spojrzała na nią ze zdumieniem. – To znaczy do twojej rodziny z Maryland? – Jade od lat słowem nie wspomniała o tej nieistniejącej rodzinie.

Jade skinęła głową.

– Mój ojciec się dowiedział, gdzie studiuję, i przekazał mi wiadomość, że mama jest poważnie chora.

Ingrid się nie odezwała. Patrzyła tylko na nią i Jade musiała czymś wypełnić ciszę.

– I szczerze mówiąc – dodała – stęskniłam się za nimi. Po prostu muszę tam pojechać. Opłaciłam komorne do końca miesiąca... to wystarczy? Mam coś dopłacić? Mogłabym...

– Nie, Jade. – Ingrid trzymała motykę u boku. – Wszystko gra. Przykro mi z powodu twojej mamy. – Odłożyła motykę, podeszła do Jade i oparła dłonie na jej ramionach. – Byłaś najlepszą lokatorką, jaką mogłam sobie wymarzyć, ale zawsze uważałam, że powinnaś wrócić do domu. Być z rodziną. Ale co ze studiami?

– Zmienię uczelnię. To nic. Rodzina jest ważniejsza. – Wzruszenie lekko ścisnęło ją za gardło na te słowa. Jakże chciałyby naprawdę wrócić do domu.

– Zamierzasz jechać samochodem aż do Maryland? – Ingrid opuściła ręce, wyraźnie zaniepokojona. – To zajmie ci kilka dni.

– Wiem. Dlatego wyruszam już teraz. Nie chcę zostawiać tutaj samochodu. – Czy mówiła do rzeczy, czy też coraz bardziej się pograżała? – Dziękuję ci z całego serca za wszystko.

– Czekaaj, dam ci coś do jedzenia na drogę. – Ingrid zrobiła krok w stronę domu, ale Jade złapała ją za ramię.

– Dzięki, nie trzeba – zapewniła, zdjęta obawą, że z każdą mijającą sekundą Arthur Jones jest coraz bliżej. – Poradzę sobie.

Przed wyjazdem z Ocean Beach musiała zajrzeć w jeszcze jedno miejsce – do banku. Na koncie zostało prawie dwa tysiące dolarów. Wypłaciła całość gotówką i wcisnęła pieniądze do torebki z nadzieją, że nie wzbudziła podejrzeń kasjera. Choć pewnie wyglądała jak przerażona kobieta z nieczystym sumieniem, którą w istocie była.



Dojechała aż na parking pod miastem o nazwie Redding w północnej części Kalifornii, zanim zmorzył ją sen. Mimo to drzemała tylko godzinę, skulona w niewygodnej pozycji na tylnym siedzeniu samochodu. Obudził ją strach. Może powinna była przed wyjazdem zadzwonić do Celi, ale się bała. A gdyby zabroniła jej do siebie przyjeżdżać? Z dnia na dzień wszystko się rozsypało i gdyby jeszcze Celia się od niej odwróciła, Jade nie zniosłaby tego. Nie wiedziała jednak, jak wytłumaczy, dlaczego zniemacka zjawia się u Celi. Nagle zmroziła ją obawa, że wcale nie zna przyjaciółki tak dobrze, jak myślała. Ale przecież Charlie kazał do niej jechać, a on znał wnuczkę najlepiej.

Następnego popołudnia dotarła do mieszkania Celi, otępiła z niepokoju i wykończona podróżą. Pukanie pozostało bez odpowiedzi, więc usiadła na podeście pod drzwiami. Musiała się wysikać i umierała z głodu. Raz po raz powtarzała w myślach, co powie Celi. Miała przygotowany długi, misterny ciąg kłamstw. Kiedy jednak Celia weszła po schodach i zrobiła wielkie oczy na jej widok, Jade wybuchnęła płaczem.

A potem powiedziała Celi wszystko. Od początku do końca. Nawet rzeczy, o których tata nie miał najmniejszego pojęcia.

Nawet te, których nigdy, przenigdy by się nie domyślił.

# CZEŚĆ III

40.

## Riley

Zostawiwszy wiadomość Suzanne, wzięłam się w garść i pojechałam do domu, przeszywana od stóp do głów dreszczem emocji. Lisa żyła! No chyba że przytrafiła jej się jakaś straszna choroba lub wypadek – ale na ile to prawdopodobne? Miała dopiero czterdzieści lat. Znajdę ją, nic mnie nie powstrzyma. Wiedziałam jednak, że muszę bardzo uważać. To znaczyło przede wszystkim, że nie mogę powiedzieć Danny’emu, co wiem. Będę szukać siostry tak, żeby nie narazić jej na niebezpieczeństwo, stale mając w pamięci słowa Toma: *Gdyby Lisa chciała, toby cię znalazła*. Na pewno się bała, że ktoś wpadnie na jej trop. Czy wiedziała, że tata nie żyje? I mama też, swoją drogą? A jeśli tak, czy w ogóle się tym przejęła?

Kiedy weszłam do domu, Christine złapała mnie za rękę.

– Gdzieś ty była? – spytała. – Na strychu znalazłyśmy żyłą złota! – Zaciągnęła mnie do jadalni. Stół zawalony był różnymi bibelotami, stosami starych książek i innymi drobiazgami, których nigdy wcześniej nie widziałam na oczy. Wyrwałam rękę z jej uścisku. Nie miałam nastroju do omawiania spraw związanych z wyprzedająką majątku.

Do pokoju weszła Jeannie obładowana starymi wykrojami.

– Zobacz! – zawołała. – Deb musiała je zachować z lat naszej młodości, kiedy obie uczyłyśmy się szyć. Popatrz tylko na te kroje!

Rozejrzałam się po ciepłym, przytulnym pokoju stołowym mamy, przemienionym w sklep ze starzyzną. Zobaczyłam błysk w oku Christine i wykroje wypadające z rąk Jeannie na podłogę. Te kobiety teraz już lepiej znały dom mojego dzieciństwa niż ja i czuły się tu jak u siebie. Chciałam, żeby sobie poszły.

– Dłużej tego nie zniosę! – wrzasnęłam głosem tak donośnym, że sama siebie zaskoczyłam.

Jeannie znieruchomiała w połowie drogi do stołu i jeszcze kilka wykrojów wypadło jej z rąk. Christine zamarła z małym, ceramicznym koniem w dłoni.

– O czym ty mówisz? – zapytała. – Czego nie zniesiesz?

– Tego! – Objęłam szerokim gestem stół i setki przedmiotów ze strychu. – Bałaganu w moim domu! Ludzi w moim domu! Naprawdę...

– Skarbie... – Jeannie zwałała wykroje na krzesło, z którego spłynęły kaskadą na dywan – ...wystarczy, że zostawisz wszystko nam. Mówiłam ci. Nic a nic nie musisz robić.

– Potrzebuję odrobiny ciszy i spokoju – powiedziałam, usiłując zniżyć głos. Opanować emocje. – Wiem, że obie ciężko pracujecie, i doceniam to, ale muszę mieć trochę czasu dla siebie.

Popatrzyły po sobie.

– Możemy wyskoczyć na kawę i wrócić za godzinę – zaproponowała Jeannie.

– Nie. – Spojrzałam na jedną, potem na drugą. Miały zdumione miny, jakbym mówiła w obcym języku. – Nie rozumiecie. Potrzebuję kilku dni. Może nawet tygodni.

– Kiedy wyprzedaż jest za osiem dni, Riley – przypomniała Christine. – Przygotowania idą świetnie, ale mamy jeszcze dużo...

– Będziecie musiały to przenieść – stwierdziłam.

– Jak to „przenieść”? – zdziwiła się Christine. – Nie będziemy taszczyć tego wszystkiego...

– To znaczy przełożyć wyprzedaż na później – wyjaśniłam.

– Och, nie. – Christine wreszcie załapała. – Data została ustalona i jesteśmy...

– Nic mnie to nie obchodzi! – Chwyciłam się oparcia jednego z krzeseł w pokoju stołowym. – Nie znoszę tego! Nie mogę patrzeć, jak ludzie kręcą się po moim domu i rozbierają w nim wszystko na kawałki! – Mój głos osiągnął histeryczne tony i bardzo to było przyjemne i rozluźniające. – Dopiero co straciłam ojca, a teraz tracę dom, w którym dorastałam!

– Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim mnie zatrudniłaś. – Christine wzięła się pod boki. – Najpierw chcesz wszystko natychmiast załatwić, a teraz nagle zaciągasz hamulce?

– Christine. – Jeannie przysunęła się do córki i położyła dłoń na jej ramieniu, żeby ją uspokoić, ale to nie ostudziło gniewu w oczach Christine.

– Tak – przyznałam. – Zaciągam hamulce. Nie jestem gotowa wszystkiego się pozbyć. Musicie poczekać, aż będę.

Zapadła kompletna cisza. Wreszcie przemówiła Jeannie:

– W porządku. Przepraszam, jeśli się narzucaliśmy, Riley. Chciałam ci ułatwić, a nie utrudnić życie. Uporządkujemy bałagan, jakiego dziś narobiłyśmy, a potem przełożymy wyprzedaż i wrócimy, dopiero kiedy będziesz gotowa. Może być?

– Będę wam niezmiernie wdzięczna – powiedziałam. – Dziękuję.

– Mamo! – Christine przeszła ją wzrokiem.

– Oczywiście to znaczy, że dom trafi na rynek dopiero pod koniec sezonu – zauważyła Jeannie. – Nie zdążymy z remontem, malowaniem i całą resztą przed wyprzedają majątku, ale mogłybyśmy ewentualnie...

– Wszystko będzie dobrze – zapewniłam spokojnie, kierując się do salonu. Nagle jednak odwróciłam się do nich. – Aha, ale jeśli chodzi o kemping... – zwróciłam się do Jeannie.

– Tak? – spytała.

– Możesz wystawić go na sprzedaż od razu.

## 41.

Zamknęłam się w sypialni, usiadłam w fotelu przy oknie od frontu i czekałam, aż wyjdą. Słyszałam na dole ich stłumione głosy; jadalnia znajdowała się bezpośrednio pod moim pokojem. Domyślałam się, o czym rozmawiały, zachodziły pewnie w głowę, co mnie opętało. Miałam to gdzieś. Tak wielką ulgą było się ich pozbyć. Wciąż będę się czuła nieswojo w domu przewróconym do góry nogami, z cenami nalepionymi na wszystkie lampy, krzesła i naczynia, ale jakoś sobie poradzę, tym bardziej że tu, w sypialni, miałam swój nietknięty azyl.

Pół godziny później trzasnęły drzwi frontowe. Patrzyłam przez okno, jak Jeannie i Christine schodzą po stopniach z ganku i idą przez trawnik do swoich samochodów zaparkowanych przed domem. Uśmiechnęłam się na ten widok. Kiedy pojechały, usiadłam za biurkiem i włączyłam laptopa.

Od czego zacząć?

Wpisałam w Google „Ann Johnson” i od razu się zorientowałam, że samo nazwisko to za mało. Przejrzałam zdjęcia, które wyskoczyły. Niezliczone Ann Johnson patrzyły na mnie z takim smutkiem, że nie wytrzymałam i wyszłam z sieci.

Siedziałam z dłońmi na kolanach, wpatrzona w ekran. Czy mój otrzaskany z komputerami brat mógł znać jakiś sposób prowadzenia poszukiwań, na który ja bym nie wpadła? Potrząsnęłam głową. To bez znaczenia. I tak nie mogłam się do niego zwrócić. Mogłam ewentualnie wynająć prywatnego detektywa, ale gdyby prywatny detektyw wytropił Lisę, czy nie miałby obowiązku zgłosić tego policji?

I wtedy przypomniałam sobie, że ktoś już prywatnego detektywa wynajął – żona Stevena Davisa, Sondra. A ją mogłam znaleźć bez trudu.

Po kilku sekundach ponownie odszukałam jej bloga. „Niezapomniani: miejsce spotkań rodzin ofiar morderstw”. Zsunęłam wzrok na dół strony; kliknęłam na słowo „kontakt” i ukazał się formularz mejla z wpisanym adresem poczty elektronicznej Sondry Lynn Davis. Przez parę minut siedziałam z przygryzioną wargą i zastanawiałam się, jak to rozegrać. Wreszcie zaczęłam pisać.

Sondro, nazywam się Riley MacPherson. Jestem młodszą siostrą Lisy MacPherson. Kiedy umarł Twój mąż, miałam tylko dwa lata i nigdy nie powiedziano mi prawdy o tym, jaką rolę w Jego śmierci odegrała moja siostra. Przypadkiem znalazłam Twojego bloga. Ciekawi mnie, czy prywatny detektyw, którego wynajęłaś, wpadł na trop mojej siostry, czy też może doszedł do wniosku, że Lisa jednak się zabiła, jak

zawsze sądziła moja rodzina.

Głęboko Ci współczuję poniesionej przez Ciebie straszliwej straty i jestem pewna, że Twój blog niesie pomoc wielu ludziom.

Przejrzałam list kilka razy i dopiero przy trzecim czytaniu, żeby niczego nie zdradzić, dodałam ten fragment o przeświadczeniu mojej rodziny, że Lisa się zabiła. U dołu wpisałam swoje nazwisko i numer telefonu, po czym kliknęłam na „wyślij”.

Wybrałam się na przebieżkę z telefonem w rękę, na wypadek gdyby Sondra od razu odebrała wiadomość i zadzwoniła, ale zdążyłam wrócić do domu, wziąć prysznic i usiąść na podłodze przed szafkami w salonie, zanim komórka wreszcie zabręczała. Nie znałam numeru, który się wyświetlił; powiedziałam „słucham” i wstrzymałam oddech.

– Czy rozmawiam z Riley MacPherson?

Wiedziałaś, kto to, nie musiała się przedstawiać.

– Sondra? – spytałam.

– Tak. – Jej głos brzmiał młodo, choć miała pewnie z sześćdziesiąt lat. – Byłam w szoku, kiedy przeczytałam wiadomość od ciebie.

Odwrociłam się i oparłam plecami o szafki.

– Niedawno zmarł mój ojciec i znalazłam wycięte z prasy artykuły o... wszystkim, co się wtedy wydarzyło. A potem na twoim blogu wyczytałam, że według ciebie Lisa być może wciąż żyje, i chciałam tylko spytać, czy detektyw, którego wynajęłaś, coś w tej sprawie ustalił – wyjaśniłam.

Przez chwilę milczała.

– Nie wiedziałaś, że zabiła Stevena? – zapytała w końcu.

– Nie – odparłam. – Miałam wtedy dopiero dwa lata, a potem rodzice powiedzieli mi tylko, że była w depresji.

Sondra milczała. Pomyślałam, że może nas rozłączyło.

– Sondro?

– Wiesz, twoja siostra gdzieś tam sobie żyje – powiedziała. – Nigdy nie poniosła kary za to, co zrobiła. To obrzydliwe. Mój mąż był taki utalentowany, zrobiłby wszystko dla niej i innych swoich uczniów. Myślę, że Lisa wybiła się w świecie muzyki za szybko. Była rozpuszczona i samolubna, i...

– Dlaczego sądzisz, że... gdzieś tam żyje?

– Detektyw znalazł dowody.

– Jakie?

– Parę osób rozpoznało ją na zdjęciu. To było w San Diego.

– W San Diego! Czemu szukał jej właśnie tam?

– Dostałam wiadomość, że pojechała do Kalifornii. Ktoś... anonimowo... napisał

do mnie, że wsiadła w pociąg do San Diego.

Mogłam się domyślić, kim był ten anonim. Dobrze zrobiłam, że kazałam Suzanne anulować darowiznę.

– Oczywiście przyszło też mnóstwo innych informacji, przez co detektyw musiał tracić czas na badanie setki fałszywych tropów – powiedziała Sondra. – Ale z tej jednej coś wynikło.

– Powiadomiłaś policję? – spytałam.

– Oczywiście. Palcem nie kiwnęli. Byli przekonani, że umarła, a ja mam obsesję. Bo i rzeczywiście ją miałam, ale nie bez powodu. Gdyby detektyw niczego nie znalazł, odpuściłabym. Kiedyś.

– Czyli... mówisz, że jacyś ludzie rozpoznali ją na zdjęciu? – drażylałam.

– Tak. Zmieniła uczesanie, oczywiście, ale byli pewni, że to ona. Twierdzili, że pracowała w sklepie w Ocean Beach, które chyba jest częścią San Diego. Właściciel sklepu zaprzeczył, ale detektyw odniósł wrażenie, że skłamał. Policja, zdaje się, nawet tego nie sprawdziła. – W głosie Sondry brzmiała gorycz. Pewnie na jej miejscu czułabym się podobnie. – Jestem absolutnie pewna, że Lisa wtedy tam mieszkała – oznajmiła. – Detektyw był o tym przekonany, ale po prostu nie dał rady jej znaleźć.

– I co, szukał dalej?

– Oczywiście, ale bez powodzenia – powiedziała Sondra. – A mnie kończyły się pieniądze i w związku z tym, że nie zdołałam zainteresować sprawą policji... strasznie to było frustrujące.

– Wyobrażam sobie. – Próbowałam przybrać współczujący ton. – Możesz mi powiedzieć, jak się nazywał ten detektyw?

– Cóż, mogę, ale umarł jakieś dziesięć lat temu, więc i tak nic ci to nie da. – Zawahała się. – Zamierzasz jej szukać?

– Hm... cóż, szczerze mówiąc, raczej wierzę w wersję policji. To znaczy, że odebrała sobie życie.

Usłyszałam jej westchnienie.

– Wiesz, czego pragnę najbardziej na świecie? – zapytała.

– Czego?

– Mam sześćdziesiąt trzy lata – powiedziała. – Modłę się tylko o to, bym dożyła chwili, kiedy znajdą twoją siostrę i postawią przed sądem. Żyję tą nadzieją i nigdy jej nie porzucę.

Rozłączywszy się, usiadłam w fotelu bujanym na tylnej werandzie, otworzyłam laptopa i poszukałam Ann Johnson zamieszkałych w San Diego. Wypatrywałam rysów mojej siostry na wszystkich zdjęciach, które się pojawiły, ale zaczynałam dochodzić do wniosku, że Lisa przezornie trzyma się z dala od ludzi. Pewnie odwracała twarz, ilekroć ktoś w pobliżu wyciągał aparat fotograficzny.



Zapadał zmrok, świerszcze cykały na podwórku. Zamknęłam komputer i poszłam do kuchni w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Na blacie leżały sterty naczyń Franciscan Ware mojej matki; do każdego talerza, miseczki, filiżanki i spodka przylepiona była od spodu mała naklejka z ceną. Z ulgą wszystkie pozrywałam. Te naczynia były częścią mojego dzieciństwa. Zachowam je wszystkie, bez wyjątku, na zawsze.

Nazajutrz obudziłam się dopiero o dziewiątej i przez pewien czas przeciągałam się w łóżku, zadowolona, że mam dom tylko dla siebie. Było cicho, nikt nie buszował po pokojach. Tego ranka planowałam przejrzeć kolejne papiery ojca w poszukiwaniu czegoś – czegokolwiek – co mogłoby naprowadzić mnie na trop Lisy. Nagle jednak wpadłam na inny pomysł.

Wstałam i wzięłam laptopa do łóżka. Weszłam na jedną ze stron turystycznych, wpisałam „New Bern do San Diego” i kilka minut i siedemset dolarów później miałam zabukowany bilet na wieczorny samolot.

## 42.

Trwał sezon turystyczny i wszystkie hotele w pobliżu plaż San Diego pękały w szwach. Po przylocie odebrałam więc wynajęty samochód i pojechałam w ciemności na wschód, do hotelu w Mission Valley, gdzie udało mi się zarezerwować pokój. Na miejsce dotarłam o dziesiątej wieczorem – pierwszej w nocy czasu New Bern – ale zupełnie nie chciało mi się spać. Siedziałam w pokoju, wpatrzona w mój telefon, i uświadomiłam sobie, że nie mam nikogo, komu mogłabym wysłać esemesa, że dotarłam cała i zdrowa. Jeszcze w New Bern nagrałam na pocztę głosową Danny’ego wiadomość, że jadę na kilka dni do przyjaciółki, i teraz ogarniał mnie smutek i poczucie osamotnienia. Brakowało mi Bryana. Brakowało Sherise. Nikt nie wiedział, gdzie jestem, a jedyną osobę, którą uprzedziłam o moim wyjeździe, okłamałam.

Jak zwykle nie mogłam zasnąć. Czemu przenosiny z jednego wybrzeża na drugie miałyby coś pod tym względem zmienić? Nie mogłam się doczekać poranka. Surfowałam po sieci na moim laptopie w łóżku, by się zmęczyć. O drugiej nad ranem czasu kalifornijskiego dałam za wygraną, wzięłam benadryl i wreszcie zapadłam w sen.

Z tego, co zauważyłam, większość sklepów w Ocean Beach stała przy głównej ulicy, Newport Avenue, i udało mi się znaleźć miejsce parkingowe parę przecznic od plaży. W torbie miałam kilka zdjęć Lisy i mój zamiar był taki, żeby chodzić od drzwi do drzwi i pytać wszystkich po trzydziestce, czy nie rozpoznają mojej siostry. Marne szanse, ale tylko na takie mogłam liczyć.

Pierwszy raz byłam w Kalifornii i czułam się jak w innym świecie. Słońce świeciło nienaturalnie jasno, wzdłuż alei, którą szłam, wznosiły się wysokie, cienkie miotełki palm. Na chodniku roiło się od ludzi, młodych i starych. Mnóstwo studentów. Młode matki z dziećmi. Podstarzali hipisi. No i najprzeróżniejsze sklepy. Ze starzyzną. Surfingowe. Z biżuterią. Studio pilatesu. Czy Lisa kiedyś przechadzała się tą samą ulicą? Chciałam w to wierzyć. Wiedziałam, że minęły lata – zresztą może Sondra się myliła i Lisa tak naprawdę nigdy nie trafiła do Ocean Beach – a mimo to tutaj czułam się jej dziwnie bliska.

Po wizytach w piętnastu sklepach zrobiłam sobie przerwę w kawiarni, zniechęcona.

Szybko się przekonałam, że to jest młode miasto, pełne ludzi, którzy dopiero zaczęli raczkować, gdy była tu moja siostra. W każdym sklepie pokazywałam oprowione zdjęcie przedstawiające Lisę ze mną i Dannym i tłumaczyłam, że jest moją siostrą, która uciekła z domu, kiedy miałam dwa lata. Wybrałam tę fotografię, bo na niej nie trzymała w rękach skrzypiec i była mniej więcej w takim wieku jak wtedy, gdy pracowała w Ocean Beach... o ile tutaj pracowała... Bałam się, że na ich widok ludzie poznaliby w niej słynną, młodą wirtuoszkę, szybko jednak zrozumiałam, że to zbytek ostrożności. Dwadzieścia lat to szmat czasu. Żaden ze sklepikarzy nie rozpoznał mojej siostry i zaczęłam się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby zamiast tego pogadać z rozczochranymi, starymi hipisami.

Po przerwie wznowiłam poszukiwania. Już chciałam ominąć studio pilatesu – czy przed dwudziestu laty ktoś w ogóle o pilatesie słyszał? – ale uznałam, że nie mam nic do stracenia.

W słabo oświetlonej recepcji urzędowała blondynka z włosami związanymi w koński ogon. Miała nie więcej niż dwadzieścia dwa lata i potrząsnęła głową przecząco, kiedy pokazałam jej zdjęcie. Za to stojąca obok mnie przy ladzie starsza kobieta z siwymi warkoczami dotknęła czubkiem palca brzegu rzeźbionej ramki.

– Och, pamiętam ją! – zawołała. – Tylko że miała ciemniejsze włosy.

Serce zabiło mi mocniej, ale bałam się robić sobie nadzieję.

– To by się zgadzało – przyznałam. – Na pewno je ufarbowała. Przypomina pani sobie, gdzie ją widziała?

Kobieta oparła łokcie na ladzie i uważnie obejrzała zdjęcie.

– Pracowała w sklepie muzycznym, który kiedyś był naprzeciwko. – Wskazała palcem za witrynę. – U Grady’ego. Często tam chodziłam. Szkoda, że już go nie ma. Wolałabym wspierać niezależny sklep, niż kupować muzykę w sieci, wie pani? Miała dziwne imię, nie pamiętam jakie. – Spojrzała na recepcjonistkę. – Jak jej było? – spytała, jakby ta młoda kobieta mogła to wiedzieć.

– Chyba mnie pani przecenia – zaśmiała się recepcjonistka.

Mój mózg ożywił się na wzmiankę o sklepie muzycznym. To pasowało. Pasowało idealnie. W odróżnieniu od dziwnego imienia.

– Nazywała się Ann Johnson – powiedziałam.

– Naprawdę? – Kobieta znowu spojrzała na zdjęcie. – W takim razie może się mylę. Nie pamiętam, jak miała na imię, ale na pewno nie Ann.

– Cóż – spytałam z lekko ostudzoną nadzieją – może domyśla się pani, gdzie ona jest teraz?

– O Boże, skąd. Nie widziałam tej dziewczyny od... – spojrzała w sufit, zamyślona

– ...nawet nie pamiętam, od kiedy. Powinnaś poszukać Grady’ego – oznajmiła. – Właściciela sklepu.

– Wie pani, gdzie mogłabym go znaleźć? – spytałam.

– Przecznicę stąd jest zakład jubilerski. – Wskazała na wschód. – Po tej stronie ulicy. Jubiler, Sal, kiedyś się z Gradym przyjaźnił.

Byłam już w tym zakładzie, ale nie zastałam żadnego Sala.

– Bardzo pani dziękuję – powiedziałam i schowałam zdjęcie z powrotem do torby.

*Dziwne imię*, myślałam, idąc w stronę zakładu jubilerskiego. To mnie niepokoiło. Ale sklep muzyczny pasował idealnie i to dało mi nadzieję. I tej nadziei chciałam się trzymać.

Młody chłopak z zakładu jubilerskiego powiedział mi, że Sala nie ma, ale powinien być jutro, więc postanowiłam na chwilę zawiesić poszukiwania. Dziwne. Mogłam przebiec maraton bez najmniejszego skurczu, ale po przerywanym licznymi przystankami spacerze po Ocean Beach bolały mnie nogi.

Wróciłam do mojego hotelu w Mission Valley, długo moczyłam się w wannie i przez resztę wieczoru wyszukiwałam w Google hasła „sklep muzyczny”, „Grady” i „Ocean Beach”. Na rozmaitych stronach internetowych i blogach poświęconych muzyce znalazłam wspomnienia ludzi o Grady’s Records. Podobno zakończył działalność pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Wypatrywałam wzmianek o jakiegokolwiek pracownicy, z „dziwnym imieniem” czy nie, ale ludzie wspominali tylko Grady’ego, i w końcu położyłam się do łóżka na kolejną długą, bezseną noc.

Sal nie był zbyt ufnym człowiekiem.

Nazajutrz rano, kiedy przyszedłam do jego zakładu, siwowłosey, brodaty jubiler siedział przy stole roboczym w witrynie. Z twarzą bez wyrazu, obejrzał zdjęcie mojej siostry przez okulary ochronne.

– Nigdy jej nie widziałem – oznajmił, odkładając lutownicę na stół.

– Słyszałam, że przed laty mogła pracować w Grady’s Records – odparłam. – I że może pan wiedzieć, gdzie znajdę Grady’ego.

– Klawy sklep – przyznał Sal ze skinieniem głowy. – Grady zamknął go koło dwutysięcznego roku, kiedy winyl oficjalnie przeszedł do lamusa. Teraz mógłby otworzyć interes na nowo, klienci pchaliby się drzwiami i oknami.

– Powie mi pan, gdzie mogę go znaleźć?

Z podejrzliwą miną nasunął okulary ochronne na czubek głowy.

– Będzie miał przez panią kłopoty?

– Nie – zapewniłam. – Oczywiście, że nie. Chcę go tylko spytać, czy pamięta moją siostrę.

Pogładził się po brodzie, rozważając moją prośbę. Sądziłam, że wyglądam niewinnie i niegroźnie w moich niebieskich rybaczkach i czarnym T-shircie, z włosami spiętymi w koński ogon. Sal najwyraźniej był podobnego zdania.

– Jest dźwiękowcem na stadionie – powiedział.

– Gdzie jest ten stadion?

Wytłumaczył mi, jak dojechać do Mission Valley, i przypomniałam sobie, że rzeczywiście niedaleko hotelu mijałam stadion.

Podziękowałam za pomoc i powoli wróciłam do samochodu, nieskora opuścić okolice plaży. Byłam święcie przekonana, że wyczuwam w tym mieście fluidy mojej siostry.

Musiałam się nachodzić po podstarzałym, okrągłym stadionie i zadać wiele pytań wielu woźnym, zanim w końcu znalazłam człowieka imieniem Grady. Siedział w małym pokoju, otoczony półokręgiem monitorów różnego kształtu i wielkości. Odwrócony do mnie plecami, z włosami spiętymi w kędzierzawy, siwy koński ogon.

– Przepraszam? – zagałam.

Obrócił się na stołku twarzą do mnie. Byłam zahipnotyzowana spojrzeniem jego przejrzystych, zielonych oczu.

– Zabłądziłaś? – spytał.

– Nie – zaprzeczyłam. – Jeśli ma pan na imię Grady, to właśnie pana szukam. Możemy chwilę porozmawiać?

– Zależy, kto pyta – powiedział, ale z ciepłym uśmiechem.

– Nazywam się Riley MacPherson. – Czekałam, czy moje nazwisko coś mu powie, ale patrzył na mnie pustym wzrokiem. – Myślę... istnieje cień szansy, że kiedyś znał pan moją siostrę – powiedziałam. – Czy pracowała u pana dziewczyna nazwiskiem Ann Johnson?

Spochmurniał i przeszył mnie wzrokiem.

– Nie – powiedział, ale z jego oczu wyczytałam, że zna to nazwisko, i poczułam, że pod powiekami zbierają mi się łzy.

– Proszę, niech pan będzie ze mną szczery – błagałam. – Nie chcę jej zaszkodzić. Słowo honoru.

Wciąż uważnie mi się przyglądał, ale poznałam, że się przełamuje.

– Za młoda jesteś na jej siostrę – stwierdził.

*O mój Boże, pomyślałam. Znał ją.*

– W mojej rodzinie były spore różnice wieku – wyjaśniłam. – Ale przysięgam. Jestem jej siostrą. – Otarłam koniuszkami palców kąciki oczu.

– Dlaczego sądzisz, że ją znam? – spytał.

– Dawno temu rozmawiał o niej z panem prywatny detektyw. Pamięta pan?

Wzruszył ramionami.

– Przyszedł jakiś facet ze zdjęciem dziewczyny, powiedziałem, że jej nie znam – odparł. – I tobie mogę powiedzieć to samo. – Obrócił się plecami do mnie.

– Przyleciałam aż z Karoliny Północnej, żeby znaleźć kogoś, kto ją znał. Proszę –

nie poddawałam się.

Ramiona mu opadły i usłyszałam westchnienie. Znów odwrócił się do mnie.

– Po co jej szukasz?

– Myślałam, że w wieku siedemnastu lat się zabiła – powiedziałam i jego jasne oczy otworzyły się szerzej – ale niedawno się dowiedziałam, że upozorowała samobójstwo. Że prawdopodobnie żyje. Nigdy nie miałam okazji jej poznać. Oboje nasi rodzice umarli. Ona i mój brat to cała moja rodzina.

Patrzył na mnie spod ściągniętych siwych brwi.

– Kiedy widziałas ją ostatnio? – spytał.

– Jak miałam dwa lata.

– Cholera. – Przeczesał dłonią przerzedzone włosy na skroniach. – Cóż, tak sobie myślę, że gdyby chciała się z tobą zobaczyć, to nie musiałabyś jej szukać, bo sama by cię znalazła.

Skrzywiłam się. To samo powiedział mi Tom Kyle.

– Pewnie bała się, że zaszkodziłaby mnie albo naszej rodzinie – wyjaśniłam. *Albo, co bardziej prawdopodobne, że my zaszkodziłibyśmy jej*, pomyślałam.

– Przekonaj mnie, że jesteś jej siostrą. Nie jesteś do niej podobna.

Sięgnęłam do zawieszanej na ramieniu torby i wyciągnęłam oprawione zdjęcie przedstawiające mnie, Lisę i Danny'ego w bieli.

Położył ramkę na kolanie i wypuścił powietrze ustami.

– O rany – powiedział. – To twój brat?

– Tak. Danny. Nie wie, że tu jestem. Był... był w Iraku – dodałam. – Ma dość ciężkie życie.

Po twarzy Grady'ego przemknęła cała gama uczuć i chwilę jeszcze patrzył na fotografię w milczeniu.

– Proszę, niech mi pan pomoże – błagałam.

Po chwili wstał.

– Nie wiem, czy jestem w stanie. – Oddał mi zdjęcie. – Ale wyjdźmy z tej kanciapy i porozmawiajmy.

Wyprowadził mnie na zewnątrz i przeszliśmy szerokim korytarzem do głębokiej niecki wielkiego stadionu. Wszystkie brązowe, plastikowe krzeselka były wolne i usiedliśmy wysoko nad skapanym w słońcu zielonym boiskiem.

– Przypomnij, jak ci na imię. – poprosił.

– Riley. Znał ją pan, prawda?

– Naprawdę kogoś zabiła? – Spojrzał na mnie. Jego zielone oczy były uderzająco piękne w blasku słońca.

– Tak powiedział ten detektyw? – spytałam.

– Tak. Kłamał?

Pokręciłam głową.

– Zastrzeliła człowieka, ale to był wypadek. Potem się bała, że wyląduje w więzieniu, więc upozorowała samobójstwo. – Postanowiłam nie wspominać o roli, jaką odegrał w tym mój ojciec. – Nic nie wiedziałam. Żyłam w przeświadczeniu, że odebrała sobie życie, bo miała depresję. – Opowiedziałam mu o tym, jak znalazłam pudełko z artykułami, a potem o rozmowie z Sondrą Davis. – I tak dowiedziałam się, że pracowała w Ocean Beach. A tam spotkałam kobietę, która ją rozpoznała i powiedziała, że pracowała u pana.

Milczał.

– Tak było? Pracowała u pana?

Skinął głową.

– O mój Boże. – Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach. – Nie do wiary. Jeszcze tydzień temu sądziłam, że Lisa nie żyje. Dziękuję panu! Proszę mi o niej opowiedzieć. Jaka była? – Słowa płynęły z moich ust wartkim strumieniem. – Wie pan, gdzie jest teraz?

– Nie – powiedział. – Nie widziałem jej, odkąd wyjechała, czyli od tego dnia, kiedy w moim sklepie zjawił się prywatny detektyw. Wiedziałem jednak, że przed czymś uciekała, i muszę cię z góry uprzedzić, że chyba nie chce, by ktokolwiek ją znalazł.

Odwróciłam twarz w obawie, że znowu się popłaczę.

– Nie zrobię jej krzywdy – obiecałam. – Nawet przez myśl mi to nie przeszło.

– Była wspaniałą dziewczyną – dodał jakby na pocieszenie i jego słowa rzeczywiście przyniosły mi pewną ulgę. Potrzebowałam je usłyszeć. Przecież w ogóle swojej siostry nie znałam.

– Dziękuję, że pan tak mówi – powiedziałam.

– Wiedziała o muzyce wszystko, ale pojęcia nie miałem, że była wybitną skrzypaczką, dopóki ten detektyw nie pokazał mi jej zdjęcia.

– Cudownym dzieckiem – dodałam.

– Jak szukałaś jej do tej pory? – spytał.

– Wiem tylko, że nazywała się Ann Johnson – wyjaśniłam – co w sumie niewiele mi daje.

– Wszyscy mówili na nią Jade.

– Jade?

– Taki wybrała sobie przydomek.

– Czyli... powinnam szukać Jade Johnson, nie Ann?

– Na pewno nie zaszkodzi spróbować. – Spojrzał w dół, na boisko, na które wybiegli dwaj mężczyźni z piłką. – Czy Ann Johnson to jej prawdziwe nazwisko? Zawsze mnie to ciekawiło.

Pokręciłam głową.

– Proszę, niech mi pan nie każe podać prawdziwego. Nie mogę. – Wbiłam wzrok w piłkarzy, z których jeden właśnie uderzył piłkę głową w stronę bramki. – Tak

bardzo się o nią boję.

– Dlaczego? – zdziwił się. – Stało się coś, że się o nią boisz? To znaczy zakładam, że jeśli nadal się ukrywa, do tej pory była bezpieczna.

– Stało się to, że jej szukam – wyznałam – i nie chcę tym zrujnować jej życia.

– Aha – odparł. – Rozumiem.

– Ma pan jeszcze dokumentację pracowników z tamtych czasów? Czy można jakoś zdobyć jej numer ubezpieczenia społecznego? – Numer ubezpieczenia społecznego byłby na wagę złota, Grady jednak machnął ręką.

– Te papiery dawno wylądowały w śmieciach.

– Nie domyśla się pan, gdzie ona jest? – spytałam wprost.

Wahał się, ale niedługo.

– Z tego, co wiem, pojechała do Portland, do swojej dziewczyny, Celi – powiedział.

– Czy ten związek przetrwał, czy nie, nie mam pojęcia. – Spojrzał na mnie. – Wiesz, że jest lesbijką, prawda?

Moja mina musiała mu zdradzić, że nie miałam o tym pojęcia.

– Pierwsze słyszę – przyznałam. – Inna sprawa, że w mojej rodzinie o wielu rzeczach się nie mówiło. – Minęła chwila, zanim otrząsnęłam się z zaskoczenia, i dopiero wtedy dotarło do mnie, że wskazał mi dwa nowe tropy: „Portland” i „Celia”.

– Zna pan nazwisko tej Celi?

Pokręcił głową.

– Bardzo dobrze znałem jej dziadka, Charliego. Nazywał się Wesley, ale była jego wnuczką po kądzieli.

– Mogę z tym Charliem porozmawiać?

Potrząsnął głową.

– Zmarł wiele lat temu – powiedział. – Porządny facet. Zostawił mi wszystkie swoje winyle, ale wtedy już zwinąłem interes. Po wyjeździe Jade nigdy o niej nie mówił, a ja nie pytałem. Uznałem, że im mniej wiem, tym lepiej.

– Zachowa pan sprawę w tajemnicy, mam nadzieję. – Położyłam palec na ustach.

– Możesz mi ufać – zapewnił. Długo patrzyliśmy na jaskrawozielone boisko w dole.

– Oto jakie jest moje zdanie – stwierdził w końcu. – Myślę, że skoro Jade ułożyła sobie życie na nowo, powinnaś zostawić ją w spokoju.

Oczy mnie piekły. Pewnie miał rację, ale nie byłam w stanie się na to zdobyć.

– Potrzebuję mojej siostry – wyznałam, kiedy nabrałam pewności, że głos mnie nie zawiedzie. – Myślałam, że ona nie żyje. Chcę tylko... – Czego właściwie chciałam? Czy zaszkodzi jej, jeśli ją odnajdę? Poczulałam, że drżą mi wargi. – Potrzebuję mojej siostry – powtórzyłam.

Położył dużą dłoń na moim ramieniu i skinął głową.

– Myślę, że postąpisz, jak należy – powiedział. – A jeśli... kiedy ją znajdziesz, przekaz jej pozdrowienia od Grady’ego.





## 43.

Udało mi się kupić bez rezerwacji bilet na samolot wylatujący z San Diego nazajutrz rano. Pomyślałam, żeby wybrać się do Portland – ale cóż mogłabym tam zwojować? To było wielkie miasto, a nie miałam praktycznie żadnego punktu zaczepienia. Pół nocy szukałam w Internecie Jade Johnson w przekonaniu, że łatwiej ją będzie znaleźć niż Ann, ale się myliłam. Na samym Facebooku było ponad osiemdziesiąt kobiet o tym nazwisku. Oglądałam ich profile, aż mnie oczy rozboleły, i w końcu zasnęłam przy włączonym komputerze.

Miałam przesiadkę w Charlotte i czekając na awionetkę do New Bern, sprawdziłam pocztę głosową. Była tylko jedna wiadomość, od Jeannie.

– Niepokoję się o ciebie – powiedziała. – Wpadnę wieczorem zobaczyć, czy wszystko w porządku. Nie bój się. Nie zostanę na noc, nie będę pracować, po prostu źle mi z tym, w jakich okolicznościach się rozstałyśmy... Chcę się tylko upewnić, że nic ci nie jest.

Jęknęłam. Powinnam do niej zadzwonić. Powiedzieć, że wszystko gra, niech nie przychodzi. Mogłyśmy się spotkać w przyszłym tygodniu. Ale nie miałam ochoty rozmawiać nawet z jej automatyczną sekretarką, a co dopiero osobiście. Zajmę się Jeannie później.

Lot był opóźniony i próbowałam się zdrzemnąć na krześle w poczekalni, ale w głowie miałam tylko rozmowę z Grady.

*Była wspaniałą dziewczyną.*

Uśmiechałam się, ilekroć wspominałam jego słowa o Lisie. Nagle poczułam, że ją znam. Opowieści rodziców i – ostatnio – Jeannie i Cateriny nie zrobiły na mnie podobnego wrażenia. Teraz zaś wiedziałam, że była „wspaniała”. Grady nie tylko jej talent muzyczny miał na myśli. Nawet o nim nie wiedział. Swoją ocenę zbudował na tym, jaką była osobą bez skrzypiec w ręku. I tę osobę gorąco pragnęłam odnaleźć.

## 44.

Jeannie nawet nie zapukała, zanim wczesnym wieczorem weszła do mojego domu. Wydawałoby się, że po moim ostatnim wybuchu choć na tyle mogłaby się zdobyć, ale nic z tego. Siedziałam bosą na podłodze salonu, otoczona stosami powywlekanych z szafek opłaconych rachunków, wyciągów z konta i dokumentów podatkowych. Wypchałam już dwa wielkie, czarne worki na śmieci papierami, które będę musiała zniszczyć, ale w tej chwili nie chciałam tracić na to czasu. Jeśli w tych szafkach było coś – cokolwiek – związanego z Lisą, pragnęłam to odnaleźć. Jak dotąd bez powodzenia. Większość papierów stanowiły stare rachunki za media i dokumenty medyczne, których nie miałam po co trzymać.

– No proszę! – Jeannie stanęła na środku pokoju z uśmiechem na ustach. – Widzę, że praca wreszcie ruszyła z kopyta.

Zerknęłam na nią bez słowa. Miała na sobie luźne, białe spodnie i granatowy blezer z wpiętą w klapę złotą odznaką AGENT NIERUCHOMOŚCI #1.

– Widocznie musiałaś nieco odpocząć ode mnie i Christine – dodała.

– Widocznie. – Wcisnęłam kolejną garść papierów do worka. – Potrzebowałam trochę czasu dla siebie, to wszystko.

– Rozumiem. Och! Co ja widzę! – Zauważyła fotografie, które zabrałam ze sobą do San Diego, teraz rozłożone na stoliku. Wzięła do ręki tę, na której Lisa i Matty stali plecami do siebie i ich włosy splatały się ze sobą. – Słodkie zdjęcie, co? – spytała.

– Rzeczywiście. – Musiałam się zgodzić.

– Dawno go nie widziałam – powiedziała. – Wyglądają jak bliźnięta syjamskie, prawda? I tacy właśnie byli. Praktycznie nierozłączni. – Róż zachodzącego słońca wlał się przez okno i padł na uśmiech Jeannie. – Ma tu naszyjnik, który jej dałam.

Już miałam wrzucić następną stertę papierów do worka, ale w tej chwili opuściłam rękę na podłogę.

– Co mówiłaś? – spytałam.

– Ten naszyjnik. – Jeannie postukała paznokciem w zdjęcie. – Dostała go ode mnie. Jest z jadeitu. Nigdy się z nim nie rozstawała, co bardzo mnie wzruszało. Po obu stronach miał wyrzeźbione chińskie znaki. Oznaczały „długie życie” i „radość” czy coś w tym stylu.

Odłożyłam stos papierów i odchyliłam się na rękach do tyłu.

– Słyszałam, że dostała ten wisiołek od nauczyciela skrzypiec.

– Kto tak twierdził? – Jeannie zmarszczyła brwi.

– Nie pamiętam – odparłam. Byłam przekonana, że to właśnie mówiła Caterina: że Lisa dostała wisiołek od nauczyciela, który „fatalnie jej się przysłużył”. Oczywiście Lisa mogła ją okłamać. Wiedziałam na pewno, że moja siostra nie była najbardziej prawdomównym człowiekiem na świecie.

– Którego nauczyciela? – spytała Jeannie. – Stevena Davisa? Cateriny Thoreau?

– Tego, którego miała między nimi – powiedziałam. – Słyszałam... a może gdzieś wyczytałam... że Lisa wyjechała, żeby pobierać lekcje u jakiegoś nauczyciela i że to on dał jej ten naszyjnik.

Jeannie wpatrywała się we mnie z nieodgadnioną miną.

– Cóż. – Była jakby skonsternowana. – Może pomyliłam ten naszyjnik z jakimś innym. – Pospiesznie odłożyła zdjęcie na stół.

– Wiesz, kto to był? – spytałam. – Ten nauczyciel, do którego Lisa wyjechała?

– Szczerze mówiąc, niewiele pamiętam z tamtych lat. To było dawno temu. Christine wtedy wybyła z grupą przyjaciół za ocean i strasznie się o nią martwiłam. – Wymownie spojrzała na zegarek. – Muszę lecieć. Wpadłam tylko sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku. Ogromnie się cieszę, że ruszyłaś z robotą, Christine na pewno będzie wniebowzięta.

Wyszła bez pożegnania. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, uznałabym, że w ostatnich minutach dziwacznie się zachowywała, ale ponieważ chodziło o Jeannie, stwierdziłam, że taki jej urok i tyle.

Wzruszyłam ramionami i wróciłam do przeglądania zawartości szafek, odkładania dokumentów z ostatnich trzech lat, które wydawały się ważne, oraz wyrzucania reszty do śmieci. Przy pracy cały czas jednak zastanawiałam się nad tym, która opowieść o wisiorcu jest prawdziwa. Czy to w ogóle miało znaczenie? Ja go nie dostrzegałam.

O ósmej prawie dobrnęłam do ostatniej szafki, najbliższej ścianie zastawionej płytami winylowymi. Na środku salonu leżało pięć wypchanych po brzegi worków na śmieci. Nie znalazłam zupełnie nic, co naprowadziłoby mnie na trop siostry, a mimo to czułam, że osiągnęłam sukces; wreszcie odfajkowałam przynajmniej jeden punkt z mojej listy rzeczy do zrobienia.

Musiałam odsunąć duży, tapicerowany fotel na bok, żeby dostać się do tej ostatniej szafki, i kiedy tylko otworzyłam jej drzwi, zorientowałam się, że różni się od pozostałych. Tu dokumenty pochowane były w trzech pudłach, nie walały się luzem. Smutno mi się zrobiło na ten widok. To musiały być papiery mamy. Na pierwszym pudle wykaligrafowała swoim charakterystycznym pismem: *Sprzęt AGD*. Na drugim: *Dzieci*. Na trzecim: *Akt małżeństwa, ubezpieczenie itd.*

Wyjęłam pudło oznakowane *Dzieci* i położyłam je na podłodze. Poczułam leciutkie ukłucie strachu, że w środku znajdę dokumenty adopcji, ale nie wierzyłam już ani jednemu słowu Verniece. Nie wiedziałam, z jakiego powodu opowiadała mi te bajki. Może to był element szatańskiego planu jej i Toma, aby mnie złamać.

Uniosłam wieko i zobaczyłam, że pudło wypchane jest teczkami. Widok starannego pisma mojej mamy na wystających z nich zakładkach znów przyprawił mnie o skurcz serca. Wyciągnęłam teczkę z naszymi starymi świadectwami. Moje i Danny'ego były wydrukami z komputera, te mojej siostry – ręcznie wypełnionymi formularzami, zapewne stosowanymi w nauczaniu domowym. Sądząc z tego, co pisali o mnie nauczyciele z podstawówki, byłam wzorową uczennicą. Danny wręcz przeciwnie. Okropnie się czułam, czytając o jego trudnym dzieciństwie, zwłaszcza w świetle moich doświadczeń jako szkolnego psychologa i wiedzy o tym, jak moi rodzice go okłamywali... manipulowali nim, tak to należy nazwać. *Są różne rodzaje maltretowania*, powiedział mi.

Przeczytałam uwagi jego nauczycieli. „Danny stara się być grzeczny, ale nie potrafi panować nad sobą, co prowadzi do bójek z innymi uczniami i złego zachowania na lekcjach”. Przejrzałam jego świadectwa z dwóch tylko lat i wcisnęłam je z powrotem do pudła. Zbyt boleśnie było myśleć o tym, jak musiał się czuć, gdy w głębi serca wiedział, że jego siostra kogoś zabiła, ale od rodziców słyszał, że „coś źle zapamiętał”.

W pudle leżała gruba, białateczka poświęcona w całości Lisie. Nagrody, które zdobyła. Dyplomy. Właśnie przeglądałam zawartość, kiedy zobaczyłam napis na kolejnej teczce: „Akty urodzenia”. Przypomniał mi się artykuł internetowy z radą, że kto chce sprawdzić, czy jest adoptowany, powinien zajrzeć do swojego aktu urodzenia. Wydawało się, że czytałam go wiele miesięcy temu, a nie raptem parę tygodni wcześniej. „Sprawdź swoje miejsce urodzenia”, sugerował autor. Wsunęłam rękę do teczki i wyjęłam trzy dokumenty. Lisa i Danny urodzili się w szpitalu Mount Vernon w Alexandrii w stanie Wirginia, ale mój akt urodzenia mówił zupełnie co innego: „Miejsce urodzenia: Szpital Misyjny, Asheville, Karolina Północna”. Przez chwilę wpatrywałam się w te słowa z niedowierzaniem, po czym przypomniałam sobie, kiedy pierwszy raz zobaczyłam ten dokument. Miałam wtedy jakieś dziesięć lat i zapytałam mamę, dlaczego się urodziłam w Asheville. „Byliśmy z tatusiem u pani Lyons w Asheville, kiedy przyszedł na świat”, odpowiedziała. Wtedy uznałam, że to najzupełniej logiczne, teraz jednak nagle uznałam to za dziwne. Po urodzeniu ważyłam prawie cztery kilogramy. Wcześniakiem więc raczej nie byłam. Moi rodzice mieszkali wówczas w północnej Wirginii. Czy wybraliby się w wielogodzinną podróż tak blisko terminu porodu?

„Znaleźli dziewczynkę oddaną do adopcji tu, w Karolinie Północnej”, powiedziała Verniece.

Ogarnęło mnie przerażenie. Przypomniałam sobie pierwsze spotkanie z Christine. To, jak ścisnęła moje ręce. Ton, jakim oświadczyła: „Jesteś taka ładna, prawda, mamo, że jest ładna?”.

– Proszę, nie – szepnęłam. Pomyślałam o ciemnych, falujących włosach Christine, jakże podobnych do moich własnych.

Jeszcze chwilę wpatrywałam się w mój akt urodzenia, w nazwiska moich rodziców. Gorąco pragnęłam, żeby byli moimi rodzicami biologicznymi! Musiałam poznać prawdę. Musiałam. Sięgnęłam po telefon.

## 45.

Kiedy do niej zadzwoniłam, Jeannie właśnie przygotowywała ofertę dla kupca na dom, ale musiała usłyszeć drżenie mojego głosu, gdyż obiecała przyjechać natychmiast, jak skończy. Przez następną godzinę niszczyłam stare rachunki za media i dokumentację medyczną taty. Chwała Bogu, robota nie wymagała myślenia i szła powoli. Do chwili, gdy Jeannie zajechała przed dom, uporałam się tylko z jednym workiem na śmieci.

Otworzyłam drzwi i wyszłam boso na ganek. Patrzyłam na nią, kiedy wysiadła z samochodu i pospiesznie ruszyła chodnikiem, ubrana w białą bluzkę, jasną jak neon pośród ciemności.

– Co się dzieje? – spytała, osłaniając dłonią oczy od światła na ganku. – Przez telefon wydawałaś się wzburzona.

Bez słowa usiadłam na najwyższym stopniu. Weszła na górę i klapnęła obok mnie.

– Co się stało? – ponowiła pytanie.

– Znalazłam kopię mojego aktu urodzenia. – Spojrzałam jej prosto w oczy. – Powiedz mi prawdę, Jeannie. Czy Christine jest moją matką? A ty moją babcią?

Zrobiła wielkie oczy.

– Nie! – zawołała. – Oczywiście, że nie! Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie kłam! – warknęłam. – Nie zniosę więcej... kłamstw i mydlenia oczu.

– O czym ty mówisz?

– Urodziłam się w Asheville – powiedziałam. – Zupełnie o tym zapomniałam, ale właśnie znalazłam kopię aktu urodzenia. Verniece mówiła, że rodzice przygarnęli dziecko oddane do adopcji w Karolinie Północnej. Jak wyjaśnisz fakt, że urodziłam się w Asheville, skoro moja rodzina mieszkała w Wirginii?

Jeannie spojrzała na ciemne podwórko. Przez chwilę milczała.

– Christine w wieku siedemnastu lat opuściła dom – wyznała wreszcie. – Kiedy się urodziłaś, była w Amsterdamie, pewnie tak naćpana, że nie wiedziała, jak się nazywa. Dopiero od kilku lat nie bierze. Między innymi dlatego ta praca przy wyprzedaży majątku jest dla niej tak ważna. Chce się tym zajmować zawodowo. Potrzebuje tego.

– Aha – powiedziałam cicho, świadoma, że Jeannie wyznała mi coś bolesnego. Byłam jednak zbyt zaprzątnięta własnymi myślami, żeby drażyć ten temat. – To dlaczego w moim akcie urodzenia widnieje Asheville? – spytałam. Przemknęło mi

przez myśl, że może to sama Jeannie jest moją biologiczną matką.

Znów spojrzała w stronę ulicy i westchnęła ciężko, z rezygnacją.

– Lisa nie wyjechała po to, żeby pobierać lekcje skrzypiec. Mieszkała ze mną w Asheville dotąd, aż urodziła dziecko. – Odwróciła do mnie twarz widmowo bladą w świetle z ganku. – Aż urodziła ciebie.

Minęła chwila, zanim jej słowa do mnie dotarły. Poczułam mdłości, ganek zawirował wokół mnie i chwyciłam krawędź schodka, żeby zatrzymać kręcący się świat.

– O nie – szepnęłam. Wstałam i ignorując zawroty głowy, zesłam na ciemny trawnik. Trawa wydawała się obca i chłodna pod moimi bosymi stopami. Zrobiłam kilka kroków w stronę ulicy, po czym odwróciłam się, żeby spojrzeć na dom, w którym dorastałam. Okna salonu jaśniały złocistym światłem, lampa na ganku wydobywała z mroku ozdobne wykończenia i odłazący płat żółtej farby. Wszystko to rozmywało mi się przed oczami. Wiodłam w tych czterech ścianach fałszywe życie.

Jeannie wpatrywała się we mnie z najwyższego stopnia schodów. Coś mówiła, ale równie dobrze mogłaby być w sąsiednim mieście. Żadne słowa nie przebijały się przez brzęczenie w mojej głowie.

Osunęłam się na trawnik, dostrzegając jak przez mgłę Jeannie zbiegającą po schodach. Jak rodzice mogli trzymać to przede mną w tajemnicy? Kłamali. Zamierzali na zawsze ukryć prawdę.

Potem jednak pomyślałam o Lisie, której nigdy nie było dane mieszkać w tym domu. Jaki strach i ból musiała cierpieć? Jak wielki wstyd? No i jej kariera... Nic dziwnego, że oduczyła się grać. Nie było żadnego tajemniczego nauczyciela. Tylko tajemnicze dziecko. Ja.

Jeannie przypadła do mnie. Słyszałam jej ciężki oddech, kiedy usiadła obok w swoim odprasowanym kostiumie i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nic ci nie jest?

Bez słowa spojrzałam w niebo. Gwiazdy i księżyc zlewały się w mgłę utkaną ze światła i ciemności.

– Nikt nie chciał, żebyś o tym wiedziała – dodała cicho.

Zamknęłam oczy i siedziałam nieruchomo, aż wrócił mi głos.

– Co się stało? – spytałam wreszcie, patrząc na nią. – Wysłali ją do ciebie, kiedy była w ciąży, a wszystkim powiedzieli, że znalazła sobie nowego nauczyciela?

– Otóż to – odparła. – Deb... twoja mama... zadzwoniła zapłakana i spytała, czy Lisa mogłaby na czas ciąży zamieszkać u mnie. Była znana w kręgach muzycznych i twoi rodzice chcieli oszczędzić jej niepożądanego rozgłosu. Bali się, że to zniszczyłoby jej karierę. Dopiero w czwartym miesiącu powiedziała im, co się stało. Początkowo planowali oddać jej dziecko do adopcji, ale im bliżej było terminu porodu, tym dobitniej sobie uświadamiała, że nie mogłaby się na to zdobyć. Dlatego



twoi rodzice postanowili adoptować jej córkę... ciebie... kiedy przyjdiesz na świat.  
– Podniosła dłoń do mojego policzka i odgarnęła kosmyk włosów. Czule. – Po porodzie Lisa spędziła u mnie jeszcze parę tygodni, dla niepoznaki. A Stevenowi i innym twoi rodzice powiedzieli, że postanowiła na jakiś czas zmienić nauczyciela.

Byłam zbyt oszołomiona, żeby wydobyć z siebie choćby słowo.

– Musisz wybaczyć rodzicom – ciągnęła Jeannie. – Planowali powiedzieć ci prawdę, kiedy będziesz na tyle dojrzała, żeby ją zrozumieć, ale zważywszy na wszystko, co się potem wydarzyło... zarzuty przeciwko Lisie, jej samobójstwo... uznali, że lepiej, abyś nic nie wiedziała.

– Czyli... to ty dałaś jej ten wisiołek.

Skinęła głową.

Pomyślałam o zdjęciu leżącym na stoliku w domu. Lisa i Matty. *Jak bliźnięta syjamskie*, stwierdziła Jeannie.

– To Matty jest moim ojcem?

Odblask światła z ganku zatańczył w jej oczach, kiedy skinęła głową.

– Zawsze tak sądziliśmy, choć Lisa kategorycznie zaprzeczała. Twierdziła, że ojcem był chłopak, którego poznała na jednym z festiwali. W Rzymie. Pewnie nie można tego wykluczyć, ale Lisa i Matty zawsze byli nierozłączni... dlatego kiedy się urodziłaś z tymi ciemnymi loczkami na głowie, wszyscy uznaliśmy, że sprawa jest jasna. Byli tacy młodzi, ona i Matty. Może... pojęcia nie mam, eksperymentowali czy coś. O ile wiem, nigdy nic mu nie powiedziała. Kiedy mieszkała u mnie, często rozmawiali przez telefon, ale z tego, co zdołałam usłyszeć, głównie opowiadała mu o tym, jakie poznaje nowe techniki gry na skrzypcach, gdy tak naprawdę w tym czasie praktycznie nie brała instrumentu do ręki. Była w głębokiej depresji. – Głos Jeannie załamał się. – Zawsze żałowałam, że nie mogłam jej pomóc. Więcej dla niej zrobić. Pewnie powinna była brać jakieś leki.

– Muszę przynieść to zdjęcie. – Wstałam. Mięśnie nóg mi drżały, kiedy szłam w stronę domu. Wspięłam się po stopniach na ganek i przestąpiłam próg salonu. Wydawało się, że minęło wiele dni od czasu, kiedy byłam w tym pokoju i przeglądałam zawartość szafek. Wzięłam zdjęcie Lisy z Mattym ze stolika. Nagle stało mi się jeszcze droższe i czule je przytuliłam. Kiedy wyszłam z nim na zewnątrz, Jeannie znów siedziała na najwyższym schodku, ocierając oczy chusteczką. Przysiadłam się do niej i położyłam sobie fotografię na kolanach tak, żeby padało na nią światło. Ta kędzierzawa czupryna Matty'ego zdawała się rozwiewać wszelkie wątpliwości.

– Wiesz, gdzie on jest? – spytałam.

– Matty? Nie mam pojęcia. Słyszałam, że brał lekcje u Stevena aż do jego śmierci.

– Nazywa się Harrison, prawda?

Skinęła głową i położyła dłoń na moim kolanie.

– Lisa była dobrą dziewczyną, Riley – powiedziała. – Bardzo się do siebie zbliżyliśmy, kiedy mieszkaliśmy razem. Czułam, że zawiodłam Christine, więc z całego serca chciałam pomóc Lisie i żyło mi się z nią naprawdę lekko w porównaniu z tym, co przechodziłam z moją krnąbrną córką. Ja pracowałam, ona pomagała w domu. Byłam wtedy księgową w przychodni w Asheville. Miałam psa, który tak się przywiązał do Lisy, że mnie prawie nie zauważał, i był zrozpaczony, kiedy wyjechała. Ja zresztą też. – Uśmiechnęła się. – Świetnie ją poznałam. Pewnie jeszcze lepiej niż twoi rodzice, bo wobec mnie mogła być bardziej otwarta niż wobec nich. Jesteś psychologiem. Wiesz, jak to czasem bywa.

– Ale nie powiedziała ci, czy ojcem był Matty?

– Nie wnikałam w to. – Zmieniła pozycję na twardym schodku. – Dzięki temu się przede mną otworzyła. Bo nie ciągnęłam jej za język. Kochałam ją. – Jej oczy znów zaszyły mgłą. – Smutno mi było po jej wyjeździe. Tęskniłam za nią. Była taka kochana.

*Jak ona mogła mnie opuścić?*, pomyślałam. Czułam się osamotniona jak nigdy. *Upozorowała samobójstwo i bez skrupułów mnie zostawiła.* Jak mogłabym kiedykolwiek się z tym pogodzić? Ale nie mogłam tego powiedzieć Jeannie. Ona wciąż sądziła, że Lisa nie żyje.

– Czy rodzice byli na nią źli? – spytałam. – O to, że zaszła w ciążę? – W tej chwili uświadomiłam sobie coś, co mocno mną wstrząsnęło: mój ojciec tak naprawdę był moim dziadkiem. Moja matka babcią. Danny w rzeczywistości był moim wujkiem. Objęłam się ramionami, nagle głęboko zasmucona. W ciągu kilku minut straciłam całą rodzinę, jaką znałam. Straciłam jedyne go brata.

– Jeśli tak, przy mnie tego nie okazywali. Kiedy już pogodzili się z tym, co się stało, i postanowili adoptować dziecko Lisy, myślę, że twoja matka była wręcz szczęśliwa.

– Byłaś przy moich narodzinach? – spytałam.

Po krótkim wahaniu Jeannie westchnęła, jakby w tej chwili zdecydowała się odpowiedzieć na wszelkie moje pytania.

– Chodźmy do środka – zaproponowała. – Dłużej nie wysiedzę na tym twardym schodku.

Weszłam za nią do domu i ominęłyśmy wypchane worki ze śmieciami blokujące dostęp do kanapy. Jeannie usiadła ciężko, po czym wzięła ode mnie zdjęcie Lisy i Matty’ego.

– Któregoś ranka zadzwoniła do mnie do pracy i powiedziała, że odeszły jej wody i że zaczęły się skurcze – powiedziała, wpatrzona w fotografię. – Wiedziała, czego się spodziewać, bo dużo o tym rozmawialiśmy. Od razu zadzwoniłam po twoich rodziców, żeby mogli na czas przyjechać do Asheville. Zostawili Danny’ego u znajomych. Nie zdążyli. Byłam z Lisą na sali porodowej. Nie będę kłamać, że poszło gładko. Że nie cierpiała. Bała się, ja też, ale w końcu jakoś razem dałyśmy

radę. – Spojrzała z uśmiechem w dal i zrozumiałam, że Jeannie naprawdę kochała moją siostrę. Moją matkę.

– A potem cię przytuliła – ciągnęła. – I obsypała pocałunkami. Nie wyobrażam sobie, by mogła cię oddać komukolwiek spoza rodziny. Nie byłaby w stanie się z tobą rozstać. Bardzo cię kochała.

Zamrugałam, żeby osuszyć łzy wywołane obrazem Lisy tulącej mnie do piersi.

– Jej wisiorek. – Jeannie wskazała na zdjęcie. – Dostała go ode mnie zaraz po tym, jak się urodziłaś. Okłamałam cię co do znaczenia tych chińskich symboli. Ten z przodu oznacza „matka”, a ten na odwrocie „córka”. Powiedziała, że nigdy go nie zdejmie.

Po wyjściu Jeannie siedziałam na kanapie w ciemnym salonie, wpatrzona w pustkę. Byłam otępiała, to przede wszystkim. Gdzieś tam żyła moja prawdziwa matka. Teraz jeszcze bardziej zależało mi na tym, żeby ją odnaleźć, tyle tylko, że nie chciała zostać odnaleziona.

I wtedy, w mroku, zaczęłam myśleć o żyjącym gdzieś tam mężczyźnie, który najprawdopodobniej był moim ojcem.

## 46.

Znalazłam go.

Choć nazwisko miał dość pospolite, namierzyłam Matthew Harrisona bez trudu. O pierwszej w nocy, wciąż siedząc na kanapie z komputerem na kolanach, odszukałam oficjalną stronę internetową i dziesiątki jego zdjęć. Nosił prawie taką samą fryzurę jak za młodu – burzę ciemnych loków – i był przystojnym mężczyzną o zabójczym uśmiechu. Miał czterdzieści lat, tyle, ile teraz miałyby Lisa.

Mieszkał w Baltimore i uczył w Konserwatorium Peabody'ego wchodzącym w skład Uniwersytetu Johns Hopkinsa. Wpatrywałam się w zdjęcia Harrisona ponad godzinę, szukając – i łatwo odnajdując – siebie w jego rysach. Według notki biograficznej miał żonę i dwie córki, bliźniaczki. Czy były moimi przyrodnimi siostrami? Czy miałam rodzinę w Baltimore? Szukałam ich zdjęć na wszystkie znane mi sposoby, bez powodzenia.

Spędziłam niemal bezsenłą noc, bo wiele razy wstawałam z łóżka, włączałam komputer i patrzyłam na człowieka, którego uważałam za swojego ojca. Zastanawiałam się, co mu powiem, kiedy się z nim skontaktuję, bo zamierzałam do niego zadzwonić z samego rana. Musiałam to zrobić, koniecznie. Był tak blisko związany z Lisą. Czy wiedział, że ona żyje? Czy mógł wiedzieć, gdzie jest?

O wpół do ósmej nastawiłam kawę i cała w nerwach obserwowałam, jak się parzy. Potem przeszłam z filiżanką do salonu, usiadłam na kanapie i niespokojnie czekałam do dziewiątej, zanim zadzwoniłam do konserwatorium.

– Hm, pan Harrison właśnie wyjechał do Japonii z grupą młodzieży – oznajmiła kobieta, która odebrała. Zrobiło mi się ciężko na sercu i przez chwilę byłam dezorientowana, bo wciąż wyobrażałam go sobie jako chłopca ze zdjęcia z Lisą, nastolatka na wycieczce z rówieśnikami, gdy w rzeczywistości najpewniej pojechał tam jako opiekun. – Może pani mu się nagrać na automatyczną sekretarkę, chociaż sądzę, że odsłucha wiadomości nie wcześniej niż po powrocie, za dwa tygodnie – dodała kobieta. – Przełączyć panią?

– To pilna sprawa – powiedziałam. Całą noc planowałam tę rozmowę, czułam więc, że nie mogę jej przełożyć nawet o minutę, a co dopiero o dwa tygodnie. – Można się z nim jakoś skontaktować już teraz?

- Niestety nie – odparła. – Ewentualnie mogę pani podać jego służbowy mejl.
- Dobrze – powiedziałam. Zapisałam adres, który odczytała, choć wiedziałam, że z niego nie skorzystam. Bałam się, że kliknę „wyślij” i nigdy nie dostanę odpowiedzi. Będę musiała poczekać na jego powrót.

Tej nocy leżałam w łóżku z mocno zaciśniętymi powiekami i myślałam o tym, jak zmienił się mój świat przez ostatnich parę dni. Chciałam odzyskać dawne życie, kiedy doskonale wiedziałam, kim jestem, ono jednak bezpowrotnie odeszło.

Uznałam, że i tak nie zasnę, więc zapaliłam lampkę na stoliku nocnym. Obok leżała powieść, do której praktycznie nie zajrzałam od wyjazdu z Durham, i wczorajszy numer „Sun Journal”, gazety z New Bern. Pragnąc zająć czymś myśli, zaczęłam go przeglądać. U dołu jednej ze stron zauważyłam zapowiedź koncertu w Union Point Park – to samo ogłoszenie, które znalazłam przyczepione taśmą do ściany kampera ojca, z tym samym zdjęciem, co na pocztówce do Freda Marcusa. Jasha Trace. Dwaj mężczyźni i dwie kobiety stali na wąskiej ścieżce ciągnącej się po horyzont przez łąkę. Każde z nich trzymało instrument: banjo, gitarę, mandolinę, skrzypce. A skrzypaczka miała na szyi owalny, biały wisiołek.

Usiadłam prosto, wstrzymując oddech. Oparłam łokieć na stoliku nocnym i obejrzałam ziarnistą fotografię w świetle lampki. Niepotrzebnie wyrzuciłam pocztówkę. Nagle przypomniało mi się, co Tom mówił o nowych nazwiskach chronionych świadków. *Zwykle nadawaliśmy im takie nazwiska, żeby inicjały pozostały bez zmian.* Frank MacPherson. Fred Marcus. Właściciel skrytki pocztowej. Jedna i ta sama osoba: mój ojciec. *O Boże.* Tata był w kontakcie z Lisą! To musiał być jej zespół.

Wyskoczyłam z łóżka i wciągnęłam na siebie szorty i T-shirt, przeklinając się w duchu za to, że dałam Kyle’om klucz od kampera mojego ojca. Przypomniałam sobie, że Christine zostawiła mi w gabinecie torebkę z kluczami. Pobiegałam tam, zapaliłam światło i przekładałam rzeczy na półce dotąd, aż znalazłam małą, plastikową torebkę. Wcisnęłam ją do kieszeni i zesłam na dół. Poszukałam w spizarce latarek, które tata zwykle tam trzymał. Christine pewnie je gdzieś przeniosła, przy okazji niewątpliwie opatrując wszystkie cenami. Trudno. Jakoś sobie poradzę bez latarki.

Powietrze na zewnątrz było nieruchome. Spały nawet świerszcze i żaby. Wsiadłam do samochodu i pojechałam w mroku na kemping. Najciszej, jak mogłam, skręciłam na żwirową drogę i zgasiwszy światła, zatrzymałam się na wylanym cementem placu obok kampera taty. Było cicho i ciemno, drzewa przesłaniały blask księżyca. Zapaliłam lampkę sufitową i przejrzałam klucze, usiłując sobie przypomnieć, jak wyglądał klucz od kampera. Wybrałam parę najbardziej prawdopodobnych i wysiadłam, ściskając je w garści.

W świetle telefonu komórkowego wypróbowałam pierwszy klucz. Pasował, choć musiałam trochę nim pokręcić w jedną i drugą stronę, zanim drzwi kampera otworzyły się ze skrzypieniem. Wszedłszy do środka, zapaliłam słabą lampę nad blatem kuchennym i ulżyło mi, kiedy zobaczyłam, że wnętrze wygląda dokładnie tak jak podczas mojej ostatniej wizyty. Tom jeszcze niczego nie ruszył. Płyty kompaktowe wciąż stały w rzędzie między dwoma kamieniami, wycięte z gazety ogłoszenie wisiało przyklepione do ściany obok zdjęcia małego chłopca i dziewczynki. Odczepiłam tę fotografię, by zabrać ją ze sobą. Nie miałam pojęcia, kim są te dzieci, ale coś dla mojego ojca znaczyły.

Przejrzałam kompakty. Znalazłam trzy płyty Jasha Trace. Na okładce każdej z nich widniało inne zdjęcie czwórki muzyków, na wszystkich skrzypaczka miała na szyi owalny, biały wisior. Fotografie były nieco wystylizowane, przez co nawet kiedy padało na nie światło lampy, nie bardzo mogłam rozróżnić rysy członków zespołu. Skrzypaczka nie była ani jasną blondynką jak Lisa, ani brunetką. Druga kobieta miała ciemne włosy, krótkie po bokach, z przodu opadające na skroń. Obaj mężczyźni, brunet i blondyn w okularach, wyglądali trochę niechlujnie, włosy omiatały im kołnierze.

Otworzyłam jedną z płyt i wyjęłam wkładkę. Pod tekstami piosenek widniały nazwiska muzyków: *Jade Johnson*. Tak! *Celia Lind*. *Travis Sheehan*. *Shane Lind*. Mąż Celi? Może Jade i Celia jednak nie były parą?

Ostrożnie odczepiłam ogłoszenie od ściany i obejrzałam je w świetle. *Jasha Trace*. *Darmowy koncert w Union Point Park. 13 lipca, 20.00*.

Dotknęłam twarzy Lisy, a potem wisiora z chińskimi znakami. *Matka i córka*. Mocno przycisnęłam zdjęcie do serca i chwilę siedziałam nieruchomo z zamkniętymi oczami.

Moja matka przyjeżdża do New Bern.

## 47.

Po powrocie do domu siedziałam przy sekretarzyku taty i szukałam w Internecie informacji o Jasha Trace, słuchając znalezionych płyt kompaktowych. Próbowałam odróżnić głos Lisy od głosu Celi, niepewna, który jest który; żałowałam, że tego nie wiem. Niektóre piosenki były żywe, skoczne, inne, smutne i piękne, stanowiły przejmującą ilustrację dźwiękową do odnajdywanych przeze mnie informacji. Teraz, kiedy wiedziałam, na której Jade Johnson się skupić, z łatwością dostrzegałam szczegóły. Trudniej jednak się je czytało.

Znalazłam stronę internetową Jasha Trace z notkami biograficznymi wszystkich muzyków. Przeczytałam fikcyjny życiorys Lisy. Jade Johnson rzekomo dorastała w Los Angeles jako jedyne dziecko lekarza i pielęgniarki, którzy, jakże dogodnie, już nie żyli, przez co nikt tego faktu nie mógł zweryfikować. W wieku trzynastu lat nauczyła się grać na skrzypcach, później samodzielnie opanowała grę także na paru innych instrumentach. Przez kilka lat mieszkała w Portland, a w 1999 roku przeprowadziła się do Seattle, gdzie była muzykiem ulicznym na Pike Place Market i prowadziła kawiarnię. Mieszkała ze swoją żoną i współkompozytorką, Celią Lind, oraz dwójką ich dzieci.

*Żona. Dwójka dzieci.* Wbiłam wzrok w zdjęcie chłopca i dziewczynki, które odczepiłam od ściany kampera taty. Dzieci Lisy? Czy byłam spokrewniona z tymi dwoma małymi rudzielcami? Jak mój ojciec zdobył tę fotografię? Te płyty? Czy przez te wszystkie lata utrzymywał kontakt z Lisą? Czy porozumiewali się, korzystając ze skrytki pocztowej?

Na stronie internetowej znalazłam doskonałej jakości zdjęcie całego zespołu. Czterdziestoletnia Jade Johnson w niczym nie przypominała Lisy ze starych fotografii. Domyśliłam się, że przez te wszystkie lata farbowała swoje charakterystyczne, białe blond włosy na brązowo. Była więcej niż pospolitej urody, ale nie nazwałabym jej ładną, i wyglądała, jakby nie stosowała makijażu, choć na pewno ufarbowała jasne brwi, by kolorem pasowały do włosów, i pociągnęła tuszem blond rzęsy. Na jedynym zbliżeniu jej twarzy towarzyszącym notce biograficznej zobaczyłam, że oczy miała jaskrawoniebieskie, jak Danny. Szeroki uśmiech sprawiał, że wydawała się beztroska i pewna siebie.

Dalej przeglądałam stronę internetową, po czym trafiłam na Wikipedię, gdzie

znalazłam dalsze informacje o Lisie.

### **Jasha Trace**

Jasha Trace to amerykański zespół folkowy z Seattle, w którego skład wchodzi Jade Johnson, Travis Sheehan oraz rodzeństwo Celia i Shane Lind. Choć wszyscy czworo grali muzykę przez niemal całe swoje dorosłe życie, razem po raz pierwszy wystąpili publicznie dopiero w 2006 roku w Spoon and Stars, kawiarni prowadzonej przez Johnson w Seattle. Nazwa zespołu, Jasha Trace, powstała w wyniku połączenia pierwszych sylab imion jego członków. Swoją muzykę określają jako „celtycki szkocki bluegrass”. Celia Lind i Johnson wspólnie piszą piosenki, aranżacje zaś są dziełem całego kwartetu.

Jade Johnson i Celia Lind, otwarcie przyznające się do orientacji homoseksualnej, pobrały się 29 grudnia 2012 roku, kilka tygodni po zalegalizowaniu jedнопłciowych małżeństw w stanie Waszyngton. Mają dwoje dzieci, Alexa urodzonego w 2001 roku i Zoe urodzoną w 2004 roku. Lind jest ich biologiczną matką, a Johnson oficjalnie oboje adoptowała zaraz po ich narodzinach.

Wstałam od sekretarzyka i krążyłam po pokoju, obejmując się rękami, z paznokciami wbitymi w skórę ramion. Czułam się skrzywdzona. Odrzucona, zapomniana i strasznie samotna. Smutek nękający mnie od śmierci taty i zerwania z Bryanem powrócił z pełną mocą. Byłam niechcianą komplikacją w życiu Lisy. Stworzyła sobie nową przyszłość. Założyła nową rodzinę. Ostatnie, czego teraz chciała, to zderzenie jej przeszłości z terażniejszością.

Różowe światło brzasku wsączało się przez okna salonu. Czułam się wyczerpana, fizycznie i psychicznie. Znów usiadłam przy sekretarzyku. Za plecami usłyszałam, jak odtwarzacz kompaktów z głośnym trzaskiem przeskakuje z drugiej płyty na trzecią, i zaczęła się kolejna piosenka Jasha Trace, utrzymana w dobrze mi teraz znanym stylu.

*Ściskam, Celia.*

Te słowa nagle wpadły mi do głowy i usiadłam prosto. Przypomniałam sobie, że tak podpisany był jeden z mejli do ojca. Myślałam, że miał romans z kobietą o tym imieniu. Chyba grubo się myliłam.

Zerwałam się na równe nogi i pognałam po schodach do jego gabinetu, gdzie na biurku wciąż stał komputer – jakoś nie mogłam się zabrać do czyszczenia twardego dysku. Włączyłam sprzęt i wpisałam hasło „newbern”, po czym wstrzymując oddech, czekałam, aż ten gruchot obudzi się do życia. Minęło kilka minut, zanim znalazłam skrzynkę elektroniczną taty, i kolejnych kilka, nim odszukałam wiadomości podpisane „Celia”. Nie było wielu mejli od niej i przeczytałam je tak, jak wyskoczyły na ekranie, od najnowszego do najstarszego, z wieloletnimi przerwami.



To najlepsza kartka urodzinowa na świecie. Jesteś niesamowity! Ściskam, Celia

Zajrzałam do katalogu „Wysłane”, żeby zobaczyć, czy wysłał tę kartkę pocztą elektroniczną, ale zachował niewiele listów. Poprzedni mejl od Celi przyszedł cztery lata wcześniej.

7 lipca 2008

F, bardzo Ci dziękuję za Twoje ciepłe słowa. Wiem, że nie znałeś Charliego osobiście, ale wiele znaczył dla J i mnie – było nie było, to dzięki niemu się spotkałyśmy. Szkoda, że J nie mogła być na nabożeństwie w San Diego, ale ryzyko było za duże. U nas wszystko w porządku. Ściskam, Celia

Pamiętałam to imię: Charlie. Grady o nim wspomniał. Był dziadkiem Celi. Tata musiał utrzymywać bardzo bliskie kontakty z Lisą, skoro go znał – przynajmniej z opowieści – i wiedział o jego śmierci. Szukałam dalej, ale nie znalazłam ani jednego mejla podpisanego przez Lisę. Domyślałam się, że je skasował, ale z tymi nielicznymi od Celi nie wykazywał aż takiej ostrożności.

26 lipca 2005

F,

J zdążyła na samolot. Ma przesiadkę w Charlotte. Jest bardzo poruszona. Zaopiekuj się nią, proszę.

Ściskam, Celia

Długo wpatrywałam się w tę wiadomość. Moja matka umarła 28 lipca 2005 roku. Nagle zrozumiałam pewien incydent, który zawsze mnie intrygował.

Po ukończeniu szkoły średniej spędzałam każdy dzień z mamą; odrzuciłam propozycję pracy jako kelnerka, bo nie chciałam odstępować jej na krok. Wtedy w opiekę nad nią zaangażowało się już hospicjum, wiedziałam więc, że nie pozostało jej dużo czasu.

W przededniu śmierci mamy – dwudziestego siódmego – moja przyjaciółka Grace poprosiła, żebym pojechała z nią na plażę. Tłumaczyłam, że nie mogę; że muszę zostać z mamą. Grace wybuchnęła płaczem, niemal wpadła w histerię. Przekonywała, że musi się wyrwać na kilka godzin. Że koniecznie chce porozmawiać o kłopotach ze swoim chłopakiem. Tata stwierdził, że to niezdrowo, że codziennie przesiaduję przy łóżku mamy, i nalegał, żebym pojechała z Grace.

Leżałyśmy parę godzin na plaży i Grace opowiedziała mi o swojej zupełnie niedorzecznej kłótni z chłopakiem. Wydawała się nieszczerze przejęta i byłam poirytowana, że odciągnęła mnie od mamy tylko po to, żeby mieć się z kim poopalać. Wygarnęłam jej to prosto w oczy. Nazwałam ją samolubem, a ona w końcu wyznała:

– Nie mnie się czepiaj, tylko swojego ojca! Zadzwoił do mnie wczoraj wieczorem, powiedział, że musisz trochę odpocząć i żebym pod byle pretekstem wyciągnęła cię z domu.

Wpadłam w panikę. Czy to tego dnia mama miała umrzeć? Czy tata to wiedział i nie chciał, żebym przy tym była? Porwałam ręcznik z piasku.

– Wracamy! – krzyknęłam do Grace i pobiegłam do samochodu.

Po godzinie dotarłyśmy do New Bern. Odwiozłam Grace i pojechałam do siebie. Na podjeździe stał obcy samochód. Zaparkowałam przy krawężniku i kiedy szłam przez podwórko, tata zbiegł do mnie po schodach z ganku.

– Co tutaj robisz? – spytał. Był blady, miał ściągniętą twarz, jakby przez noc stracił na wadze.

– Grace powiedziała mi, że z plażą to był twój pomysł! – wybuchnęłam. – Dlaczego chciałeś się mnie pozbyć? Co się dzieje? – Próbowałam go ominąć, ale stanął przede mną i złapał mnie za ramiona.

– Musisz odpocząć, Riley – nakazał. – Dzień w dzień tu siedzisz. To niezdrowe.

– Kto przyjechał? – spytałam, wskazując ruchem głowy samochód na podjeździe. Podniosłam oczy na okno mamy i zobaczyłam twarz, która zniknęła tak szybko, że nie byłam pewna, czy mi się nie przywidziała. – Kto to? – dopytywałam.

– Pielęgniarka z hospicjum. – Głos mu drżał. To mnie przeraziło.

– Czy mama umiera? – wyjąkałam. W tej chwili zmroził mnie jeszcze większy strach. – Czy już umarła?

– Nie, nie, skarbie. – Przyciągnął mnie do siebie. Śmierdział potem. Potem wyczerpania raczej niż wysiłku.

– Nie potrzeba mi odpoczynku, tatusiu – zapewniłam. – Chcę być z mamą.

Spojrzał mi prosto w oczy.

– Słuchaj, kochanie. Jesteś dla niej wspianała. Bardzo pomagasz i wszyscy wiedzą, jak mocno ją kochasz. Ale od końca roku szkolnego w ogóle się stąd nie ruszasz i prawda jest taka, że twoja mama i ja chcemy spędzić jeden dzień ze sobą. Tylko we dwoje. Proszę, nie gniewaj się. Po prostu...

– Aha. – Zrobiło mi się głupio, że sama na to nie wpadłam. – Było wcześniej powiedzieć. Zrozumiałabym.

– Bałam się...

– Nie ma sprawy. To ja... – spojrzałam na swój samochód, zastanawiając się, co teraz – ...skoczę do Grace. O której... kiedy mogę wrócić?

Wyjął portfel z kieszeni spodni, wysupłał dwa banknoty dwudziestodolarowe i wcisnął mi do ręki.

– Idźcie z Grace na miasto. – Kiwnął głową w stronę domu. – Daj nam czas do dziesiątej, powiedzmy, jedenastej. Zgoda? – Uśmiechnął się i z ulgą zobaczyłam, że trupia bladość znika z jego twarzy.

Wyściskałam go.

– Powiedz mamie, że ją kocham – poprosiłam.

Teraz zyskałam pewność, że jej tego nie powiedział. Że w ogóle nie wspomniał mojego imienia, kiedy wrócił do pokoju, w którym siedziały dwie moje matki. Widziałam oczami wyobraźni, jak trzymały się za ręce.

Przypomniałam sobie, jak tamtego wieczoru wróciłam do domu. Mama wydała mi się wtedy odmieniona. Jakby lżejsza. Uśmiechnęła się, kiedy przyszedłam życzyć jej dobrej nocy, i pomyślałam: *Tata miał rację. Potrzebowali dnia spędzonego tylko we dwoje.* Teraz wiedziałam, że to odwiedziny Lisy przywołały uśmiech na jej twarzy. Choć miałam żal, że nie zezwolono mi wziąć udziału w tym rodzinnym spotkaniu po latach, byłam wdzięczna Lisie, że do niego doprowadziła.

Następnego ranka mama odeszła. Wieczorem zasiedliśmy z tatą do smutnej, pozbawionej smaku kolacji. W którymś momencie powiedziałam mu, że to takie niesprawiedliwe, że z pięćosobowej rodziny zostało nas tylko troje. „Jesteśmy już tylko ja, ty i Danny, tatusiu”, stwierdziłam, a on odwrócił głowę.

Wtedy myślałam, że tak zareagował, bo moje słowa były zbyt bolesne, i żałowałam, że je wypowiedziałam. Teraz uświadomiłam sobie, że odwrócił się, bo znał prawdę.

2 października 2004

Panie M (nie jestem pewna, jak się do Pana zwracać),

piszę, by Pana powiadomić, że J jest w szpitalu. Wczoraj rano straciła dziecko. To też był chłopiec i obie jesteśmy zdruzgotane. Lekarz nie ma pojęcia, dlaczego tak się stało, ale ja sądzę, że to wiem – J bardzo się martwi o Danny’ego i cierpi na tym jej zdrowie. Nie jest taka sama od czasu, kiedy dostała od Pana wiadomość, jak ciężko został ranny w tym ataku. Bardzo się boi, że on nie przeżyje. Następnego wieczoru, po tym, jak dostała list od Pana, wyszła ze skrzypcami na taras i zagrała Danny Boy. Przepięknie. Sąsiedzi, którzy ją słyszeli, powiedzieli mi, że wzruszyli się do łez. Oczywiście nie wiedzą nic o Danny’em, ale domyślili się, że musiało się stać coś strasznego, skoro J tak smutno gra.

Wini za to siebie. Wie, że niesłusznie, ale to niczego nie zmienia. Nigdy nie była pewna, czy Bóg istnieje, teraz jednak nagle w Niego uwierzyła i wmówiła sobie, że On ją karze. Najpierw rak wykryty u jej matki. Teraz wypadek Danny’ego. Paranoicznie boi się, że w następnej kolejności coś złego spotka R. Chciałabym, żeby Pan z nią bezpośrednio porozmawiał. Ubóstwia Pana i jest głęboko wdzięczna za to, jak Pan jej pomógł. Moja rodzina bardzo ją kocha, ale cała nasza miłość nie zastąpi jej wszystkiego, co utraciła – zwłaszcza że moja rodzina oczywiście nie zdaje sobie sprawy, ile J utraciła.

Dużo ostatnio mówi o R. Wiem, że nie chce Pan, żeby miała jej zdjęcie, ale bardzo by jej się przydało. Czuję się taka zagubiona. Nieważne, ile dzieci będziemy miały, w sercu zawsze zachowa dla niej miejsce. Któregoś wieczoru założyła ten naszyjnik, który przypomina jej o R, i zapowiedziała, że już nigdy go nie zdejmie.

Jeśli uzna Pan, że to bezpieczne, mógłby Pan porozmawiać z nią przez moją, nie jej, komórkę. A może ma Pan lepszy pomysł?

Pozdrawiam, Celia

Ostatni, a właściwie pierwszy mejl od Celi. Przykro mi było, że Lisa straciła dziecko, ale wiedziałam, że przez wiele najbliższych dni w głowie wirować będzie mi tylko to jedno zdanie: „Nieważne, ile dzieci będziemy miały, w sercu zawsze zachowa dla niej miejsce”. Czy to prawda? Czy wystarczy jej w sercu miejsca dla mnie? Koniecznie musiałam się o tym przekonać.

## 48.

Zajęta szukaniem Lisy w Internecie i lekturą wiadomości od Celi nawet nie zauważyłam, kiedy minęła noc. Poszłam spać o siódmej rano, wykończona i rozemocjonowana. Leżałam i nie mogłam zasnąć, świadoma, że nie wolno mi dłużej zachowywać zdobytej wiedzy dla siebie. Musiałam powiedzieć wszystko jedynej osobie, która mogła mnie zrozumieć. Jedynej oprócz mnie, która kochała Lisę... i która – w odróżnieniu od mojego brata – na pewno nigdy nie wyrządziłaby jej krzywdy.

Zaczekałam do ósmej, zanim wybrałam numer Jeannie. Chodziłam po salonie z telefonem komórkowym przy uchu.

– Proszę, tylko nie mów, że cię obudziłam – powiedziałam, kiedy odebrała.

– Już wstałam. – Wyraźnie się zaniepokoiła. – Coś się stało?

– Jesteś w domu? Mogę wpaść? Muszę z tobą porozmawiać. – Nigdy nie byłam u Jeannie, ale wiedziałam, gdzie mieszka.

– Ja przyjadę do ciebie – zaofiarowała się. – Już jestem ubrana.

– Mogłabyś? – Byłam wdzięczna za jej propozycję. Nie wiedziałam, czy byłabym w stanie prowadzić.

– Będę za kilka minut – zapewniła.

Zaparzyłam kawę i usiadłam na kanapie, tak zmęczona, że miałam wrażenie, że śnię. Musiałam się zdrzemnąć, bo nie usłyszałam, kiedy samochód Jeannie zajechał przed dom. Zerwałam się na dźwięk dzwonka u drzwi. Blask poranka wlał się do salonu, kiedy wpuściłam Jeannie do środka.

– Mój Boże, skarbie, koszmarnie wyglądasz. – Wchodząc, pogłaskała mnie po ramieniu. Jej dotyk był ciepły, opiekuńczy. Sprawiał, że chciałam jej ufać.

Zamknęłam drzwi i odwróciłam się do nich plecami.

– Lisa żyje – powiedziałam niemal szeptem, jakby w obawie, że usłyszy mnie ktoś niepowołany.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale wyraźnie zabrakło jej słów. Poznałam po niej, że nie miała o tym pojęcia. Przed nią też mój ojciec wszystko zataił.

– Wiem – przyznałam. – To szok.

– Niemożliwe... – wykrztusiła wreszcie.

– Upozorowała samobójstwo.

Położyła dłonie na policzkach.

– O mój Boże!

– Wybacz, że nie powiedziałam ci wcześniej, ale się bałam. Nie wiedziałam, komu ufać.

Jeannie osunęła się na kanapę.

– Nie do wiary – powiedziała. – Twoi biedni rodzice! Twój biedny ojciec! Przez te wszystkie lata rozpacział i...

– Wiedział o tym – wyznałam. – Pomógł jej.

Wbiła we mnie wzrok i na jej twarzy odbiło się poczucie krzywdy. Doskonale ją rozumiałam. Obie dałyśmy się nabrać.

– Skąd wiesz? – spytała wreszcie. – Jaki miał w tym udział?

Zaczęłam od początku. Nie pomijając żadnego szczegółu, opowiedziałam jej o tym, jak mój ojciec i Tom Kyle pomogli Lisie uciec. Jak zmieniła imię na Jade, zamieszkała w San Diego i poznała Celię. Powiedziałam jej, czego dowiedziałam się o obecnym życiu Lisy z wiadomości od Celi. Wspomniałam, że mają dwójkę dzieci.

– To... – Nie przestawała kręcić głową. – Kompletny obłąd.

Usiadłam obok niej z moim laptopem i weszłam na stronę Jasha Trace. Kiedy na ekranie pojawiło się zdjęcie zespołu, Jeannie delikatnie dotknęła wisiorka na szyi Lisy.

– Niewiarygodne. – Potrząsnęła głową. – Po prostu... zadziwiające.

– Zobacz, Jeannie – kliknęłam na link do planu trasy koncertowej. Położyłam komputer na jej kolanach. – W sobotę wieczorem grają w New Bern.

Jej oczy w świetle ekranu laptopa wyglądały jak dwie wielkie, niebieskie, szklane kulki. Spojrzała na rozkład koncertów, potem na mnie.

– Po co mieliby tu przyjeżdżać? – spytała. – Czy to nie ryzykowne?

– Na pewno chodziło o to, żeby mogła się zobaczyć z tatą – powiedziałam. – Być może nie wie, że on nie żyje. – Weszłam w Google i pokazałam jej, jak wiele linków wyskakuje po wpisaniu „Jasha Trace”. – Wygląda na to, że są dość znani w bluegrassowych kręgach.

– O rany. – Jeannie wpatrywała się w listę stron. Wskazała na jedną z nich. – Co jest tutaj? – spytała.

– Chyba zdjęcia wrzucane przez użytkowników – uznałam i otworzyłam link.

Pojawiła się strona zapełniona miniaturami zdjęć. Kliknęłam na pierwszą z nich i od razu poznałam, gdzie te fotografie powstały: na grudniowym weselu Lisy i Celi.

– Ojej – powiedziała Jeannie, kiedy je przeglądałyśmy. – Nie mieści mi się w głowie, że jest lesbijką. Widocznie Matty był tylko odchyłem od normy. Wydaje się szczęśliwa, nie sądzisz?

Rzeczywiście, wyglądała na szczęśliwą. Chciałam cieszyć się razem z Lisą, kiedy oglądałam zdjęcia, na których tańczyła z Celią, śmiała się z przyjaciółmi, tuliła syna

i córkę, ale z każdą kolejną fotografią coraz trudniej było mi zwalczyć skręcające kiszki poczucie, że zostałam zapomniana.

– O mój Boże! – zawołała nagle Jeannie, kiedy na ekranie wyskoczyło nowe zdjęcie.

Zobaczyłam, o co jej chodzi, jeszcze zanim pokazała palcem prawy górny róg fotografii: mój ojciec gawędził przy stoliku z jakąś starszą kobietą.

– Był tam? – Zabrzmiało to jak pytanie, chociaż nie miałyśmy żadnych wątpliwości. Tata był na tym weselu.

Jeannie przejrzała kolejne zdjęcia, pożądliwie pochyłona nad moim komputerem. Zobaczyłam tatę na kilku z nich; przeważnie stał gdzieś z boku i z kimś rozmawiał. Na jednej fotografii śmiał się z Lisą. Na innej tańczył z kobietą, która musiała być matką Celi, a na jeszcze innej, szeroko uśmiechnięty, grał na klawiszach z zespołem. Pokręciłam głową, trochę zadziwiona, trochę urażona tym, że tata wiódł w tajemnicy przede mną drugie życie.

– Mówiłaś, że kiedy się pobrali? – spytała Jeannie.

– Dwudziestego dziewiątego grudnia. – Tamten tydzień między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem spędziłam z Bryanem u jego rodziców w New Jersey i dzień w dzień wyrzucałam sobie, że zostawiłam tatę i Danny’ego samych. Zwykle dzieliłam swój czas w New Bern między nich obu, ale wiedziałam, że Danny nie przywiązuje wielkiej wagi do Bożego Narodzenia, a tata wprost nalegał, żebym wyjechała z Bryanem. Mimo to sumienie mnie gryzło i codziennie dzwoniłam. Tata nie zawsze odbierał i za każdym razem wyobrażałam sobie, że pewnie się zdrzemnął, żeby zwalczyć przygnębienie spowodowane samotnością podczas świąt. A tu proszę, zamiast tego był w Seattle, gdzie tańczył, prowadził towarzyskie pogawędki i grał z zespołem na weselu swojej córki.

– Namawiałam go, żebyśmy w tamtym tygodniu gdzieś wyjechali. – Jeannie wydawała się równie oszołomiona jak ja. – Ale powiedział, że ma pogrzeb w Seattle. Jakiegoś znajomego kolekcjonera.

– Okłamał cię – stwierdziłam. – Nie było żadnego pogrzebu. – Zaskoczył mnie własny gniew. Ukrywać przede mną, co się naprawdę stało z Lisą, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo – to jedno. Ale beze mnie uczestniczyć aktywnie w życiu jej rodziny to zupełnie co innego.

Jeannie nagle wstała i wyrzuciła ręce do góry w geście frustracji.

– Dlaczego nic mi nigdy nie powiedział, na litość boską? – spytała. – Przecież wiedział, że mnie może ufać!

Doskonale rozumiałam jej ból.

– Mam wrażenie... – szukałam właściwych słów – ...jakby Lisa i tata zrobili wszystko, co w ich mocy, żeby zachować jej istnienie... i kontakty między nimi... w tajemnicy przede mną. – Głos uwiązł mi w gardle i Jeannie spojrzała na mnie

z góry.

– Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak musi ci być ciężko – powiedziała. – Sama czuję się taka... zdradzona. Tobie musi być tysiąc razy gorzej.

Było milion razy gorzej. Położyłam laptopa na stoliku i wstałam. Czułam potrzebę, żeby się ruszyć. Zrobić coś, by wymazać sprzed oczu obraz taty śmiejącego się z Lisą cztery i pół tysiąca kilometrów ode mnie.

– Wiem, że to irracjonalne – powiedziałam – ale mam wrażenie, że na tych zdjęciach śmiali się ze mnie.

Jeannie podeszła i objęła mnie ramieniem.

– Ależ, skarbie, chyba wiesz, że to nieprawda, co? – spytała.

– Sama już nie wiem, co jest prawdą, a co nie jest – odparłam.

– Usiądź. – Pchnęła mnie lekko w stronę kanapy. – Czuję zapach kawy. Pójdę i naleję nam obu. Będzie nam się jaśniej myślało, nie sądzisz?

Skinęłam głową i osunęłam się z powrotem na kanapę. Wysłuchana w krzątanie Jeannie w kuchni, usiłowałam opróżnić głowę z myśli, ale nic z tego, obrazy mojego ojca bawiącego się na weselu Lisy wryły mi się w pamięć zbyt głęboko.

Zauważyłam, że na moim laptopie wyświetliło się powiadomienie o odebranych mejlu, i kliknęłam na nie, zaskoczona – i zaniepokojona – kiedy zobaczyłam, że nadawcą jest Danny. Otworzyłam wiadomość.

Przyjdź wieczorem. Chcę ci coś pokazać.

To nie wróżyło nic dobrego. Danny poruszał się w Internecie znacznie sprawniej niż ja. Jeśli uważał, że Lisa żyje, kto wie, co udało mu się wyszperać?

Jeannie wróciła do pokoju i postawiła kubek na stoliku przede mną.

– Panicznie bała się więzienia, Riley – powiedziała, siadając na drugim końcu kanapy. – Po... no wiesz, zabójstwie i tak dalej Deb często do mnie dzwoniła, strasznie przejęta. Opowiadała, że Lisa nie może spać i bez przerwy płacze. Że ma wyrzuty sumienia, bo odebrała życie człowiekowi, a jednocześnie boi się pobytu w więzieniu z... no wiesz... groźnymi kryminalistkami. Jeśli twój ojciec przedstawił jej możliwe wyjście z tej sytuacji, na pewno skwapliwie z tego skorzystała. Głupio zrobił, ale pewnie rozpaczliwie pragnął ją chronić. Musimy przebaczyć im obojgu. –

Podniosła kubek do ust, ale odstawiła go z powrotem, nie biorąc łyka. – Jak myślisz, Deb wiedziała?

Trzymałam ciepły kubek w dłoniach.

– Chyba dowiedziała się dopiero tuż przed śmiercią – odparłam. – Lisa do niej przyjechała. – Opowiedziałam jej o krótkim mejlu z informacją od Celi, że Lisa zdążyła na samolot, i się popłakałam. – Czuję się przeraźliwie samotna, Jeannie. Sama jak palec. Wszystkie sprawy taty spadły na moje barki. – Ukazałam



machnięciem ręki wewnątrz salonu. – No i czuję się odpowiedzialna za Danny’ego. Cały czas się o niego martwię i w tym też zdana jestem tylko na siebie. Tymczasem Lisę otacza szczęśliwa, zdrowa, uśmiechnięta rodzina. Dzieci, partnerka, wszyscy ci przyjaciele, rodzina Celi – a ja co? Ja nie mam nikogo!

– Och, kochanie. – Przysunęła się do mnie, wyjęła kubek z moich rąk i postawiła na stoliku. – Szkoda, że nie możesz pamiętać Lisy z czasów, kiedy byłaś mała. Jak cię hołubiła. Jak uwielbiała. – Poklepała moje dłonie bezwładnie spoczywające na kolanach. – Musisz się z nią skontaktować. Wiesz o tym, prawda?

Skinęłam głową.

– Nie wiem tylko, jak najlepiej... najbezpieczniej to załatwić. I jak ukryć wszystko przed Dannym. On coś podejrzewa, ale jeśli nabierze pewności, że ona żyje, zgłosi to policji i Lisa będzie skończona.

– Posunąłby się do tego?

– Nienawidzi jej. Wini ją za całe zło, które spotkało naszą rodzinę.

– Mogłabyś wysłać jej mejla – powiedziała. – Adres jest na ich stronie internetowej.

– A wiadomo, kto te mejle czyta? – spytałam. – Muszę uważać. Może korespondencją zajmuje się ich menedżer albo ktoś taki. Na komputerze taty co prawda jest adres mejlowy Celi, ale...

– Powinnaś zawiadomić Lisę, że już wiesz, że ona żyje – przerwała mi Jeannie – że Frank odszedł i jakoś się z nią skontaktujesz, kiedy przyjedzie do New Bern.

– Nie, poczta elektroniczna odpada – stwierdziłam. – Gdyby nie odpisała, nie wiedziałabym, czy w ogóle dostała mojego mejla, czy po prostu nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

– Słusznie, słusznie – powiedziała Jeannie pospiesznie. – Wobec tego porozmawiaj z nią osobiście na tym koncercie. Też chcę przy tym być – dodała. – Muszę ją zobaczyć.

– Pozwól, że załatwię to sama, dobrze? – poprosiłam. – I tak czeka mnie trudne zadanie, kiedy będę się musiała martwić tylko o siebie.

Westchnęła i z ociąganiem skinęła głową.

– Zgoda. Zadowolę się tym, że będę na widowni. – Uśmiechnęła się szeroko. – Ciągle nie mogę w to uwierzyć! Przekaż Lisie, proszę, że ulżyło mi, że żyje i jest cała i zdrowa. Że cieszę się, że znalazła szczęście, na jakie zasługuje. I że ją kocham.

Zazdrościłam Jeannie, że potrafi przeniknąć przez zasłonę fałszu do skrytych za nią pokładów ciepła i miłości. Obraz roześmianej Lisy, tańczącej jak człowiek wolny od wszelkich trosk, pozostanie ze mną na długo. Nie wiedziałam, co powiem, kiedy w końcu stanę z nią twarzą w twarz. Tak bardzo się bałam ją zobaczyć. Spłoszyć. Mogła się ode mnie odwrócić. Odtrącić mnie. Przypomniałam sobie jednak mejla, w którym Celia zapewniła mojego ojca, że Lisa zawsze zachowa w sercu miejsce dla mnie. Napisała te słowa przed wieloma laty, ale będę kurczowo się ich trzymać.

Wierzyłam, że są prawdą. Potrzebowałam tego.

## 49.

O siódmej tego wieczoru pojechałam przez tonący w mroku las na polanę Danny'ego, zdecydowana nie zataić przed nim szokującej nowiny. Nie pozwolę, żeby mnie wytrącił z równowagi. Niepokoiłam się tylko, co właściwie chciał mi pokazać... i domyśliłam się, gdy tylko otworzył drzwi.

Muzyka na jego laptopie nie grała głośno, ale po prawie całym dniu znałam ją doskonale. Komputer stał na blacie kuchennym; na ekranie widniała fotografia ze strony internetowej Jasha Trace. Członkowie zespołu patrzyli mi w twarz, kiedy wchodziłam do środka.

– No dobra. – Skapitulowałam, oparta plecami o drzwi. – O co chodzi?

Usiadł przy stole kuchennym.

– Stara, dobra Verniece – zakpił. – Naprawdę zależy jej na tym kempingu.

Przełknęłam ślinę. *Szlag by to trafił.*

– O czym ty mówisz? – spytałam i zajęłam miejsce naprzeciwko niego.

– Przestań zgrywać niewiniątko. Nie zdołali cię namówić, żebyś oddała im kemping, więc przylazła do mnie. – Poglądził dłonią swoją krótką blond brodę. – Nie powiedziałem jej, że (a) kemping mam w nosie i (b) nie wolno mi oddać go nikomu bez twojej zgody... choć przyznam, byłem zaskoczony wieścią, że ty bez żadnych skrępowań ukryłaś przede mną swoje konszachty z nią i Tomem.

– Och, Danny, przepraszam. – Cała oklapłam, zrezygnowana. – Zależało mi na tym, żeby powiedzieli mi, co wiedzą.

– A czego ja wiedzieć nie powinienem, zgadza się?

– Dziwisz się? – spytałam. – Ty i ja mamy różne zdania na temat tego, co powinno spotkać Lisę. I jak wpadłeś na to, że... – Wskazałam na laptopa. Z głośników leciała właśnie solówka Lisy na skrzypcach. – Jasha Trace? Skąd mogłeś...?

– Zajrzałem do kampera ojca – wyjaśnił. – Ach, ten nasz staruszek... – Zaśmiał się, ale bez śladu wesołości. – Zawsze wiedziałem, że ją ubóstwiał, ale nie sądziłem, że aż tak. W każdym razie musiałem wyłamać zamek, żeby się dostać do środka. I zdaje się, że mnie uprzedziłaś, prawda? – Czekał, aż odpowiem, ale zachowałam niewzruszoną minę. – Na stole znalazłem wyciętą z gazety zapowiedź koncertu – ciągnął. – Zauważyłem, że w zespole jest skrzypaczka i że nosi taki sam naszyjnik, jaki kiedyś nosiła Lisa. Tata trzymał w kamperze sporo płyt bluegrassowych, a nie

było ani jednej tej konkretnej kapeli, pomyślałem więc, że... – Przekrzywił głowę, patrząc mi w oczy. – Że może jednak ich płyty miał, tylko je zabrałaś?

Po krótkim wahaniu skinęłam głową.

– Musiałem zabulić w iTunes osiem dolców za tę płytę.

– Danny...

– Kiedy już znałem jej nazwisko, łatwo było znaleźć całą resztę. – Pokręcił głową z urażoną miną. – Nieźle się w życiu urządziła, prawda?

– Danny. – Splotłam dłonie na stole i wychyliłam się ku niemu. – Błagam cię. Proszę. Zostaw ją w spokoju.

– Nie byłem pewien, ile zdołałaś ustalić na własną rękę, ale skoro mnie w ostatnich dniach unikałaś, uznałem, że wiesz już dużo – powiedział. – I kiedy kilka minut temu otworzyłem ci drzwi i usłyszałaś muzykę... Twoja twarz cię zdradziła.

– Rozmawiałaś już z Harrym? – Opuściłam ręce na podolek i zacierałam je nerwowo.

– Jeszcze nie.

– Co zamierzasz? – spytałam.

Nie zawahał się.

– Powiem Harry'emu, że w wieczór koncertu będzie mógł zamknąć niewyjaśnioną sprawę. Że ma szansę zostać bohaterem, a Lisa wreszcie dostanie to, na co zasłużyła.

– Danny... – byłam bliska łez – ...ona nikomu nie robi krzywdy.

Równie dobrze mogłabym mówić po grecku.

– Ty chyba nic nie rozumiesz, Riley – powiedział. – Pomijając już to, co nasza rodzina przez nią przeszła, zabiła człowieka. Jeśli to był wypadek... co osobiście uważam za brednię... w końcu dostanie szansę, żeby się wytłumaczyć przed sądem, chociaż na pewno z powodu ucieczki będzie jej trudniej. A jeśli naprawdę chcesz Lisie pomóc, znajdź jej dobrego adwokata w Wirginii.

– Do cholery! – Uderzyłam pięścią w stół. – Odsuść sobie. Proszę! Mieszasz nie tylko w życiu Lisy. Ale też w życiu jej dzieci. Jej rodziny.

– Rodziny ma większość przestępców – zauważył. – Co nie znaczy, że nie trafiają do więzienia. – Wyciągnął rękę i delikatnie rozłożył moje zaciśnięte palce, aż spoczęły płasko na stole. To był czuły gest, gest, który dał mi nadzieję. – Czego ty od niej chcesz, Riles? – spytał cicho.

– Chcę się z nią spotkać. To wszystko. Spotkać się, nic więcej. I nie chcę jej skrzywdzić.

Westchnął i zabrał rękę z mojej dłoni.

– Zabiła człowieka – powtórzył znużonym głosem. – Koniec, kropka. Zabiła człowieka i musi za to zapłacić.

Wstałam i podeszłam do drzwi.

– Obiecasz mi coś? – poprosiłam. – Tylko jedną jedyną rzecz?

– Co?

– Przemyśl to jeszcze, zanim porozmawiasz z Harrym.

– Koncert jest już za parę dni – przypomniał.

– Wiem. Ale chyba możesz poczekać, nie? Co za różnica, czy powiesz mu dzisiaj, czy w dniu koncertu? – Otworzyłam drzwi. Na zewnątrz było już ciemno i kiedy odwróciłam się do Danny’ego, lampa w przyczepie oświetlała ostre kanty jego twarzy i przejrzysty błękit oczu. – To ważne, żebyś dobrze się zastanowił, zanim cokolwiek zrobisz.

– Nie muszę – stwierdził. – Już dość o tym myślałem.

Spojrzałam na jego komputer leżący na blacie. Wizerunek Jasha Trace jaśniał w półmroku. Lisa patrzyła na mnie z obcego mi świata.

Znów zwróciłam się do mojego brata.

– Jest coś, czego nie wiesz – powiedziałam cicho, wykorzystując jedyny pozostający mi atut. – Coś, czego nawet taki spec jak ty nie znajdzie w Internecie.

– Cóż takiego? – spytał.

Przełknęłam ślinę.

– Lisa jest moją matką – szepnęłam.

Dwie głębokie bruzdy wyryły się między jego brwiami.

– Co ty, do licha, gadasz?

– To prawda. Wiem od Jeannie. Lisa urodziła mnie, kiedy miała piętnaście lat. Mama i tata mnie adoptowali.

– O kurde – powiedział i jego twarz złagodniała, ale tylko odrobinę.

Wiedziałam, że to nie wystarczy.

## 50.

Od Danny'ego pojechałam prosto do dzielnicy De Graffenried, gdzie w małym, parterowym domu z białej cegły mieszkała Jeannie. Otworzyła mi w niebieskim szlafroku i na widok mojej twarzy zrozumiała, że wydarzyło się coś bardzo złego.

Złapała mnie za rękę i wciągnęła do środka.

– O co chodzi? – spytała. – Co się stało?

– Danny wszystko wie.

– Powiedziałaś mu? – Wydawała się wstrząśnięta, więc wyjaśniłam, jak samodzielnie doszedł do prawdy o Lisie. Mówiłam tak szybko, że moje słowa zlewały się w jeden nieprzerwany ciąg.

– Pójdzie na policję? – domyśliła się.

– Taki ma zamiar.

Wciąż stałyśmy przed drzwiami na ganku. Jeannie zaprosiła mnie gestem do środka.

– Wejdz. Przemyślmy to na spokojnie.

Weszłam do jej dyskretnie oświetlonego salonu i przeżyłam lekki szok na widok naszego starego fortepianu ustawionego w oknie wykuszowym. Osunęłam się na tapicerowane krzesło bez poręczy, odchyliłam głowę do tyłu i spojrzałam w sufit.

– Muszę ją ostrzec – stwierdziłam. – Danny planuje wszystko powiedzieć Harry'emu Washingtonowi... znasz go?

Skinęła głową.

– To porządny człowiek. Dlaczego właśnie Harry'emu?

– Przyjaźnią się. Danny chce, żeby Harry ją aresztował... a przynajmniej zatrzymał po koncercie w New Bern. Nie wiem, jak Harry postąpi, ale jeśli dostanie zgłoszenie, coś będzie musiał zrobić.

– W takim razie musisz napisać mejla do Lisy – uznała Jeannie. – Nie ma innego wyjścia.

Wyrzałam przez okno w mrok.

– Chyba żebym znalazła jej numer telefonu – powiedziałam – ale pewnie go zastrzegła. Zresztą teraz Lisa i tak jest w trasie. – Serce zabiło mi szybciej, kiedy wyobraziłam sobie, że do niej dzwonię. Mówię, kim jestem. Przeraziłabym ją na śmierć. A gdyby rzuciła słuchawką? Byłam zbyt wielkim tchórzem, żeby narażać się na odrzucenie. Lisa dwadzieścia lat udanie trzymała się w cieniu, dopóki nie

zaczęłam grzebać w jej życiu.

Nagle wpadłam na pewien pomysł.

– Plan trasy koncertowej! – zawołałam. – Na ich stronie internetowej.

Jeannie wstała i poszła po leżącą koło drzwi teczkę.

– Spójrzmy. – Wyjęła laptopa i zaniósła go na kanapę. Usiadłam obok i bez słowa nakierowałam ją na stronę Jasha Trace.

– Tutaj – wskazałam na link do rozkładu koncertów.

Kliknęła i szybko przejrzałam daty. Ten wieczór mieli wolny. Nazajutrz grali w Dulcimer, małym klubie w Chapel Hill, w którym parę razy byłam, a za dwa dni w New Bern.

– Pojadę na koncert w Chapel Hill – postanowiłam. Chapel Hill było raptem kilka godzin drogi od New Bern, niedaleko Durham. – Przenocuję w moim mieszkaniu.

– Co zrobisz? – powoli spytała Jeannie i domyśliłam się, że próbuje sobie wyobrazić ten moment tak jak ja. – Co jej powiesz?

Odchyliłam się na oparcie kanapy i przygryzłam wargę w zamyśleniu.

– Powiem jej o Dannym – odparłam. – Że wszystko wie. Że nie zostawi tej sprawy, a jego najlepszy przyjaciel jest gliną. Sama zdecyduje, co dalej. – Mocno potarłam palcami skronie. – I przeproszę – dodałam. – Naraziłam ją na niebezpieczeństwo. Nie powinnam była jej szukać.

– Nie wiedziałaś, w co się pakujesz – stwierdziła. – Trudno mieć do ciebie pretensje.

Spojrzałam w dal, nieprzekonana. Nie sądziłam, by Lisa podzielała jej punkt widzenia.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą do Chapel Hill? – zaproponowała Jeannie.

Przemyślałam to. Dziwne, że właśnie z nią ostatnio czułam się najbezpieczniej.

– Powinnam załatwić to sama – powiedziałam wreszcie. Próbowałam sobie wyobrazić minę Lisy, kiedy zaczepię ją w Dulcimer. Na pewno nie będzie szczęśliwa. – Nie do wiary, że to zrobię – stwierdziłam, zaniepokojona i podekscytowana jednocześnie.

– Musisz.

– Boję się. – Zerknęłam na nią. Przyglądała mi się w skupieniu. – A jeśli uda, że mnie nie zna? A jeśli mnie odtrąci? To byłoby najgorsze. Może naśle na mnie ochronę.

Jeannie wychyliła się do przodu i położyła laptopa na stoliku.

– Chodź – powiedziała, wstając.

Poszłam za nią przez pokój stołowy na małą, oszkloną werandę. Na jednym końcu stało duże biurko, na drugim – dwuosobowa kanapa i dwa krzesła z tapicerką w palmy i małpy. Pod oknami wzdłuż jednej ściany ciągnął się rząd białych, wbudowanych szafek, podobnych do tych w salonie mojego ojca.

Zapaliła lampę stojącą i przykucnęła przed jedną z szafek. Chwilę w niej grzebała, po czym wyciągnęła mały album ze zdjęciami.

– Usiądź. – Kiwnęła głową w stronę kanapy i wstała. Kiedy posłusznie usiadłam, przysunęła do mnie jedno z krzeseł i otworzyła album.

– Dawniej, zanim pojawiły się cyfrowki, sumiennie wklejałam zdjęcia do albumu – powiedziała, trzymając go w świetle lampy. – Teraz się rozleniwiłam. – Parsknęła śmiechem. – W każdym razie to głównie zdjęcia z mojego wyjazdu do Kalifornii. – Przerzucała strony, praktycznie nie patrząc na fotografie. – Pamiętam jednak, że mam też parę z tego roku, kiedy mieszkała u mnie Lisa, i zwłaszcza jedno chcę ci pokazać.

Przewróciła kolejną stronę i zobaczyłam zdjęcie Lisy, o włosach tak jasnych jak jej skóra, strojącej choinkę. Miała na sobie czarne legginsy i obszerny, niebieski sweter. Przysunęłam album do siebie. Od razu poznałam, że była w ciąży.

– Mniej więcej szósty miesiąc – potwierdziła Jeannie.

– Aha – szepnęłam. Lisa uśmiechała się do obiektywu. Jej uśmiech, choć nie całkiem radosny, mówił, że czuła się swobodnie w towarzystwie fotografującej ją osoby. W towarzystwie Jeannie.

– Niestety to jedyne zdjęcie z okresu jej ciąży, jakie się zachowało – powiedziała Jeannie. – Unikała wtedy aparatu z oczywistych względów. Ale to tę fotografię chciałam ci pokazać. – Przewróciła stronę i zobaczyłam Lisę w szpitalnym łóżku. Ubrana w niebiesko-białą koszulę szpitalną, zsuwającą się z ramienia, tuliła do piersi ciemnowłose dziecko.

– To ty – uśmiechnęła się Jeannie.

Oczy Lisy były zamknięte, twarz spokojna, głowa przechylona tak, że policzek spoczywał na mojej skroni. Ten gest powiedział mi wszystko. Kochała mnie. Uważała za swój skarb.

Jeannie uniosła mój podbródek czubkami palców i spojrzałam na nią wilgotnymi, zamglonymi oczami.

– Nie odtrąci cię, Riley – zapewniła łagodnie. – Jestem tego całkowicie pewna.



## 51.

Nazajutrz w trakcie dwuipółgodzinnej jazdy do Chapel Hill próbowałam słuchać audiobooka, ale co najmniej dwie trzecie powieści mi umknęło. Gdyby Jeannie nie była tego dnia umówiona z klientem, zadzwoniłabym do niej, żeby pomogła mi uspokoić nerwy. Poprosiła, żebym odezwała się wieczorem, po spotkaniu z Lisą, bez względu na porę. „I tak nie zasnę, dopóki mi nie opowiesz, co się stało”, stwierdziła.

Nie mogłam w to uwierzyć – tego wieczoru zobaczę Lisę. Raz za razem analizowałam swój plan, ale jego powodzenie zależało od zbyt wielu czynników, na które nie miałam wpływu. Przede wszystkim od tego, czy Lisa w ogóle zechce się ze mną widzieć, co było wielką niewiadomą.

Na obwodnicy Raleigh ugrzęzłam w korku. Minęłam zjazd prowadzący do mieszkania Bryana i po raz pierwszy od naszego rozstania wspomnienia nie rozdarły mi serca na pół. Uświadomiłam sobie, że od wielu dni prawie wcale o nim nie myślałam. Dwa lata strawione na czekaniu, aż oficjalnie zakończy swoje małżeństwo, nagle wydały mi się kolosalną stratą czasu.

Samochód po prawej zatrąbił na coś albo na kogoś; miałam nadzieję, że nie na mnie. Wyrwałam się z zadumy i skupiłam uwagę na drodze. Przyjechałam bardzo wcześnie. Dotrę do Chapel Hill o piątej z minutami, a Dulcimer mieli otworzyć dopiero o siódmej. Przez ten czas mogłam zjeść gdzieś kolację, nie sądziłam jednak, bym zdołała przełknąć choćby kęs. Zaczekam w samochodzie i starannie przemyślę wszystkie możliwe scenariusze spotkania z Lisą.

Ulice Chapel Hill były zakorkowane, jak to w godzinach szczytu, a mimo to znalazłam wolne miejsce parkingowe zaledwie przecznicę od klubu Dulcimer. Zgasiałam silnik i zastanowiłam się, co dalej. Piąta dwadzieścia. Zamierzałam obejrzeć koncert, a potem znaleźć Lisę za kulisami... ale skoro przyjechałam tak wcześnie, może poszukam jej od razu? *Zły pomysł*, uznałam. Jak mogłaby wyjść na scenę po spotkaniu ze mną? Poza tym nie czułam się jeszcze gotowa. Ciekawe, czy w ogóle kiedykolwiek będę.

Przy wyłączonej klimatyzacji w samochodzie szybko zrobiło się nieznośnie gorąco i otworzyłam wszystkie cztery okna. Chapel Hill to miasto uniwersyteckie i chodniki były pełne studentów, a ich głośne, ożywione rozmowy dolatywały mnie, kiedy mijali

mój samochód. Patrząc na nich, miałam wrażenie, że są znacznie młodszy ode mnie. Czułam się, jakby przez ostatnich parę miesięcy przybyło mi dziesięć lat.

W oddali dostrzegłam kilka osób przed klubem i nagle się przestraszyłam, że bilety na koncert się rozeszły. Choć sama nigdy wcześniej nie słyszałam o Jasha Trace, z ich strony internetowej jasno wynikało, że mieli liczne grono fanów. Zaczęłam się pocić, tak z gorąca, jak pod wpływem tej nowej, niepokojącej myśli. Pozamykałam okna i sięgnęłam na tylne siedzenie po futerał. Wzięłam ze sobą Violkę w ostatniej chwili, pod wpływem impulsu. Wsiadłam z torebką na ramieniu i Violką w rękach, po czym ruszyłam w stronę klubu.

Właśnie minęła szósta i kasa była czynna. Dostałam bilet bez najmniejszego kłopotu – aż zrobiło mi się trochę przykro, że na koncercie zespołu Lisy jednak nie będzie kompletu. Odchodząc od kasy, rozejrzałam się po ulicy, niepewna, co teraz. Kilka budynków dalej dostrzegłam mały sklep muzyczny. Dałam nura do środka w nadziei, że znajdę tam zajęcie, aż otworzą Dulcimer.

Wnętrze było ciasne i duszne; podobnie wyglądał zapewne sklep płytowy Grady'ego. Wyobraziłam sobie Lisę pracującą w takiej klitce. Miała zaledwie siedemnaście lat, kiedy przyjechała do San Diego, i mogłam się tylko domyślać, jak bardzo musiała się czuć samotna i przerażona. Mnie samą w tej chwili z nerwów ścisnęło w żołądku, a miałam dwadzieścia pięć lat i przed nikim ani niczym nie uciekałam. Jak ona przetrwała ten strach? Jak wytrzymała wyrzuty sumienia spowodowane zabiciem człowieka?

Rozglądałam się po sklepie, ale tłok i świdrująca bębenki muzyka były ponad moje siły. Tuląc Violkę do piersi, precyzyjnie się między regałami do wyjścia. Kiedy wydostałam się na powietrze, poszłam do oddalonej o przecznicę pustej ławki na małym trawniku i usiadłam z Violką na kolanach. Co kilka minut wyciągałam z torebki telefon, śledząc upływ czasu dzielącego mnie od godziny siódmej.

Pięć po siódmej byłam już w Dulcimer. Na wprost podwyższenia służącego za scenę stały rzędy składanych krzeseł. Sala była mniejsza, niż zapamiętałam, a wysokie ściany z czerwonej cegły zdawały się jeszcze bardziej ograniczać i tak niewielką przestrzeń. Z wiszącej z boku tabliczki dowiedziałam się, że pojemność klubu wynosi sto pięćdziesiąt osób. Na dwóch koncertach, na których tu kiedyś byłam, miejsc siedzących nie przewidziano i musieliśmy stać z Bryanem ramię w ramię z resztą publiczności, dlatego dziś na widok krzeseł poczułam ulgę. Nie sądziłam, by nogi zdołały utrzymać mój ciężar przez cały koncert.

Stojąc przy barku, spojrzałam na scenę wyniesioną może pół metra ponad wytarty, drewniany parkiet klubu. Perkusję i instrumenty klawiszowe zsunięto pod tylną ścianę, a z przodu stały dwa stołki, kilka mikrofonów i gitara na stojaku. Na widok tych rekwizytów to wszystko stało się dla mnie rzeczywiste. Za niecałą godzinę

będzie tam Lisa, raptem kilka metrów dalej. Nareszcie.

Kupiłam piwo i papierowy pojemnik nachos, na które nie miałam szczególnej ochoty, ale uznałam, że lepiej napchać sobie żołądek czymś, co wchłonie alkohol. Otaczający mnie ludzie rozmawiali, śmiali się, witali ze sobą. Znać było, że większość to stali bywalcy, i czułam się wśród nich obco. Spojrzałam w stronę powoli zapelniających się miejsc. Czy usiąść w pierwszym rzędzie, gdzie byłabym zdecydowanie zbyt widoczna, czy z tyłu, skąd mogłabym niezauważona obserwować Lisę? Ostatecznie wybrałam rozwiązanie kompromisowe: miejsce w samym środku sali. Owładnięta poczuciem samotności, usiadłam, żując chipsa o smaku tektury.

Z każdą chwilą przybywało ludzi, robiło się coraz głośniejsze, głosy odbijały się echem od ścian z cegły. Zauważyłam, że wiele osób nosi T-shirty z literami JT na plecach, i dopiero po dobrych dziesięciu minutach dotarło do mnie, że to skrót od Jasha Trace.

Czułam, że rzucam się w oczy, siedząc samotnie w środkowym rzędzie z Violką między kolanami, ale ludzie stopniowo zajmowali miejsca i wyglądało na to, że jednak widownia się wypełni. Młody chłopak po prawej czytał tekst na odwrocie płyty Jasha Trace i pokazywał coś w nim swojej towarzyszce. Miejsce na lewo było puste i cieszyłam się z tego skrawka wolnej przestrzeni.

Na prawo od sceny zauważyłam drzwi, zapewne jedyne wejście na zaplecze. Skupiłam na nich wzrok, wyobrażając sobie, jak przez nie wchodzę. Wciąż się w te drzwi wpatrywałam, kiedy wyrósł przed nimi rosły, młody facet w czarnych dżinsach i czarnym T-shircie. Na szyi nosił żółty, plastikowy identyfikator. Ochrona, domyśliłam się. Będę musiała jakoś go ominąć, żeby dostać się do Lisy.

Wypiłam całe piwo i zjadłam połowę nachos, zanim światła wreszcie przygasły, więc wsunęłam butelkę i papierowy pojemnik pod krzesło. Wiedziałam, że wychodząc, nie będę pamiętała o tym, żeby je wyrzucić do śmieci. Zupełnie co innego będzie mnie zaprzętało.

Na scenie pojawiła się kobieta koło czterdziestki z tatuażem na całej ręce, o krótkich, jasnofioletowych włosach. Wskazała wyjścia awaryjne, nakazała wyciszyć telefony komórkowe, po czym mówiła bez końca o nadchodzących koncertach i publiczność zaczęła się niecierpliwić. A może tylko ja. Piwo i chipsy bełtały mi się w żołądku i ciekawa byłam, jak wydam się z mojego rzędu, gdybym musiała zwymiotować.

Zespół wyszedł na scenę bez żadnych fanfar – mężczyźni z banjo i gitarą, Celia z mandoliną, Lisa ze skrzypcami. Od razu zagrali szybki utwór, który już znałam z płyty. Serce galopowało mi w rytm muzyki. Nie mogłam oderwać oczu od Lisy. Jej włosy – w naturalnie wyglądającym odcieniu brązu, z blond pasemkami – opadały kilka centymetrów poniżej ramion i kołysały się swobodnie, kiedy grała. Rysy miała ostrzejsze, niż to zapamiętałam ze zdjęć, a w jaskrawym blasku reflektorów nad sceną nawet z mojego miejsca dostrzegałam cienkie zmarszczki przecinające jej czoło. Cała

czwórka była w dżinsach i T-shirtach. Zgadywałam, że ten brodaty to Shane, a krócej ostrzyżony okularnik – chyba blondyn – to Travis.

Celia nie miała już tej krótkiej, śmiałej fryzury, co na zdjęciach na stronie internetowej i okładkach płyt. Jej ciemne włosy były teraz równo obcięte, z wycieniowanymi, roztrzepanymi końcówkami. Wyglądała dużo młodziej i modniej od Lisy, przez co trochę zakłuło mnie w sercu. Lisa nie miała lekkiego życia. Ani jako dziecko pod presją sukcesu, ani jako piętnastolatka zmuszona rodzic z dala od rodziny i przyjaciół, ani jako siedemnastoletnia uciekinierka. A mimo to kiedy po zakończonej piosence opuściła skrzypce, uśmiech złagodził jej twarz i zobaczyłam bijące z niej światło. Radość z tego, co robiła. Z życia, które sobie stworzyła. Znowu zaczęła grać; jej rozkołysane włosy były niczym symbol wykradzonej przez nią wolności. Odwróciłam twarz od sceny i opuściłam wzrok na oparcie krzesła przede mną, nagle zraniona. Ona miała normalną rodzinę, ja nie. Chciałam cieszyć się razem z nią, ale to bolało.

Wpatrywałam się w krzesło przede mną dobrych parę minut, zanim znów spojrzałam na scenę i dopiero wtedy po raz pierwszy tak naprawdę usłyszałam muzykę. Tworzyli zgrany zespół. Głównymi wokalistami byli Celia i Shane, Lisa śpiewała tylko chórki. Jej skrzypce za to wysuwały się na pierwszy plan i kiedy zagrała solo, publiczność zerwała się z miejsc. Sama też wstałam, ale kolana tak mi drżały, że musiałam się przytrzymać oparcia z przodu, żeby nie upaść.

Po godzinie ogłosili przerwę. Mocno ściskając Violkę, stanęłam w kolejce do zbyt małej i nadmiernie eksploatowanej ubikacji. Marzyłam o otepieniu, jakie przysłoby po wypiciu następnego piwa, ale to groziłoby zaćmieniem umysłu, na które nie mogłam sobie pozwolić, więc na drugą połowę koncertu kupiłam sobie butelkę wody.

Kiedy zespół wrócił na scenę, z narastającym niepokojem uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, o której koncert się skończy. Z każdą piosenką popadałam w coraz większą panikę. A jeśli zaraz potem uciekną z klubu? Prosto ze sceny pobiegną do samochodu czekającego w bocznej uliczce? A jeśli cała moja wyprawa pójdzie na marne?

I dlaczego, durna, wybrałam miejsce na środku rzędu?

Po następnej piosence wstałam. Wysunęłam się z rzędu, mamrocząc „Przepraszam” do ludzi zmuszonych zrywać się z miejsc, kiedy deptałam im po nogach, i usiłując nie walnąć nikogo futerałem z Violką.

Rosły ochroniarz w czerni stał oparty o ścianę z cegły i oglądał koncert, ale kiedy zobaczył, że kieruję się na zaplecze, zrobił dwa kroki do przodu, aby przeciąć mi drogę.

Obdarzyłam go najcieplejszym uśmiechem, na jaki mogłam się zdobyć. Pochylił się i nadstawił ucha. Musiałam krzyczeć, tak głośno brzmiała muzyka przy samej scenie.

– Przyszłam do Jade! Jestem jej siostrą i mam jej stare skrzypce. – Uznałam, że

„siostra” zabrzmie lepiej niż „córka”, choć byłam pewna, że oba te słowa wzbudziłyby w Lisie popłoch. Facet patrzył z zachmurzonym czołem i przypomniałam sobie, co podawała internetowa notka biograficzna Lisy: *jedyne dziecko lekarza i pielęgniarki*. Miałam nadzieję, że jej nie czytał. Znow się uśmiechnęłam. – Chcę jej zrobić niespodziankę.

– Pokaż to! – krzyknął mi do ucha i podeszłam za nim do wąskiej półki na ścianie obok drzwi. Nie mogłam mieć do niego pretensji. Skąd mógł wiedzieć, czy nie wnoszę w tym futerale broni. Oby tylko Lisa nie pomyślała, że tym właśnie dla mnie jest Violka.

Położyłam futerał na półce i otworzyłam go. Ochroniarz nie próbował wyjąć skrzypiec, tylko dokładnie obmacał koniuszkami palców wyściółkę wokół nich. Wreszcie krzyknął:

– Chodź ze mną!

Zamknęłam futerał i wyszłam za nim na korytarz zalany boleśnie jasnym blaskiem nagich świetlówek w suficie. Po prawej miałam kilkoro zamkniętych drzwi, po lewej – otwarty gabinet. Za biurkiem siedziała kobieta o fioletowych włosach. Podniosła głowę, kiedy stanęłam z ochroniarzem w drzwiach.

– Co tam? – spytała.

– To siostra kogoś z zespołu – poinformował ją ochroniarz.

– Jade – wyjaśniłam kobiecie. – Mieszkam niedaleko i przyniosłam jej stare skrzypce. Pomyślałam sobie, że na pewno chciałyby je mieć. Mogę się z nią zobaczyć po koncercie?

Nie uwierzyła mi.

– Nie uprzedzała, że ktoś przyjdzie.

– Wiem, wiem. Miało mnie dziś nie być w mieście, ale jestem, więc postanowiłam jej zrobić niespodziankę – mówiłam szybko. Wiedziałam, że sprawiam wrażenie, jakbym wymyślała tę historyjkę na poczekaniu. Bo tak było.

– Sprawdziłem futerał – oznajmił ochroniarz. – To prawdziwe skrzypce. – Zerknął w głąb korytarza. – Muszę iść – rzucił. Zostawił mnie w drzwiach i wrócił tą samą drogą, którą przyszliśmy.

Kobieta spojrzała na elektroniczny zegar ścienny.

– Zapytam ją, kiedy zejdzie ze sceny – powiedziała, wstając. – Zdaje się, że właśnie kończą. – Słyszałam brawa, głośniejsze niż wcześniej. – Jak się nazywasz? – spytała.

Nie chciałam zdradzać mojego imienia, ale nie widziałam innej możliwości.

– Riley – powiedziałam.

– No dobra. – Przeszła obok mnie. – Usiądź. – Wskazała na jedno z dwóch krzeseł koło biurka. – Dam jej znać.

Usiadłam i patrzyłam za nią, kiedy wyszła na korytarz. Szybko, ciężko dyszałam, ściskając futerał dłońmi mokrymi od potu. To się nie uda. Ta kobieta powie o mnie

Lisie, Lisa wpadnie w panikę i ucieknie, zanim zdążę ją ostrzec. Siedziałam tak kilka minut z Violką na kolanach. Brawa ucichły i usłyszałam zgrzyt odsuwanych krzeseł i szmer głosów. Wyobraziłam sobie, jak Lisa schodzi ze sceny. Jak zaczepia ją kobieta o fioletowych włosach. I dłużej nie wytrzymałam. Wstałam i pobiegłam na korytarz odnaleźć moją matkę.

52.

## *Jade*

Celia gruchnęła na jedno z pseudozabytkowych krzeseł w garderobie.

– Robię się na to za stara – powiedziała, ale z szerokim uśmiechem.

– Pamiętaj o Bonnie Raitt – przypomniała jej Jade, jak zawsze, kiedy dopadało je zmęczenie. Bonnie, jedna z ich muzycznych idolek, w wieku sześćdziesięciu trzech lat wciąż jeździła w trasy koncertowe. Jade i Celia były ponad dwadzieścia lat młodsze. Fakt faktem, po każdym występie padały z nóg, ale doskonale się bawiły. Jade już w wieku pięciu lat przekonała się, jak to jest grać przed przychylną publicznością. Nie było na świecie narkotyku, który mógłby jej dać większego kopa.

– Zadzwońię do dzieci, zanim pójdziemy coś zjeść. – Celia sięgnęła po swój plecak.

– Chłopaki zaczekają.

– Dobra myśl. – Jade zatrzasnęła futerał ze skrzypcami i postawiła go na podłodze obok krzesła.

Celia właśnie wyciągała telefon z plecaka, kiedy kobieta o fioletowych włosach – na imię jej Kat, przypomniała sobie Jade – wsadziła głowę do garderoby.

– Jade? – powiedziała. – Jest tu dziewczyna, która chce z tobą porozmawiać.

Jade stłumiła jęk. Po prawie każdym koncercie trafiał się jakiś początkujący muzyk, który koniecznie chciał się z nimi spotkać, czasem po to, żeby powiedzieć, jak bardzo kocha ich muzykę, czasem żeby zasięgnąć rady, jak zająć tak wysoko. Z jednej strony przynosiło to satysfakcję, z drugiej – było męczące. Zerknęła na Celię, która niemal niedostrzegalnie pokręciła głową.

– Przepróż ją w moim imieniu – poprosiła Jade. – Niech napisze mejla, jeśli...

– Twierdzi, że jest twoją siostrą.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Czy to z emocji, czy ze skrajnego przerażenia, nie potrafiła określić. Zerknęła na Celię, której oczy były szeroko otwarte ze strachu.

– Nie mam siostry – powiedziała do Kat.

– Przyniosłam Violkę! – dobiegło wołanie z zewnątrz.

Kat pospiesznie wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi garderoby.

– Nie możesz tam wejść! – krzyknęła.

– O mój Boże! – Jade zerwała się i przypadła do drzwi.

Celia wstała i złapała ją za ramię.

– Nie – powiedziała. – Nie rób tego!

Odrzuciła dłoń Celi i pociągnęła drzwi do siebie.

– Wpuść ją! – zawołała do Kat. Wychylała się zza niej, usiłując zobaczyć dziewczynę na korytarzu.

Kat z ociąganiem odsunęła się na bok i do Jade podeszła młoda kobieta. Wyglądała tylko mgliście znajomo. Falujące, ciemne włosy opadały jej na ramiona. Nie uśmiechała się, jej brązowe oczy patrzyły lękliwie.

Nie licząc ukradkowego spojrzenia z sypialni matki przed siedmiu laty, Jade nie widziała Riley od jej dziewiątych urodzin w restauracji w Morehead City. Stojąca przed nią kobieta mogła być oszustką, instynkt jednak mówił jej co innego. Te ciemne oczy, długie rzęsy, wykrój ust – tak, to jej córka. Wyciągnęła do niej rękę. Strach zniknął z oczu Riley i wpadła w objęcia matki. Cała się trzęsła i Jade poznała, że dziewczyna płacze. Wtuliła policzek we włosy córki, dostrzegając jak przez mgłę, że Kat dyskretnie wycofuje się na korytarz i zamyka drzwi za sobą. Poczula na plecach dłoń Celi. Wiedziała, że Celia się boi – i że sama też powinna się bać – ale w tej chwili zawładnęła nią ulga, że znów trzyma w ramionach swoją córeczkę.

– Już dobrze, już dobrze – szeptała w jej włosy jak w czasach, gdy Riley była małym dzieckiem.

Stały tak co najmniej minutę, choć Jade wiedziała, że to i tak za krótko, o wiele za krótko. Prędzej czy później wzruszenie przejdzie w rozmowę, a rozmowa nieuchronnie zbroczy na tematy zbyt dla niej bolesne, tuliła więc córkę najdłużej, jak mogła. Wreszcie Riley wysunęła się z jej objęć, ocierając oczy palcami. Jade czuła na sobie spojrzenie Celi. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Pomyślałam, że pewnie chciałabyś to mieć – powiedziała Riley.

Rozpoznała futerał, kiedy tylko Riley go jej podała. Piękna, wytarta skóra. Stara przywieszka z fiołkiem, którego sama narysowała kredkami.

– Violka – szepnęła, sięgając po skrzypce, ale wtedy Celia stanęła między nią a Riley.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie, Jade. – Jej twarz była wykrzywiona niepokojem.

– Zachowujesz się lekkomyślnie. Co ci do głowy strzeliło?

Wiedziała, że to spotkanie może przynieść tylko zgubne skutki, ale było jej to obojętne. *Daj mi się nacieszyć tą chwilą*, pomyślała. Celia jednak stała jak mur między nią a Riley.

– Wiem wszystko – powiedziała Riley do Jade, jakby w ogóle nie zauważała Celi.

Celia odwróciła się do niej.



– Musisz stąd wyjść – zażądała.

Jade położyła dłonie na ramionach żony.

– Słuchaj, ona już tu jest – powiedziała stanowczo. – Tego nie zmienimy. Jest tutaj i chcę z nią porozmawiać. Proszę.

Łzy wezbrały w szarych oczach Celi. Objęła dłońmi nadgarstki rąk Jade ściskających jej ramiona.

– Nic mi nie będzie – zapewniła Jade, świadoma, że to czcza obietnica. Puściła Celię i znów spojrzała na Riley. – Chodź – zaprowadziła ją do jednego z krzesel. –

Usiądź i powiedz, co miałaś na myśli, mówiąc, że wiesz wszystko. Skąd w ogóle mogłabyś...? – Zawiesiła głos. Miała nadzieję, że Riley jednak nie wie wszystkiego.

Riley zerknęła na Celię i Jade zrozumiała, że boi się mówić w jej obecności.

– W porządku. – Przysunęła do Riley drugie krzesło i usiadła tak blisko, że ich kolana prawie się stykały. – Nie mamy przed sobą tajemnic.

– Jeannie. – Riley kurczowo ścisnęła skrzypce leżące na jej kolanach. – Od niej się dowiedziałam.

*Jeannie.* Na sam dźwięk tego imienia Jade zatęskniła za kobietą, dzięki której przetrwała jeden z najtrudniejszych okresów w swoim życiu.

– Och, Riley – powiedziała. – Tak mi przykro, że...

– Tata zmarł miesiąc temu – przerwała jej Riley. – Nie byłam pewna, czy wiesz.

– Wiem – oznajmiła. – Wysłałam mu kartkę z planem naszej trasy koncertowej i kiedy nie odpisał, zaniepokoiłam się. Znalazłam nekrolog w Internecie. – Potem płakała całymi dniami. Wiele mu zawdzięczała. Podjął ogromne ryzyko, by umożliwić jej życie na wolności, i choć twardo trwał w postanowieniu, by nigdy nie rozmawiać z nią o Riley, był jedynym ogniwem łączącym ją z córką. – Przykro mi. Bardzo był ci bliski? Tak mało o tobie wiem. Nigdy nie chciał mi nic o tobie...

– Czego ty chcesz? – wtrąciła Celia z oczami utkwionymi w Riley. Wciąż stała przy drzwiach, a jej głos był lodowaty, jak zawsze, kiedy się bała. – Gawędzicie sobie, jakbyście nie miały żadnych zmartwień.

– Cii, Celio, wszystko jest w porządku – zapewniła Jade, po czym znów spojrzała na córkę. – Chciałam cię zobaczyć... być z tobą... przez całe twoje życie...

– Celia ma rację – przerwała jej Riley. – Nic nie jest w porządku. Przyjechałam cię ostrzec. – Tak mocno ścisnęła futerał, że kostki jej zbieleły. – Danny wszystko wie. Ma do ciebie straszne pretensje. Nieuzasadnione, ale to bez znaczenia. Planuje donieść na ciebie zaprzyjaźnionemu gliniarce. Myślę, że na koncercie w New Bern będzie na ciebie czekać policja.

W pokoju zapadła cisza. Krew ścięła się lodem w żyłach Jade, serce waliło jak młotem. Celia stała w zupełnym bezruchu.

– Czuję, że to moja wina – ciągnęła Riley. – Zwierzyłam się Danny'emu z moich podejrzeń, że żyjesz, zanim zrozumiałam... Potem próbowałam zataić przed nim, co

ustaliłam, ale...

– Powiedziałaś mu? – spytała Celia z wyrzutem. – A co konkretnie? Co on wie?

– Celio – upomniała ją Jade, ale drżała na całym ciele. – Proszę.

Drzwi nagle się otworzyły i stanął w nich Shane. Krok za nim był Travis.

– Porozmawiałyście już z dziećmi? – spytał Shane. – Umieramy z głodu.

Jade spojrzała na Celię.

– Idź. Muszę pomówić z Riley.

– Nie zostawię cię tutaj – zaprotestowała Celia.

Travis powędrował wzrokiem od Riley do Jade i z powrotem. Obaj z Shanem musieli wyczuć napiętą atmosferę w pokoju.

– Co się dzieje? – spytał.

– Kim jesteś? – zwrócił się Shane do Riley.

– To moja znajoma. – Jade wstała i drżącymi dłońmi wcisnęła w rękę Celi plecak i futerał z mandoliną. – Idźcie coś zjeść. Wrócę do hotelu taksówką.

– Nie. – Celia potrząsnęła głową. – Zostaję.

Jade spojrzała na nią błagalnie. Wiedziała, że Celia jest równie przerażona jak ona sama. Chciała powiedzieć, że to rozumie, ale nie było na to czasu. Musiała porozmawiać z córką. Teraz. W cztery oczy.

– Proszę cię, Celio – powiedziała.

Celia zrobiła krok w stronę drzwi, ale zatrzymała się i obejrzała na Riley.

– Nie wiem, co słyszałaś – powiedziała – ale Jade jest dobrym, niezwykle dobrym człowiekiem. – Zanim wyszła, Jade znów zobaczyła w jej oczach łzy. Pewnie czuła to samo co ona – że całe ich wspólne życie nieuchronnie prowadziło do tej chwili. Do nieuniknionej katastrofy.

Zamknęła drzwi za Celią i chłopakami, po czym odwróciła się twarzą do Riley.

– Pójdziemy gdzieś? – zaproponowała. – Nie wiem, jak długo pozwolą nam tutaj zostać.

Riley pokręciła głową.

– Nie chcę rozmawiać w miejscu publicznym. Posiedźmy tu, dopóki nas nie wyrzucą.

53.

## *Riley*

– Jesteś taka piękna – powiedziała Lisa.

Teraz, kiedy miałam ją przed sobą, czułam jej pełen miłości dotyk, dopadły mnie potworne wyrzuty sumienia.

– Obawiam się, że rujnuję ci życie – jęknęłam.

– Na razie o tym nie mówmy – ucięła stanowczo. – Tu i teraz, w tej konkretnej chwili, nie jestem w więzieniu. Jestem z tobą i chcę wszystko o tobie wiedzieć. –

Wychyliła się do przodu na krześle. – Na okrągło szukam cię w Internecie, ale zupełnie jakbyś nie istniała – powiedziała. – Co najmniej raz w miesiącu zaglądam na Facebooka. Jest sporo Riley MacPherson, ale potrafię poznać, że żadna nie jest tobą. Chociaż jedna ma w profilu jakiś widoczek zamiast swojego zdjęcia i za każdym razem się zastanawiam „Może to ona?”.

Pierwszy raz tego dnia się uśmiechnęłam. Na wieść o tym, że mnie szukała, dreszcz emocji przebiegł mi po plecach. Trafnie odgadła – na moim profilu było zdjęcie porośniętej makami łąki w nagłówku i obraz pięknej tęczy zamiast prywatnych fotografii.

– To ja – potwierdziłam. – Nie mogę się za bardzo udzielać na portalach społecznościowych. Jestem psychologiem szkolnym. Im mniej uczniowie, z którymi pracuję, wiedzą o moim życiu prywatnym, tym lepiej.

– Psychologiem szkolnym! – ucieszyła się. – Och, Riley, to wspaniale.

Chciałam jej powiedzieć, że to ona natchnęła mnie, by wybrać ten zawód, w dniu, kiedy odebrała sobie życie, ale nie chciałam mówić o jej oszustwie. O jej świadomej decyzji, żeby mnie porzucić.

– Kocham tę pracę – wyznałam zamiast tego.

– To wiele mi o tobie mówi – stwierdziła. – Pokazuje, kim naprawdę jesteś. Tata opowiadał mi trochę o Dannym i o tym, jak ciężkie miał życie, ale o tobie nie chciał nic mówić. Wiem jednak, gdzie mieszkasz. Znalazłam twój adres jakiś rok temu. W Durham, prawda? – Wyrecytowała nazwę ulicy i numer ze zdumiewającą

łatwością.

Skinęłam głową. Niektórzy uczniowie też znaleźli mój adres. Nie było to trudne. Wątpiłam jednak, czy wyuczyli się go na pamięć, i byłam jednocześnie wzruszona i zaniepokojona, że ona to zrobiła.

– Milion razy myślałam, żeby do ciebie napisać – wyznała. – Tak bardzo chciałam cię zobaczyć, ale bałam się, że wszystko się wyda. Wylądowałabym w więzieniu... i tata też. – Przełknęła ślinę i poznałam, jak wiele wysiłku ją kosztuje, żeby się nie rozsypać na myśl o więzieniu. – A teraz i tak mnie to czeka. – Nagle jej oczy nabrały nieobecnego wyrazu. – Przynajmniej tacie już nic nie zrobią – dodała. – Dzięki Bogu choć za to.

– Tak mi przykro, że narobiłam zamieszania.

Potrząsnęła głową, jakby odpędzała myśli o więzieniu.

– Masz męża? – spytała.

– Nie – powiedziałam. – Ale wiem, że wy wzięłyście ślub. Widziałyśmy z Jeannie zdjęcia z waszego wesela. Był na nich tata. – Głupio się czułam, nazywając go przy niej „tata”, gdy świetnie wiedziała, że nie był moim ojcem.

– Jak mogłyście zobaczyć te zdjęcia? – Jej oczy, w tym samym czystym, błękitnym odcieniu, co oczy Danny’ego, były szeroko otwarte.

– Wyskoczyły, kiedy szukałam w Google Jasha Trace.

– O rany. – Odchyliła się na oparcie krzesła. – Nie sądziłam, że są dostępne dla wszystkich. Byłyśmy nie dość ostrożne. – Obdarzyła mnie słabym uśmiechem. –

Chociaż, Riley, obecność taty na weselu była najcudowniejszym prezentem, jaki mogłam sobie wymarzyć. Nie widziałam go tyle lat i swoim przyjazdem zrobił nam wspaniałą niespodziankę. Przedstawiłyśmy go wszystkim jako mojego wujka, a on świetnie wczuł się w rolę. Poznał nasze dzieci, były nim zachwycone. – Spojrzała na mnie niepewnie. – Wiesz, że mam dzieci?

Skinęłam głową, nie bacząc na ból wywołany tym pytaniem.

– Alexa i Zoe – powiedziała. – Chciałabym, żebyś ich poznała. Tata świetnie sobie z nimi radził na weselu. Chyba dobrze się bawił. Nawet zagrał z zespołem. Od dzieciństwa nie widziałam go takim wesołym.

– Przy mnie nigdy taki nie był. – Głos mi drżał. Serce taty już było ciężkie od smutku, kiedy wydorostałam na tyle, żeby go prawdziwie poznać. Danny miał rację – swoim upozorowanym samobójstwem Lisa rzeczywiście zniszczyła naszą rodzinę.

Przygryzła wargę.

– Och – szepnęła. – Przepraszam, Riley.

Wciągnęłam powietrze, świadoma, że zaraz całkowicie się przed nią odsłonię.

– Kiedy oglądałam te zdjęcia z wesela – wyznałam – czułam się taka pominięta. Zrobiła oszołomioną minę.

– Och, kochanie. – Jej krzesło stało tak blisko, że wychyliwszy się do przodu, mogła dotknąć mojej ręki. – To zrozumiałe! Tak bardzo mi przykro.

Nie chciałam płakać. Rozpaczliwie szukałam bezpieczniejszego tematu, ale takich było zatrwająco niewiele. Pomyślałam o Mattym.

– Kiedy dowiedziałam się od Jeannie, że jesteś moją matką – zaczęłam – zadzwoniłam do Matthew Harrisona, ale wyjechał z grupą młodzieży do Japonii. Jesteście w kontakcie?

Miała zdumioną minę.

– Po co dzwoniłaś do Matty’ego?

– To mój ojciec, prawda?

Wolno pokręciła głową.

– Och, nie, skarbie – powiedziała. – To był chłopak, którego poznałam we Włoszech. Wstyd przyznać, ale nawet nie wiem, jak miał na imię.

– Aha. – Czułam się zawiedziona. Chciałam, żeby moim ojcem był Matthew. Ktoś, kogo mogłabym spotkać. Poznać i polubić. Osunęłam się na krzesło, wciąż ściskając w dłoniach futerał Violki. Lisa też chyba nie wiedziała, co powiedzieć, i pokój wypełniła duszna cisza.

– Danny... – odezwałam się wreszcie. – Nie zdradziłabym mu niczego, gdybym wiedziała, że zaczniesz wokół siebie węszyć. Nie zdawałam sobie sprawy, że aż tyle miałaś do ukrycia, a kiedy się zorientowałam, było już za późno. On chce, żebyś za to zapłaciła. Nie masz pojęcia, jak bardzo cię... nienawidzi.

Zacisnęła usta na dźwięk słowa „nienawidzi”.

– Nie rób sobie wyrzutów, proszę – powiedziała, ale jej oczy patrzyły pustym wzrokiem i wiedziałam, że w tej chwili nie myślała o mnie. Westchnęła. – No cóż, będę musiała znów przywyknąć do ciągłego oglądania się przez ramię – stwierdziła. –

Zdażyłam się od tego odzwyczaić. – Zamknęła oczy, jakby próbowała zapanować nad emocjami, i kiedy wreszcie podniosła powieki, miała smutną minę. – To takie wkurzające, Riley! Chcę spędzić z tobą jak najwięcej czasu, a nie wiem, jak go znaleźć.

Jej słowa roznieciły we mnie iskrę gniewu – gniewu, którego obecności dotąd nie byłam świadoma.

– Mogłaś spędzić ze mną tyle czasu, ile dusza zapragnie, ale odeszłaś. – Staralam się mówić łagodnym tonem, ale i tak poznałam, że moje słowa ją zraniły.

– Nie chciałam być twoją matką z za krat – odparła.

– Może wyrok nie byłby surowy, gdybyś poczekała na proces – stwierdziłam. – Wiem, że to, co się stało, było wypadkiem.

– Proszę cię, Riley. – Pokręciła głową. – Nie traćmy czasu, który mamy dla siebie, na takie rozmowy. Nie mówmy o rzeczach, których nie da się zmienić.

– Przecież gdybyś znalazła dobrego adwokata, mógłby... albo mogłaby... cię

wybronić. Wystarczyłoby wykazać, że to był wypadek. – Jakoś nie potrafiłam tego zostawić. Nagle ogarnęła mnie straszna frustracja! Położyłam Violkę na podłodze, wstałam i zaczęłam chodzić po garderobie. – Dlaczego nie zostałam? – Głos mi się załamał. – Nam wszystkim byłoby o wiele lżej. Może i dostałabyś parę lat więzienia, ale mogłabym cię odwiedzać. Mogłabym cię... znać. Danny by nie zszedł na złą drogę w szkole średniej. Może nawet w ogóle nie wyjechałby do Iraku.

– Och, Riley. – Znów przygryzła wargę. – Za bardzo się bałam. Tata znalazł wyjście z sytuacji. Ufałam, że wie, co dla mnie najlepsze. I ostatecznie dobrze mi się układało. Aż do tej pory.

– To znaczy do chwili, kiedy zjawiła się twoja córka i wszystko zepsuła. – W moim głosie brzmiał młodzińczy upór godny nastolatek, z którymi pracowałam, ale nie mogłam się powstrzymać.

– Nie to miałam na...

– Żałujesz tego? – Stałam przed nią. – Żałujesz, że uciekaś?

Jej długie wahanie wystarczyło mi za odpowiedź.

– Moje życie jest dużo lepsze, niż na to zasługuję – powiedziała wreszcie – ale zawsze była w nim wielka luka. Puste miejsce po tobie. Mojej rodzinie. Myślałam, że robię to, co dla ciebie najkorzystniejsze. Że dam ci dwoje kochających rodziców. Nie wiedziałam, że mama umrze tak młodo. Że Danny zaciągnie się do wojska, zostanie ranny i tak wiele wycierpi. Sądziłam, że najlepiej ci się przysłużę, odchodząc. Szum medialny... plotki... Danny ciężko to wszystko znosił. Chciałam choć tobie tego oszczędzić.

– No i chciałaś być wolna.

– Oczywiście, że tak! – zawołała z czerwonymi plamami na policzkach. – Ale nie od ciebie. Nigdy. Kocham cię.

Potrząsnęłam głową.

– Zdobyłaś wolność dla siebie, Liso, ale Danny'ego i mnie skazałaś na dożywocie w domu pełnym kłamstw.

Wyraźnie się zaniepokoiła.

– Nazywam się Jade, Riley – poprosiła, jakby nie usłyszała nic oprócz swojego imienia. – Proszę. Musisz mnie nazywać Jade.

Poczułam się skarcona. Mogła powtarzać bez końca, że mnie kocha, ale jej czyny zadawały temu kłam. Od zawsze. Nagle stwierdziłam, że muszę się wydostać z tej ciasnej garderoby. Przebywanie z Lisą sprawiało mi zbyt wielki ból.

Pociągnęłam drzwi do siebie i wybiegłam, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej. Przemknęłam po tonącym w mroku, opustoszałym parkiecie klubu, wypadłam przez podwójne drzwi na zewnątrz i nabrałam do ust gęstego, letniego powietrza. Tupiąc butami o chodnik, pognałam do swojego samochodu jakby w obawie, że Lisa rzuci się za mną w pościg.

Zdyszana, dopadłam do auta i na chwilę oparłam się o ciepły metal drzwi.  
Patrzyłam w mrok, czy Lisa za mną pobiegnie, ale tego nie zrobiła.  
Dopiero wtedy sobie uzmysłowiłam, jak bardzo tego pragnęłam.

54.

## *Jade*

Siedziała skulona w fotelu. Kiedy wróciła do hotelowego pokoju, Celia ją przytuliła i pozwoliła się wygadać. Wypłakać. Teraz jednak chciała, by zostawiły przeszłość za sobą. Krążąc po pokoju, zastanawiała się nad ich następnym posunięciem, Jade zaś wciąż była myślami w garderobie z Riley. Zawsze wyobrażała sobie, że pewnego dnia, kiedyś, porozmawia z córką. Że będzie to chwila pełna czułości. Że Riley jej wybaczy, że zrozumie. Rzeczywistość jednak okazała się inna. Skrzywdziła Riley, ostatnią osobę na tym świecie, której chciałaby zadać ból.

– Cóż, pierwsze, co musimy zrobić – stwierdziła Celia – to odwołać koncert w New Bern. Spadną na nas gromy, ale w żadnym razie nie możemy...

– Nie – ucięła Jade.

Celia znieruchomiała i spojrzała na nią jak na wariatkę.

– Jaki to miałoby sens, Celio? Danny mnie nienawidzi i ma przyjaciół w policji. Zna rozkład naszej trasy. Wie, gdzie będziemy. Nawet gdybyśmy odwołały wszystkie koncerty, teraz już znajdzie mnie bez trudu. – Poskrobała paznokciem małą plamkę na poręczy fotela. – Jestem skończona.

Celia usiadła na rogu łóżka.

– To dotyczy nie tylko ciebie – powiedziała. – Mnie też. Shane’a i Trvisa. Nie wspominając o naszych dzieciach.

Miała rację. Przed wieloma laty Jade oszczędziła sobie i swojej rodzinie długiego procesu i miesięcy – może lat – nagonki medialnej po to tylko, żeby teraz postawić swoją nową rodzinę w obliczu jeszcze większego zagrożenia. Człowiek nie może jednak bez końca uciekać od swoich błędów.

– Wiem. – To słowo wyszło z jej ust szeptem. – Tak mi przykro. Wiem, że to komplikuje sytuację Jasha Trace.

– To koniec Jasha Trace.

Wzdrygnęła się. Przez ostatnią godzinę Celia była pełna współczucia, próbowała ją pocieszać. Teraz wpadła w złość i Jade nie miała do niej o to pretensji.



– Wiem, że to będzie straszne dla Alexa i Zoe. – Głos jej się załamał na imieniu Zoe, ale mówiła dalej. – Po prostu nie ma innego wyjścia. – Jak ona kiedykolwiek wytłumaczy to dzieciom? Czy trafi do więzienia w Wirginii, tysiące kilometrów od nich? Drżącą ręką otarła łzy z oczu i choć cały czas wpatrywała się w poręcz fotela, czuła na sobie spojrzenie Celia.

– Musi być inne wyjście – stwierdziła Celia.

– Tak bardzo ją boli to, że od niej odeszłam – powiedziała Jade. Wciąż miała w pamięci ostatnie chwile z Riley. „Czuję się taka pominięta”, poskarżyła się Riley. Złamała Jade serce tymi słowami. – Nie rozumiem, dlaczego nie zostałam, żeby być częścią jej życia.

– Powiedziałaś jej prawdę?

– Za nic w świecie – Jade aż się wzdrygnęła. Nie pojmowała, jak Celia w ogóle może o to pytać.

– Może to by coś zmieniło – zauważyła Celia. – Może wtedy zrozumiałaby. W tej chwili jest na ciebie zła, co tylko pogarsza naszą sytuację.

– Czy mogłaby być jeszcze gorsza?

Celia nie odpowiedziała. Przesunęła dłonią po puszystej kołdrze, przygryzając dolną wargę. Rzeczywiście, ich sytuacja nie mogła wyglądać gorzej.

– Jutro spróbuję z nią porozmawiać – obiecała Jade. – Nie pozwolę, żebyśmy rozstali się w gniewie.

– Wiesz, gdzie jest?

– Mam jej adres na liście kontaktów. – Spojrzała w srebrzyste oczy Celia, teraz pełne bólu. Boże, niszczyła życie wszystkich, których kochała! – Łudziłam się, że nigdy do tego nie dojdzie. – Pokręciła głową. – Tak strasznie mi przykro.

Celia długo na nią patrzyła. Wreszcie wstała, odwróciła się w stronę okna i wyjrzała w ciemność. Była prawie druga w nocy. Chapel Hill spało. Podobnie jak Shane i Travis w pokoju oddzielonym od nich małym salonikiem, obaj błogo nieświadomi tego, że rano cały ich świat wywróci się do góry nogami.

– Trzeba powiedzieć chłopakom – stwierdziła Jade.

Celia nie odpowiedziała. Wyjęła tylko swój plecak z komody i wyszła do saloniku. Czyżby już teraz zamierzała wyjawić prawdę Shane’owi i Travisowi? Jade siedziała sztywno w fotelu. Przez kilka minut słyszała, jak Celia przekłada jakieś rzeczy z miejsca na miejsce, ale się nie ruszyła. Nawet kiedy dobiegł ją odgłos otwieranych i zamykanych drzwi na korytarz, nie drgnęła... choć odetchnęła z ulgą. Celia na razie nic im nie powie. Jade dobrze ją знаła. Celia po prostu musiała wszystko przemyśleć na osobności. Potrzebowała czasu, by samodzielnie dojść do tego samego wniosku, co Jade: że to koniec.

## Riley

Po trzech tygodniach nieobecności czułam się we własnym mieszkaniu jak intruz. Weszłam, przykręciłam klimatyzację i pościeliłam łóżko, wszystko to na autopilocie, usiłując nie myśleć o rozmowie z Lisą. Miałam ochotę przekąsić coś dla poprawy nastroju, ale spizarka świeciła pustkami, a z lodówki buchnął smród, kiedy ją otworzyłam, więc zrobiłam sobie herbatę rumiankową w mikrofalówce, po czym zapomniałam ją wyjąć. Położyłam się na kanapie i wbiłam wzrok w ciemny sufit.

Ciągle widziałam jej twarz. Jasnoniebieskie oczy. Ostre rysy. Zmarszczki na czole, najwyraźniej widoczne w momencie, kiedy wybuchnęłam gniewem. Właściwie nie wiedziałam, czego się spodziewałam po naszym pierwszym spotkaniu, ale na pewno nie tego, że będę na nią zła. Widok jej pełnego, bogatego życia sprawił, że pustka w moim własnym jeszcze bardziej bolała. W sumie trudno było o to winić Lisę i teraz żałowałam, że zachowałam się jak krnąbrna nastolatka i odtrąciłam ją, zanim zdążyła odtrącić mnie.

Zadzwoił mój telefon i wyjęłam go z kieszeni spodni. *Jean Lyons*, przeczytałam na wyświetlaczu. Jakiś czas wcześniej chciałam z nią porozmawiać, ale uznałam, że o tak późnej porze nie będę do niej dzwonić. Powinnam była się domyślić, że też nie da rady zasnąć. Już miałam odebrać, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Zerwałam się i usiadłam prosto. Nikt nie wiedział, że jestem w mieście. Nikt oprócz Lisy. A ona znała mój adres.

Znów rozległo się pukanie, tym razem znacznie mocniejsze i bardziej natarczywe.

Wsunęłam dzwoniący telefon z powrotem do kieszeni, podeszłam do drzwi i nadstawiłam ucha.

– Kto tam? – spytałam.

– Riley, to ja, Celia. Otwórz, proszę.

Przez chwilę trzymałam rękę na zamku, po czym odciągnęłam zasuwę. Uchyliwszy drzwi na kilka centymetrów, zobaczyłam w świetle z klatki schodowej bladą i zmęczoną Celię. Byłam pewna, że sama wyglądam równie fatalnie.

– Co tu robisz? – spytałam przez szparę w drzwiach.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała. – To bardzo ważne, Riley. Wpuść mnie, proszę.

Zawahałam się.

– Lisa cię przysłała?

– Nie. Znalazłam twój adres na liście kontaktów w jej telefonie. Jestem tu z własnej inicjatywy.

Wiedziałam, że Celia mnie nie lubi, i niepokoiłam się, co też ją do mnie sprowadziło, ale obie kochałyśmy Lisę. To nas łączyło. Cofnęłam się i otworzyłam drzwi.

– Chodź – powiedziałam.

Weszła do mojego małego salonu. Wciąż była w tym samym T-shircie i džinsach co na koncercie, ale włosy jej sterczały, jakby nerwowo przeczesywała je palcami, a z twarzy zniknęły wszelkie ślady radości, jaką emanowała na scenie. Aż trudno było uwierzyć, że to ta sama kobieta.

– Możemy usiąść? – zaproponowała.

Skinęłam głową i opadłam na kanapę. Celia przycupnęła na skraju jednego z dwóch krzeseł z Ikei, z łokciami opartymi na kolanach, i wychyliła się ku mnie.

– Przepraszam za to, jak cię potraktowałam w klubie. Po prostu... wiem, że nie miałaś takiego zamiaru, ale spaprałaś nam życie.

Nie wiedziałam, jak zareagować. Niby to była prawda, ale ich życie wisiało na włosku długo przed tym, zanim się pojawiłam.

– Chciałam pomówić z tobą o twoim bracie i jego znajomym policjancie. Czy zależy mu... to znaczy Danny'emu... na tobie?

– Oczywiście – zapewniłam – ale to niczego nie zmienia. Wierz mi, nie mogę tego odkręcić. Zrobiłabym to, ale sprawa jest beznadziejna.

– Możesz chociaż z nim porozmawiać?

– Już z nim rozmawiałam. To nic nie daje.

– A gdyby Jade z nim pomówiła?

Pokręciłam głową. Fatalny pomysł.

Celia spuściła wzrok na swoje dłonie. Chwilę nerwowo kręciła obrączką na palcu, po czym znów podniosła na mnie oczy.

– Zależy mi na tobie, Riley, bo jesteś córką Jade – powiedziała. – Bardziej jednak zależy mi na Jade. Kocham ją i nie mogę pozwolić, abyś myślała, że postąpiła, jak postąpiła, z egoizmu. Bez względu na to, co się stanie z nią, Jasha Trace czy z naszą rodziną... bez względu na to, co się wydarzy, nie mogę pozwolić, żebyś tak ją postrzegła. Była młoda. Sądziła, że dla ciebie najlepiej będzie, jeśli cię opuści.

– Nie umiem się z tym pogodzić – wyznałam szczerze. – Nie potrafię przeboleć tego, że mnie porzuciła i założyła nową rodzinę.

– Cóż... – Zawahała się. – Może ci w tym pomogę.

– Jak?

Znów pokręciła obrączką, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Wreszcie podniosła głowę i spojrzała mi w twarz.

– Bała się procesu – powiedziała. – Bała się tego, co mogłoby wyjść na jaw w sądzie.

Ciarki przebiegły mi po plecach. Milczałam, niepewna, czy chcę usłyszeć dalszy ciąg.

– Jade pragnęła, żebyś nigdy się o tym nie dowiedziała – ciągnęła Celia. – Gdyby wiedziała, że tu jestem, wściekłaby się na mnie. Ale...

– O czym ty mówisz? Czego mam nie wiedzieć?

– Masz na czole bliznę? – spytała nagle.

Powoli skinęłam głową. Uniosłam grzywkę i wsunęłam twarz w światło lampki stołowej.

Celia podeszła do kanapy i nachyliła się nade mną, mrużąc oczy.

– Ledwo ją widać, co? Tę małą bliznę.

Opuściłam grzywkę z powrotem na czoło, a Celia usiadła na drugim końcu kanapy.

– Co blizna ma tu do rzeczy? – spytałam.

– Prawdę mówiąc, wiele. – Niepewnie przygryzła dolną wargę. Nawet kiedy już otworzyła usta, nie od razu przemówiła. – Steven Davis był twoim ojcem – wydusiła wreszcie.

Minęło kilka sekund, zanim dotarły do mnie jej słowa.

– O nie. – Zrobiło mi się niedobrze. – Byli kochankami?

– Nie! Boże, nie! – Wyglądała na przerażoną. – Kiedy się urodziłaś, miała piętnaście lat, on czterdzieści. Trudno ich nazwać kochankami. – Policzki Celii były purpurowe. – Zgwałcił ją. Ona wtedy tego tak nie postrzegała. Dopiero po latach uświadomiła sobie, że to był gwałt. Początkowo winiła siebie. Ale ten człowiek miał nad nią pełną władzę. To się stało na festiwalu we Włoszech.

Mówiła coś jeszcze, ale do mnie nic nie docierało. Było mi niedobrze. Od śniadania jadłam tylko nachos popijane piwem i w tej chwili pokój zaczął wirować mi przed oczami. Przypomniałam sobie film z wyjazdu do Włoch. To, jak Steven Davis wymierzył batutę w Lisę. Jak w odpowiedzi na ten nieznaczący gest odsunęła się od grupy młodych muzyków i zagrała dla niego.

– Wezwał ją do swojego pokoju niby po to, żeby porozmawiać o jakimś utworze – ciągnęła Celia. – Nie chciała być z nim sam na sam, więc namówiła swojego przyjaciela Matty’ego, żeby z nią poszedł. Tyle że Steven od razu spławił Matty’ego pod jakimś pretekstem i Jade została z nim sama.

Pokój wirował w szaleńczym tempie i nie byłam pewna, czy zdołam na czas dotrzeć do łazienki.

– Niedobrze mi – zerwałam się i chwiejnie przeszłam przez salon. Zamknęłam się w małej łazience w przedpokoju, usiadłam na opuszczonej klapie sedesu i zwiesiłam głowę nad kolanami w nadziei, że mdłości miną.

Ledwo kojarzyłam, gdzie jestem. W Durham? W New Bern? Moje ciało wydawało mi się obce, jakby nie należało już do mnie. Zostałam poczęta w wyniku gwałtu na zaledwie piętnastoletniej dziewczynce dokonanego przez mężczyznę, któremu ufała – chorego, odrażającego typu, który był moim ojcem. Co czuła Lisa, kiedy na mnie patrzyła? Jeannie mówiła, że mnie przytulała. Że nie chciała się ze mną rozstawać. A mimo to jak mogła nie odczuwać wstrętu i gniewu na widok swojej „młodszej siostrzyczki”? Musiałam być żywą pamiątką najgorszego okresu w jej życiu.

– Wszystko w porządku? – spytała Celia przez drzwi łazienki.

– Tak – zapewniłam tak słabo, jak słabo się czułam. Powoli wstałam. Kiedy ochlapywałam twarz chłodną wodą, w lustrze mignęło mi moje blade odbicie i odwróciłam wzrok. Teraz już wiedziałam, skąd wzięły się moje ciemne włosy i oczy, i nie chciałam ich widzieć.

Otworzyłam drzwi. Celia dotknęła mojego ramienia ostrożnie, jakby się bała, że odtrącę jej dłoń.

– Strasznie mi przykro – powiedziała.

Nie byłam pewna, czy dam radę dojść o własnych siłach do kanapy. Zamiast tego usiadłam na wykładzinie w przedpokoju, oparta plecami o ścianę. Telefon wpijał mi się w biodro, więc wyjęłam go z kieszeni i położyłam obok siebie na podłodze.

– To dlatego go zabiła? – Podniosłam oczy na Celię. – Ze złości? To nie był wypadek?

Usiadła naprzeciwko mnie.

– Co pamiętasz z tamtego dnia? – spytała.

Wolno pokręciłam głową, obawiając się, że mdłości powrócą.

– Nic – odparłam. – Miałam tylko dwa i pół roku. Danny mówił, że to wtedy nabawiłam się tej blizny, ale ja sobie tego nie przypominam.

– W sumie to dobrze. – Celia oplotła kolana rękami. – Jade mówiła, że była sama z tobą w domu i Steven zadzwonił, że do niej przyjdzie – powiedziała. – Oczywiście był ostatnim człowiekiem, którego chciała wtedy widzieć. Unikała go od... dnia, kiedy zostałaś poczęta.

Skrzywiłam się.

– Bała się. Wiedziała, gdzie twój ojciec trzymał klucz od kasetki z bronią, więc wzięła rewolwer, choć tak naprawdę nie zamierzała go użyć. Nie był nawet nabity. Chciała tylko mieć go pod ręką, na wypadek gdyby Stevenowi coś strzeliło do głowy. Żeby go nastraszyć. Zostawiła broń w pokoju dziennym, skąd w razie czego mogła ją szybko przynieść. Potem zadzwoniła po Matty'ego, ale Steven zjawił się pierwszy. –

Przesunęła opuszkami palców po krótkich włoskach wykładziny. – I wiesz, czego chciał?

– Seksu? – spytałam słabym głosem.

– Nie – powiedziała. – Chciał swojej córki. Ciebie. Domyślił się, że jest twoim ojcem. Jego żona nie mogła mieć dzieci i zagroził Jade, że wynajmie dobrego adwokata i wywalczy prawo do opieki nad tobą. Przekonywał, że może zapewnić ci doskonałe warunki, zrobić z ciebie wybitnego muzyka i tak dalej. Przeraziła się, bo Steven zawsze dostawał to, czego chciał.

– Czyli zabiła go, żeby mnie jej nie odebrał?

Potrząsnęła głową.

– Nie, Riley. – Wychyliła się do przodu, z dłońmi położonymi płasko na wykładzinie i oczami utkwionymi w mojej twarzy. – Już kiedy była małym dzieckiem – powiedziała – molestował ją. Dotykał. Macał. Jakkolwiek to nazwać. – Policzki Celi znów oblały się gniewną purpurą.

– O nie. – Zawroty głowy powróciły i zakryłam usta dłonią. – To chore. – Pomyślałam o dziewczynce z małutkimi skrzypcami, którą widziałam na taśmie wideo. Jaką cenę zapłaciła za sławę? Do głowy przyszło mi to odwieczne pytanie: *Dlaczego nic nikomu nie powiedziała?* Jednak jako psycholog szkolny znałam odpowiedź. On miał nad nią pełną władzę, jak to ujęła Celia. Uczył ją, więc to od niego zależała jej przyszłość. Jedną rozmową telefoniczną mógł zrujnować jej życie i do tego właśnie dążył, usiłując nie dopuścić, żeby się dostała na Juilliard. Serce mi pękało na myśl o tym, jaka Lisa musiała być przerażona, jak bardzo zagubiona. Nienawidziłam Stevena Davisa. Nigdy nie uznam go za swojego ojca.

– Byli więc w salonie i on mówił jej, co robi, żeby zdobyć prawo do opieki nad tobą – opowiadała Celia. – Przekonał ją, że jest w stanie to załatwić, i tak bardzo się bała, że cię straci. Nie sądzę, by w tym momencie myślała racjonalnie, Riley. Poszła do pokoju dziennego po rewolwer i postanowiła go nabić. Twierdzi, że chciała Stevena tylko nastraszyć. Strzelić w okno czy coś, żeby pokazać, że nie żartuje, ale myślę, że przede wszystkim odchodziła od zmysłów z przerażenia, że cię straci. I kiedy wróciła do salonu, on trzymał cię na kolanach.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze.

– Zupełnie tego nie pamiętam – powiedziałam.

Wychyliła się do przodu i dotknęła czubkami palców mojego kolana.

– I bardzo dobrze – stwierdziła. – Widząc cię na jego kolanach, Jade natychmiast przypomniała sobie wszystko, co jej robił, kiedy była mała, i wpadła w szal. Złapała cię i odrzuciła... takiego słowa użyła, kiedy mi o tym opowiadała... odrzuciła cię na bok, a potem rozwalila drania.

Podniosłam do twarzy dłonie złożone w daszek, jakbym się modliła.

– Czyli to jednak nie był wypadek. – Mówiłam szeptem, otępiąła z szoku i żalu. –

I nawet wtedy nikomu nie powiedziała, co jej robił?

– Bała się, że uznano by to za motyw – wyjaśniła Celia. – Tak naprawdę jedynym jej motywem było pragnienie, by cię chronić.

Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego Lisa postanowiła uciec. Gdyby prawda wyszła na jaw w sądzie – że on ją wykorzystywał, że ją zgwałcił – cóż, może tym zaskarbiłaby sobie pewne współczucie przysięgłych, ale jednocześnie to przekonałoby ich, że miała aż nadto powodów, by go zabić. Nie byłaby w stanie udowodnić, że doszło do wypadku... bo to nie był wypadek.

– Uderzyłaś głową w stolik, kiedy ściągnęła cię z jego kolan – wyjaśniła.

Dotknęłam czoła i małego zagłębienia, które było ze mną przez całe życie. Kiedy opuściłam rękę, Celia znów położyła opuszki palców na moim kolanie.

– Przykro mi. Naprawdę. Ale musiałaś to wiedzieć. Nie mogłam pozwolić, żebyś myślała, że Jade kiedykolwiek odtrąciłaby cię z własnej woli.

Skinęłam głową.

– Dzięki, że mi powiedziałaś – wyszeptałam.

– Jade nie zgadza się, żebyśmy odwołali koncert w New Bern – powiedziała Celia, kładąc dłonie na swoich kolanach. – Jest gotowa znieść wszystko, co Danny i jego przyjaciel postanowią. Choćby to miało ją zniszczyć. I tak właśnie się to skończy, sama wiesz. Stara się być dzielna, ale spędzi resztę życia za kratami... Strasznie się o nią boję.

Przycisnęłam palce do oczu. Kiedy je oderwałam, były mokre.

– Pogadam jeszcze raz z Dannym – obiecałam w nadziei, że nie skontaktował się jeszcze z Harrym. – Ale to raczej nic nie da.

Podniosła mój telefon z podłogi.

– Wpiszę mój numer na twoją listę kontaktów – stukała szybko palcem w ekranik. – Zadzwoń po rozmowie z nim, dobrze?

– Jest zdeterminowany, Celio – przestrzegłam. – Zależy mu tylko na tym, żeby skrzywdzić Lisę tak samo jak – w co święcie wierzy – ona skrzywdziła jego. Szuka sprawiedliwości.

Wstała.

– Nie stracę nadziei. – Nachyliła się i ku mojemu zaskoczeniu pocałowała mnie w czubek głowy. – [A poza tym – powiedziała, prostując się – sprawiedliwość ma wiele postaci.](#)

56.

## *Riley*

Po wyjściu Celi nie miałam najmniejszego zamiaru położyć się spać, chociaż była już czwarta nad ranem. Moje ciało słańiało się ze zmęczenia, ale w głowie wirowały myśli. Obraz Lisy ściągnąjącej mnie z kolan Stevena Davisa i rozwalająącej go w ataku furii nie opuści mnie nigdy.

Zadzwońiałam do Danny'ego i nie byłam zaskoczona, gdy nie odebrał. Złapałam torbę sportową, zamknęłam mieszkanie i zeszłam do opustoszałego garażu. Kiedy wsiadałam do samochodu, zadzwonił mój telefon. Znowu Jeannie. Oddzwonię w drodze. Na razie pragnęłam jak najszybciej wrócić do New Bern. Pojadę prosto do Danny'ego i go obudzę. Musiałam mu powiedzieć, czego się dowiedziałam. Ubłagać go, żeby nie rozmawiał z Harrym... o ile jeszcze tego nie zrobił.

Było ciemno choć oko wykol, prawie całą drogę miałam dla siebie. Dwa razy wybrałam numer Jeannie, ale moje oczy zaszyły łzami i czułam, że głos odmówi mi posłuszeństwa, więc rezygnowałam. Byłam już prawie w Goldsboro, kiedy uznałam, że dam radę wydusić z siebie parę słów i się przy tym nie popłakać.

Odebrała, mocno rozgorączkowana.

– Nic ci nie jest? – Włączyłam tryb głośnomówiący i jej głos otaczał mnie w samochodzie. – Bardzo się niepokoiłam. Nie miałam pojęcia, co...

– Żyję – powiedziałam. – I to chyba najlepsze, co mam do przekazania.

– Co się stało? – spytała.

Znów polały się łzy i nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

– Och, skarbie – przejęła się. – Powiedz mi. Mów do mnie.

– Steven Davis był moim ojcem – wykrztusiłam.

Milczała i ciemne wnętrze samochodu wypełnił mój szloch. Ledwo widziałam drogę przede mną.

– Nie – stwierdziła Jeannie w końcu. – Nie wierzę. Nie chcę uwierzyć!

Powiedziałam jej wszystko, czego się dowiedziałam od Celi, mamrocząc tak niewyraźnie, że kilka razy musiała prosić o powtórzenie takiego czy innego



szczególu. Kiedy wydusiłam z siebie całą historię, głos Jeannie był już tak schrypnięty jak mój.

– Gdyby tylko Lisa powiedziała twoim rodzicom, co się dzieje! – stwierdziła. – Mogliby jakoś jej pomóc.

– Wiem.

– Była taka delikatna – dodała. – Nawet sobie nie wyobrażałam, żeby mogła wziąć broń do ręki, a co dopiero strzelić. Teraz już rozumiem. Zrobiłaby wszystko, żeby cię ochronić.

– A ja potraktowałam ją okropnie, Jeannie! – zaszlochałam. – Tak bardzo się zdenerwowałam, kiedy rozmawialiśmy.

– Kazałaś jej trzymać się z dala od New Bern? – spytała.

– Przyjedzie i tak – oznajmiłam. – Muszę porozmawiać z Dannym. Muszę spróbować...

Na jezdnię nagle wybiegł jeleni; płowa sierść mignęła w światłach mojego samochodu. Odruchowo szarpnęłam kierownicą w prawo i krzyknęłam. Koła oderwały się od drogi, samochód wyskoczył w powietrze, kierownica stała się bezużyteczna i odwrócona do góry nogami, wystrzeliłam w mrok nocy jak rakietka.

## *Jade*

Rankiem Jade i Celia siedziały w milczeniu w sterylnie czystej sali śniadaniowej hotelu. Po drugiej stronie stolika Shane i Travis pałaszowali jajka na bekonie i rozprawiali o zestawie utworów na wieczorny koncert, wyraźnie nie wyczuwając napięcia między żeńską częścią zespołu. Jade wiedziała, że Celia jest na nią zła – bo i jakże mogłoby być inaczej? Sama była zła na siebie, z innych jednak powodów. Pragnęła znowu zobaczyć się z Riley. Korciło ją, żeby już, w tej chwili złapać taksówkę i do niej pojechać, ale strach pętał jej nogi. Zeszłego wieczoru Riley wyszła tak zdecydowanym krokiem, jakby odchodziła na zawsze. Gdyby Jade mogła spędzić z nią więcej czasu... Chciała zbudować z Riley więź, której dotąd nie dane im było mieć. To wszechogarniające pragnienie niemal przyćmiewało obawy związane z wieczornym koncertem w New Bern. Czy Danny wygadał już wszystko znajomemu glinie? Czy znowu wyprowadzą ją w kajdankach? Serce zabiło jej szybciej, kiedy wyobraziła sobie swoje ręce skrupowane tak jak kiedyś, dawno temu. Nie sądziła, by mogła to znieść. Dwadzieścia cztery lata wcześniej groziło jej wieloletnie więzienie. To było nic w porównaniu z tym, co czeka ją teraz. Nie tylko zabiła człowieka, ale i nie stawiała się w sądzie, przybrała fałszywą tożsamość i... och, któż mógł wiedzieć, jakie zarzuty jej postawią? Przynajmniej taty już o nic nie oskarżą. To tylko by ją dobiło.

Wiedziała jedynie, że od razu by się przyznał do wszystkiego. Bez sprzeciwu przyjęłaby każdy zarzut. Nie dopuściłaby do procesu. Wbiła wzrok w swój talerz z nietkniętą jajecznicą i plastrem bekonu. Z jej gardła wyrwał się cichy, żalony jęk. Nie pozwoli, by Riley dowiedziała się, że jej ojcem był brutalny sukinsyn.

– Co się stało? – Travis patrzył na nią nad stolikiem z widelcem w ręku. Słodki z niego chłopak. Zawsze był im opiekunem i rozjemcą. Nie cierpiał konfliktów. Tego ranka nie mogła jednak powiedzieć nic, co rozwiałoby jego obawy. Mogła tylko wpatrywać się w talerz.

Celia objęła ją ramieniem.

– Już dobrze – szepnęła jej na ucho. – Jakoś sobie z tym poradzimy.

– O czym wy mówicie? – spytał Shane. – Co się dzieje? Z czym musicie sobie poradzić?

– Chodzi o drobiazg – zapewniła Celia. – Nic się nie stało.

Jade chciała powiedzieć chłopakom wszystko już teraz, przy śniadaniu. Inaczej będą zupełnie nieprzygotowani na wieczorną niespodziankę, Celia stwierdziła jednak, że lepiej „dać sobie trochę czasu”. Jade nie wiedziała, co przez to rozumie, ale i nie miała siły na spory. Zeszłej nocy Celia zniknęła na długo, a po powrocie milczała i nie chciała rozmawiać. Jade z trudem znosiła ciężką atmosferę między nimi. Być może były to ich ostatnie wspólne godziny na wolności, a tu zanosilo się na gorzki, ponury dzień, który zakończy się... czym? Czy policja zgarnie ją przed czy po koncercie? Czy będzie tam Riley, czy też zostanie w domu, żeby nie patrzeć na katastrofę, której z Dannym dali początek?

– Naprawdę podle wyglądasz – powiedział do niej Shane.

– Shane – zganiła go Celia. – Nie pomagasz.

Jade odsunęła się z krzesłem od stolika.

– Idę do pokoju – oznajmiła, ale nie wstała.

– Poleż sobie – doradził Travis. – Musimy się wymeldować dopiero o jedenastej.

Skinęła głową, ale jakoś nie miała siły się podnieść. Jej ciało zwiotczało, nogi zmieniły się w galaretę. O jedenastej wsiądą we czwórkę do furgonetki wynajętej na ten etap trasy koncertowej. Myślała z lękiem o trzygodzinnej podróży do New Bern, o pytaniach Shane'a i Trávisa, co się z nią dzieje, o wzbierającym gniewie Celi. Postanowiła udawać, że śpi.

Zadzwoiła komórka Celi. Za dzwonek służyła jedna z ich piosenek, tak żywa i skoczna, że Jade aż się wzdrygnęła. Celia zerknęła na wyświetlacz i podniosła telefon do ucha.

– Słucham – powiedziała. – Tak, to ja.

Kilka sekund słuchała, potem wstała i odeszła od stolika. Wyczuwając w niej dziwne napięcie, Jade powiodła za nią spojrzeniem. Patrzyła, jak Celia podchodzi do okna, mówiąc coś do telefonu, ze swojego miejsca nie słyszała jednak ani słowa. *Może rozmawia z Riley?*, pomyślała. Nie, niemożliwe. Riley nie znała jej numeru.

Travis zerknął przez ramię na Celię, po czym popatrzył na Jade.

– Dobrze się, dziewczyny, czujecie? – spytał.

Odwzajemniła spojrzenie. Miał chłopięcą urodę mimo krótkiej blond bródki, którą nosił od zawsze. Wymyśliła tuzin możliwych odpowiedzi, ale żadna nie przeszła jej przez gardło. Wbiła wzrok w Celię. Wciąż z telefonem przy uchu, ruszyła w stronę holu hotelowego. Dokąd się wybierała? Gdyby Jade była w stanie wstać, poszłaby za nią.

– Jade, co jest grane? – zaniepokoił się Shane.

Nie zdobyła się na odwagę, by na niego spojrzeć.

– Potem wam powiem – wykrztusiła.

Celia wróciła do sali śniadaniowej. Na widok jej zaniepokojonej miny Jade wreszcie zdołała się podźwignąć z krzesła.

– Co się stało? – przeraziła się.

Celia ścisnęła jej przedramię mocniej, niż zamierzała.

– No dobra – rzuciła do ich trojga, a jej sztuczny spokój powiedział Jade, że zdarzyło się coś strasznego. – Oto jak się sprawy mają. – Celia spojrzała na mężczyzn, którzy patrzyli na nią ze zdumieniem, każdy z filiżanką kawy w ręku. – Musimy z Jade wyjechać natychmiast. Właśnie zamówiłam samochód.

Samochód? Jade spojrzała na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Wy, chłopaki, dołączycie do nas później – ciągnęła Celia. – Spotkamy się w hotelu w New Bern, zgoda?

– Co ty, do cholery, gadasz? – Shane odstawił filiżankę. Jade miała na końcu języka to samo pytanie, ale ugryzła się w język. I tak wkrótce się dowie. *Adwokat*, pomyślała. Widocznie podczas nocnego spaceru Celia zdołała skontaktować się z prawnikiem i teraz do niego pojedą. Nie wiedziała, czy to dobra, czy zła wiadomość.

– Musimy coś załatwić i później wszystko wyjaśnimy, ale na razie idziemy z Jade się spakować. – Celia pociągnęła ją za ramię.

– Hej! – zawołał Shane, kiedy ruszyły do holu hotelowego. – Należy nam się chociaż wytłumaczenie. – Mówił tak głośno, że inni goście obejrzeli się na niego.

Celia zignorowała brata i Jade zaczęła, aż wejść do windy, zanim w końcu się odezwała.

– Co się dzieje? – spytała. – Kto dzwonił?

– Niejaka Jeannie Lyons – odparła Celia.

– Jeannie! – zdumiała się. – Czemu miałyby do ciebie dzwonić? Skąd zna twój numer?

Celia puściła pytanie mimo uszu i kiedy drzwi windy się otworzyły, znów złapała Jade za ramię i pociągnęła w głąb korytarza, do ich pokoju. Dopiero za trzecim razem zdołała trafić kartą do zamka. Jade powoli puszczały nerwy i gdy wreszcie zapłonęło zielone światelko, niecierpliwie pchnęła drzwi.

– Mów! – zażądała, kiedy weszły do środka.

– Posłuchaj mnie – powiedziała Celia z wymuszonym spokojem. – Riley miała wypadek. Jest...

– O nie! – Jade zamarła, niezdolna ruszyć ręką ani nogą. – Powiedz, że nic jej się nie stało – błagała. – Proszę. Gdzie jest teraz?

– Leży nieprzytomna w szpitalu.

– O Boże! Tutaj? Chcę ją zobaczyć. W jakim jest stanie?

– Nie tutaj. W Goldsboro. Jest z nią Jeannie. To się stało zeszłej nocy... a właściwie dziś nad ranem... kiedy jechała do New Bern. Szpital zadzwonił do Jeannie, bo jej numer był ostatnim wybranym w telefonie Riley. W chwili wypadku rozmawiały ze sobą.

– Ale skąd Jeannie przyszło do głowy, żeby zadzwonić do ciebie?

Celia przeczesła włosy dłońmi i usiadła na skraju krzesła.

– Wkurzysz się na mnie – powiedziała. – Wiem, że tak będzie, ale mówi się trudno. Musiałam to zrobić.

– Co? – Jej słowa przerażały Jade.

– W nocy pojechałam do Riley.

– Ty... co takiego? Skąd wiedziałaś, gdzie mieszka?

– Znalazłam jej adres w twoim telefonie.

Przypomniała sobie, jak ostatniej nocy Celia przed wyjściem krzątała się w saloniku.

– Proszę, tylko nie mów, że jej powiedziałaś.

Celia spojrzała Jade prosto w oczy.

– Powiedziałam jej wszystko.

Jade wypuściła powietrze i zgięła się w pół, jakby Celia uderzyła ją w brzuch. Usiadła na brzegu łóżka.

– Jak mogłaś? Skrzywdziłaś ją! – krzyknęła. Celia jednym ciosem obaliła mur obronny, który Jade z takim mozołem wzniosła wokół córki. – Całe życie starałam się nie dopuścić, żeby się o tym dowiedziała. Jak mogłaś jej to zrobić? Jak mogłaś zrobić to mnie?

– Musiałam, Jade.

Jade pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Myślałam, że tobie jednej mogę powierzyć prawdę – powiedziała.

– Nie mogłam siedzieć bezczynnie i patrzeć, jak ona cię niszczy. Jak niszczy naszą rodzinę. Pomyślałam, że jeśli z nią porozmawiam, jeśli...

– O mój Boże – przerwała jej Jade. – Musiała czuć się tak... – Nie mogła znaleźć słowa na opisanie udręki Riley. – Nic dziwnego, że miała wypadek. Na pewno była wstrząśnięta.

– Z początku owszem, ale zanim wyszłam, trochę się uspokoiła. – Celia przekręciła obrączkę ślubną na palcu. – Naprawdę. Sądziłam, że wszystko z nią w porządku, inaczej nie...

– Jak zareagowała, kiedy jej powiedziałaś?

Celia schyliła się, oparła łokcie na kolanach, ukryła twarz w dłoniach i tak długo trwała w tej pozycji, że Jade musiała ponowić pytanie.

– Celio! Jak zareagowała?

– Tak jak można było oczekiwać. – Celia podniosła na nią oczy. – Była przerażona

tym, ile wycierpiałaś przez Stevena. I wieścią, że jest jego córką.

– I że jego śmierć nie była wypadkiem – dorzuciła Jade ze złością.

– Wie, że zrobiłaś to, aby ją chronić – wyjaśniła Celia łagodnym tonem. – Zanim wyszłam, obiecała jeszcze raz porozmawiać z twoim bratem. Dlatego jechała do New Bern. Jeannie mówiła, że...

– Czyli Jeannie też wszystko wie?

Celia skinęła głową.

Jade jeszcze nigdy nie była na nią tak wściekła.

– Jeśli Riley coś się stało, nie daruję ci tego – powiedziała.

– Nie przypuszczałam, że pojedzie w środku nocy. – Głos Celi się załamał. – Przykro mi, ale musiałam to zrobić. Naprawdę.

Spakowały się w milczeniu i dopiero kiedy wsiadły do czarnego lincolna czekającego na parkingu, Jade odezwała się do Celi:

– Chcę porozmawiać z Jeannie.

Celia bez słowa skinęła głową i wyjęła telefon z plecaka. Jade po paru nieudanych próbach zdołała przepisać numer Jeannie na swoją komórkę; opuszki jej palców nagle wydawały się dziwnie duże i niezgrabne.

Jeannie odebrała po pierwszym dzwonku.

– Słucham?

Mimo upływu wielu lat Jade rozpoznała ten głos i jej serce wezbrało miłością i wdzięcznością.

– Jeannie? – Dziwnie było mówić jej po imieniu. Nigdy tego nie robiła.

– Lisa? Och, kochanie. Gdzie jesteś?

– Co z Riley? – spytała.

– Chwilami odzyskuje przytomność – poinformowała ją Jeannie. – Na razie czekamy. Doznała wstrząsu mózgu, złamała dwa palce, ale lekarze uważają, że miała sporo szczęścia. Musieli rozciąć samochód, żeby ją wyciągnąć.

– O Boże – jęknęła Jade, wyobrażając sobie tę scenę. – Ale poza tym wszystko z nią w porządku?

Jeannie zawahała się.

– Przynajmniej fizycznie – powiedziała.

– Och, Jeannie. – Ścisnęła telefon w rękę. – Zadzwoiła do ciebie wczoraj po rozmowie z Celią?

– Tak, z samochodu. Była... cóż, w szoku, tak to chyba trzeba nazwać. Zresztą ja też. Liso, nie mogę w to uwierzyć. Mam ochotę na ciebie nawrzeszczyć, bo ukrywałaś przed nami prawdę, ale doskonale cię rozumiem. Szkoda tylko, że nie powiedziałaś nam, co Steven ci robił. Położylibyśmy temu kres na długo, zanim...

– Wtedy nie urodziłabym Riley – zauważyła Jade. – Nie chcę nawet o tym myśleć.

– Och, kochanie. – Głos Jeannie był ochrypliwy. – Wiesz, jechała do ciebie pełna lęku, że ją odtrącis.

– Nigdy w życiu!

– Byłam tego pewna, ale Riley uważała, że ją porzuciłaś. Kiedy jednak zobaczyłam na zdjęciach zespołu ten wisiołek na twojej szyi, wiedziałam, że się myli.

– Nie chciałam, żeby poznała prawdę, Jeannie – powiedziała. – Nigdy. Nie chciałam, żeby ktokolwiek ją poznał.

Celia położyła dłoń na jej kolanie. Jeannie długo milczała, a gdy w końcu się odezwała, wyznała:

– Jeszcze ktoś wie.

– Kto taki? – spytała Jade.

– Twój brat.

– Zna prawdę? – Wyczuła, że siedząca obok Celia zeszywniała.

– Jest tutaj, w szpitalu. Przyjechaliśmy razem z New Bern. I tak, powiedziałam mu. Liso, musiał wiedzieć.

– Rozmawiał już z policją? – zaniepokoiła się.

Jeannie się zawahała.

– Nie, ale myślę, że mimo wszystko... zresztą nie wiem, co zamierza. Trudno go rozgryźć.

– Jesteśmy z Celią w drodze – powiedziała, patrząc przez szybę na wyprzedzaną ciężarówkę. – Boję się, że przyśle po mnie policję do szpitala. – Usłyszała, że głos jej drży. – Chcę spędzić trochę czasu z Riley, Jeannie. Czy Danny zgodzi się choć na tyle?

– Porozmawiam z nim – obiecała. – Zrobię, co w mojej mocy.

Rozłączyły się i kiedy Celia bez słowa ścisnęła dłoń żony, Jade położyła głowę na jej ramieniu. W tej chwili potrzebowała wsparcia. Życie, które z mozołem budowała przez długie lata, w końcu zaczynało się walić w gruzy.

58.

## Riley

Przez moje zamknięte powieki przebijał łagodny, żółty blask i choć nie jestem szczególnie wierząca, pomyślałam: *Czy trafiłam do nieba?* Nie była to w sumie taka najgorsza opcja i długo nie otwierałam oczu, nawet kiedy z lewej strony dobiegł głos Jeannie.

– Riley? – spytała. – Obudziłaś się?

Pamiętałam lot moim samochodem przez ciemność. Jelenia, którego próbowałam ominąć, oby udanie. Przerażliwy zgrzyt i chrzęst gnieczonego metalu. Pamiętałam – a może mi się śniło? – jak karetka wiozła mnie na pogotowie, unieruchomioną pasami i obojętną na to, co się ze mną dzieje. Przyjemnie było o nic nie dbać. Zdać się na obcych ludzi. Pograżona w błogim ośpieniu, dawałam im robić ze mną, co chcieli, i na przemian odzyskiwałam i traciłam przytomność. Pamiętałam oślepiająco jasne lampy na oddziale ratunkowym. Potężny ból głowy. I... Danny'ego? Danny też tam był?

Uchyliłam powieki i zmrużyłam oczy, gdy poraziło mnie światło.

Jeannie siedziała na krześle przy łóżku. Wychyliła się do przodu, trzymając przy ustach moją dłoń, i uśmiechnęła się, kiedy na nią spojrzałam.

– No, nareszcie jesteś – powiedziała czule. – W końcu mogę zobaczyć te piękne, brązowe oczy. Czujesz się trochę lepiej?

Spojrzałam w dół, na moją opuchniętą lewą dłoń i szyny na palcu wskazującym i środkowym. Łupało mnie w głowie.

– Koszmarnie wyglądam – wychrypiałam.

Puściła moją zdrową rękę i sięgnęła po plastikowy dzbanek z pobliskiego składanego stolika.

– Napij się – wsunęła mi słomkę do ust.

Pociągnęłam łyk. Woda była letnia, ale koła gardło.

– Nadal jestem na intensywnej terapii? – spytałam, kiedy odstawiła dzbanek na stolik.



– Nie, w normalnej sali. Obok stoi drugie łóżko, ale przynajmniej na razie jest puste. Próbowałam spojrzeć w bok, ale palący ból głowy przekonał mnie, że to zły pomysł. Zamiast tego pokiwałam palcami stóp. Rozprostowałam nogi. Odetchnęłam głęboko. Musiałam sprawdzić, jak mocno się poturbowałam.

– Nic mi nie jest? – To miało być stwierdzenie, ale zabrzmiało jak pytanie.

– Wylizesz się – zapewniła Jeannie. – Złamałaś dwa palce i nabiłaś sobie guza. To wszystko.

Dotknęłam bandaża z tyłu głowy.

– Szwy? – Nie pamiętałam tego. Albo mnie uspili, albo byłam nieprzytomna.

– Dziesięć – powiedziała. – Miałaś niewiarygodne szczęście, Riley. W odróżnieniu od twojego samochodu.

Wiedziałam, że go skasowałam. Wiedziałam to w chwili, kiedy koła oderwały się od jezdni.

– Jestem w New Bern? – spytałam.

– Nie, w Goldsboro. Zawieźli cię do najbliższego szpitala.

Przypomniałam sobie błysk płowej sierści w światłach mojego samochodu.

– Mam nadzieję, że nie potrąciłam tego jelenia – powiedziałam.

– Ach, więc to dlatego. Tak przypuszczali.

Domyślałam się, że chodzi o ratowników medycznych bądź inne służby, które pierwsze zjawiły się na miejscu wypadku i mnie znalazły. Choć przerwana podróż do New Bern wciąż pamiętałam jak przez mgłę, to z każdą chwilą coraz wyraźniej przypominałam sobie rozmowę z Celią w moim mieszkaniu. Znów przymknęłam oczy. Ach, żeby tamto okazało się snem.

– Chcesz jeszcze pospać? – spytała Jeannie. – Mówili, że będą cię budzić co pół godziny, ale w sumie możesz się zdrzemnąć.

Pokręciłam głową i skrzywiłam się z bólu.

– Jest Danny? – spytałam.

Skinęła głową.

– Jechałam z nim porozmawiać – wyjaśniłam. – Muszę mu powiedzieć, co Celia...

– Już wie – weszła mi w słowo. – Przyjechaliśmy razem z New Bern i w drodze wszystko mu powiedziałam.

– Jak zareagował?

– Właściwie nijak. – Lekko wzruszyła ramionami. Wiedziałam, że Danny jest dla niej zagadką. – Nic nie mówił. Nie znam go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, co myśli. Na pewno się o ciebie martwi. Czeka za drzwiami. Czujesz się na siłach z nim porozmawiać?

Chciałam skinąć głową, ale w ostatniej chwili się powstrzymałam. Nie będę się ruszać częściej, niż to absolutnie konieczne.

– Tak – zapewniłam.

– I, skarbie... – znów wzięła mnie za rękę i lekko ścisnęła – ...zadzwońłam do Celi, żeby powiedzieć jej o twoim wypadku.

– Do Celi? Skąd...

– Znalazłam numer w twoim telefonie. Już jadą z Lisą.

– Tak? – spytałam dziecinnym głosem. Moje serce wezbrało czystą radością. Choć narażało to Lisę na przykrą konfrontację z Dannym, chciałam, żeby tu była. Żeby była przy mnie.

Jeannie zaczęła się podnosić, ale złapałam ją za nadgarstek.

– Nazywaj ją Jade, Jeannie – podkreśliłam. – Musimy nazywać ją Jade.

Na krótką chwilę zostałam sama. Udało mi się dosięgnąć ręką do dzbanka z wodą i podnieść pilotem wezglowie łóżka prawie do pionu, ale każdy ruch sprawiał mi ból. Włosy wokół bandaża na czubku mojej głowy były w dotyku sztywne – od krwi, domyśliłam się. Chyba wyglądałam jeszcze gorzej, niż się czułam.

Ciężkie drzwi sali otworzyły się i Danny podszedł do mnie, kręcąc głową.

– Ależ jestem na ciebie zły – oznajmił, ale poznałam, że ulga wzięła w nim górę nad gniewem. Nie mówiłby tak, gdyby się bał, że umrę.

– Musiałam się z nią zobaczyć – odparłam.

Stanął obok łóżka, z rękami w kieszeniach dżinsów.

– Musiałaś ją ostrzec, to chcesz powiedzieć.

– Tak.

– Słabo się postarałaś – powiedział. – Nie odwołali koncertu. Przynajmniej jeszcze nie, a czasu zostało niewiele.

– Rozmawiałaś z Harrym? – Wstrzymałam oddech.

– Kazałaś poczekać, więc poczekałem. Planowałem się z nim zobaczyć dziś rano, ale straciłem okazję, bo moja młodsza siostra miała wypadek. – Uśmiech Danny'ego był leciutki, ale dosięgnął jego oczu, i czułam bijącą z niego miłość. – Ale zamierzam się z nim spotkać zaraz po powrocie do New Bern – zastrzegł.

Na pewno marzył o tym wieczorze i już sobie wyobrażał, jak Harry podchodzi do Lisy przed (albo po) koncercie albo – nie daj Boże – w trakcie. Jak Lisa wreszcie po tylu latach ponosi karę, na jaką w jego mniemaniu zasłużyła.

– Danny... – zaczęłam. – Wiem, że Jeannie powiedziała ci o... – Głos nagle odmówił mi posłuszeństwa i nie mogłam dokończyć zdania.

– Tak, wiem wszystko. – Wyjął ręce z kieszeni i objął dłońmi poręcz mojego łóżka. Ciekawe, czy myślał o tym, że jednak nie jest moim bratem. – A przynajmniej to, co Lisa chce, żebyśmy wiedzieli – dodał – ale...

– Ona nie chciała, żebyśmy w ogóle cokolwiek wiedzieli – wtrąciłam pospiesznie. – To Celia mi wszystko powiedziała.

– A wiemy, po czyjej Celia jest stronie – uciął obcesowo.

Zmarszczyłam brwi.

– Nie wierzysz jej? – spytałam. – A w które konkretnie fakty wątpisz?

– Nieważne, czy wierzę, czy nie – odparł. Uśmiech zupełnie zniknął z jego twarzy.

– To, że facet był draniem, nie ma nic do rzeczy. Mimo wszystko był człowiekiem, a ona go zabiła.

To była niezaprzeczalna prawda. Może gdyby w tej chwili ważyły się losy cudzej matki, pierwsza gardłowałabym za tym, żeby stanęła przed sądem i poniosła karę. Ale w oku cyklonu znalazła się moja matka. Nie mogłam na to pozwolić.

– Proszę, nie odbieraj mi jej, Danny – błagałam.

Puścił poręcz i podszedł do okna. Przez chwilę wyglądał na zewnątrz, po czym odwrócił się do mnie z rękami założonymi na piersi.

– Źle zrobiła, że uciekła – powiedział. – Powinna była zostać.

– Skoro musisz kogoś winić za jej ucieczkę, to tylko tatę – przerwałam mu. – Była wtedy taka młoda i zdesperowana.

Drzwi otworzyły się z niemal niesłyszalnym skrzypieniem. Weszła młoda, blondwłosa pielęgniarzka. Danny czekał w milczeniu, kiedy mierzyła mi ciśnienie, świeciła latarką w oczy i pytała, czy wiem, gdzie jestem.

– No, jest pani w fantastycznej formie – podsumowała, kiedy skończyła. Kiwnęła głową w stronę drzwi. – Przyszła pani przyjaciółka Jade. Czuje się pani na siłach przyjąć jeszcze jednego gościa?

Zerknęłam na Danny'ego. Jego twarz była jak wyciosana z kamienia.

– Tak – powiedziałam. – Proszę ją wpuścić.

## *Jade*

Drżała, idąc korytarzem do sali Riley, nie tylko dlatego, że klimatyzację w szpitalu ustawiono na zbyt niską temperaturę. Od Jeannie się dowiedziała, że będzie mile widziana... przynajmniej przez Riley. Co do Danny'ego jednak nie miała takiej pewności, a to w jego rękach leżała jej przyszłość. Czuła się, jakby szła na spotkanie z katem.

Jeannie przywitała ją i Celię, kiedy niedługo wcześniej przyjechały do szpitala. Gdyby nie chaos, który rozpętał się w jej życiu, Jade uradowałaby się na widok starej znajomej. A tak prawie się popłakała, kiedy Jeannie wzięła ją w ramiona. Ten uścisk powiedział Jade, że przynajmniej ona wybaczyła jej krzywdę, jaką wyrządziła swoim bliskim. I wszystkie kłamstwa.

Pielęgniarka, drobna, wiecznie uśmiechnięta blondynka, zapytała Jade, czy jest krewną Riley.

– Jade to przyjaciółka rodziny – wyjaśniła Jeannie. – Znają się od lat.

Od zawsze, pomyślała Jade, pukając lekko do drzwi. Ulżyło jej na widok Riley siedzącej prawie prosto w łóżku. Błada i posiniaczona, uśmiechała się niepewnie i Jade poczuła ogromną wdzięczność do losu, że córka żyje i odzyskała przytomność. Po drugiej stronie sali na tle okna odcinała się sylwetka Danny'ego. Światło padało na niego od tyłu, więc Jade nie mogła rozróżnić jego rysów. To dawało mu nad nią przewagę. W sali aż iskrzyło od napięcia.

– Cześć. – Uśmiechnęła się do Riley i podeszła do łóżka, próbując udawać, że to zwyczajne odwiedziny w szpitalu, nie spotkanie po latach trójki poranionych, kruchych i podminowanych ludzi. – Jak się czujesz?

– Nic mi nie jest – zapewniła ją Riley.

Jade schyliła się i pocałowała córkę w policzek.

– Kamień spadł mi z serca – wyznała. – Przeraziłam się, kiedy usłyszałam o twoim wypadku. – Odstąpiła od Riley i podeszła do brata. Zesztywniała ze strachu, wyciągnęła do niego rękę. Nie wiedziała, co powiedzieć. Żadne słowa nie mogły

wynagrodzić lat rozłąki.

– Danny – szepnęła. Cofnął się od okna i wreszcie mogła go wyraźnie zobaczyć. Był taki przystojny, ale oczy miał lodowato zimne. Nie wyjął ręk z kieszeni, więc Jade opuściła dłoń. – Przepraszam. Za wszystko.

– W porządku – powiedział, ale wiedziała, że między nimi nic nie jest w porządku i nigdy nie będzie. Ojciec powiedział jej, że Danny jest „trudny”, ale teraz poznała, że „trudny” to zbyt łagodne określenie. Danny był okaleczony na duszy. Te zimne oczy, zacięte usta. Gdzie się podziało tamto wesołe, żywiołowe dziecko, jakim był kiedyś? W jakim stopniu przyczyniła się do tej przemiany? Znow wyciągnęła do niego rękę, tym razem żeby dotknąć jego ramienia, ale pospiesznie się cofnęła.

– Zabiłaś naszą rodzinę, wiesz? – spytał.

– Danny – odezwała się Riley. W jej głosie zabrzmiała błagalna nuta.

Słyszając nieprzyjazny ton brata, Jade zrobiła krok w tył i stanęła w nogach drugiego łóżka. Nie wiedziała, jak odpowiedzieć na jego pytanie. Bała się, że miał rację.

– Nie chciałam tego. Nie mogłam... przewidzieć wszystkiego, co się wydarzyło. – Przytrzymała się krawędzi łóżka. – Kiedy wracam myślą do tamtych dni, pamiętam tylko jeden wielki zamęt. – Taka była prawda. – Nie wiedziałam, co robić – powiedziała – i kiedy tata zaproponował...

– Jasne – przerwał jej Danny. – Wszystko przez niego.

– Nie to chcę powiedzieć – odparła. – Nie próbuję się bronić. Wiem, że popełniłam straszliwe błędy, i muszę żyć z tym, co zrobiłam. Z wyrzutami sumienia. Skazana na rozłąkę z ro...

– A my z Riley musieliśmy żyć z beznadziejnymi rodzicami w domu pełnym kłamstw.

– Danny – powiedziała Riley – ja tak nigdy tego nie odczuwałam.

– No to szczęściara z ciebie! – warknął na nią i Jade aż ręka zaświerzbiała, żeby dać mu w twarz. *Nie odzywaj się tak do mojej córki!*, chciała krzyknąć, ale nie miała do tego prawa. Zobaczyła, że Riley zamyka oczy i zapada się z powrotem w poduszkę. *To ponad jej siły*, pomyślała Jade. Nie powinni prowadzić tej rozmowy tutaj. Ani teraz. Jednak później nie będzie czasu. Później być może zamkną ją w więzieniu.

– Dlaczego, do cholery, po prostu nie powiedziałaś prawdy? – spytał Danny. – Konsekwencje cię przerosły? Wydymałaś nas wszystkich i tyle.

– Bałam się – wyznała. – Odchodziłam od zmysłów. Zabiłam człowieka... – Głos jej się załamał. – Przeżywałam tę chwilę od nowa niezliczoną ilość razy i... Przepraszam, Danny – powtórzyła znowu. – Wszystko się tak strasznie zagmatwało i nie wiedziałam, jak to naprawić. Byłam zupełnie rozbita.

– A czy w ciągu ostatnich dwudziestu lat, kiedy już przestałaś być „zupełnie rozbita”, kiedykolwiek pomyślałaś o Riley, o mnie i o katastrofie, jaką po sobie

zostawiłaś? Czy przez tych dwadzieścia zasranych lat choć raz pomyślałaś, żeby wrócić? Żeby wszystko naprawić?

– Oczywiście, że o tym myślałam – odparła – ale gdybym wyznała całą prawdę, zapłaciliby za to tata.

– Zapłacili i tak! – Danny wyjął ręce z kieszeni i wyrzucił je w górę dla podkreślenia swoich słów. – Wszyscy zapłaciliśmy. I czas najwyższy, żebyś ty również zapłaciła.

– Przestańcie! – krzyknęła Riley. – Dłużej tego nie zniosę! Przestańcie, proszę!

Zupełnie jakby dopiero teraz sobie przypomnieli, że jest z nimi Riley, oboje odwrócili się do niej. Jej blade policzki były zalane łzami, dłonie, jedna zabandażowana, zasłaniały uszy. Jade przypadła do córki.

– Kochanie. – Osunęła się na krzesło obok łóżka i pomasowała ramię Riley przez cienką, szpitalną koszulę. – Tak mi przykro. Wiem, że kłótnia to ostatnie, czego ci w tej chwili trzeba.

– Rozdzieracie mi serce. – Riley przenosiła wzrok z Jade na Danny'ego. – Kocham was oboje. Potrzebuję was obojga.

Jade spojrzała przez salę na brata. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego twarzy i wyraźnie unikał jej wzroku. Odwróciła się do swojej córki.

– Jestem przy tobie, Riley. – Przygotowała się na to, że Danny wydrwi jej słowa. Bo i jak zamierzała być przy Riley, kiedy wyląduje w więzieniu? I czy była przy niej przez ostatnich dwadzieścia parę lat? Danny jednak się nie odezwał. Podszedł tylko do łóżka Riley od drugiej strony i wtedy Jade po raz pierwszy zauważyła, że brat utyka. Przypomniała sobie wiadomość od taty: *Danny został ciężko ranny po wybuchu granatu*. Pamiętała, że przez wiele dni nie mogła spać, pamiętała, jak rozpaczała, zamartwiała się i winiła siebie za całe zło, które spadło na jej rodzinę, i jak wskutek tego straciła dziecko. Chciała wyciągnąć ręce nad łóżkiem Riley i wziąć swojego poranionego brata w objęcia, ale wiedziała, że ten gest nie będzie mile widziany. Że jej miłość do niego już na zawsze pozostanie nieodwzajemniona.

Danny pochylił się nisko, przyłożył usta do skroni Riley i chwilę trwał w tej pozycji, szepcząc coś, czego Jade nie mogła dosłyszeć.

Wstał i nawet nie zerknąwszy w jej stronę, ruszył do drzwi.

Jade wpadła w panikę. Nie mogła pozwolić, żeby się rozstali w takich okolicznościach, jeśli nie chciała, by następną osobą, która wejdzie do sali, zakuła ją w kajdanki.

– Wybacz mi, Danny, proszę – błagała, wstając z krzesła. – Proszę.

Odwrócił się do niej i znów wstrząsnął nią widok bólu wypisanego na jego twarzy.

– Pewnego dnia przeszłość cię dopadnie, Liso – powiedział i wstrzymała oddech na dźwięk swojego dawnego imienia. – Ale ja nie przyłożę do tego ręki.

60.

## *Riley*

Drzwi z szelestem zamknęły się za Dannym i Lisa spojrzała na mnie. Miała przekrwione, podkrążone oczy i prawie białą twarz.

– Co miał na myśli? – spytała. – Mówiąc, że nie przyłoży do tego ręki?

– Szepnął mi, że nie powie nic Harry’emu. Temu policjantowi.

Z Lisy wyraźnie zeszło napięcie i schowała głowę w dłoniach. Przez chwilę milczała. Kiedy wreszcie podniosła wzrok, na twarzy miała smutny uśmiech.

– Czuję się jak skazaniec ułaskawiony tuż przed egzekucją – wyznała.

– Bo tak jest.

– Strasznie mu współczuję – powiedziała. – Bardzo cierpi.

– Wiem. – Skinęłam głową. – Ma ciężkie życie. – Nieśmiało dotknęłam sterczących, sztywnych włosów na czubku mojej głowy. Niebawem będę musiała poprosić o kolejną dawkę środków przeciwbólowych. – Jest z tobą Celia?

– Dała nam trochę czasu dla siebie – powiedziała Jade. – Przepraszam, że wczoraj do ciebie przyszła. Nie chciałam tego.

– Dobrze zrobiła – odparłam. – Musiałam poznać prawdę. Choć nie jestem pewna, jak będę mogła żyć ze świadomością, że ten człowiek był moim ojcem... i co się stało.

– Och, Riley, wiem! – Sięgnęła po moją dłoń. Pogładziła ją palcami. Jeszcze nikt tak mnie nie dotykał. Z tak wielką miłością. – Nigdy nie byłam agresywna – zapewniła – ale kiedy weszłam do salonu i zobaczyłam cię na kolanach Stevena, straciłam nad sobą panowanie. Zupełnie. – Ścisnęła moją dłoń. – Do dziś robi mi się niedobrze na samo wspomnienie. Wszystko, co się wydarzyło tamtego dnia... i potem... to dla mnie koszmar.

Nie chciałam już słuchać opowieści o tamtym dniu. Nie sądziłam, bym kiedykolwiek zapragnęła poznać dalsze szczegóły – szczegóły, które w wieku dwóch lat udało mi się wyprzeć z pamięci. Jak dla mnie mogły na zawsze pozostać w mrokach niepamięci.

– Przepraszam, że wczoraj na ciebie naskoczyłam – powiedziałam. – Rozmowa z Celią bardzo mi pomogła. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie przyszła.

– Podziękuję jej za to – obiecała – jeśli kiedykolwiek przestanę się na nią gniewać.

– Nie masz o co.

Lisa spojrzała w okno z lekkim, zdumionym uśmiechem na twarzy.

– Nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę dzieje – powiedziała, odwracając się z powrotem do mnie. – Że siedzę tu z moją córeczką.

– Mnie także trudno w to uwierzyć – przyznałam. – Ciekawe, czy nasze życie ułożyłoby się inaczej, gdybyś została. Gdybyśmy dorastały w jednej rodzinie, ze względu na różnicę wieku pewnie obracałybyśmy się w zupełnie innych kręgach. Nigdy byśmy się tak naprawdę nie poznały.

– Och, ja poznałabym cię na wylot – zapewniła. – Nie spuszczałabym cię z oka.

Moją głowę przeszyła fala bólu, co musiało się odbić na mojej twarzy, bo Lisa mocniej ścisnęła mnie za rękę.

– Wezwać pielęgniarkę? – spytała.

– Jeszcze nie – poprosiłam. – Niech nam nie przeszkadza.

Skinęła głową.

– Rozmawiałam z twoim znajomym – powiedziałam. – Gradym.

Z otwartymi ustami odchyliła się na oparcie krzesła.

– Jak to? Skąd mogłaś wiedzieć o...

– To długa historia... – Nie chciałam w tej chwili opowiadać o blogu Sondry Davis.

– Zachowam ją na inną okazję. Ale kazał przekazać ci pozdrowienia.

Pokręciła głową, zadziwiona.

– Ileż lat go nie widziałam – westchnęła.

– Musiałaś być przerażona, gdy wyjeżdżałaś z domu do San Diego, nikogo tam nie znałaś. Zaczynałaś życie od nowa ze świadomością, że nigdy więcej nie zobaczysz swojej rodziny...

Jej oczy wypełniły się łzami i widziałam, że moje słowa wyzwoliły w niej nieprzebrane pokłady smutku. Puściła moją dłoń i ukryła twarz w rękach. Dotknęłam jej kolana przez dzinsy. *To moja matka*, pomyślałam. Nie mogłam uwierzyć, że tu jest. Że jej naprawdę dotykam.

Kiedy opuściła ręce, miała czerwone policzki.

– Tak trudno było się na to zdobyć – powiedziała – ale uznałam, że to jedyne wyjście. Wiedziałam, że w sądzie rozszarpią na strzępy każde moje słowo. Bałam się, że zamkną mnie w więzieniu do końca życia.

– Tata znał prawdę? – spytałam. – Że Steven Davis był moim... – Urwałam w pół zdania.

– Boże, nie! – zawołała. – Nie chciałam, by zaczął cię inaczej postrzegać. Sądził, jak pozostali, że wpadłam z Mattym, choć przysięgałam na wszystkie świętości, że to



nieprawda. A Matty nie miał o niczym pojęcia. Był moim najlepszym przyjacielem, ale nawet on nie wiedział, że urodziłam dziecko.

Teraz mi ulżyło, że nie dodzwoniłam się do Matthew Harrisona. Wmieszałabym jeszcze jedną osobę w całą tę mistyfikację. Być może to on wówczas zburzyłby domek z kart, który Lisa tak pieczołowicie zbudowała.

Znów chwyciła mnie za rękę, jeszcze mocniej niż poprzednio.

– Proszę cię, Riley. Nie myśl o tym. Nie roztrząsaj tego. Twój ojciec był chłopakiem bez twarzy ani imienia, którego poznałam we Włoszech. Tak jest lepiej.

Skinęłam głową. Miała rację, przynajmniej na razie.

– Chcę być częścią twojego życia, Jade – powiedziałam, zdecydowana zwracać się do niej imieniem, które sobie wybrała.

Po raz pierwszy zobaczyłam na jej twarzy szeroki, szczery uśmiech.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się cieszę – wyznała.

– Tylko czy to w ogóle możliwe? – spytałam. – Czy da się to jakoś zrealizować?

Zadumała się.

– To chyba zależy głównie od ciebie – rzekła po chwili. Przechyliła głowę na bok. – Jesteś gotowa żyć w kłamstwie?

Przemyślałam pytanie, świadoma, że kryje się za nim zaproszenie, abym weszła w jej świat i porzuciła mój. To był świat pozorów, ale żyła w nim moja matka i tylko to się liczyło.

– Jestem gotowa na wszystko – zapewniłam ją całkowicie szczerze.

LIPIEC 2014

EPILOG

*Riley*

– Zobacz – mówi Jade, otwierając drzwi garderoby. – Jest większa od tej, którą dzielę z Celią.

– Nie mam aż tyle ciuchów, żeby ją zapełnić – odpowiadam, zaglądając do środka – ale mieszkanie jest piękne. – Najbardziej w tym mieszkaniu podoba mi się to, że znajduje się niecałe półtora kilometra od domu Jade i Celi, w którym spędziłam ostatnie dwa tygodnie. Choć czuję się tam mile widzianym gościem i uwielbiam Alexa i Zoe, ich dom jest trochę za mały dla pięciu osób. Będę mieszkała najbliżej nich, jak to możliwe. Teraz, kiedy mam matkę, nie zamierzam jej stracić.

Przeprowadziłam się do Seattle po zakończeniu roku szkolnego i już byłam na kilku rozmowach o pracę. Poszły dobrze, jak sędzę, choć nie mogłam ujawnić prowadzącym je osobom jednego z głównych powodów, dla których – tak przynajmniej uważam – stałam się lepszym psychologiem. Przez rok znajomości z Jade gruntownie zmieniłam swoje podejście do zawodu. Nie widzę już w każdym uczniu przygnębionej siostry z moich wyobrażeń. Nie martwię się po nocach o dzieci, które przeżywają trudności, nie zadręczam się obawami, że coś sobie zrobią. Ten dystans emocjonalny pozwala mi lepiej im pomagać. Wyraźniej dostrzegam ich potrzeby, kiedy oczu nie przesłania mi obraz siostry samobójczyni, która nigdy nie istniała.

Wiem, że kłamstwa zaszkodziły wszystkim w naszej rodzinie, a szczególnie Danny'emu i mnie. Kiedy dorastasz w domu, w którym skrywa się straszliwa tajemnica, czujesz jej brzemię, nawet jeśli pozostaje niewypowiedziana. To cię zżera. Mąci w głowie. Każę wątpić, czy kiedykolwiek zdołasz uporządkować swój obraz

świata.

I sęk w tym, że teraz sama świadomie rozpowszechniam nowe kłamstwo, choć przyznać trzeba, że zakorzenione w prawdzie. Dla krewnych i znajomych Jade i Celi jestem Riley MacPherson, córką, którą Jade w wieku piętnastu lat urodziła i oddała do adopcji. Moi przybrani rodzice umarli, a ja po długich poszukiwaniach odnalazłam matkę. Przyjęła mnie z otwartymi ramionami, podobnie jak Celia i jej rodzina. Wszyscy czujemy się szczęśliwi, że możemy być razem.

– Teraz lepiej rozumiem naszą Jade – powiedziała do mnie matka Celi, Ginger, kiedy w Boże Narodzenie odwiedziłam Jade. Właśnie pokazywała mi, jak się robi świąteczne łakocie, i strasznie przy tym nabałaganiliśmy w kuchni. – Zawsze czułam, że czegoś jej brak, że nosi w sobie jakiś smutek. Ty wypełniłaś tę lukę.

Jakie jest miejsce Danny’ego w naszym nowym życiu? Nie czuje się gotowy przyjechać do Seattle i chyba nigdy gotowy nie będzie. Nie zamierza zostawić swojej przyczepy w lesie. Obiecał odpisywać na moje mejle, a ja będę przynajmniej raz w roku wracać na wschód, żeby sprawdzić, czy wszystko u niego w porządku. Nie rozmawiamy o tym z Jade, ale boję się, że Danny na zawsze pozostanie dla niej zagrożeniem. Tylko jego miłość do mnie może zapewnić jej bezpieczeństwo, więc będę tę miłość pielęgnować ze wszystkich sił.

Otwieram drzwi drugiej sypialni w oglądanym mieszkaniu i widzę, że okno wychodzi na park. Wyobrażam sobie, jak wstawiam tu sekretarzyk taty. To jedyna jego rzecz, jaką zatrzymałam. Sekretarzyk zajmie pół pokoju, ale jest tego wart.

Nie rozmawiamy z Jade o przeszłości. Nie mówimy o błędach ani o kłamstwach. Rozmawiamy o tym, co Alex i Zoe robią w szkole. O muzyce, którą Jade pisze z Celią. O moich poszukiwaniach pracy. Zabieramy dzieci do parku i muzeów i dużo się śmiejemy. Widząc radość na twarzy Jade, cieszę się, że przynajmniej w części ja się do niej przyczyniłam.

Przechodzę z sypialni, którą przerobię na mój gabinet, do łazienki w przedpokoju. Całą ścianę nad toaletką zajmuje lustro. Grzywka mi się przekrzywiła, odsłaniając małą bliznę na moim czole. W jasnym świetle jest wyraźna jak nigdy i wychylam się do przodu, żeby jej się lepiej przyjrzeć.

Jade stoi w drzwiach i mnie obserwuje.

– Każdy nosi jakąś bliznę, Riley – mówi, dotykając mojego ramienia. – Jedni dlatego, że walczyli z ciężką chorobą. Inni, bo stracili dziecko lub zranił ich ktoś, kogo kochali. Niektórzy mają to nieszczęście, że nabawiają się blizn w wyniku utraty całej rodziny. Chociaż z drugiej strony... – uśmiecha się do mnie w lustrze, wyciąga rękę i zaczesuje mi grzywkę na zamię – niekiedy mają to szczęście, że znajdują nową.

## PODZIĘKOWANIA

Ktokolwiek twierdzi, że redaktorzy w tych czasach niczego nie redagują, nie miał do czynienia z moją redaktorką! Jestem przeogromnie wdzięczna Jen Enderlin za jej niezwykłą dalekowzroczność, cierpliwość i zwłaszcza jej pasję. Dziękuję Ci, Jen, a przede wszystkim dziękuję Tobie, Danny.

Nie wiem, co poczęłabym bez mojej nadzwyczajnej agentki, Susan Ginsburg. Susan jest agentką zaangażowaną, która traktuje moje książki jak własne dzieci i czyta je wnikliwym, mądrym okiem. Dziękuję za Twoją rzetelność i serdeczną przyjaźń.

Wdzięczna jestem również mojej brytyjskiej agentce, Angharad Kowal, a także całemu personelowi Pan Macmillan w Wielkiej Brytanii, ze szczególnym uwzględnieniem dyrektora wydawniczego Wayne'a Brookesa (który swoimi mejlami zawsze przyprawia mnie o uśmiech), Louise Buckley i Becky Plunkett.

Jestem pełna podziwu dla całego energicznego i utalentowanego zespołu St. Martin's Press, włącznie (ale bynajmniej nie tylko!) z prezes Sally Richardson, moją rzeczniczką prasową Katie Bassel i nadzwyczajnie twórczą Olgą Grlic, której dziękuję za wspanią, przemawiającą do wyobraźni okładkę. To dla mnie wielkie szczęście, że mogę z Wami wszystkimi pracować.

Dziękuję dwóm skrzypaczkom, które pomogły mi tchnąć życie w Lisę i jej muzykę. Christina Wohlford i Fiona Warren Hirsh były łaskawe odpowiedzieć na moje niezliczone pytania.

Dziękuję mojemu bratu, autorowi kryminałów Robertowi Loprestiemu, który nieświadomie zainspirował tę opowieść jedną ze swoich własnych.

Za wkład, jaki wnieśli do mojej pracy, dziękuję: Kathy Williamson, Frankowi i Janine Palombo, Reggiemu McAllisterowi, Donnie Cohen, Patty i Edowi Tothom oraz Tani i Philipowi Little.

Jak zawsze dziękuję Johnowi Pagliuce za wysłuchiwanie moich wywodów o ludziach, którzy istnieją tylko w mojej głowie. Nie wiem, co zrobiłabym bez Twojej cierpliwości i niekonwencjonalnych burz mózgów z Twoim udziałem.

Za wsparcie, jakiego udzielić mogą tylko inni pisarze, dziękuję sześciu pozostałym członkiniom Siódemki z Weymouth: Mary Kay Andrews, Brynn Bonner, Margaret Maron, Katy Munger, Sarah Shaber i Alexandrze Sokoloff. Szczególnie wdzięczna jestem Brynn i Katy za przeczytanie bardzo wczesnej wersji tej powieści i powstrzymanie się od szyderczego śmiechu. Wasze uwagi były bezcenne!

Jestem dłużniczką czytelników, którzy dzień w dzień odwiedzają mój profil na Facebooku. Nieraz już prosiłam ich o propozycje nazwisk postaci i nazw miejsc i zawsze niezawodnie odpowiadają z entuzjazmem oraz inwencją. Tym to pomysłowym czytelnikom zawdzięczam Slick Alley, kawiarnię Spoon and Stars, Verniece (moje ulubione imię!) oraz inne rozmaite nazwy. Jestem im wdzięczna za to, że dają się zarazić moją pisarską pasją.

I wreszcie dziękuję wszystkim, którzy czytają (i to często nie raz) moje książki. Wasze mejle i uwagi radują moje serce i zawsze piszę z myślą o Was. Mam najfajniejszą pracę na świecie – mogę dzielić się wymyślonymi przez siebie światami z ludźmi, którym są tak bliskie jak mnie. Liczę na to, że będę się nimi z Wami dzielić jeszcze długie lata.

## PYTANIA DO DYSKUSJI

1. Jaki wpływ miało rzekome samobójstwo Lisy na wybór drogi zawodowej Riley? Co zmieniło się w jej nastawieniu, kiedy odkryła prawdę?
2. W rozdziale 13 Danny mówi Riley: [„To nie mój umysł jest chory... tylko moja dusza”](#). Co przez to rozumie?
3. „Skrzypce pomogły jej przetrwać wiele trudnych chwil, a teraz, samotna jak nigdy przedtem, w tym najczarniejszym okresie jej życia, została pozbawiona tej jednej jedynej rzeczy, która byłaby w stanie ją ukoić”. Czy masz w swoim życiu coś, co podobnie pomaga Ci w trudnych chwilach?
4. Jak oceniasz determinację Danny’ego, by doprowadzić do aresztowania Lisy? Czy Twój stosunek do jego postawy zmieniał się w trakcie lektury?
5. W rozdziale 55 Celia mówi: [„sprawiedliwość ma wiele postaci”](#). Co ma na myśli? Czy zgadzasz się z tym poglądem?
6. Poszukując prawdy o swojej rodzinie, Riley nie zawsze jest pewna, czy po ewentualnym odnalezieniu Lisy nawiązać z nią kontakt. Kiedy według Ciebie w jej poszukiwaniach następuje punkt zwrotny, moment, w którym podejmuje stanowczą decyzję, by jednak to zrobić?
7. W różnych momentach powieści Jeannie Lyons i Verniece Kyle okłamują Riley, choć z odmiennych powodów. Czy w trakcie lektury podejrzewałaś/podejrzewałeś, że coś ukrywają? Jeśli tak, co wzbudziło Twoje podejrzenia? Jak sądziłaś/sądziłeś, co takiego zachowywały w sekrecie? Czy wyjawione przez nie tajemnice były dla Ciebie zaskoczeniem?
8. W jaki sposób Riley i Lisa próbują utrzymać więź z rodziną, którą utraciły?
9. Zarówno Danny, jak i Riley mówią o swoich złożonych uczuciach wywołanych utratą Lisy, a następnie odkryciem, że Lisa żyje pod nową tożsamością. Jakiego rodzaju sprzeczne uczucia żywi Riley? Dlaczego? Czym się różnią od uczuć Danny’ego i sposobu ich wyrażania?
10. Jak oceniasz decyzję Riley, by przeprowadzić się do Seattle i ukrywać prawdę o przeszłości?

# Spis treści

PROLOG. Alexandria, Wirginia

## CZEŚĆ I

1. Riley

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

## CZEŚĆ II

17. Alexandria, Wirginia, Lisa

18. Riley

19. San Diego, Lisa

20. Riley

21. San Diego, Jade

22. Riley

23. Jade

24. Riley

25. Jade

26. Riley

27. Jade

28. Riley

[29. Jade](#)

[30. Riley](#)

[31. Jade](#)

[32. Riley](#)

[33. Portland, Oregon, Jade](#)

[34. Riley](#)

[35. San Diego, Jade](#)

[36. Riley](#)

[37. Morehead City, Karolina Północna, Jade](#)

[38. Riley](#)

[39. Jade](#)

### [CZEŚĆ III](#)

[40. Riley](#)

[41.](#)

[42.](#)

[43.](#)

[44.](#)

[45.](#)

[46.](#)

[47.](#)

[48.](#)

[49.](#)

[50.](#)

[51.](#)

[52. Jade](#)

[53. Riley](#)

[54. Jade](#)

[55. Riley](#)

[56. Riley](#)

[57. Jade](#)

[58. Riley](#)

[59. Jade](#)

[60. Riley](#)

[EPILOG. Riley](#)



PODZIĘKOWANIA  
PYTANIA DO DYSKUSJI